

Timothy Zahn

Duma Zdobywców

Tom 1 trylogii ZDOBYWCY

Cykl Zdobywcy:

Duma Zdobywców

Dziedzictwo Zdobywców

Spadek Zdobywców

Przekład Marek Rudnik

Byli tam, dokładnie w miejscu, które wcześniej wskazał tachionowy czujnik z Dorcas. Cztery statki, matowo odbijające światło gwiazd głębokiego kosmosu, a jednocześnie jaśniejące promieniowaniem cieplnym, skumulowanym za sprawą energii zerowej. Były niewielkie, zapewne rozmiarów tych klasy Proco-yon, mlecznobiałe, złożone z połączonych krawędziami heksagonalnych płaszczyzn różnych rozmiarów. Obcy jak cholera.

- Skaniny dokonany, komandorze - doniósł podekscytowany oficer z sekcji czujników „Jutlandu”. - Nie zarejestrowano obecności innych statków.

- Zrozumiałem - rzekł komodor Trev Dyami, rozluźniając mięśnie pod ciasno opinającym ciało kombinezonem. Obserwując centralny ekran pozwolił sobie na lekki uśmiech. Statki obcych. Pierwszy od ćwierćwiecza kontakt z rasą samodzielnie odbywającą podróże międzygwiazdne.

I to właśnie on go nawiąże. W wiadomościach pojawi się nazwisko Treva Dyamiego i nazwa „Jutlandu”, a może nawet znajdą swoje miejsce w historii Federacji Międzygwiazdnej.

Doprawdy, ma wyjątkowe szczęście.

Odwrócił się w stronę sekcji czujników, w pełni świadom, że wszystko co zrobi i powie od tej chwili, może znaleźć się w historycznych przekazach.

- Proszę o ocenę zagrożenia.

- W przedziale od jednej do czterech dziesiątych - oświadczył oficer taktyczny. - Nie znalazłem śladów luków dla myśliwców ani żadnych wyrzutni raketowych.

- Ale dysponują laserami, komandorze - wtrącił drugi z oficerów taktycznych. - Wykryliśmy systemy kumulacji optycznej w dziobowej części każdego ze statków.

- Wystarczająco silne, żeby mogły stanowić broń? - zapytał jeden z stojących obok Dyamiego oficerów operacyjnych.

- Trudno powiedzieć. Same urządzenia nie są duże, ale ich wielkość nie stanowi podstawy do wyciągnięcia rozsądnych wniosków.

- A co z emisją energii? - włączył się dowódca.

- Nie wiem - odparł powoli specjalista z sekcji czujników. - Nic nie odbieram.

- Nic?

- Nic, co mógłbym określić.

Dyami wymienił spojrzenia z zastępcą.

- Okablowanie nadprzewodnikowe - zaryzykował oficer. - Albo po prostu świetnie izolowane.

- Rzeczywiście oba warianty są możliwe - zgodził się komodor.

Przeniósł wzrok z powrotem na nieruchome kształty widniejące na głównym ekranie.

Rasa potrafiąca nie tylko odbywać podróże międzygwiazdne, ale dysponująca technologią może nawet bardziej zaawansowaną niż ludzka. Z każdą chwilą rosło historyczne znaczenie tego spotkania.

Adiutant odchrząknął głośno.

- Czy zamierza pan nawiązać łączność?

- Zrobimy to, nie ma sensu dalej tak się sobie przyglądać - oświadczył sucho

Dyami, jednocześnie zerkając na tablicę operacyjną.

Pozostałe siedem statków wchodzących w skład konwoju utrzymywało określony przez niego szyk bojowy, a ich załogi pozostawały w pełnej gotowości. Dwie jednostki obserwacyjne także zajęły swe pozycje daleko z tyłu, gdzie były zupełnie bezpieczne, na wypadek gdyby spotkanie zatraciło pokojowy charakter. Myśliwce obronne „Jutlandu” zostały umieszczone w wyrzutniach, w każdej chwili przygotowane do podjęcia walki.

Wszystko było gotowe... więc nadszedł czas tworzyć historię.

- Poruczniku Adigun, proszę przygotować się do nadania pakietu informacji przygotowanych na wypadek pierwszego kontaktu - polecił komodor oficerowi łączności. - I niech pan powiadomi wszystkie nasze jednostki, co robimy.

- Sygnał z „Jutlandu”, kapitanie - zameldował miczman Hauver z sekcji łączności na mostku „Kinshasy”. - Przygotowują się do nawiązania kontaktu z naszymi dziwolągami.

Komandor Pheylan Cavanagh kiwnął tylko głową, skupiony na obserwowaniu statków składających się z połączonych sześciokątów. - Jak długo to potrwa?

- Pierwszy sygnał to kilka, kilkanaście minut - odrzekł Hauver. - Przesłanie kompletnego pakietu informacji może jednak zająć nawet tydzień. Nie licząc czasu, jaki trzeba dać tamtym na ich zrozumienie.

- Miejmy nadzieję, że nie różnią się od nas na tyle, żeby nie zdołali tego pojąć - mruknął komandor.

- Matematyka powinna być uniwersalna.

- Ale to wcale nie takie oczywiste. Meyers, masz coś więcej o samych statkach?

- Nie - dyżurny sekcji czujników pokręcił głową. - I mówiąc szczerze wcale mi się to nie podoba. Już sześciokrotnie próbowałem zanalizować spektrum podczerwieni - bez rezultatu. Te kadłuby są zrobione z czegoś, o czym komputer nie ma pojęcia, albo obcy w jakiś specyficzny sposób zakłócają emisję.

- Może po prostu są nieśmiali - podsunął Rico. - A co z kumulatorami optycznymi?

- O nich też nie wiemy zupełnie nic - odpowiedział Meyers. - To mogą być równie dobrze półkilowatowe lasery komunikacyjne, jak i półgigawatowa śmiertelna broń. Bez odczytów emisji energii nie da się niczego stwierdzić.

- Ta sprawa niepokoi mnie bardziej niż kadłuby - zwrócił się Rico do Pheylana, a na jego ciemnej twarzy rysowała się troska. - Umieszczenie tak potężnych osłon na liniach energetycznych sugeruje, że starają się coś ukryć.

- Może po prostu ich systemy są tak wydajne - podsunął Meyers.

- Tak - mruknął Rico. - Może.
- Zaczyna się - zameldował Hauver. - „Jutland” wysłał wstępny sygnał. Dostali odpowiedź... Niewyraźna, ale jest. -
Nachylił się nad konsolą. - Dziwna częstotliwość. Muszą używać zupełnie innego sprzętu niż nasz.
- Załatwimy ci wycieczkę do ich sekcji łączności, kiedy zakończą się te podchody - zapewnił Pheylan.
- Miejmy nadzieję, że nie będzie z tym problemu. Dobra, zaczęli nadawać.
- Prowadzący zmienił pozycję - zauważył Meyers. - Odchylił się o kilka stopni w prawo...
Nagle bez jakiegokolwiek ostrzeżenia z najbliższego im statku obcych wystrzeliła podwójna wiązka światła, przecinając dziób „Jutlandu”. Światło uległo rozproszeniu na poszyciu, które pod jego wpływem zaczęło odparowywać...
Sygnały alarmowe na „Kinshasie” zaryczały, obwieszczając alarm bojowy.
- Do wszystkich jednostek! - Z głośników dobiegł głos ko-modora Dyamięgo. - Zostaliśmy zaatakowani. „Kinshasa”, „Badger”, zająć pozycje oskrzydłujące. Reszta statków pozostaje na swoich miejscach. Ogień - gamma sześć.
- Potwierdź, Hauver - rozkazał Pheylan, z niedowierzaniem patrząc na ekran. Obcy otworzyli ogień. Nie sprowokowani, nie zagrożeni, tak po prostu nagle zaczęli strzelać. - Chen Ki, skieruj statek na flankę. Przygotować wyrzutnie sterburtowe do odpalenia rakiet.
- Jaki system namierzania? - zapytał Rico, a jego palce sprawnie wędrowały po konsoli taktycznej. - Czujniki zbliżeniowe czy na radar?
- Namierzanie cieplne - zdecydował dowódca akurat w momencie, gdy przyspieszenie wcisnęło go w fotel. - „Kinshasa” ruszyła na wyznaczoną pozycję.
- Jesteśmy zbyt blisko innych jednostek - zaprotestował Rico. - Możemy trafić któregoś z naszych, zamiast tamtych.
- Musimy oddalić się na tyle, żeby tego uniknąć - powiedział dowódca, zerkając na tablicę taktyczną. - Chodzi o to, że ich statki emitują podczerwień. Przy tak dziwnym kształcie inne rodzaje namierzania mogą być nieskuteczne.
- „Jutland” wystrzelił pociski - zameldował Meyers, nie odrywając wzroku od swojego ekranu. - Naprowadzają je radar...

Nagle główny ekran rozjarzył się, kiedy równocześnie wszystkie cztery obce jednostki otworzyły ogień.

8

- Wszystkie strzelają! - wrzasnął Meyers zagłuszając na moment przenikliwy dźwięk sygnalizujący, że statek został trafiony. - Uszkodzenia kadłuba we wszystkich sektorach na sterburcie...
- Co z pociskami „Jutlanda”?
- Żadnych eksplozji - odkrzyknął Meyers. Obraz na głównym ekranie zamigotał i zgasł. Po chwili jednak pojawił się, gdy zapasowe czujniki przejęły funkcje zniszczonych.
- Może po prostu zawiodły zapalniki - wyraził przypuszczenie Pheylan, walcząc z paraliżującym go strachem.
Metal pękał od wysokich temperatur, kiedy niezwykle silne lasery obcych niszczyły kolejne warstwy poszycia... Z pełnych paniki okrzyków dobiegających z głośników można było zorientować się, że pozostałe statki sił Obrońców Pokoju mają równie poważne kłopoty. W mgnieniu oka ich dowódcy utracili kontrolę nad sytuacją, tocząc walkę jedynie o przetrwanie. I przegrywali.

- Uzbrój pociski naprowadzane na termikę, Rico. I natychmiast je odpalaj.

- Tak jest. Pierwsza salwa poszła...

Rozległ się dźwięk przypominający stłumiony odgłos grzmotu i „Kinshasa” zakołysała się pod nogami Pheylana.

- Przedwczesna detonacja! - krzyknął Meyers i poprzez trzask pękającego metalu dowódca usłyszał w jego głosie strach. - Spójność kadłuba utracona w drugiej, trzeciej i czwartej sekcji przedniej sterburty i drugiej rufowej.

- Nie funkcjonuje system samonaprawy pęknięć - meldował drżącym głosem Rico. - Zbyt wysoka temperatura. Sekcje druga i czwarta ewakuują się... Trzeciej się nie udało.

Pheylan zacisnął zęby. W tamtym przedziale służbę pełniło dziesięciu ludzi. Dziesięć osób, które już nie żyją.

- Chen Ki, wpraw nas w ruch... obojętne w którą stronę - polecił sternikowi. Jeśli nie uda się szybko ciągnąć ognia od wystrzelonych kapsułów, do pierwszej dziesiątki ofiar lada moment dołączą następne. - Niech wszyscy oficerowie pokładowi ze sterburty wycofają swoich ludzi do centrum.

- Tak jest.

- Statek nie wytrzyma już długo, dowódcu - rzekł ponuro Rico. Pheylan w milczeniu pokiwał głową, przenosząc wzrok na tablicę informującą o stanie jednostki. Rico miał rację. Z połową systemów uszkodzonych lub zamienionych w parę statek miał przed sobą zaledwie kilka minut życia. Ale zanim zginie, może będzie miał dość czasu na odpalenie ostatniej salwy, by powstrzymać wroga.

- Rico, wystrzel drugą salwę - rozkazał. - Skieruj pociski w nasz cień, zawróć je i poślij w sam środek formacji obcych. Żadnych systemów odpalania... po prostu wyliczona w czasie detonacja.

- Spróbuję - odpowiedział oficer, a na jego czole pojawiły się krople potu. - Niczego nie gwarantuję przy obecnym stanie statku.

- Rób co możesz. Odpalaj jak najszybciej.

- Tak jest. - Rico zakończył programowanie i nacisnął przycisk odpalania, a drżenie kadłuba wyczuwalne pod nogami dało im znać, że operacja przebiegła pomyślnie. - Salwa wystrzelona. Proponuję opuszczenie jednostki, póki jest to jeszcze możliwe.

Pheylan ponownie spojrzał na wskaźnik uszkodzeń i jego żołądek skurczył się boleśnie. „Kinshasa” była już właściwie martwa, ale w związku z zagładą statku pozostała mu do spełnienia jeszcze jedna powinność.

- Wyrażam zgodę - rzekł wreszcie z westchnieniem. - Hau-ver, zawiadom wszystkich, że opuszczamy jednostkę. Cała załoga do stref ewakuacyjnych i jak najszybciej startować.

Klaksy alarmowe zostały przestawione na hasło do opuszczenia statku. Na mostku światła pokładowe gasły kolejno, gdy obsługa przerywała połączenia swoich sekcji z resztą statku i sprawdzała własne systemy podtrzymania życia.

Pheylan miał do wykonania ważne zadanie: musiał spowodować, aby ci nieznanymi oprawcy, dostawszy się do wraku jednostki, nie dowiedzieli się niczego o Federacji Międzygwiazdowej. Sięgnąwszy pod konsolę dowódcy otworzył ukrytą klapkę i zaczął przyciskać kolejno znajdujące się tam przełączniki. Komputer nawigacyjny zniszczony, zapasowy nawigacyjny zniszczony, komputer z archiwami zniszczony, biblioteki także...

- Załoga mostka gotowa, kapitanie. - W głosie Rica pobrzmiwały strach i niecierpliwość. - Uruchomić procedurę ewakuacyjną?

Dowódca nacisnął ostatni przełącznik.

10

- Tak - rzekł, układając przedramiona na podpórkach fotela i zapierając się w nim odruchowo.

Z głuchym chrobotem sufit i podłoga rozpadły się, a fragmenty metalowej osłony złożyły się wokół fotela zamykając go w szczelnym opakowaniu. Sekundę później Pheylan poczuł przyspieszenie włączające go w siedzenie, gdy kapsuła ewakuacyjna opuściła martwego kolosa, który jeszcze tak niedawno był „Kinshasa”.

- Żegnaj - szepnął Pheylan do resztek swojego statku, szukając palcami przycisku otwierającego wizjera. Podświadomie zdawał sobie sprawę, że dopiero później przyjdzie czas na prawdziwe przeżywanie obecnych zdarzeń. Teraz najważniejsze było przetrwanie. Własne i ocalałej części załogi.

Blendy uniosły się. Przycisnął twarz do wizjera, przez który mógł zobaczyć „Kinshasę”. Inne kapsuły ewakuacyjne były widoczne w postaci mikroskopijnych ogników oddalających się od zniekształconego i szerniałego kadłuba, wciąż ostrzeliwanego przez obcych wiązkami laserów. Nie był w stanie policzyć, jak wiele kapsuł opuściło statek, ale te już wystrzelone powinny zapewnić znajdującym się w nich ludziom przeżycie do czasu odnalezienia. Poruszając się ostrożnie na niewielkiej przestrzeni przylgął do wizjera wychodzącego na główne pole walki.

Bitwa dobiegła końca. Siły Obrońców Pokoju zostały zniszczone.

Kapitan wisiał w nieważkości, i choć jego oddech sprawił, że wizjer zaparował, nie poruszył się, żeby go przetrzeć. „Piazzi” płonął, zapewne za sprawą tlenu wydostającego się ze zbiorników. „Ghana” i „Leekpai” były ciemne i martwe, podobnie jak „Bombay” i „Seagull”. Po „Badgerze” zaś nie było nawet śladu. „Jutland” - potężny lotniskowiec obronny klasy Rigel - obracał się bezwolnie w kosmicznej przestrzeni.

Tymczasem cztery statki gwiazdne obcych wciąż znajdowały się na swoich miejscach. I nie widać było na nich ani śladu uszkodzeń.

- Nie... - Pheylan usłyszał własny szepot.

To było czymś nierealnym. Zupełnie absurdalnym. Siły uderzeniowe pokonane w ciągu sześciu minut. Wprost niewiarygodne.

Błysnęła wiązka lasera, później druga i następna. Kapitan zmarszczył czoło, zastanawiając się, do czego prowadzą ogień.

11

Zapewne do myśliwców wystrzelonych z pokładu „Jutlandu”, wciąż krążących w pobliżu. Obcy ani na chwilę nie przestawali strzelać...

I nagle, z przerażeniem, Pheylan zrozumiał. Obcy celowali w kapsuły ewakuacyjne. Systematycznie, bez żadnych skrupułów zabijali ocalałych z bitwy.

Zaklął siarczyście. Kapsuły nie stanowiły dla nich żadnego zagrożenia - nie były uzbrojone, opancerzone, ani nawet wyposażone we własne napędy. Niszczenie ich równało się przemienieniu zwycięskiej bitwy w dokonywaną z zimną krwią rzeź.

A on był bezradny, mógł tylko bezsilnie obserwować, co się dzieje. Kapsuły posiadały własny generator, konwertor tlenowy, zapasowy zbiornik tlenu, nadajnik radiowy, laser komunikacyjny krótkiego zasięgu, racje żywnościowe na dwa tygodnie i system przetwarzania odchodów...

Sięgnął do panelu z wyposażeniem, zanim jeszcze w myślach zrodził się logiczny wniosek. Obcy nie strzelali do wszystkiego, co znajdowało się w ich zasięgu, lecz precyzyjnie namierzali i niszczyli wyłącznie kapsuły. I nagle zrozumiał, w jaki sposób są w stanie je identyfikować.

Nadajnik był wyjątkowo prostym urządzeniem, bezawaryjnym jak niemal cały sprzęt, jakim dysponowali Obrońcy Pokoju. Ale bezawaryjność nie była jednoznaczna z odpornością na celowe uszkodzenia. Po minucie każdy obwód został przerwany, a ostrze multinarzędzia wbite w wewnętrzny zapasowy generator, co dawało absolutną pewność, że nadajnik zamilkł.

Pheylan westchnął ciężko, czując zimny pot zraszający mu czoło, i z powrotem przysunął się do wizjera. Błyski laserów wciąż przecinały pole niedawnej walki - obcy nie zamierzali przerwać dokonywania masakry. Jeden z ich statków sunął w jego kierunku, lecz kapitan myślał przede wszystkim o tym, czy jeszcze któryś z jego podwładnych zrozumiał, co się dzieje i uciszył swój nadajnik.

Ale nie było czasu na zastanawianie się. Wroga jednostka zmierzała niemal prosto na niego, a jeśli obcy rzeczywiście chcieli dopilnować, by nikt nie ocalał, istniały i inne sposoby namierzenia. Musiał w jakiś sposób wprawić kapsułę w ruch. Najlepiej lecieć w stronę statków obserwacyjnych, które wciąż musiały pozostawać gdzieś tam w przestrzeni.

Śledząc zbliżającą się jednostkę analizował swoje możliwości.

12

Istniało tylko jedno wyjście i dobrze o tym wiedział. Napęd mógł mu zapewnić jedynie odrzut.

Dotarcie do zaworu zbiornika z tlenem zabrało mu więcej czasu niż przypuszczał.

Gdy wreszcie był gotów, jednostka obcych zajmowała już całe pole widzenia.

Zaciskając w myślach kciuki, otworzył zawór.

Syk gazu zabrzmiał głośno w niewielkiej przestrzeni - jak w potępianej przez Federację Międzygwiazdową celi śmierci używanej przez rasę Bhurtalów, pomyślał z przerażeniem. Porównanie to nie było pozbawione sensu: pozbywając się rezerw tlenu ulatujących w kosmos spowodował, że jego życie zależało teraz wyłącznie od niezawodności funkcjonowania konwertora tlenowego. Gdyby ten przestał funkcjonować, a takie wypadki miały miejsce, rozbitek szybko by się uduślił.

Jak na razie jego ryzykowne zagranie przyniosło pożądany skutek. Leciał. Powoli przepływał obok wraków, oddalając się od nadlatujących obcych w stronę, gdzie powinny być statki obserwacyjne. Oczywiście jeśli jeszcze nie odleciały. Gdyby teraz zdołał zabezpieczyć się przed innymi sposobami namierzenia go przez agresorów...

Koncentrując całą uwagę na najbliższej jednostce, nie zauważył innej, zbliżającej się z drugiej strony. A gdy wokół rozjarzyło się niebieskie światło, było już za późno.

- Keller? Jesteś tam jeszcze?

Porucznik Dana Keller z trudem odwróciła wzrok od odległych rozbłysków i użyła lasera komunikacyjnego.

- Jestem, Beddini - powiedziała. - Co o tym sądzisz? Zobaczyliśmy chyba wystarczająco dużo?

- Ja miałem dość już pięć minut temu - odpowiedział z goryczą w głosie. - Te pieprz...

- Lepiej znikajmy - przerwała mu Keller.

Była ogromnie przygnębiona, widząc jak siły uderzeniowe komandora Dyamiego są unicestwiane, ale pozwolenie Beddi-niemu na wyrzucenie z siebie potoku przekleństw i tak nic by nie dało.

- Chyba że chcesz czekać, aż zainteresują się i nami - dodała. Usłyszała jak Beddini głośno wypuszcza powietrze.

13

- Raczej nie.

- A więc dobrze - stwierdziła, wyświetlając mapę nawigacyjną. Właściwie było mało prawdopodobne, by obcy w ogóle wiedzieli o ich obecności - statki obserwacyjne miały niezwykle skuteczne osłony antycywnikowe. Ale nie założyłaby się o to nawet o dzienną stawkę, nie wspominając już o własnym życiu. - Zgodnie z przepisami powinniśmy się rozdzielić. Ja lecę na Dorcas. Wybierasz Massif czy Kalevalę?

- Kalevalę. Twoja bomba zakłóceńowa czy moja?

- Użyjemy mojej - zdecydowała Keller, wprowadzając na klawiaturze sekwencję uaktywniającą bombę tachionową dużej mocy. - Twoja może ci się przydać po drodze do Kalevali. Nie uruchamiaj napędu, dopóki nie dam ci sygnału.

- W porządku.

Za plecami Keller rozległ się szelest, gdy jej towarzyszka wróciła z nagłej wizyty na dziobie statku.

- Nic ci nie jest, Gorzynski? - zapytała.

- Nie - odparła zapytana zakłopotana i wyraźnie blada. -Przepraszam, poruczniku.

- Nie ma o czym mówić - zamknęła temat Keller, przyglądając się zmęczonej twarzy młodej kobiety, gdy ta przezwyciężając nieważkość sadowiła się na fotelu. Młoda kobieta... do diabła, Gorzynski była niemal dzieckiem. Prosto ze szkoły, w pierwszym prawdziwym locie... i od razu tyle wrażeń. - Wracamy. Przygotuj napęd do uruchomienia.

- Tak jest - odparła dziewczyna, niepewnie biorąc się do pracy. - Co mnie ominęło?

- Dalszy ciąg tego samego. Wciąż krążą i mordują ocalałych. Gorzynski jęknęła głośno.

- Nie mogę tego pojąć. Dlaczego tak postępują?

- Nie wiem - odpowiedziała ponuro Keller. - Ale odpłacimy im tym samym, i to z nawiązką. To pewne.

Rozległ się sygnał: bomba zakłóceńowa była gotowa. Uzbroiła ją więc i zwolniła, a statek zareagował na to ledwo wyczuwalnym drgnięciem.

- Beddinie, bomba zwolniona. Dziewięćdziesiąt sekund do detonacji.

- Odebrałem. Już znikamy. Powodzenia.

- Nawzajem - odpowiedziała Keller i wyłączyła laser komunikacyjny. - Ruszamy, Gorzynski.

14

Ledwie ich statek zdążył wykonać zwrot, za rufą eksplodowała bomba zakłóceńowa, emitując szerokie spektrum tachio-nów. Potrafią one oslepić każdy rodzaj czujników wykrywających smugę napędową. Tak przynajmniej twierdzili teoretycy. Czy oslepią również te, którymi dysponował wróg? Jeśli zabezpieczenie nie poskutkuje, lepiej żeby garnizony Obrońców Pokoju na Dorcas i Kalevali były gotowe na powitanie intruzów.

- Ruszamy - Keller zwróciła się do podwładnej i nacisnęła odpowiedni klawisz. Otaczający je kosmos zamigotał, a gwiazdy na moment zamieniły się w smugi światła i zawirowały. Po chwili zniknęły, co oznaczało, że statek osiągnął pełną szybkość.

Keller zerknęła na towarzyszkę. Dziewczyna wciąż wyglądała blado, ale w jej twarzy widać było coś nowego - rodzaj ponurej determinacji, która charakteryzowała zaprawionych w bojach weteranów.

Pokręciła głową. Zdarzenia takie jak to zmuszają dzieciaki do błyskawicznego dorastania.

Drzwi uchyliły się i komandor-porucznik Castor Holloway wszedł do centrum czujnikowego garnizonu Obrońców Pokoju na Dorcas. Major Fujita Takara czekał tuż przy drzwiach i pomimo słabego czerwonego światła stanowiącego jedyne oświetlenie, na jego twarzy wyraźnie widać było troskę.

- Co tam mamy, Fuji? - zapytał Holloway.

- Wygląda na to, że kłopoty - odpowiedział Takara. - Grane odebrał właśnie sygnał. Eksplozja bomby zakłóceńowej.

Holloway spojrział w przeciwny koniec pomieszczenia, gdzie przy ekranie czujnika tachionowego sztywno siedział młody sierżant.

- Siły uderzeniowe z „Jutlandem” na czele?

- Nie sądzę, żeby mogło to być coś innego - stwierdził major. - Nie dało się dokładnie określić miejsca eksplozji, ale sygnał pochodzi mniej więcej właśnie z tego kierunku.

- Siła?

- Jeśli wybuch nastąpił w okolicach miejsca, gdzie miało dojść do spotkania z obcymi, można przyjąć, że to bomba ze statku obserwacyjnego. - Takara zacisnęła wargi. - Zwróć uwa-

15

gę, Cass, iż upłynęło dopiero czterdzieści minut od chwili, gdy nasi wyszli z podprzestrzeni.

Hollowaya uderzyła nienaturalna cisza panująca w pomieszczeniu.

- Należałoby zawiadomić dowództwo - stwierdził. - Dysponujemy łącznikowcem gotowym do lotu?

Czoło Takary zmarszczyło się nieco i komandor zorientował się, o czym myśli współpracownik. Istniały dwie szybkości międzygwiazdne: trzy lata świetlne na godzinę i dwukrotnie większa, lecz osiągnięta tylko przez niewielkie jednostki, takie jak myśliwce i łącznikowce. Rzecz w tym, że lot z podwójną prędkością kosztował pięciokrotnie więcej, a budżet garnizonu na Dorcas był dość skromny.

- Numer dwa może wystartować za pół godziny - odpowiedział z wahaniem major. - Sądziłem, że poczekamy, aż będziemy dysponować dokładniejszymi informacjami. Holloway pokręcił głową.

- Nie możemy sobie pozwolić na czekanie. Cokolwiek się tam zdarzyło, fakt odpalenia bomby zakłóceńowej świadczy o poważnym zagrożeniu. Naszym zadaniem jest zapewnienie Federacji Międzygwiazdnej maksymalnego czasu na ewentualne przygotowania. Szczegóły prześlemy później.

- Chyba masz rację - przyznał z rezygnacją w głosie Takara. - Dopilnuję, żeby załoga łącznikowca przygotowała się do lotu.

Wyszedł zamykając za sobą drzwi, a Holloway zbliżył się do sekcji czujników tachionowych.

- Jesteś w stanie wychwycić cokolwiek, Crane? - zapytał.

- Nie, panie komandorze. Zakłócenia tachionowe przysłonią wszystko w całym rejonie na co najmniej godzinę. Może nawet dwie.

Oznaczało to, że przed powrotem wysłanych okrętów nie da się stwierdzić, czy poniosły one jakieś straty. Albo, co ważniejsze, czy nie ścigają ich jacyś napastnicy.

- Miej oko na odczyty. Chcę wiedzieć, kiedy zakłócenia zaczną zniknąć.

- Tak jest - rzekł Crane z pewnym wahaniem. - Panie komandorze, co tam się mogło wydarzyć? Holloway wzruszył ramionami.

- Dowiemy się w ciągu kilku godzin. Do tego czasu lepiej, żebyś nie myślał o tym za dużo.

16

- Tak jest - odpowiedział nieco zbyt pośpiesznie młody sierżant. - Chodziło mi tylko o...

- Rozumiem. To nic przyjemnego być oślepionym i rozmyślać, co może kryć się za zasłoną. Pamiętaj tylko, że Federacja Międzygwiazdowa ma już za sobą długą historię zwycięstw w podobnych potyczkach. Cokolwiek się tam wydarzyło, poradzimy sobie.

- Tak jest. W ostateczności mamy przecież jeszcze CIRCE.

Holloway skrzywił się. Tak, było i takie wyjście. Ale kryło się za nim niewypowiedziane zagrożenie. Wielu, nie tylko pochodzących z innych ras, nie godziło się na życie w cieniu CIRCE, zapewniającego władzę przywódcom Unii NorCoordu, którzy dzierżyli tajemnicę tej broni. Uważali, że ich dominacja w siłach Obrońców Pokoju i polityczna struktura całej Federacji Międzygwiazdowej opiera się na CIRCE i tylko na nim. Ale faktem było, że przez trzydzieści siedem lat, od czasu budzącej grozę demonstracji siły nie opodal Caledonu władze NorCoordu nie musiały korzystać z tej broni. Sama groźba jej użycia pozwalała utrzymać pokój.

Komandor spojrział na ekran, czując skurcz w gardle. Może tym razem będzie inaczej?

- Tak - przyznał cicho. - Mamy jeszcze CIRCE.

Kiedy zjedli lunch, puste naczynia zostały uprzątnięte i podano kawę ze śmietanką. Dopiero wtedy Nikolai Donezal zdecydował się na zadanie pytania, którego lord Stewart Cavanagh oczekiwał od dłuższego czasu.

- A więc możemy przejść do rzeczy? - odezwał się Donezal, ostrożnie pijąc parujący płyn i oblizując śmietankę z górnej wargi. - A może dalej będziemy udawać, że twoja dzisiejsza wizyta jest spowodowana wyłącznie chęcią zobaczenia mnie?

Cavanagh uśmiechnął się.

- To jedna z rzeczy, które zawsze mi się w tobie podobały, Nikolai: niezwykle połączenie subtelności i szczerości. Ani słówka podczas posiłku, a teraz walisz prosto z mostu.

- Obawiam się, że to skutki wieku - stwierdził Donezal. - Przez całe popołudnie nie nadaję się do niczego, jeśli nie zjem lunchu w spokoju. - Spojrzął na rozmówcę znad krawędzi filiżanki. - A odmowa wyświadczenia przysługi, wyrażona podczas posiłku, zazwyczaj pozbawia mnie apetytu.

- Przysługi? - powtórzył lord, starając się zrobić zaskoczona minę. - Dlaczego uważasz, że jestem tu, by prosić o jakąś przysługę?

- Podpowiada mi to doświadczenie połączone z opowieściami o tobie, krążącymi wciąż w kuluarach Parlamentu. Jeśli choćby połowa z nich jest prawdziwa, to i tak wielu połamało sobie na tobie zęby.

18

- Obrzydliwe oszczerstwa - stwierdził Cavanagh machając ręką. - Rozsiewane przez zazdrośników. Donezal uniósł brwi.

- Niewykluczone. Ale i tak protestujesz gwałtowniej niż powinieneś. Wiem, że nie da się osiągnąć niczego znaczącego nie robiąc sobie po drodze wrogów.

- Z moich doświadczeń wynika, że w ten sposób zdobywa się i przyjaciół.

- Z pewnością. Lecz oponenti zawsze krzyczą głośniej. W każdym razie jako że postawiłeś mi lunch, czuję się zobowiązany, aby przynajmniej cię wysłuchać.

- Dziękuję - rzekł Cavanagh, sięgając do wewnętrznej kieszeni po swoją tabliczkę. Otworzył ją, wywołał odpowiedni plik i odwrócił ku rozmówcy. - Moja

sprawa jest właściwie niezwykle prosta. Chciałbym przenieść część produkcji elektroniki z Centauri na Massif.

Donazel przejrzał pierwszą stronę i zaczął czytać następną.

- I jak widzę umiejscowić ją w stanach Lorraine i Nivernais. Dobry wybór. Spadek cen irydu szczególnie dotknął właśnie te rejony. Rozwój przemysłu lekkiego będzie tam mile widziany. - Z uwagą spojrzął na lorda. - A więc co cię interesuje? Dobra lokalizacja czy tylko ulgi podatkowe?

- Ani jedno, ani drugie - odpowiedział Cavanagh, w myślach przysposabiając się do najważniejszej części rozmowy. Donozal miał zmysł do interesów i w głębi duszy był rozsądnym człowiekiem. Ale służba wojskowa na Talu - rodzinnej planecie Bhurtalów - podczas akcji policyjnej Obrońców Pokoju pozostawiła pewien uraz widoczny w kontaktach z innymi rasami. - Tak naprawdę chodzi mi o pomoc w uzyskaniu pozwolenia NorCoordu na uruchomienie instalacji orbitalnych w enklawach Sanduulów i rasy Avuirli.

Donezal natychmiast spowaźniał.

- Rozumiem - powiedział wolno. - Mogę zapytać, czy spodziewasz się znaleźć tam coś, czego nie są w stanie zapewnić ziemscy koloniści?

- Szczerze mówiąc nie wiem. To jedna z rzeczy, których mam nadzieję się dowiedzieć.

- Na przykład czy obniży to koszty produkcji? Lord pokręcił głową.

- Nie, chodzi raczej o pomysły i ulepszenia, które mogą

19
podsunąć inne rasy - uściślił. - Instalacje będą miały na celu wyłącznie prowadzenie badań, a nie masową produkcję.

Donezal ponownie przeniósł wzrok na tabliczkę i Cavanagh dostrzegł na jego twarzy wysiłek, gdy starał się, by wspomnienia nie rzutowały na obiektywizm oceny.

- Masz oczywiście świadomość, że pięć miesięcy temu Dowództwo Obrońców Pokoju i Izba Handlowa wymogły zaostrenie regulacji prawnych dotyczących dostępu innych ras do wojskowych technologii.

- Tak, wiem o tym. Ale planowane prace nie będą miały nic wspólnego z techniką obronną. Cała produkcja dla Obrońców Pokoju dalej będzie odbywała się w skutecznie zabezpieczonych fabrykach na Avonie i Centauri.

Donezal poskrobał się po policzku.

- No nie wiem, Stewart. Zrozum, osobiście nie mam nic przeciwko Sanduulom ani tym drugim. I byłbym zadowolony, gdybyś przeniósł część produkcji na Massif. Ale Izba zdaje się poważnie podchodzić do obecnych działań i mówiąc szczerze nie wiem, czy określenie „niemilitarny” dałoby się zastosować do jakiegokolwiek sprzętu elektronicznego, a szczególnie wytwarzanego przez ciebie. Większość tych wyrobów wciąż jest dostępna wyłącznie dla ludzi i wielu z nas chciałaby zachować taki stan rzeczy. W przeciwnym wypadku możemy mieć kłopoty, gdyby doszło do jakichś konfliktów.

- Być może. Z drugiej strony jednak takie stanowisko Federacji niemal gwarantuje, że będzie dochodzić do takich konfliktów.

Donezal skrzywił się.

- No cóż, jeśli tak, Obrońcy Pokoju z pewnością będą na to przygotowani - mruknął, ponownie spoglądając na tabliczkę. - Gdybyś zobaczył, ile pieniędzy wyciągnęli ostatnio z budżetu... W porządku, jeszcze się temu przyjrzę.

Cavanagh pijąc kawę rozglądał się po jadalni Parlamentu. Oczywiście przybył tu w interesach, ale żartobliwe odwołanie się do chęci zobaczenia kolegi nie było

zupełnie bezpodstawne. Potrzebował z nim porozmawiać, lecz z przyjemnością robił to w tej właśnie scenerii. Kiedyś nie przejawiał entuzjazmu, gdy gubernator Grampiansu na Avonie zaproponował mu udział w pracach Parlamentu NorCoordu. Długo i uporczywie bronił się przed przyjęciem tej funkcji, argumentując, że są inni, któ-

20

rym znacznie bardziej zależy na zostaniu parlamentarzystami. Ale gubernator także się uparł i Cavanagh musiał teraz przyznać, że te sześć lat spędzone tu było najciekawszymi w całym jego życiu. Dwadzieścia lat poświęcone budowaniu od zera imperium elektronicznego nie przygotowało go ani trochę do pełnienia funkcji parlamentarzysty. Wszyscy o tym wiedzieli i podejrzewał, że wielu oczekiwało, iż nowy delegat stanu Grampians z Avonu podda się już na starcie. Ale zadziwił ich. Szybko nauczył się jak działać, jak kierować ludźmi w nowym, dziwnym, politycznym środowisku. Radził sobie tak dobrze, że był w stanie skupić wokół siebie tych, którzy myśleli podobnie jak on. Żadna z takich koalicji nie miała zbyt długiego żywota, lecz wiele przetrwało wystarczający okres, by zrealizować cele leżące u podstaw ich zawiązania. Stał się specjalistą w sztuce walki politycznej - nabył umiejętności, które zapewniły mu pewien rozgłos już podczas pierwszej kadencji. Jego popularność wzrosła jeszcze w trakcie dwóch następnych, do których zaaprobowania Cavanagh dał się namówić. I jeśli można było wierzyć Donezalowi, wciąż go tu pamiętano.

Jakiś ruch zwrócił uwagę lorda: młodo wyglądający delegat niecierpliwie machający do zgromadzonych w jadalni. Od czasów urzędowania Cavanagha tylko kilku parlamentarzystów z jego czasów pozostało na stanowiskach. Większość narodowych i stanowych rządów Unii NorCoordu delegowało tu jednak poważnych biznesmenów i producentów, spośród których wielu było znanych lordowi. Na przykład Simons z Wielkiej Brytanii, Aleksandra Karponow - delegatka Krieposti z Nadziej-dy, Klein z Neubund na Prospekcje...

Zatrzymał wzrok na tym ostatnim, gdy jego twarz nagle zmieniła wyraz. Cavanagh posłał spojrzenie Donezalowi i stwierdził, że ten także nagle spoważniał.

- Niespodziewane wezwanie?

- Tak - potwierdził parlamentarzysta, sięgając do kieszeni i wyjmując z niej niewielki komunikator. - Alarm dla całego Parlamentu - odczytał na ekranie. - Jakież kłopoty na...

Urwał na moment.

- Muszę iść - rzekł nagle i wstał, wsuwając komunikator do kieszeni.

21

- Co się dzieje? - zapytał lord. Podniósł się także i ruchem dłoni przywołał kelnera. - Jakże kłopoty?

- Brak jakichkolwiek szczegółów. - Donezal kierował się już ku drzwiom, podobnie jak większość obecnych. - Zadzwoń później do mojego biura. Albo skontaktuj się z własnym delegatem. Jestem pewien, że Jacy VanDiver będzie uszczęśliwiony słysząc twój głos.

Cavanagh ruszył za nim i w tym momencie przy jego boku pojawił się szef ochrony

- Adam Quinn.

- Jakież kłopoty, proszę pana? - zapytał cicho.

- Tak. Nikolai, nie żartuj. Będę twoim dłużnikiem. Donezal zatrzymał się. Posłał lordowi niecierpliwie spojrzenie, a przy okazji na moment zatrzymał wzrok na Quinnie.

- Z Dorcas leci statek obserwacyjny - rzucił. - Widocznie siłom uderzeniowym Obrońców Pokoju dostało się, i to chyba nieźle.

Cavanagh wpatrywał się w rozmówcę, a piersi ścisnęło mu przerażenie.

- Co to za eskadra?

- Nie wiem. A ma to jakieś znaczenie?

- Ogromne - mruknął lord. „Kinshasa” z Pheylanem na pokładzie stacjonowała wraz z „Jutlandem” w rejonie Dorcas. Jeśli w grę wchodziły właśnie te statki... -

Przejdźmy do sali obrad - zaproponował Donezalowi, ujmując go pod łokieć. -

Powinni przynajmniej powiedzieć, o które jednostki chodzi.

Nicolai oswobodził się z uchwytu.

- Nie przejdziemy - zaproponował. - Tylko ja mam prawo tam iść. Ty nie jesteś już delegatem.

- Możesz załatwić mi wejście.

- Nie, jeśli chodzi o coś naprawdę poważnego. Przykro mi, Stewart, ale będziesz musiał poczekać. Dowiesz się o wszystkim razem z resztą obywateli Federacji Międzygwiazdnej.

Odwrócił się i wmieszał w tłum pospiesznie wychodzących z jadalni.

- Niedoczekanie twoje - mruknął Cavanagh pod nosem i sięgnął po telefon. -

Quinn, gdzie jest Kolchin?

- Tutaj, proszę pana - rzekł młody ochroniarz, niemal w magiczny sposób pojawiając się u boku pracodawcy. - Co tak poruszyło to mrowisko?

- Siły uderzeniowe Obrońców Pokoju walczyły w okolicach

22

Dorcas - wyjaśnił lord ponuro, nie przerywając wystukiwania cyfr. - Zobaczymy, czy uda mi się zdobyć więcej informacji.

Ekran telefonu rozjarzył się, i jego środek zajęła twarz umundurowanej młodej kobiety.

- Dowództwo Obrońców Pokoju.

- Poproszę z generałem Gardą Alvarezem. Proszę przekazać, że mówi lord Stewart Cavanagh. I niech pani doda, że to pilne.

Sunąc głównym korytarzem w fotelach powietrznych, nad głowami widzieli tylko wiązki przewodów. Wreszcie zjechali w dół i zatrzymali się tuż nad podłogą.

Przed nimi, przyozdobione potężnymi insygniami Obrońców Pokoju, znajdowało się wejście do centrum dowodzenia. Obok, w towarzystwie dwóch strażników i mężczyzny z dystynkcjami majora, stał generał Alvarez.

- Stewart - rzekł na powitanie, gdy lord wraz z dwuosobową ochroną zbliżył się do niego. - Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż to niezgodne z przepisami.

- Owszem. I z góry dziękuję. Postaram się nie sprawiać kłopotów. Alvarez skrzywił się i spojrzał na towarzyszącego mu oficera.

- To moi goście, majorze. Chciałbym, żeby zostali wpuszczeni.

- Tak jest. Witaj, Quinn. Dawno się nie widzieliśmy.

- Jak się masz, Anders - odpowiedział tym samym tonem zagadnięty. - Cieszę się, że cię widzę. Nie wiedziałem, że przeniosłeś się do dowództwa.

- Minęło sporo czasu - odparł major, a w jego głosie dało się wyczuć ironię. -

To ty zerwałeś z nami wszelkie kontakty. A więc to on, co? - dodał, posyłając Cavanaghowi chłodne spojrzenie. - Facet, któremu pomogłeś nas załatwić.

- Lord Cavanagh jest moim pracodawcą - wyjaśnił Quinn. - I wcale nie chcieliśmy zniszczyć Miedzianogłowych. Pomogliśmy jedynie wzmocnić ich i ulepszyć.

- Tak, tylko że od wewnątrz wyglądało to zupełnie inaczej. - Anders spojrzał na Kolchina i jego wzrok na chwilę złagodniał. - A ty byłeś komandosem Obrońców

Pokoju. Mitri Kolchin. Zawsze wciąga pan na listę płac byłych wojskowych, lordzie Cavanagh?

23

Były parlamentarzysta poczuł, że Kolchin drgnął, dotknięty złościwością zawartą w pytaniu, i wyobraził sobie jego minę. Generał Alvarez, stojący metr przed nim, nie musiał korzystać z pomocy wyobraźni.

- Nie znalazł się pan tutaj, żeby oceniać przebieg czyjejś kariery, majorze - rzekł. - Pańskim zadaniem jest wydanie tymczasowego pozwolenia na wejście do centrum. Może pan to zrobić?

Anders zacisnął usta.

- W ich danych nie ma niczego, co by to uniemożliwiało. Mogę więc wpuścić pańskich gości do zewnętrznej sali odpraw. Ale nie dalej.

- Wystarczy - stwierdził sucho generał. - Dziękuję. Chodź, Stewart. Dane ze statku obserwacyjnego powinny dotrzeć tu lada chwila.

- Nie mogli przesłać ich bezpośrednio z orbity? - zapytał Cavanagh.

- Nie chcieliśmy, żeby tak postąpili - odparł Alvarez. - Zbyt wiele dzieciaków bawi się w przechwytywanie wojskowych przekazów i próbuje je rozkodowywać. A ostatnią rzeczą, na której nam zależy jest przeciek, zanim będziemy gotowi. - Posłał lordowi wymowne spojrzenie. - Co, wybacz szczerze, stanowi także jeden z istotniejszych powodów, dla których zgodziliśmy się na twoją wizytę. W ten sposób łatwiej mieć na ciebie oko.

- Rozumiem - powiedział Cavanagh. Zdążył już sam się tego domyślić. - Co wiecie do tej pory?

- Tylko to, że dwie godziny temu z Dorcas przyleciał łącznikowiec z wiadomością, iż statek obserwacyjny jest już prawdopodobnie w drodze. Można przypuszczać, że przyniesie nam złe wieści.

Lord splótł ręce na piersiach.

- Wiesz, o którą eskadrę chodzi? Alvarez z powagą pokiwał głową.

- Z „Jutlandem” i Dyamim jako komodorem. A „Kinshasa” z pewnością też tam była. To kolejny powód naszego spotkania.

- Doceniam to - rzekł Cavanagh, czując powracające uczucie trudności w oddychaniu. - Co jeszcze wiecie?

- Bardzo mało. Jakies dwadzieścia pięć godzin temu czujniki tachionowe na Dorcas wychwyciły smugi napędowe nie ziden-

24

tyfikowanych pojazdów, prowadzące do niewielkiego systemu sześć lat świetlnych od miejsca obserwacji. Dowódcy „Jutlanda” i miejscowego garnizonu zdołali określić przypuszczalny rejon wyjścia z podrzestrzeni. Nasza eskadra wyruszyła na rozpoznanie. Czterdzieści minut po jej dotarciu tam, na Dorcas wykryto eksplozję bomby tachionowej. Sygnał ten uznano za złą wieść, więc wystrzelono łącznikowca, żeby przekazał nam ostrzeżenie. To wszystko.

- Czterdzieści minut to dość krótko - ocenił lord. Alvarez parsknął.

- Raczej zadziwiająco krótko. Szczególnie mając na uwadze fakt, że komandor Dyami nie wyszedłby z podrzestrzeni tuż przed nosem tamtych. Sam lot w przestrzeni musiał zająć znaczną część tego czasu. Może nawet większość. Sala odpraw była pusta. Generał włączył monitory i przeszedł do operacyjnej części centrum dowodzenia. Pięć minut później rozpoczęła się emisja nagrań ze statku obserwacyjnego.

Było gorzej niż Cavanagh się spodziewał. Gorzej nawet niż mógł to sobie wyobrazić. Już morderczy ostrzał ludzkich statków kosmicznych stanowił

nieprzyjemne widowisko. Lecz naprawdę przerażające było systematyczne, przeprowadzane z zimną krwią niszczenie kapsuł ewakuacyjnych. Świadomość, że być może ogląda właśnie śmierć swego syna, zdruzgotała go. Jakżeż starso się poczuł.

Bitwa i późniejsza rzeź zdawały się trwać wieczność, ale według stopera było to tylko czternaście i pół minuty.

Zapis zakończył się i ekran zgasł. Przez kilka minut panowało milczenie.

Wreszcie Quinn przerwał pełną bezsilnej rozpaczyciszę.

- Mamy kłopoty - powiedział cicho. -1 to poważne. Lord odetchnął głęboko i zamrugał powiekami, czując wilgoć napływającą do oczu. Przynajmniej nikt długo nie cierpiał.

- Czy nasze okręty mogły zostać zaskoczone?

- Nie - odparł pewnie Quinn. - Dyami wiedział, że należy być przygotowanym do walki. Zawsze przyjmuje się takie założenie w przypadku kontaktu z nieznaną rasą. Poza tym walczyli. Widać było odpalanie pocisków. Po prostu nie dochodziło do ich wybuchu.

- Quinn, czy na pokładzie „Jutlandu” byli jacyś Miedziano-głowi? - zapytał Kolchin.

25

- Wątpię - odparł zapytany kręcąc głową. - Większość ich oddziałów stacjonuje obecnie na lotniskowcach klasy Nova i Supernova, przede wszystkim w pobliżu systemów Ycroma-nów. Tak przynajmniej słyszałem. W drodze powrotnej możemy o to zapytać Andersa.

- No cóż, dobrze przynajmniej, że mamy coś w zanadru, gdyby doszło do następnych starć - stwierdził były komandos. -A może NorCoord zadecyduje, że czas przygotować CIRCE.

- Może - zgodził się Cavanagh. - Quinn, musimy powiadomić Arica i Melinę o tym, co się stało.

- Zajmę się tym, proszę pana. Co mam im powiedzieć? Lord pokręcił głową.

- To nie ma znaczenia - wyszeptał z bólem. Z bólem i wzbierającą wściekłością, że syn został mu odebrany z tak zimnym wyrachowaniem. - Zawiadom ich po prostu, że stracili brata.

Ten Meert był typowym przedstawicielem swojej rasy: niski i krępy, z niewielkimi zielono-brązowymi, zachodzącymi na siebie łuskami i twarzą, która kształtem i strukturą przywodziła ludziom na myśl obraną ze skóry pomarańczę. Stał sztywno przed biurkiem, z jasnożółtymi oczami utkwionymi w obliczu Arica Cavanagha i zębami ociekającymi śliną.

Był wyraźnie rozdrażniony.

- Pan Cavanagh? - warknął po angielsku dość niewyraźnie, lecz wystarczająco zrozumiale. - Obiecano mi Cavanagha.

- To właśnie ja - oświadczył człowiek. - Arie Cavanagh, pierworodny syn lorda Stewarta Cavanagha. Jestem także dyrektorem CavTronics w tym sektorze kosmosu. Cokolwiek leży ci na duszy, możesz powiedzieć to mnie.

Meert syknął cicho.

- Ludzie - burknął takim tonem, jakby to było przekleństwo. - Troszczycie się wyłącznie o siebie. Meert-ha są dla was tylko niewolnikami.

- Hm - mruknął Arie unosząc brwi. - Czy więc Meert-ha troszczą się bardziej o ludzi niż o siebie? Łuski zjeżyły się nieco, lecz po chwili opadły.

- Obrażasz Meert-ha?

- Ależ skąd. Chcę tylko, aby wszystko było jasne. Oskarżasz ludzi, że troszczą

się bardziej o swoją rasę niż o inne. Czyżbyście wy postępowali inaczej?
Meert milczał przez chwilę, a łuski pokrywające jego ciało

27

unosily się i opadały rytmicznie. Arie wciąż siedział bez ruchu, chociaż miał chęć odsunąć się od biurka i przyjąć bardziej swobodną postawę. Przez chwilę czuł się znów jak nastolatek, gdy w trakcie ulubionej zabawy polegającej na prowokowaniu młodszego brata, nagle zdał sobie sprawę, że gdzieś przepadła przewaga trzydziestu centymetrów i dwunastu kilogramów, jaką miał nad tamtym dzieciakiem. Od owego dnia taka rozrywka przestała mu sprawiać przyjemność... a teraz stojący przed nim Meert przywiódł mu na myśl tamte wspomnienia. Jakież to odległe czasy. Nie miał już piętnastu lat, a Pheylan nie stał przed nim zaciskając pięści. Ten należący do innej rasy brygadzysta z jednego z zakładów produkcyjnych CavTronics z pewnością nie śmiałyby zaatakować syna właściciela. Niemniej Arie zaczynał żałować, że nie ma przy nim Hilla. Zazwyczaj udając się na wizytację fabryki nie widział potrzeby zabierania ze sobą któregoś z ochroniarzy ojca. Falowanie łusek Meerta mające na celu ochłodzenie ciała, którego temperatura wzrosła na skutek zdenerwowania, wskazywało jednak, że goryl mógłby okazać się przydatny. Arie zadając uszczypliwe pytanie chciał jedynie wskazać, że lojalność wobec własnej rasy jest rzeczą naturalną. Miał poza tym nadzieję, że zbije nieco przybysza z tropu. Postępowanie takie mogło jednak odwrócić się przeciwko niemu, gdyby Meert stracił nad sobą panowanie. Łuski opadły jednak na dobre.

- Ale i tak uważacie Meert-ha za niewolników - bronił swego stanowiska gość.
- Ależ nie - zaprotestował młody Cavanagh, ponownie zaczynając spokojnie oddychać. - Zawsze traktowaliśmy naszych meertańskich pracowników z szacunkiem.
- A więc dlaczego to robicie? - zapytał ostro Meert wskazując za okno. -
Dlaczego zamykacie zakłady?

Arie westchnął. A więc doszli do sedna sprawy: ten sam argument wysuwany był dzisiaj już dwukrotnie przez przedstawicieli innych ras. Zastanawiał się, czy Izba Handlowa Federacji Międzygwiazdnej zdawała sobie sprawę z kłopotów, jakie wynikną z podjęcia tej decyzji. Ale przecież tak naprawdę wcale ich to nie obchodziło.

- Zaczniemy od tego, że wcale nie zamykamy zakładów - wyjaśnił. - Ograniczamy jedynie wielkość produkcji.
- Meert-ha nie będą tu już pracować.

28

- Niektórzy spośród was tracą pracę, to fakt - przyznał Arie. - Podobnie jak część pracowników z enklawy Djararan.

- Ludzie także?

- Nie wiem. Dopiero podejmiemy odpowiednie decyzje. Łuski ponownie się poruszyły.

- Kiedy?

- Wówczas, kiedy uznamy to za stosowne. Chcesz, żebyśmy się z tym spieszyli? Meert pokręcił głową, rozpryskując przy okazji wokół krople śliny. U nich taki gest często oznaczał wyzwanie, ale Arie miał nadzieję, iż w tym przypadku jest to jedynie powtórzenie ruchu podpatrzonego u ludzi.

- Mam na myśli tylko sprawiedliwość - mruknął brygadzysta.

- Sprawiedliwość jest także moim celem - zapewnił go młody Cavanagh. - I mojego ojca. Bądź pewien, że obaj zrobimy wszystko, by nikt nie mógł w to wątpić.

Meert zakołysał głową.

- Będziemy czekać i patrzeć - rzekł krzyżując palce w meer-tańskim geście pożegnalnym. - Pozostań powolny. Arie powtórzył ruch.

- Odejdź powolny.

Brygadzysta odwrócił się i wyszedł.

- Sprawiedliwość - mruknął Arie, wreszcie pozwalając sobie na grymas, którym powstrzymywał od chwili wtargnięcia tu Meerta. Ojciec ostrzegał przecież członków Izby Handlowej, i to nie raz, że podejmują decyzję błędną zarówno ze względów politycznych jak i gospodarczych. Ale z równym skutkiem mógł mówić do obrazu.

Drzwi gabinetu ponownie się otworzyły. Arie uniósł wzrok, odruchowo napinając mięśnie, lecz rozluźnił je natychmiast na widok Hilla.

- Prawie na czas - rzucił do ochroniarza z ironią. - Ja tu ryzykuję życiem stając oko w oko z rozwścieczonym Meertem, a ty gdzie bujasz?

- Byłem na zewnątrz - wyjaśnił spokojnie ochroniarz. -I powstrzymałem pozostałych ośmiu, którzy także chcieli do pana wejść.

- Naprawdę? - Młody Cavanagh zdziwiony uniósł brwi. - Nawet nie wspomniałeś, że przybył na czele całej delegacji.

29

Hill wzruszył ramionami.

- Nie chciałem pana niepokoić - wyjaśnił. - Poza tym nie wydawało się to ważne, skoro i tak nie dopuściłbym, żeby do środka weszło ich więcej. A przecież nawet pan poradziłby sobie z jednym.

- Doceniam twoją wiarę w moje możliwości. - To tłumaczy, dlaczego gość tak łatwo dał się zbyć. Spodziewał się mieć za plecami cały komitet, więc gdy wystąpił solo, poczuł się mniej pewnie. - Wszyscy już sobie poszli?

Hill przytaknął.

- Kolejna grupa wściekłych na zwolnienia?

- Na razie wściekłych na perspektywę zwolnień - poprawił Arie. Osobiście wciąż miał nadzieję, że ci paranoicy z Izby Handlowej dadzą się wreszcie przekonać, iż dopuszczenie innych ras do pracy w CavTronics przy produkcji elementów komputerowych nie jest żadnym zagrożeniem dla wojskowych tajemnic Obrońców Pokoju. - Czy szef popołudniowej zmiany już się pojawił?

- Nie, proszę pana - odparł ochroniarz podchodząc do biurka z kartą w wyciągniętej dłoni. - Ale to właśnie panu przesłano. Pewnie pochodzi z łącznikowca z Ziemi.

- Pewnie wiadomość od ojca - domyślił się młody Cavanagh biorąc kartę i wsuwając ją do czytnika w tabliczce. Obaj wpadli na pomysł, jak można by obejść nowe ograniczenia. To mogła być informacja, czy delegat Donezal zgodził się im pomóc. Wybrawszy odpowiedni algorytm dekodowania, patrzył jak tekst pojawia się na ekranie.

Był bardzo krótki.

Przeczytał go dwukrotnie, nie mogąc uwierzyć w sens słów. Nie. To było niemożliwe.

- Proszę pana? Nic panu nie jest? Arie z trudem uniósł głowę.

- Czy statek już wrócił?

- Nie wydaje mi się - odparł Hill marszcząc czoło. - Planował pan lot dopiero na jutro.

Cavanagh odetchnął głęboko, starając się zwalczyć odrętwienie umysłu i ciała.

- Skontaktuj się z portem kosmicznym - polecił. - Zarezerwuj mi przelot na Ziemię. Kiedy zaś dotrze tu nasz statek, wróc nim na Avon.

- Tak jest - rzekł ochroniarz sięgając po telefon. - Mogę wiedzieć, co się stało? Arie odchylił się w fotelu i zamknął oczy.

- Chodzi o mojego brata. Nie żyje.

- Doktor Cavanagh?

Melinda Cavanagh uniosła wzrok sponad dużej, wysokorozdzielczej tablicy, na której wyświetlała właśnie szczegółowy plan najbliższej operacji.

- Tak?

- Doktor Billingsgate oczekuje pani w sali przygotowawczej - przekazała pielęgniarka. - Pokój trzeci.

- Dziękuję - odpowiedziała kręcąc głową z dezaprobatą.

Doktor Billingsgate mógł przesłać jej informację korzystając z pagera lub zadzwonić, ale zamiast tego wysłał kogoś, żeby ją znalazł. Nigdy dotąd nie pracowała z nim, lecz w społeczności chirurgów Federacji na porządku dziennym było plotkowanie na temat kolegów. Słyszała więc wystarczająco dużo, by wiedzieć, że takie zachowanie jest dla niego typowe. Opinie były podzielone czy to przejaw arogancji, złośliwości, czy też po prostu niechęć do elektroniki.

- Proszę przekazać, że za chwilę tam przyjdę - dodała.

Dokończyła przeglądanie planu i wyjęła swoją kartę z czytnika. Sala numer trzy znajdowała się w głębi korytarza, gdy do niej weszła, zastała doktora Billingsgate'a pochylonego nad swoją tabliczką.

- Aha... Cavanagh - rzekł nie podnosząc głowy. - Gotowa do przebrania się?

- Prawie - odpowiedziała siadając obok niego. - Najpierw chciałabym jeszcze omówić z panem kilka szczegółów. Spojrzał na nią marszcząc gęste brwi.

- Myślałem, że wszystko jest już jasne.

- Ja również - odparła wsuwając własną kartę do jego tabliczki i wyszukując zaznaczone uprzednio fragmenty tekstu. - Po pierwsze sędzę, że powinniśmy ograniczyć użycie markininy w trzeciej fazie. Na tym etapie niewątpliwie należy obniżyć ciśnienie krwi i moim zdaniem dawka musi zostać zmniejszona co najmniej o dziesięć procent.

Czoło doktora wyglądało jeszcze bardziej marsowo.

- Dziesięć procent to bardzo dużo.

- Ale to konieczne - upierała się Melinda. - A po drugie w czwartej fazie zastosowane zostaną dwa różne neurospoiwa w każdym z czterech miejsc. - Wskazała na tablicę. - Moim zdaniem znajdują się zbyt blisko chiazmy optycznej. Szczególnie biorąc pod uwagę ustalone przez pana dawki.

- Tak pani uważa? - zapytał Billingsgate tonem, w którym nie było już zdenerwowania, pojawiła się natomiast ciekawość. - Proszę mi powiedzieć, czy kiedykolwiek przeprowadzała pani taką operację?

- Dobrze pan wie, że nie - odpowiedziała Melinda. - Ale oparłam się na opisach pięciu podobnych zabiegów. Doktor zerknął na nią zaintrygowany.

- Bez wątplenia przeprowadzonych przez pięciu różnych chirurgów. Melinda spojrzała mu prosto w oczy.

- To niesprawiedliwe. I dobrze pan o tym wie. Zlekceważenie mojej opinii i wprowadzenie w życie planu opartego na błędnych przesłankach jest działaniem zupełnie nieodpowiedzialnym, które może skończyć się tragicznie dla pacjenta.

- Zapewne tak źle by nie było - zauważył Billingsgate.

- A uważa pan, że mimo wszystko powinnam ryzykować? Doktor lekko zacisnął usta.

- Nie musiała pani publicznie go upokarzać.

- Usiłowałam go przekonać. Robiłem to dyskretnie na osobności. Ale nie chciał mnie słuchać.

Billingsgate ponownie pochylił się nad tabliczką i przez minutę panowała absolutna cisza.

- A więc upiera się pani przy tym, że powinniśmy zmniejszyć dawkę markininy o dziesięć procent? - zapytał wreszcie.

- Tak. Mniejsza ilość i tak spełni swoje zadanie. Szczególnie biorąc pod uwagę wynik badania metabolizmu pacjenta.

- Właśnie zamierzałem zapytać, czy to pani sprawdzała. W porządku, ale jeżeli ciśnienie nie będzie się zmieniać zgodnie z naszymi oczekiwaniami, wracamy do pierwotnej dawki. Zgoda?

- Tak - przystała Melinda. - A co z neurospoiwami?

Po krótkiej, rzeczowej dyskusji Billingsgate przystał w końcu na jej propozycję.

Jak większość chirurgów, z którymi miała do czynienia, upierał się przy realizacji własnych planów, ale był

32

jednocześnie na tyle doświadczony, by nie lekceważyć rad dobrego konsultanta.

Obecnie coraz więcej typowych operacji było przeprowadzanych przez paramyślące systemy komputerowe. W tej sytuacji chirurdzy zajmowali się tylko wyjątkowymi przypadkami, gdzie na równi z umiejętnościami liczyła się wyobraźnia. Tak jak pisarze potrzebują wydawców, tak w chirurgii niekonwencjonalnych przypadków niezbędni są konsultanci. Praktykę tę stosowano powszechnie.

- A więc dobrze - podsumował Billingsgate. - O dziesięć procent redukujemy markininę i przesuujemy punkt zastosowania neurospoiwa o trzy milimetry. Czy o to pani chodziło?

- Tak, właśnie o to - odpowiedziała Melinda wyłączając tablicę. - Poza tym wszystko już jasne?

- Prawie. Musimy tylko...

Urwał gdy otworzyły się drzwi i do środka weszła pielęgniarka.

- Przepraszam, doktor Cavanagh, ale właśnie przesłano dla pani wiadomość - rzekła wręczając kartę. - Określono ją jako pilną.

- Dziękuję - powiedziała dziewczyna sięgając natychmiast po osobistą tabliczkę.

- Proszę się pospieszyć - przynaglił ją Billingsgate.

- Dobrze.

Zmarszczyła czoło nad kodowymi symbolami. Myślała, że to jakieś zlecenie lub coś innego związanego z pracą, tymczasem wiadomość była zaszyfrowana jednym z prywatnych kodów ojca. Uruchomiła dekodowanie i patrzyła, jak symbole zamieniają się w litery...

I jej serce zabiło w opętańczym rytmie.

- Nie - wyszeptała.

Idący ku drzwiom, Billingsgate zatrzymał się i odwrócił.

- Co się stało?

Bez słowa odwróciła tabliczkę w jego stronę. Podeszedł i odczytał tekst widniejący na ekranie.

- Och, mój Boże... Kim był dla pani Pheylan?

- To mój brat - wyjaśniła Melinda zmienionym głosem. Miała okazję zobaczyć się z nim trzy tygodnie temu, gdy w tym samym czasie byli na Nadzieździe. Ale ta jej praca... Jakby przez ścianę usłyszała, że doktor coś do niej mówi.

- Przepraszam - odezwała się, z trudem unosząc głowę. - Nie dostyszałam.

3 - Duma zdobywców

- Powiedziałem, że nie musi pani zostawać. Zespół sam poradzi sobie z operacją. Proszę jak najszybciej jechać do portu kosmicznego i dołączyć do rodziny.

Przeniosła wzrok z powrotem na ekran, nie będąc już w stanie odczytać słów.

- Nie - zaprotestowała ocierając łzy. - Jestem konsultantem. Muszę nadzorować przebieg operacji.

- Przepisy nie nakładają na panią takiego obowiązku.

- Ale czuję się za nią współodpowiedzialna - oświadczyła twardo Melinda wstając.

Jej umysł zaczynał znów normalnie funkcjonować i wracał do spraw zawodowych. - Proszę tylko dać mi minutę na skontaktowanie się z zakładami CavTronics w Kai Ho i zaraz będę gotowa.

- Dobrze - zgodził się Billingsgate bez przekonania. - Jeśli jest pani pewna...

- Jestem pewna. Nie przywrócę już życia Pheylanowi, ale może zdołam uchronić przed śmiercią kogoś innego.

Dopiero gdy wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, jak łatwo można je uznać za podawanie w wątpliwość umiejętności Billingsgate'a. Ale na szczęście doktor zdawał się tego nie zauważać.

- Dobrze - powtórzył. - Siostrze, proszę przekazać zespołowi, by zaczął się szykować. Zaczynamy, gdy tylko doktor Cava-nagh będzie gotowa.

Niebieskie światło pulsowało w wizjerach kapsuły ewakuacyjnej, aż wreszcie wyrwało Pheylana z niespokojnego snu. Bładło, ponownie rozbłyskiwało i tak w kółko...

- Dobra! - krzyknął, uderzając pięścią w ścianę. - Już wystarczy!

Światło zamigotało po raz ostatni i zgasło. Pheylan zaklął pod nosem,

spojrzawszy na zegarek. Zdawało mu się, że dopiero zamknął oczy, a w

rzeczywistości spał cztery godziny. A więc upłynęły już łącznie dwadzieścia dwie

godziny od chwili wsiadania jego kapsuły przez statek obcych. Zakładając, że

obcy dysponują napędami gwiazdowymi działającymi na podobnych zasadach co znane w NorCoordzie, przelecieli przez ten czas jakieś sześćdziesiąt sześć lat

światlnych. Jakże daleko od domu.

Niebieskie światło rozbłysło ponownie, tym razem dwukrotnie. Odruchowo sięgnął do konsoli chcąc uruchomić blendy, lecz zatrzymał rękę w pół ruchu przeklinając,

gdy do jego wciąż otępiatego umysłu dotarło, że żadne z urządzeń nie działa.

Wkrótce po pojmaniu go obcy zbliżyli się tak, by nie mógł ich widzieć, i

odłączyli system zasilania. Od tego czasu pozostawał w ciemności i ciszy,

zakłócaney tylko bladym światłem i przytłumionymi odgłosami dochodzącymi z głębi pomieszczenia o rozmiarach doku promowego.

Bez zasilania także konwertor tlenowy był bezużyteczny i kilka pierwszych godzin

Phelon spędził w napięciu, obawiając się

35

uduszenia. Lecz w kapsule zrobiło się tylko na jakiś czas nieco duszno, po czym

sytuacja powróciła do normy. Widocznie obcy podłączyli mu inne źródło mieszanki

gazów, którymi mógł oddychać, wykorzystując zawór, otwarty przez niego, gdy

pozbywał się rezerw tlenu.

Kolejnych kilka godzin rozmyślał o bakteriach i wirusach, przed którymi jego

organizm będzie musiał się bronić. Nie wiedział bowiem, czy obcy zadbali o

założenie właściwych filtrów bakteriobójczych. Wyszukiwanie tego typu problemów

nie miało jednak większego sensu, więc w końcu dał sobie z tym spokój. Poza tym

w obecnej sytuacji nieznanne drobnoustroje powinny być najmniejszym z jego

zmartwień.

Na zewnątrz znów dwukrotnie zamigotało niebieskie światło, i po chwili Pheylan poczuł, że jakaś siła wciska jego ciało w fotel. A więc powracało ciśnienie i o ile obcy nie wprawili swojego statku w ruch obrotowy, mogło to oznaczać tylko jedno: koniec lotu.

Wreszcie przybywali na miejsce.

Po kolejnych czternastu minutach dookoła dał się słyszeć głuchy, monotony szum, znak, że weszli w gęste warstwy atmosfery. Hałas oraz ruch ustały i przez kolejny kwadrans pociał się w półmroku, z pistoletem strzałkowym w zaciśniętej dłoni, oczekując na kolejne posunięcie obcych.

Gdy wreszcie się go doczekał, wszystko przebiegło w błyskawicznym tempie.

Awaryjny właz kapsuły otoczył oślepiająco jasny krąg. Rozległ się trzask rozgrzanego do białości metalu, wystrzelił snop iskier i luk z brzękiem wylądował na podłodze doku. Przez otwór wpadło świeże powietrze zmieszane z ciężką wonią topionego metalu. Zaciskając zęby, dowódca „Kinshasy” wycelował lufę w otwór i czekał.

Nikt nie próbował wdzierać się do środka. Po co? Wcześniej czy później będzie musiał sam wyjść, a zwlekanie aż do wyczerpania racji żywnościowych nic mu nie da. Wsunąwszy broń do wewnętrznej kieszeni bluzy odpiął uprząż utrzymującą go w fotelu i omijając sprzęty zbliżył się do otworu. Jego brzegi wciąż były rozgrzane, lecz już nie parzyły. Podciągnąwszy się na wspornikach dla rąk ostrożnie wyjrzał z kapsuły.

Światło na zewnątrz było przygaszone, tak że dostrzegał tylko sylwetki postaci stojących trzy, cztery metry od kapsuły. Prze-

36

ślizgnąwszy się przez wycięty właz wylądował na podłodze, obok szczątków włazu.

- Jestem komandor Pheylan Cavanagh - zawołał, mając nadzieję, że drzenie jego głosu nie będzie nic znaczyć dla obcych. - Dowódca należącego do Obrońców Pokoju Federacji Międzygwiazdnej statku „Kinshasa”. A wy kim jesteście?

Nie padła żadna odpowiedź, lecz jedna z postaci wystąpiła z szeregu, zbliżyła się do niego i zatrzymała w odległości metra.

- Brracha - odezwał się obcy niskim głosem i w tej samej chwili rozjarzyły się jaskrawe światła.

Pheylan miał wreszcie możliwość przyjrzenia się istotom, które zniszczyły jego statek.

Byli mniej więcej wzrostu dorosłego mężczyzny, mieli smukłe torsy i parę rąk i nóg rozmieszczone podobnie jak u ludzi. Głowy ich były pozbawione owłosienia, a twarze trójkątne, z wydatnymi łukami brwiowymi ponad głęboko osadzonymi oczami i czymś w rodzaju wąskiego dzioba. Wszyscy mieli na sobie przylegające do ciała, okrywające także stopy kombinezony, z ciemnego, lśniącego materiału, bez jakichkolwiek ozdób czy też insygniów.

Nie mieli też przy sobie żadnej widocznej broni. Pheylan przyjrzał im się uważnie. Zastanowił się, czy to możliwe, by w ogóle nie dysponowali ręcznym uzbrojeniem, co było niespotykane wśród ogromnej większości ras. Jeśli jednak... oznaczało to, że nie zwrócą uwagi na pistolet strzałkowy w kieszeni jego bluzy...

Dostrzegł jakiś ruch z prawej i gdy odwrócił głowę w tę stronę, dostrzegł jeszcze jednego obcego wchodzącego do pomieszczenia, z czymś przypominającym ręcznik z materiału używanego na kombinezony, przewieszonym przez kark. Tamten podszedł do stwora stojącego naprzeciw Pheylana, i wręczył mu ów ręcznik.

Dowódca „Kinshasy” dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że ich głowy są

wydłużone ku tyłowi bardziej niż przypuszczał, a na plecach wyraźnie rysują się wystające kości kręgosłupa, którym kończył się w dolnej części płaskim ogonem, bez przerwy zwijającym się i rozwijającym.

Reprezentant obcych z powrotem zwrócił się ku człowiekowi i wyciągnął rękę trzymającą materiał.

37

- Tarr'ketarr brracha - odezwał się tym samym co poprzednio, niskim głosem. Pheylan spojrział na ręcznik i stwierdził, że w rzeczywistości jest to jeden z używanych przez nich kombinezonów.

- Nie, dziękuję - powiedział kręcąc głową i pukając się w piersi. - Wolę zostać w swoim mundurze.

Obcy rozchylił usta, z których wyłonił się długi, ciemnoczerwony język.

Sprawnie, niczym ręką, wskazał nim na trzymany strój.

- Tarfketarr brracha - powtórzył.

Pheylan skrzywił się zrozumiałwszy, że obcy wiedzą czego chcą. Pozostało mu usłuchać lub wyszarpnąć broń i zacząć strzelać. Rozsądek nakazywał wybrać pierwszą możliwość. Rozebrał się i naciągnął na siebie otrzymany kombinezon. Strój idealnie przylegał do ciała. Niesamowite, ale posiadał nawet naddatek na nadgarstku uwzględniający deformację, którą już od dwóch lat obiecywał sobie usunąć. Widocznie został wykonany specjalnie dla niego, a choć był idealnie przewiewny i nie ograniczał swobody ruchów, nie dawał żadnej możliwości ukrycia pistoletu.

Rozważania te i tak okazały się bezcelowe. Gdy zastanawiał się, na jakiej zasadzie działają zapęczenia kombinezonu, stwór który mu go przyniósł, zabrał jego mundur i wyposażenie, znikając w otworze.

Reprezentant obcych przesunął się nieco w bok.

- Brracha - powiedział.

Język wysunął się ponownie, wyraźnie pokazał na prawo i po chwili wrócił na swoje miejsce.

Pheylan spojrział we wskazanym kierunku. W ścianie widać było zarys łuku o sześciokątnym kształcie, przez który zapewne trafiła tu jego kapsuła. Żądanie było jasne i podobnie jak w przypadku kombinezonu nie pozostało mu nic innego, jak posłuchać. Ruszył więc w tę stronę, mając u boku jednego obcego, a pozostałych za plecami. Gdy podeszli do łuku, ten zaczął się wolno otwierać i do środka dostało się rześkie powietrze o dziwnym aromacie.

Niebo na zewnątrz było błękitne, usiane białymi obłokami. W miarę jak otwór powiększał się, Pheylan zobaczył najpierw czubki wysokich, zielonoszarych obiektów, zapewne tutejszych odpowiedników drzew, a następnie kompleks niskich budyn-

38

ków między nimi. Z daleka przypominały konstrukcją statki obcych.

Na ziemi czekało na nich jeszcze kilkanaście istot, stojących w szeregu naprzeciw rampy sięgającej krawędzi łuku. Ziemianin ruszył w ich kierunku, jednocześnie starając się ukradkiem przyjrzeć wszystkiemu wokół. Kompleks budynków zdawał się przylegać do szarozielonego lasu, lecz między nim a lądowiskiem pozostawała dosyć szeroka otwarta przestrzeń. Tu i ówdzie rosły kępki roślin, a powierzchnię pokrywał jednolity, czerwony pył. Doszedł do wniosku, że jest to dowód, iż zabudowa powstała niedawno, co potwierdzało istnienie drugiego, jeszcze nie ukończonego kompleksu po prawej. Na skraju lasu, pomiędzy obydwoma zgrupowaniami obiektów, wznosiła się kopuła niemal na pewno

mieszcząca w sobie system obronny.

Doszedł do końca rampy i zatrzymał się.

- Jestem komandor Pheylan Cavanagh - przedstawił się. - Dowódca należącego do Obrońców Pokoju Federacji Międzygwiazdnej statku „Kinshasa”.

Trzej obcy ze środka szeregu wystąpili naprzód i gdy byli już wystarczająco blisko, Pheylan zauważył, że ich stroje różnią się nieco od noszonych przez załogę ze statku. Dwaj zatrzymali się, podczas gdy trzeci zrobił jeszcze dwa kroki i także stanął.

- Mirras kryrrea sor zhirrh har'proov - odezwał się. Wyciągnął język i zawinał go przy szyi. - Sw-selic: Too'rr - powiedział. Skierował język w prawo, wyraźnie wskazując na towarzysza stojącego nieco z tyłu. - Nzz-oonazz: Fliirr. -1 na lewo. - Thrr-gilag: Kee'rr.

- Cavanagh - powtórzył Pheylan, wystawiając język i starając się nim wskazać siebie. Nic dziwnego jednak, że nie wyszło mu to najlepiej. - Ziemia - dodał, mając nadzieję, że właściwie odgadł znaczenie wypowiedzianych przez tamtego słów.

- Caw-ana - powtórzył obcy. - Zie'aa.

- Może być - uznał przedstawiciel gatunku ludzkiego. - Teraz ja spróbuję. Siv-seleck: Too-err...

- Sw-selic: Too'rr - poprawił go ostro rozmówca.

- Właśnie. Siv-seleck...

- Sw-selic: Too'rr - upierał się obcy.

- Dobrze, zrozumiałem - uspokoił go Pheylan. Był w stanie wychwycić różnice, lecz z jego gardła nie dało się wydobyć

39

właściwych dźwięków. - Przykro mi, ale „Siv-selic” to wszystko, co jestem w stanie osiągnąć. Ale i twoje „Caw-ana” nie przypomina pierwowzoru.

Przez chwilę Sv-selic przyglądał mu się uważnie, jakby starając się odgadnąć, co powiedział więzień. Pheylan popatrzył mu prosto w szeroko rozwarte oczy zauważając, że w każdym znajdują się jakby trzy oddzielne źrenice: dwie boczne w kształcie pionowych kocich szparek, a trzecia, w środku, owalna. Uznał to za dziwne i chyba zbyteczne.

W równym stopniu zaskoczyły go dłonie obcych, posiadające trzy palce i dwa przeciwstawne kciuki. Czyżby drugi był zapasowy? A może dla zapewnienia mocniejszego chwytu korzystali z obu naraz? A może układ ten służył zupełnie innemu celowi?

Dawno temu, na drugim roku akademii Obrońców Pokoju wykładano fizjologię innych ras. Właśnie zaczynał żałować, że nie uważał wtedy zbyttnio.

Obcy poruszył się, przerywając Pheylanowi rozmyślenia.

- Brracha - powiedział.

Z szeregu wystąpiły dwa stwory, każdy z niewielką żółto-zie-loną kulką trzymaną w dłoni. Jeden zatrzymał się obok stojącego po lewicy Sv-selica Thrr-gilagu, jeśli rzeczywiście grożące połamaniem języka te słowa były ich imionami - i podał mu kulkę. Thrr-gilag zrobił krok naprzód i przekazał ją z kolei Sw-selicowi. W tym samym czasie drugi podał kulę Nzz-oona-zowi, a ten wręczył ją Pheylanowi.

- Dziękuję - rzekł komandor, jednocześnie marszcząc brwi. Przedmiot był twardy, ale niezbyt ciężki, miał chropowatą powierzchnię i dziwny, lecz dość przyjemny zapach. Czyżby jakiś owoc? Podniósł wzrok na Sv-selica, zastanawiając się, co to wszystko ma na celu. Obcy obserwował go. Wreszcie uniósł swój owoc...

Nagle jego język wystrzelił naprzód, odcinając fragment skorupy niczym ostrze noża.

Pheylan aż drgnął zaskoczony. Język zniknął, lecz zaraz wystrzelił ponownie, trafiając w owoc z drugiej strony. Gęsty płyn zaczął ściekać po palcach obcego i kapać na ziemię.

- Brra'aw rrv nee - powiedział.

Żołnierz Obrońców Pokoju głośno przełknął ślinę. Obejrzał właśnie wspaniałą i przerażającą zarazem pokaz możliwości

40

obcych. Wyjaśniał on chyba także fakt, iż nie nosili żadnej broni ręcznej.

- Robi wrażenie - powiedział głośno. - A teraz co?

- Brracha - powtórzył SvV-selic.

Znów pojawił się jego język, tym razem wskazując owoc.

Pheylan pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie potrafię - rzekł, ponownie wystawiając język, żeby mu się przyjrzeni. - Moim nie sposób zrobić coś takiego.

Przez długą, pełną niepewności chwilę SvV-selic przyglądał mu się jakby rozważając, czy mówi prawdę. Wreszcie oddał pocięty owoc Thrr-gilagowi, a Nzz-oonaz podszedł do Ziemanina, odbierając trzymany przez niego.

- Brra sev kelt mrrt - rzekł następnie Sw-selic.

Odwrócił się i ruszył w stronę budynków. Pozostali poszli w jego ślady. Jeden z członków załogi statku zbliżył się do Pheylana i językiem wskazał kompleks.

- W porządku.

Poprowadzili go do potężnie wyglądających drzwi w jednym z mniejszych sześciokątów na skraju zabudowań. Sw-selic otworzył je i językiem nakazał Ziemaninowi wejść.

- W porządku - powtórzył Pheylan i przekroczył próg.

Znalazł się w dużym pomieszczeniu, zajmującym większą część, jeśli nie całość, budynku. Trzy spośród sześciu ścian na wysokości pasa zajmowały konsole z ekranami, na których widać było rozmyte luminescencje lub wyraźniejsze biało-zielone wzorki. Pod pozostałymi dwiema ścianami stały sprzęty przypominające meble. W szóstej znajdowały się drzwi, przez które przeszli, a po obu stronach tychże znajdowały się kolejne dwie konsole.

Przed sobą, pośrodku pomieszczenia Pheylan zobaczył ustawione w przezroczystym cylindrze łóżko, fotel, składany stół, toaletę, odkrytą od góry kabinę prysznicową i umywalkę.

Jego cela.

- Elegancko tu i przytulnie - skomentował z goryczą.

Ale właściwie nie było tak źle, jak mógłby się spodziewać. Pomieszczenie było niewielkie, lecz funkcjonalnie rozplanowane, choć niestety pozbawione prywatności... i jakoś dziwnie znajome. Zrobił krok naprzód, rozglądając się uważnie...

41

I zatrzymał nagle, gdy przed nim pojawił się język wskazujący na lewo.

Spojrzał w tym kierunku. Pięciu obcych zebrało się obok jednej z konsol pod ścianą. Konsoli, której część wystawała ku centrum pomieszczenia w postaci płaskiej płyty przypominającej blat stołu.

Pheylan westchnął ciężko. Od razu domyślił się, że ma przed sobą stół do badań medycznych.

- W porządku - mruknął z rezygnacją. - Lepiej mieć to już za sobą.

Badania trwały trzy godziny - wyjątkowo nieprzyjemne trzy godziny. Niemniej, gdy szklane drzwi celi zamknęły się za jego plecami, musiał przyznać, że mogło być gorzej.

Może coś takiego dopiero go czeka. Kiedy nauczą się choć podstaw angielskiego i będą w stanie zadać wszystkie te pytania, które zazwyczaj zadaje się jeńcowi wojennemu. Z obawą rozważał, czy w ich kulturze funkcjonuje pojęcie tortur. Westchnął ciężko rozglądając się po pokoju i próbując nie zwracać uwagi na nieprzyjemne drżenie mięśni po poddaniu ich działaniu jakichś urządzeń. Mając trzy godziny na zastanowienie zrozumiał wreszcie, dlaczego rozplanowanie pomieszczenia wydaje się znajome. Za wyjątkiem ekranów ściennych i ozdób była to idealna kopia kabiny komandora Dyamiego na „Jutlan-dzie”.

Podszedł do łóżka i usiadł, przeciągając dłonią po przykrywającym je materiale. Koja była bardziej miękka niż standardowa, używana na statkach gwiazdnych, a koc zdawał się wykonany raczej z plastiku niż naturalnego surowca. Ale całość została odtworzona całkiem nieźle.

Obcy wciąż pozostawali w zewnętrznej części pomieszczenia, obserwując jego poczynania. Wyciągnął się na łóżku i utkwiał wzrok w pozbawionym jakichkolwiek cech szczególnych suficie.

Zastanawiał się, czy tamci zdają sobie sprawę, jak ważną informację uzyskał trafiając tu. W walce uczestniczyły cztery statki. Były zbyt potężne, by posiadać napęd gwiazdny podwójnej prędkości. Po ujęciu natychmiast przetransportowali go tutaj. Zapewne bezpośrednio, bo zorientowałby się, gdyby lądowali

42

gdzieś po drodze. Co prawda na pokładzie jednego z okrętów mogli mieć łącznikowca, który przybyłby tu zapewne jakieś czternaście godzin wcześniej. Ale trzeba było przecież uwzględnić jeszcze czas potrzebny na przeszukanie wraków jednostek Obrońców Pokoju. A jednak przybywszy tu zastał już gotową kopię kabiny komandora Dyamiego.

Wniosek mógł być tylko jeden. Obcy dysponowali natychmiastową łącznością. Był to milowy krok w dziedzinie fizyki tachionowej, którego Federacji Międzygwiazdnej nie udało się zrobić przez ostatnich sto lat. Wszystkim co dotąd osiągnęli, była możliwość wykrycia obecności statku przelatującego w odległości kilku lat świetlnych oraz eksplozji bomby zakłóceńowej. Tymczasem obcy znajdujący się na polu walki przekazywali obecnym tutaj szczegółowe informacje, jakie, warunki należy zapewnić pochwyconemu właśnie jeńcowi. Świat naukowy NorCoordu tak naprawdę niewiele jeszcze wiedział o fizyce tachionowej i zapewne podałby w wątpliwość możliwość istnienia tego typu łączności. A jednak coś takiego funkcjonowało w praktyce.

Konsekwencje mogły być straszne. Dokładne dane przesyłane przez daleko wysuniętych zwiadowców z baz, linii frontu i bezpośrednio z pól walki... i wszystkie one natychmiast dostępne dla dowództwa obcych. Posługujący się takim wynalazkiem mieli w swoich rękach broń o nieograniczonych możliwościach. A on był jak na razie jedyną osobą z Federacji Międzygwiazdnej, która o tym wiedziała.

Zamknął oczy, nie chcąc, by obcy zauważyli napływające mu do oczu łzy, nawet jeśli nie byli w stanie zrozumieć, co one oznaczają. Uszedł z życiem z masakry, jak można było sądzić jako jedyny spośród stuczterdziestoosobowej załogi „Kinshasy”. Znał każdego jej członka i był odpowiedzialny za ich bezpieczny powrót do bazy.

Niestety, stał się tylko bezradnym świadkiem ich zguby. Z trudem przełknął ślinę, czując w gardle ból wywołany goryczą i poczuciem winy. W wyobraźni wciąż na nowo przeżywał bitwę kosmiczną i analizując jej przebieg szukał czegoś, czegokolwiek, co powinien był zrobić inaczej. Jakiegokolwiek posunięcia, które mogłoby zmienić jej finał. Wiedział, że nie da się już przywrócić życia poległym. Ale

43

nawet w obecnej sytuacji trzeba zrobić wszystko, by ich śmierć nie była daremna. Otworzył oczy. Obcy wciąż zajmowali się swoimi sprawami, a ich ogony poruszały się bezustannie, gdy rozmawiali w grupkach lub pochylali się nad konsolami. Nie podda się, przyrzekł sobie w duchu. Przetrwaj bez względu na to, jak będą z nim postępować. I gdy będą zdobywać wiedzę o ludziach wykorzystując go jako obiekt obserwacji, on postara się dowiedzieć jak najwięcej o nich.

A kiedy nadarzy się okazja, zrobi wszystko co będzie w jego mocy, aby uciec stąd i przekazać uzyskane informacje Federacji Międzygwiazdnej.

- W porządku, panie komandorze, mamy zielone światło - obwieścił porucznik Alex Williams, wyłączając tryb wyczekiwania silników statku roboczego. - Gdzie teraz chce pan lecieć?

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie - odpowiedział Holloway patrząc na jasno oświetlone szczątki rozproszone wokół nich. - Myślałem, że warto zobaczyć, z czym mieliśmy do czynienia. Ale obecnie widzę, że mogłem sobie oszczędzić tej wyprawy.

- Rzeczywiście niewiele pozostało do oglądania - przyznał Williams. -

Pozbieraliśmy już większe fragmenty i wysłaliśmy je do analizy na Edo. Teraz zajmujemy się głównie wydobywaniem ciał z pozostałych szczątków.

Holloway przytaknął i poczuł nieprzyjemny skurecz żołądka wywołany ogarniającą go wściekłością. Zapis ze statku obserwacyjnego przedstawiał mające tu miejsce zdarzenia z przerażającą dokładnością. Dwa tysiące osmiuset ludzi zamordowanych bez żadnego wyraźnego powodu.

- Będą musieli za to zapłacić, i to drogo.

- Bez wątplenia - przyznał ponuro Williams. - W mojej załodze stawia się pięć do jednego, że wreszcie użyjemy CIRCE.

- Miejmy tylko nadzieję, że będą cholernie ostrożni, gdy złożą go w całość' - rzekł komandor, wciąż rozglądając się wokół. - To byłoby straszne, gdyby obcy zdołali do kompletu zdobyć sprawne CIRCE.

- Nie tylko oni - zauważył porucznik. - Pawolesi wciąż nie

44

wybaczyli nam, że wykorzystaliśmy go do walki z nimi. A założę się, że Ycromani też marzą o dostaniu takiej broni w swoje ręce.

- To prawda - zgodził się Holloway, spoglądając na blade słońce systemu, na tyle odległe, że z trudem dało się je wypatrzeć pośród innych gwiazd. - Co w ogóle mogli tu robić?

- Pewnie przylecieli w poszukiwaniu kopalni - odpowiedział Williams. - Strata czasu... Nasi zbadali to miejsce już z pięć lat temu. Nie ma tu niczego, co warto by wydobywać. Panie komandorze, mamy jeszcze mnóstwo roboty. Jeśli pan sobie życzy, odstawię pana... chwileczkę. - Przerwał, słuchając meldunku przez słuchawki. - Tu Williams. Jesteś pewien? W porządku, zostań na miejscu... już lecę.

Uruchomił napęd i statek pomknął ku jednemu ze źródeł światła.

- Co się stało? - zapytał Holloway.

- Może strzał w dziesiątkę. Dostrzeżono przedmiot mogący stanowić element statku obcych.

Gdy dolecieli na miejsce, były tam już dwa inne statki, których zdalnie sterowane analizatory zbliżyły się właśnie do podejrzanego obiektu.

- Co tam masz, Scotts? - zapytał Williams naciskając jeden z klawiszy i zsuwając z głowy słuchawki.

- Wygląda to na płytę poszyciową, panie poruczniku - rozbrzmiało z głośnika. - A przynajmniej jej fragment. Na wewnętrznej stronie są jeszcze jakieś elementy elektroniczne.

- Co mogło spowodować jej oderwanie?

- Wygląda mi na to, że wysoka temperatura pobliskiej eksplozji mogła uszkodzić jej mocowania. Rejestruję też obecność jakiegoś pyłu... Pobierzemy próbki.

Holloway przyjrzał się mlecznobiałej płycie, nieco tylko pofałdowanej na brzegach.

- Fragment poszycia i nieco pyłu - mruknął. - Muszą dysponować naprawdę odpornymi materiałami.

- Rzeczywiście - zgodził się Scotts. - Zleciłem już wykonanie testów wytrzymałościowych. Trzeci analizator dołączył do dwóch poprzednich.

- Co jeszcze zostało do zrobienia? - zapytał Williams.

- Bakst analizuje krawędzie. Ja próbuję dotrzeć do elektroniki. Wciąż usiłujemy badać materiał.

45

- W porządku, ja nim się zajmę - oświadczył porucznik uruchamiając odpowiedni program. - Nasze statki przed walką próbowały go rozpoznać - powiedział do Hollowaya pochylając się nad obrazem przekazywanym przez analizator. - Nie dowiedzieli się niczego nawet z analizy spektrum podczerwieni. Zobaczymy, czy nam uda się coś zdziałać... No proszę, mówiłem, strzał w dziesiątkę.

- Co odkryliście? - zapytał podekscytowany komandor.

- To nie żaden stop metali - odparł Williams prostując się w fotelu - tylko kompozyt ceramiczny.

- Kompozyt? Nie słyszałem, żeby istniały tak odporne.

- Ja również, ale teraz mamy przed sobą namacalny dowód.

- Chyba tak - zgodził się Holloway. - To tłumaczy, dlaczego naprowadzane magnetycznie pociski nie trafiały w cel. Ich skanery nie wychwytywały żadnych skupisk metalu.

- Nie wydaje mi się, żeby występował choćby w śladowych ilościach. - Przez głośnik usłyszeli Scottsa. - Na pewno spodoba się to panu, poruczniku. Elementy elektroniczne także w ogóle nie zawierają metalu.

- A linie zasilania?

- Jeśli jakieś tu są, nie mogę ich znaleźć. Wszystkie połączenia zrealizowano poprzez światłowody, a po normalnych Uniach zasilania nie ma nawet śladu.

- Więc może wykorzystują elektronowy efekt tunelowy Dja-dara? - podsunął Holloway.

- Chyba że znaleźli sposób na wielokrotne zwiększenie jego efektywności - stwierdził Williams. - Co o tym sądzisz, Scotts?

- Nie wydaje mi się. Skanowanie jeszcze się nie zakończyło, ale jak dotąd nie stwierdzono także obecności półprzewodników.

- Żadnego metalu ani nawet półprzewodników? - mruknął zaskoczony porucznik. - W porządku, więc co to w ogóle jest?

- Żebym to ja wiedział - burknął Scotts. - Jak na razie ujawniłem tylko obecność

światłowodów i jakichś skomplikowanych brył geometrycznych wykonanych z nieznanego materiału.

- Krystalicznego?

- Lub amorficznego. Analizator nie potrafi jednoznacznie

46

tego stwierdzić. Możemy spróbować odczytów interferencyjnych.

- Nie warto - orzekł Williams. - Naszym zadaniem jest tylko zdobycie próbek... niech ci geniusze z Edo ustalą, co to u licha jest. Zbieraj swoje analizatory, a ja wciągnę zdobycz na pokład. Przeprowadźcie z Bakstem poszukiwania w okolicy. Może natraficie na coś jeszcze. Przyślę wam do pomocy jeszcze kilka jednostek.

- Tak jest.

Williams wyłączył głośnik i włożył słuchawki.

- Dokąd lecimy? - zapytał Holloway.

- Na „Ganymede”, żeby tam zostawić naszą zdobycz - odpowiedział Williams manewrując jednocześnie widocznym na ekranie ramieniem chwytaka, zbliżającym się do płyty. - Jeśli to już wszystko co chciał pan zobaczyć, komandorze, pozostawię tam także pana. My mamy tu jeszcze mnóstwo roboty. A nie ma gwarancji, że obcy nie zechcą wrócić.

- Rozumiem. I tak powinienem już wracać na Dorcas.

- Nie powiem, żebym zazdrościł panu miejsca stacjonowania - rzekł szczerze Williams. - Nie sądzę, aby siedzenie na Dorcas jak kaczką nadstawiająca kuper było szczególnie atrakcyjne.

- Rzeczywiście, znam ciekawsze miejsca - zgodził się komandor. - Sądzi pan, że będziecie w stanie odszukać wszystkie ciała?

- Zapewne tak. Szczątki są skoncentrowane na dosyć ograniczonej przestrzeni. A dlaczego pan pyta? Holloway ponownie popatrzył na pobojuwisko.

- Przyszło mi do głowy, że może nie wszyscy zginęli. Williams pokręcił głową.

- Statki obserwacyjne nie opuściły nakazanych pozycji, dopóki wszystkie nadajniki lokalizacyjne nie zamilkły. A te urządzenia nie psują się same.

- Tak, wiem. Ale pomyślałem, że gdybym to ja zdecydował się na walkę z obcą rasą, dopilnowałbym, żeby zdobyć choć jednego żywego jeńca do badań.

Porucznik wzruszył ramionami.

- Nie można zakładać, że oni rozumują tak jak my.

- Ale może nie zaszkodziłoby wspomnieć o takiej ewentualności w raporcie.

47

- Mówiąc szczerze, panie komandorze, mam teraz na głowie ważniejsze sprawy niż snucie przypuszczeń w raportach. Jeśli panu na tym zależy, proszę zrobić to samemu.

- Może tak właśnie postąpię. Chyba tak będzie najlepiej - powiedział Holloway przyglądając się światłom pozycyjnym statków roboczych.

Plotki zaczęły krążyć jeszcze przed odlotem z Mees i sprawa ta stała się jedynym tematem rozmów podczas trwającego dziesięć godzin lotu liniowcem. Szeptem mówiono o nagłej, szczególnej aktywności w orbitalnej bazie Obrońców Pokoju Bridge-head i powtarzano informacje uzyskane z drugiej i trzeciej ręki o gorączkowych naradach prowadzonych w trzech ludzkich enklawach na Mees. Przekazywano sobie wiadomość o poderwaniu w trybie alarmowym służb pobitewnych i wysłaniu ich w niewiadomym kierunku. Arie słuchał tego wszystkiego w milczeniu, starając się ukryć przerażenie i smutek. Zastanawiał się jak zginął jego młodszy brat i jaki miało to związek z krążącymi plotkami.

Dopiero gdy znalazł się przed budynkami Parlamentu NorCo-ordu, po raz pierwszy

przyszło mu do głowy, że w rzeczywistości sytuacja wygląda znacznie gorzej niż przypuszczają zwykli obywatele. Uśmiechniętych, młodych elegantów, stojących zwykle przy wejściu na galerię dla gości zastąpili poważni komandosi Obrońców Pokoju. Dokładnie sprawdzili identyfikator Ari-ca, ustalili czy jego nazwisko figuruje na odpowiedniej liście i przepuścili go.

Przeszedł krótkim korytarzem na galerię. Od razu zauważył tam Kolchina, wspartego o ścianę ze zwykłą dla siebie pozorną beztróską. Kilkunastu innych osiłków stało wokół, wyraźnie gotowych do natychmiastowego działania i nie okazujących zaskoczenia jego obecnością. Widocznie CavTronics Industries

49
nie było jedyną poważną firmą, której przedstawiciele przybyli tu dzisiaj.

- Pan Cavanagh - powitał go Kolchin, gdy podszedł bliżej. - Cieszę się, że pana widzę.

- Ja też — odpowiedział Arie, zauważając jednocześnie, że wraz ze zidentyfikowaniem go przez Kolchina pozostali ochroniarze w ogóle przestali się nim interesować. - Gdzie jest ojciec?

- Tam - odpowiedział były komandos wskazując jeden z najniższych rzędów foteli.

Arie spojrział w tym kierunku. Tylko około jednej czwartej miejsc na galerii było zajętych, więc siwe włosy ojca od razu rzuciły mu się w oczy. Siedział sam i nawet z takiej odległości Arie zauważył, że jego ramiona opadły bardziej niż zwykle.

- Melinda jeszcze nie przyleciała? Kolchin zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, ale wkrótce tu będzie. Na Caledonie przeprowadzała operację, której nie dało się przesunąć, więc zabrała się z jednym z naszych transportów. Jakies pół godziny temu dotarli do Che-redovat.

Młody Cavanagh pokiwał głową.

- Przyślij ją do nas, kiedy tylko się pojawi, dobrze?

- Oczywiście.

Gdy Arie schodził w dół, stojący na podium poniżej parlamentarzysty Hurley Maxwell mówił właśnie z pasją o przygotowaniach i funduszach Obrońców Pokoju.

- Cześć, tato - powiedział szeptem, siadając obok ojca.

- Arie - przemówił ten, z trudem siłąc się na uśmiech, gdy ścisnął jego dłoń. -

Dziękuję, że przyleciałeś.

- Jasne - mruknął młody Cavanagh przyglądając się twarzy ojca, widocznej w przyćmionym świetle. Pojawiły się na niej nowe zmarszczki, których nie było jeszcze trzy tygodnie temu. Zmarszczki wywołane zmęczeniem i smutkiem. Staruszek ciężko to znosił. - Jak się masz?

- Nie gorzej niż sądzisz - zapewnił ojciec, ponownie usiłując się uśmiechnąć.

Wyszedł mu jednak tylko pełen goryczy grymas. - Oczywiście, że mi ciężko, ale przecież byliśmy przygotowani na to, że taki dzień może kiedyś nadejść.

Wybierając mundur Pheylan zdawał sobie sprawę, że ryzykuje i godził się na to.

50

- To coś więcej niż tylko aprobata, tato - przypomniał mu Arie. - Chciał wstąpić do Obrońców Pokoju od chwili, kiedy skończył siedem lat. - Uśmiechnął się do swych wspomnień. - Chciał tego tak bardzo, jak bardzo nienawidził pracy biurowej.

Stary Cavanagh posłał mu szybkie spojrzenie.

- Mówił ci o tej scysji, prawda?

- Omawialiśmy wspólnie wiele spraw - przyznał Arie, z trudem wypowiadając słowa.

Jemu także będzie brakowało Phey-lana. Bardziej nawet, niż sądził. Pamiętam jak wpadł do mojego gabinetu po tej kłótni i oświadczył, że wstąpi raczej do jakiegoś gangu niż da się przykuć jak ja do biurka w CavTronics. Przez pół godziny nie byłem w stanie go ułagodzić.

- To w jego stylu - przyznał lord kręcąc głową. - Dziwne, prawda. Nie mógł znieść myśli o pracy urzędniczej, ale nawet w siłach Obrońców Pokoju i tak wreszcie wylądowałby za biurkiem. Może to dobrze, że nie zdążył dojść tak wysoko.

- Może - mruknął Arie rozglądając się i szukając sposobu, by zmienić temat rozmowy.

Ojciec nadrabiał miną, ale pod pozornym spokojem krył się emocjonalny kryzys, taki jak ten który nastąpił po gwałtownej śmierci żony i nie opuszczał go przez długie miesiące, rujnując zdrowie i grożąc przeobrażeniem w pustelnika. Teraz, w pięć lat po tym, Arie podejrzewał, że stary lord będzie mniej odporny na podobny wstrząs.

- Co to za debata? - zapytał syn. - Dzieje się coś ważnego?

- I to bardzo. Nie mogłem przekazać ci tego w wiadomości, ale twój brat nie zginął w jakimś wypadku albo drobnym incydencie. „Kinshasa” została zniszczona w poważnej bitwie. Wraz z całą eskadrą prowadzoną przez „Jutlanda”.

Arie poderwał się z siedzenia.

- Całe siły uderzeniowe? Stary Cavanagh przytaknął.

- Wszystkie osiem jednostek. Nikt nie ocalał.

Nieprzyjemne drżenie przebiegło przez ciało Arica. Plotki zasłyszane na pokładzie liniowca były niczym w porównaniu z faktami. Nic dziwnego, że na zewnątrz służbę przejęli komandosi.

51

- Gdzie to się stało?

- Na Dorcas. A właściwie kilka lat świetlnych obok.

- Kim byli przeciwnicy?

- Wiadomo tylko tyle, że to ktoś nieznan. Co do tego nie ma wątpliwości.

Świadczą o tym dane ze statków obserwacyjnych. Ale kim są i skąd pochodzą, wciąż nie wiem.

Arie powoli opadł na swoje miejsce. Zupełnie nowa rasa odbywająca podróże międzygwiazdne... i od razu połała się krew.

- Jak zareagowało na to dowództwo sił Obrońców Pokoju?

- Przygotowuje się do wojny. - Stary wskazał na izbę obrad poniżej. - I nie można powiedzieć, żeby wszyscy martwili się taką perspektywą.

Arie odwrócił głowę w stronę mówcy.

- ...i w jeszcze większym stopniu umocni raz na zawsze naszą pozycję w samej Federacji Międzygwiazdnej i pośród innych ras - grzmiał Maxwell. - W ciągu ostatniej dekady polityka Unii NorCoordu była traktowana z nie do końca skrywaną pogardą przez coraz większą liczbę członków Federacji Międzygwiazdnej.

Szczególnie jeśli chodzi o doktrynę obronną i organizację sił Obrońców Pokoju.

Nadszedł czas, by zademonstrować niedowiarkom, że ich podatki i wcielani do służby młodzieńcy nie rozplývają się gdzieś w zbiurokratyzowanych, nadmiernie rozbudowanych strukturach. Obrońcy Pokoju są twardzi, sprawni i gotowi do walki.

Czas, żeby to udowodnili.

Zabrał swą tabliczkę i zszedł z mównicy żegnany głośnym aplauzem zgromadzonych.

- On jest widocznie gotów do tego - mruknął Arie.

- Nie jest jeszcze najgorszy - zauważył ojciec. - Istnieje niewielka, lecz

znacząca frakcja przekonana, że silny wspólny wróg jest tym, czego brakowało ostatnio Federacji Międzygwiazdnej. Czymś, co zjednoczy ludzkość w obliczu zagrożenia i ponownie skieruje ją na właściwą drogę.

- Oczywiście pod przywództwem NorCoordu. Stary Cavanagh wzruszył ramionami.

- Niektórzy z nich szczerze wierzą, że taka sytuacja byłaby korzystna dla rozwoju ludzkości. Na szczęście nie wszyscy.

- Czy ktoś wspomniał już o CIRCE?

- Jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu.

52

Arie przyjrzał się profilowi ojca. Napięta skóra na policzkach, wzrok utkwiony gdzieś w oddali. Wspomnienia.

- Nie chcesz, żeby go ponownie złożyli, prawda? Lord westchnął ciężko.

- Postrzegasz to wszystko jako epizod historii. Podobnie jak większość tamtych - odpowiedział wskazując na dół. Nawet ludzie w moim wieku, którzy byli świadkami tamtych zdarzeń, kojarzą CIRCE z liczbami i sensacyjnymi wiadomościami. A ja tam byłem. Widziałem na własne oczy skutki jego użycia.

Arie zmarszczył brwi.

- Nie wiedziałem, że byłeś na Celadonie.

- Nie, nie uczestniczyłem w samej bitwie. Ale towarzyszyłem ekipom pobitewnym, które weszły na pokład jednego z pa-woleskich statków.

- Pewnie nie wyglądało to najlepiej, co?

- Przez ten wszechogarniający bezruch wydaje mi się to najbardziej przerażającym widokiem, jaki kiedykolwiek widziałem. Musiałbyś na własne oczy zobaczyć tamte statki, Arie, żeby docenić działanie CIRCE. Pawolesi podejrzewali, że prowadzimy eksperymenty wyłącznie z bronią jonową, wyposażyli więc te pięć jednostek w potężne osłony, przygotowali wielowarstwowe pancerze metalowe, silne generatory dipolowe, nawet reflektory radiacyjne omiatające całą powierzchnię zewnętrzną statku. Ale i tak nic im to dało. Dwadzieścia pięć tysięcy Pawolesów zginęło od jednej salwy, zabitych jedną wiązką promieniowania. Wiazką, która przecięła chmurę naszych myśliwców operująca między obiema eskadrami, nie robiąc im żadnej krzywdy. To było chyba najdziwniejsze w tym wszystkim.

Arie lekko wzruszył ramionami. Trudno mu było rozczulić się nad losem przedstawicieli innej rasy, poległych jeszcze przed jego narodzinami.

Szpecially Pawolesów, którzy zaatakowali pierwsi.

- To zakończyło wojnę - zauważył.

- Tak, rzeczywiście - przyznał ojciec, lecz w jego głosie nie było entuzjazmu. -

A co rozsądniejsi z przerażenia odchodzili od zmysłów przewidując, że to będzie początek końca wszystkiego. Wiesz równie dobrze jak ja, że na dłuższą metę żadnej nowej technologii nie da się utrzymać w tajemnicy... ani broni atomowej, ani napędów gwiazdnych Chabriera, ani wielu innych

53

wynalazków. Jeśli tajemnica CIRCE wpadnie w niepowołane ręce... - Pokręcił głową. - Mieliliśmy dużo szczęścia, Arie. Skonstruowanie broni takiej jak CIRCE niemal zawsze wiedzie ku jednej z dwóch sytuacji: równowadze sił, gdy wszyscy ją posiadają, lub nadużywaniu potęgi przez jedynego dysponenta. W tym wypadku nie doszło ani do jednego, ani do drugiego.

- Być może - mruknął z powątpiewaniem Arie. Rzeczywiście CIRCE nie był używany od czasów wojny pawoleskiej, lecz nie wszyscy zgodziliby się z poglądem, że skoro nie strzelano z niego, nie miał wpływu na politykę. Unia NorCoordu nie posiadała dominującego znaczenia w Federacji Międzygwiazdnej w czasach, gdy

pojawiła się ta broń. Teraz jednak sprawy wyglądały już inaczej. Zgromadzeni tu delegaci z pewnością dobrze wiedzieli o korzyściach, jakie przyniosła owa straszna broń.

- Kiedy więc według ciebie ktoś wreszcie zaproponuje, żeby NorCoord zmontował CIRCE i przygotował do użycia? Lord ruchem głowy wskazał na podium.

- Sądzę, że już lada chwila.

Miejsce Maxwella zajął Yycroman, a jego drapieżną krokodylą twarz przysłaniał częściowo głęboki, lśniący, tradycyjny hełm.

Arie zmarszczył czoło. Trudno było ocenić budowę i wzrost postaci osłoniętej płaszczem i hełmem, lecz...

- Czy to osobnik męski?

- Oczywiście - przyznał ponuro stary Cavanagh. - Specjalny wysłannik Hierarchów, przysłany tu w jakiejś sprawie związanej z zakazaną strefą. Zastąpił ambasadora, gdy tylko dowiedzieli się o bitwie koło Dorcas.

- Wspaniale - mruknął syn.

Yycromański samiec, popędliwy i wojowniczy. Chyba rzeczywiście ojciec miał rację.

[Powień krótko] - odezwał się Yycroman, a gdy mówił w swym języku, jego wydłużone szczęki kłapały jakby rozszarpywał jakieś zwierzę. - [Słyszałem tu dzisiaj długie przemowy o przygotowaniach i sytuacji politycznej. Takie rzeczy pozostawmy samicom. Nie mamy przed sobą banalnego zagrożenia ze strony jakichś piratów. Chodzi o wroga o nieznanych możliwościach. Niewykorzystanie przez was wszelkich dostępnych środków byłoby postępkem głupca.]

54

- Typowy ycromański takt - skomentował Arie.

- Cii.

[Stawiam sprawę tak jednoznacznie dlatego, że niebezpieczeństwo nie zagraża wyłącznie wam. Zakaz posiadania jednostek wojennych wprowadzony przez Obrońców Pokoju czyni nasze światy i ich mieszkańców zupełnie bezbronnymi wobec ataku z zewnątrz. A takie ataki nastąpią. Porozmawiajcie z byle Mrachem i posłuchajcie opowieści o tych, którzy kiedyś odwiedzali ich uciekając przed wrogiem, którego nazywali Mirnache-em-hyeea.}

Urwał na moment, a jego hełm odbijał refleksy światła, gdy rozglądał się po twarzach zgromadzonych.

[Mówiliście tu dzisiaj o wielu sprawach. Ale nikt nie wspomniał o CIRCE. A należałoby to zrobić. Jeżeli to rzeczywiście Mirnacheem-hyeea, szybko ruszą, by zawojować wasze terytoria. Gdy zaś zdobędą, lub choć odetną was od elementów CIRCE, utracicie możliwość wykorzystania go w walce. Pomyślcie o tym.]

Zszedł z podium i dołączył do grupy ambasadorów innych ras.

- A więc sprawa CIRCE została oficjalnie włączona od dyskusji - skomentował Arie.

- Niestety ten Yycroman ma częściowo rację - rzekł lord. - Rozmieszczenie elementów w CIRCE różnych miejscach Federacji Międzygwiazdnej może co prawda zabezpieczyć go przed skopiowaniem, lecz jednocześnie spowoduje, że stanie się on bezużyteczny, jeśli stracimy choćby jedną część w wyniku nagłej inwazji najeźdźców.

- Nie rozumiem tego. Oryginalne plany i schematy montażowe muszą przecież gdzieś być. Dobrze zabezpieczone. Powinniśmy umieć odtworzyć na ich podstawie całe urządzenie, nie mówiąc już o dorobieniu jakiegoś elementu.

- Można by tak sądzić - zgodził się w zamyśleniu stary Cavanagh. - Ale tylko

przy założeniu, że CIRCE został wynaleziony i skonstruowany tak jak wszystkie inne bronie.

Arie spojrzał na niego zdziwiony.

- Jak to?

- Myślałem o tym dużo już od samego początku. Nie zapominaj, że pojawił się właściwie znikąd... Nie mówiło się nic o jego istnieniu, zanim został użyty. I przez trzydzieści siedem

55

lat nikt nie skonstruował drugiego sprawnego egzemplarza. Albo NorCoordowi sprzyja ogromne szczęście i znalazł metodę na naprawdę skuteczne zabezpieczenie broni... albo też jest w niej coś, czego nie daje się tak łatwo powielić.

Arie zacisnął zęby. Pheylan jeszcze w szkole miał fioła na punkcie CIRCE i czytał o tym wynalazku wszystko, co wpadło mu w ręce. Skarżył się jednak, że dostępnych jest zaskakująco mało informacji.

- Co więc sugerujesz? - zapytał. - Czyżby był to wytwór innej rasy, odszukany gdzieś i poznany tylko na tyle, by umieć go wykorzystać?

Ojciec uśmiechnął się blade.

- Brzmi to jak fabuła kiepskiego kryminału. Nie, według mnie to nasze osiągnięcie. Przecież podczas badań zdarzają się nieprzewidziane wypadki i uważam za bardzo prawdopodobne, że jakiś element CIRCE powstał na skutek eksperymentu, który przyniósł wyniki zupełnie inne niż się tego spodziewano. Zapewne to także jest powodem zdemontowania go. Rozmieszczając elementy na wielu planetach znacznie utrudnia się potencjalnym złodziejom identyfikację i zlokalizowanie najistotniejszej części.

- Ale przecież przez tyle czasu na pewno przeprowadzono szczegółowe badania - zaprotestował Arie. - Z pewnością teraz wiedzą już dokładnie, czym dysponują.

- Być może. Chociaż mogę powiedzieć z doświadczenia, że komponenty powstałe w wyniku pomyłki mogą być czasami niemożliwe do odtworzenia. Fakt jest jednak faktem, że jeśli którejkolwiek z części CIRCE nie da się powielić, znajdziemy się w nie lada kłopotach, jeśli zostanie ona zniszczona lub wpadnie w ręce wroga.

Młody Cavanagh skrzywił się z powątpiewaniem.

- Dowództwo sił Obrońców Pokoju zapewne już o tym pomyślało.

- Jeśli nie, nasz yycromański przyjaciel przypomniał im o tym.

Arie przytaknął. W sali obrad do mównicy zbliżał się właśnie Dja. Widocznie parlamentarzyści zdecydowali się dopuścić do głosu wszystkich obserwatorów reprezentujących inne rasy.

- Zapamiętałeś, jak nazywają tych obcych z legend Mra-chów?

56

- Mirnacheem-hyeea. To archaiczne określenie, które można przetłumaczyć jako „zdobywcy bez powodu”. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Zdobywcy bez powodu.

- Brzmi złowieszczo.

- Rzeczywiście. Prawdziwą ironię stanowi fakt, o którym nie wie zapewne większość delegatów, że tak właśnie Mrachowie na początku nazywali ludzi.

Młody Cavanagh kątem oka dostrzegł jakiś ruch w przejściu obok. Podniósł wzrok...

- Arie - szepnęła do niego Melinda, ściskając na powitanie jego ramię, po czym usiadła po drugiej stronie, obok ojca.

- Cześć, tato - powiedziała odwracając się w fotelu i obejmując go czule. - Jak

się masz?

- W porządku - odpowiedział odwzajemniając uścisk. -Dziękuję, że przyjechałaś.

- Przepraszam, że to trwało tak długo - wyszeptła.

Podniosła wzrok na brata, unosząc brwi w niemym pytaniu. Wzruszył ramionami i lekko pokręcił głową. Dopiero czas pokaże, jak stary zniesie tę bolesną stratę.

- Parlan po drodze opowiedział mi wszystko o tej bitwie -ciągnęła Melinda prostując się w fotelu, lecz wciąż trzymając ojca za rękę. - Wiedzą już, kto to zrobił?

- Nie. A ty jak się trzymasz? - zapytał Arie.

- Dobrze - zapewniła. - Naprawdę. Nie martwcie się o mnie. A ty...

- Ja też - odpowiedział. We własnym odczuciu jego słowa nie zabrzmiały tak przekonywająco jak siostry. Ale przecież zawsze umiała lepiej kłamać. - Jak poszła operacja?

- Bez żadnych problemów - odrzekła wyraźnie dając do zrozumienia, że ten temat teraz jej nie interesuje. - Czy coś nowego się zdarzyło, odkąd opuściłam Celadon?

- Nic, o czym byśmy wiedzieli. Tylko czeka gadanina w Parlamencie. Mam nadzieję, że dowództwo sił Obrońców Pokoju lepiej wykorzystuje czas.

- Chyba tak - powiedziała Melinda. - Jeszcze przed dotarciem twojej wiadomości zabrali doktora Haidara i kilku jego współpracowników do Edo. Jest jednym z najlepszych chirurgów-diagnostyków w Federacji Międzygwiazdnej.

- Bez wątplenia ma pomóc w przeprowadzaniu autopsji -

57

stwierdził lord kręcąc głową i wpatrując się gdzieś w dal. -Będą mieli mnóstwo roboty. Telefon w wewnętrznej kieszeni Arica zadrżał delikatnie.

- Ktoś do mnie dzwoni - wyjaśnił wstając. - Zaraz wrócę. Musiał minąć komandosów przy drzwiach, by wydostać się poza blokadę komunikacyjną sali obrad Parlamentu.

- Halo.

- Tu Quinn - rozległ się znajomy głos, a na ekranie pojawiła twarz szefa ochrony. - Uznałem, że powinien pan wiedzieć, że dowództwo sił Obrońców Pokoju właśnie zaczęło powiadamianie rodzin poległych pod Dorcas. To oznacza, że wkrótce powinni zacząć wydawanie ciał. Chce pan, żebym się z nimi skontaktował i zajął odpowiednimi przygotowaniami?

Arie skrzywił się. Bardzo przykra powinność, lecz należała do rodziny, a nie do Quinna.

- Dziękuję, sam już o to zadbam. Z kim mam się skontaktować?

- Z wydziałem pogrzebowym. Nie znam jednak nazwiska kierującego nim oficera.

- Znajdę go. Jesteś na statku?

- Tak jest. Kapitan Teva mówi, że możemy lecieć do Avon, kiedy tylko pański ojciec zechce.

- Dobrze. Powiadomimy was zawczasu.

- Tak jest.

Arie rozłączył się, wywołał książkę telefoniczną i wystukał właściwy numer.

- Wydział pogrzebowy sił Obrońców Pokoju - zgłosił się młodo wyglądający sierżant. - Lewis.

- Nazywam się Arie Cavanagah. Mój brat Pheylan był dowódcą „Kinshasy”. Chciałbym jak najszybciej odebrać jego ciało.

- Chwileczkę, proszę pana.

Ekran zgasł. Arie, wsparty o ścianę, rozglądał się po łukowatym holu biegnącym na tyłach galerii dla gości. Było tu niemal pusto, bowiem już wcześniej

wyproszono tłumy turystów, a dziennikarze zgromadzili się piętro niżej, czekając na wyjście delegatów z sali obrad.

- Pan Cavanagh? - rozległ się nowy głos. Z powrotem spojrzął na telefon. Jakiś starszy wiekiem oficer zajął na ekranie miejsce sierżanta Lewisa.

58

- Tak?

- Jestem kapitan Rawlins - przedstawił się. - Wszystkie ciała zostały już zwrócone i są transportowane do rodzinnych stanów. Na naszej liście nie figuruje jednak nazwisko komandora Cavanagha.

Arie zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- Szczerze mówiąc ja również, proszę pana. Nastąpiły ogromne deformacje, więc kilkanaście ciał nie zostało jeszcze w stu procentach zidentyfikowanych. Ale wygląda na to, że komandor Cavanagh jest jedynym uznanym za zaginionego.

- Może w takim razie przeoczyli jego ciało na polu bitwy?

- To raczej nieprawdopodobne, proszę pana - stwierdził Rawlins. - Grupy pobitewne zebrały wszystko co było godne uwagi.

Arie zagryzł wargę. Albo ktoś spartaczył robotę, albo też ukrywano coś przed nim. I jedno, i drugie nie podobało mu się.

- Z kim mam się więc skontaktować?

- Mogę połączyć pana z wydziałem spraw cywilnych - zaproponował kapitan. - Wątpię jednak, żeby byli w stanie powiedzieć coś więcej niż my.

- A więc proszę się nie kłopotać. Dziękuję za pomoc.

Wyłączył się, z trudem powstrzymując chęć przeklinania na cały głos. Śmierć brata to widać jeszcze za mało. Teraz okazało się, że nie są nawet w stanie należycie go pożegnać.

Nie miał zamiaru siedzieć z założonymi rękami i czekać. Ponownie sięgnął po telefon i połączył się z Quinnem.

- Tak, proszę pana?

- Quinn, jak się nazywa najwyższy rangą oficer, którego ojciec może znać osobiście? - zapytał.

- Cóż, zna generała Garcję Alvareza. Sądzę, że miał także do czynienia z admirałem Rudzińskim, który reprezentował Flotę w Parlamencie w czasie, gdy on tam urzędował.

Rudziński był teraz naczelnym dowódcą Floty, członkiem Triady w kierownictwie sił Obrońców Pokoju. Takie kontakty mogły się przydać.

- Gdzie w tej chwili może być Rudziński?

- Słyszałem, że był w zespole analitycznym na Edo. Mogę sprawdzić, czy jest tam jeszcze.

59

- Zrób to. I niech Teva przygotowuje statek do lotu.

- Tak jest. Zapewne lecimy na Edo.

- Nie mylisz się - odpowiedział ponuro Arie. Na Edo, żeby odzyskać ciało Pheylana. Albo by ustalić, dlaczego jest to niemożliwe.

Pheylan przyrzekł sobie zrobić wszystko, by uciec ze swojej celi. Przez pierwsze cztery dni wyglądało na to, że rzeczywiście ją opuści, lecz nogami do przodu.

Nigdy bowiem chyba nie był tak poważnie chory. Gwałtowne skurcze żołądka bez wymiotów, zaburzenia równowagi, gorączka przychodząca falami i ośpienie, które nie pozwalało myśleć, mimo iż właściwie nie odczuwał bólu. Była to zapewne reakcja organizmu na lokalne bakterie lub wirusy i poważnie martwiłby się tym,

gdyby pozostało mu choć odrobinę siły ducha.

Większą część tego czasu przeleżał w koi, albo otulony szczelnie, drżąc z zimna lub zupełnie odkryty, z rozpiętym kombinezonem, na próżno starając się ochłodzić. Dużo spał, lecz dręczyły go koszmary przeplatane chwilami świadomości i majaczeniem w gorączce. Od czasu do czasu jak przez mgłę widział obcych stojących wokół, dotykających go jakimiś białymi, tępo zakończonymi instrumentami. Ale zdarzenia te pozostały w jego pamięci jako niespójne strzępy obrazów. A może mu się tylko śniły.

Piątego dnia obudziwszy się stwierdził, że jest zdrowy.

Leżał przez kilka minut bez ruchu, kontrolując czy umysł i ciało działają prawidłowo. Jednak wszystkie dolegliwości rzeczywiście ustąpiły i po raz pierwszy od znalezienia się tu uświadomił sobie, że jest przeraźliwie głodny.

Usiadł ostrożnie, świadom, że cztery dni odwodnienia osłabiły

61

go bardzo. Na szafce przy łóżku stał wysoki cylinder z jakimś bezbarwnym płynem i dwie racje żywnościowe z kapsuły ewakuacyjnej. Płyn okazał się wodą o nieco tylko dziwnym posmaku i wraz z jedzeniem postawił go na nogi.

Siedząc na brzegu łóżka i kończąc posiłek rozglądał się. W polu widzenia zauważył trzech obcych. Dwaj byli zajęci przy jednym z paneli kontrolnych, a trzeci leżał na czymś, co przypominało konia gimnastycznego stojącego pośród innych mebli. Żaden z nich nie patrzył na niego, lecz nie chciało mu się wierzyć, że nie jest obserwowany.

Ich obecność nie stanowiła jednak problemu, ponieważ Phey-lan podczas piętnastu lat służby we Flocie zdążył już się przyzwyczaić do braku prywatności.

Skończywszy śniadanie zdjął nieprzyjemnie pachnący kombinezon i wszedł pod prysznic.

Brakowało standardowej kostki mydła, ale po chwili oględzin stwierdził, że wyrzucenie ściany przy nasadzie prysznica było wykonane z substancji podobnej do mydła. Umył się starannie i dopiero gdy zakręcił wodę, zorientował się, że nie ma ręcznika, żeby się osuszyć. Ale nie przejął się tym zbytnio. Już sama możliwość kąpieli spowodowała, że poczuł się ponownie jak cywilizowany człowiek. Spacer po celi nago w oczekiwaniu aż skóra wyschnie nie był problemem.

Otrzeptał z ciała ściekającą wodę i wyszedł z kabiny. Mile zaskoczony odkrył, że stary kombinezon zniknął, zastąpiony nowym, ułożonym równo na koi.

- Niezła obsługa - mruknął.

Podszedł do nowego stroju, rozglądając się jednocześnie po pomieszczeniu...

I nagle poczuł że poziom adrenaliny podnosi się gwałtownie w jego krwi. Tam, z lewej, wyraźnie widoczna była pionowa szpara w ścianie. Przerwa odsłaniająca mlecznobiały mechanizm zamka.

Drzwi do celi były otwarte.

Nie zatrzymał się, tylko raz jeszcze rozejrzał uważnie, starając się zmusić umysł do zwiększonego wysiłku. Czy więźniacy go mogli zapomnieć zamknąć drzwi, kiedy przynieśli świeży kombinezon? Nie, z pewnością nie byliby tak nieostrożni. To musiał być jakiś sprawdzian. Sprawdzano co robi, gdy stworzą mu możliwość ucieczki.

Usiadł na koi, sięgnął po kombinezon i udawał, że mu się

62

uważnie przygląda. Wy tłumaczenie to było tak oczywiste, że poczuł się głęboko urażony. Oto dopiero co wyzdrowiał po trwającej kilka dni chorobie, uwięziony w nieznanym świecie, nie dysponując niczym poza ubraniem, które oni mu

dostarczyli. I spodziewali się, że skorzysta z pierwszej lepszej okazji do ucieczki?

A może oczekiwali zupełnie innej reakcji? Na przykład szarży i próby zabicia obcych za ścianą.

Nagle zauważył, że w miejscu zetknięcia z kombinezonem dłoń jest sucha: materiał zdawał się idealnie pochłaniać wodę. Zapewne dlatego więc nie przygotowali ręcznika. Zaczaj się ubierać, jednocześnie kątem oka obserwując opiekunów. Wciąż byli zajęci własnymi sprawami, zdając się nie zwracać uwagi na uchylone drzwi. W porządku, pomyślał skończywszy wkładać kombinezon. To musiał być test, a więc nie korzystając z możliwości wydostania się podpowie im, iż jest na tyle sprytny, by być podejrzliwy. Ale jeśli dopisze mu szczęście, może zdoła wprowadzić ich w błąd. Wcisnąwszy pusty pojemnik na wodę pod kombinezon w myślach zacisnął kciuki i zbliżył się do drzwi.

Już wcześniej widział, jak z nich korzystają. Otwierały się same za dotknięciem przycisku na mlecznobiałej płycie znajdującej się w ścianie. Ręczne ich rozwarcie nie było łatwe, lecz Pheylan postarał się, żeby wyglądało to na wysiłek zmuszający go do użycia całej siły. Przy każdym wariancie ucieczki będzie musiał posłużyć się siłą własnych mięśni, więc jeśli obcy nie będą znać jego faktycznych możliwości fizycznych, to jego szansę rosna.

Zapierał się więc całą mocą i zaciskał zęby, by ruszyć drzwi choćby o centymetr, mając jednocześnie nadzieję, że obserwujący go nie zauważą, iż w rzeczywistości pcha raczej ścianę. Gdy uchyliły się wreszcie nieco, zmienił chwyt, jedną ręką popychając drzwi, a drugą zapierając się o framugę. Krzywił twarz z wysiłku, izometrycznie napinając mięśnie. Wreszcie szpara była już na tyle szeroka, że mógł prześlizgnąć się przez nią.

Teraz wszyscy trzech obcy obserwowali go uważnie, ale żaden z nich nie sięgnął po ukrytą broń lub nie usiłował opuścić pomieszczenia. A więc wyznaczono im rolę kozłów ofiarnych, mających posłużyć za cel jego ataku.

Ataku, którego Pheylan nie miał nawet zamiaru przeprowa-

63

dzid. Podczas otwierania drzwi wykazał już fizyczną słabość, a teraz przyszedł czas na zademonstrowanie wrodzonej łagodności i niechęci do przemocy. Zbliżył się do najbliższego obcego i wyjąwszy pojemnik wyciągał go w jego stronę.

- Czy mógłbym dostać jeszcze odrobinę picia? - zapytał.

Zaprowadzili go z powrotem do celi, a jeden napełnił pojemnik wodą. Tym razem drzwi zostały już zamknięte jak należy.

Widocznie test dobiegł końca. Pheylan zastanawiał się czy wypadł po jego myśli.

Wypił połowę wody, po czym położył się na boku. Głowę oparł na poduszce, a rękę o chłodną powierzchnię ściany i przyglądał się pracującym obcym.

A przynajmniej miał nadzieję, że tak to właśnie wygląda, bo w rzeczywistości najbardziej interesowała go sama ściana.

Widząc ją po raz pierwszy pomyślał, że jest wykonana ze szkła. Później, jeszcze przed chorobą, stwierdził jednak, że to raczej plastik. Ale teraz, dotykając powierzchni palcami, znowu skłonił się ku pierwszej wersji. Wyjątkowo twarde i grube na jakieś pięć centymetrów, ale jednak szkło.

Opadł na plecy, zmuszając się do myślenia. Szkło było substancją niekryształiczną i zazwyczaj, lecz nie zawsze, produkowaną na bazie krzemu. Generalnie odporne na działanie kwasów, lecz pamiętał, że kilka z nich je trawi. Gdzieś z przeszłości nadpłynęło mgliste wspomnienie: wraz z Arikiem i Melindą grał w piłkę i trafił

nią prosto w okno studia mamy. Samo szkło wytrzymało, ale siła uderzenia wyrwała je z framugi i szyba wylądowała na biurku przewracając herbatę i robiąc ogromny bałagan.

Kątem oka zarejestrował jakiś ruch. Odwrócił głowę, ale nic nie zauważył. Tylko ściana, a za nią migające ekrany.

- Cavv'ana.

Ziemianin uniósł się i spojrzał w przeciwnym kierunku. Tuż obok celi stało trzech obcych. Sądząc z kroju kombinezonów byli to ci sami, którzy przywitani go przed statkiem.

- Witam - powiedział opuszczając nogi i siadając na skraju koi. - Jak się dzisiaj macie?

Obcy w środku przyglądał mu się przez chwilę, poruszając widocznym końcem języka.

- Ja dobrze - rzekł głębokim basem. - Ty dobrze?

64

Przez chwilę Pheylan siedział bez ruchu, aż wreszcie dotarło do niego. Obcy przemówił po angielsku.

- Czuję się już znacznie lepiej - powiedział cicho. - Byłem chory przez kilka dni.

- Kto kilka dni?

Ziemianin zmarszczył brwi. Wreszcie zrozumiał.

- Nie „Jęto”, tylko „co”. Co to jest kilka, tak? W tym wypadku dokładnie cztery.

- Uniósł cztery palce. - Cztery dni. Obcy długo analizował jego słowa.

- Ja przynieść twój pojemnik - oświadczył. Językiem wskazał towarzysza po lewej i zasobnik z kapsuły w jego rękach. - Ty chcesz?

- Tak, chcę - odpowiedział Pheylan wstając. - Dziękuję.

Stwór z zasobnikiem podszedł do samej ściany i pochylił się tuż przy drzwiach.

Nad podłogą znajdowały się tam trzy niewielkie, białe kwadraty. Obcy wykonał jakiś ruch przy położonym najwyżej i w ścianie powstał otwór. Wprawdzie zasobnik okazał się od niego nieco większy, ale wkładając trochę wysiłku dało się go precyzyjnie.

- Dziękuję - powtórzył dowódca „Kinshasy”, gdy klapka została zamknięta.

- Ty przeżyć - powiedział stwór prowadzący z nim rozmowę, chyba Sw-seh'c, jeśli dobrze pamiętał jego imię i jeżeli obcy stali w takiej samej kolejności jak poprzednio. - Pojemnik potrzebny?

- Przyda się - odparł starając się ukryć gorycz pobrzmiewającą w głosie. Dziwna była ta nagła troska ze strony tych, którzy wcześniej z zimną krwią wymordowali jego załogę. - Ale jeśli chcecie, żebym przeżył, potrzeba mi więcej jedzenia niż tu mam.

Przez minutę obcy rozmawiali cicho między sobą.

- Jedzenie przygotować - powiedział wreszcie SvV-selic.

- Świetnie. A więc kiedy zaczną się przesłuchania? Znowu zaczęli się naradzać.

- Nie rozumieć.

- Nie ma zmartwienia, w końcu się domyślicie - zapewnił ironicznie Pheylan. - W jaki sposób nauczyliście się mówić po angielsku?

- My później - oświadczył rozmówca i odwrócił się, a pozostali dwaj poszli w jego ślady...

5 — Duma zdobywców

65

- Czekajcie chwilę - zawołał za nimi Ziemianin podrywając się na nogi. Przez

moment dostrzegł coś... SvV-selic znów stanął przodem do niego.

- Kto?

- Nie „kto”, tylko „co” - poprawił Pheylan ponownie, podchodząc tuż do ściany i myśląc szybko. Udało mu się co prawda skłonić ich, by stanęli tak jak chciał, ale teraz musiał na poczekaniu wymyślić co powiedzieć.

Za plecami obcych otworzyły się drzwi zewnętrzne i do pomieszczenia wpadła smuga światła. A wraz z nią nagły pomysł.

- Potrzeba mi czegoś więcej niż tylko jedzenia. Mojemu ciału do utrzymania zdrowia codziennie albo co dwa dni potrzebne jest światło słoneczne.

Obcy znów długo mu się przyglądali.

- Nie rozumieć.

- Przestrzeń - rzekł Ziemianin rozkładając szeroko ręce, a potem wskazując na drzwi, teraz już znowu zamknięte. - Moja skóra wytwarza substancje, które są mi niezbędne do życia. - Dotknął palcem wierzchu dłoni. - Skóra. Substancje.

Witamina D, melanina... wiele innych.

- Nie rozumieć - powtórzył SvV-selic. - My mówić później.

Odwrócił się plecami. Tym razem Pheylan wiedział już dokładnie, czemu trzeba się przyjrzeć... i z tej odległości zobaczył wyraźnie to, co go tak zaintrygowało.

Zbliżyli się do drzwi i wyszli ponownie, wpuszczając do środka nieco promieni słonecznych.

- Jasne, że nie rozumiecie - mruknął Pheylan podchodząc do łóżka z zasobnikiem w dłoni.

A więc to tak. Ta łamana angielszczyzna była tylko sztuczką, która miała utwierdzić go w przekonaniu, jak mało są w stanie zrozumieć. Ale nie z nim takie numery. Wyraźnie widział blizny, znajdujące się pod nawisem tych ich wydłużonych czaszek i wiedział, co one oznaczają.

SvV-selic i jego przyjaciele byli okablowani.

Usiadł na koi, otworzył zasobnik i wysypał jego zawartość na koc. Okablowani.

Zapewne mieli zainstalowany bezprzewodowy przekaźnik, bo nie było widać gniazda wtyczki takiego jak u Miedzianogłowych, chyba że znajdowało się niżej, pod kombinezonem. Ale byli połączeni... i teraz zastanawiając się nad tym doszedł do wniosku, że było to oczywiste. Wszystko co słyszeli

66

lub widzieli - jego słowa, intonacja, gesty - wędrowało prosto do komputera umieszczonego gdzieś na terenie ośrodka. Komputera, który przesyłał im także to, co mieli powiedzieć. Jasne i nie pozostawiające żadnych wątpliwości, a jedyną nie wyjaśnioną sprawą było gdzie zdobyli bazę językową. Może w gorączce mówił coś na głos.

W zasobniku nie zostawili mu wiele. Ułożył w równy stosik znajdujące się tam racje żywnościowe, obok suplementy witaminowe i tuby z sokami. Apteczka była niemal pełna, choć gdy przyjrzał się jej zawartości, stwierdził, iż ze wszystkich specyfików zostały pobrane próbki. Zestaw narzędzi, dodatkowy magazynek ze strzałkami, linka i zapasowe ubranie zniknęły. Otworzył pierwszą szufladę pod łóżkiem i ułożył tam jedzenie oraz soki. Witaminy i apteczka trafiły do drugiej. Złożywszy pustą torbę wysunął trzecią...

I zamarł nagle, gdy brakujący element układanki trafił na swoje miejsce.

Kabina komandora Dyamiego zachowała się w tak dobrym stanie, że obcy byli w stanie ją skopiować. Włącznie z szufladami.

A w jednej z nich Dyami przechowywał swój osobisty komputer badawczy.

Pheylan powoli włożył torbę do szuflady i zamknął ją. A więc to w taki sposób

obcy uzyskali bazę językową. Dyami należał do tych tajemniczych paranoików, którzy nie chcieli, żeby ich dane znajdowały się w systemie komputerowym statku, do którego teoretycznie można by dotrzeć po złamaniu kilku poziomów zabezpieczeń. Posiadanie własnego komputera było niewątpliwie naruszeniem regulaminu, lecz przełożeni mimo iż o tym wiedzieli, nie mieli zamiaru interweniować. Mogli co najwyżej spekulować, jakie to sekrety bezpośrednio związane z nimi znajdują się w jego pamięci.

Napił się nieco wody i wyciągnął na łóżku. Zdobyli bazę językową, to niedobrze, lecz co jeszcze mogło wpaść w ich ręce? Może dokładna mapa Federacji Międzygwiazdnej wraz z danymi nawigacyjnymi? Informacje dotyczące sił Obrońców Pokoju i ich rozmieszczenia?

A może były tam nawet wzmianki o CIRCE?

Nagle Pheylan odwrócił się. Znów to samo: jakby coś zauważył kątem oka, lecz gdy odwrócił wzrok, niczego tam nie było.

67

Przynajmniej teraz.

Powoli zlustrował wszystko, co znajdowało się w tej części pomieszczenia, starając się niczego nie pominąć. Ale doszedł do wniosku, że nic tu nie mogło samoistnie się poruszyć. To musiało być coś innego.

Może kolejny test, jak te uchylone drzwi.

Odwrócił się ponownie do ściany. W porządku, niech prowadzą te swoje gierki, jeśli mają na nie ochotę. Wcześniej czy później znajdzie sposób, by wymknąć się spod kontroli i uciec stąd.

Wsparłszy dłoń o ścianę szorował po niej paznokciem, starając się odgrzebać w pamięci wszystko, co wiedział o szkle.

Edo - ostatnie wspomnienie niegdyś dumnej i potężnej Hegemonii Japońskiej. Była jedyną spośród piętnastu kolonii wciąż politycznie związaną z protektorem.

Pozostałe kolonie Ziemi stopniowo zrywały związki z zakładającymi je narodami, łącząc się z innymi obszarami tej samej planety lub wstępując do Federacji Międzygwiazdnej jako niezależne państwa. Rosnąca siła NorCoordu sprawiła, że wiele dotychczasowych kolonii związało się właśnie z nim, bowiem unia z Hegemonią nie opłacała się. Pozostało przy niej tylko Edo.

Usytuowana tam baza Obrońców Pokoju stanowiła wyraz politycznego kompromisu, który wciąż spotykał się z krytycznymi ocenami. Położone sześćdziesiąt lat światłowych od Ziemi, na granicy sektorów Liry i Pegaza, Edo znajdowało się znacznie bliżej pokojowo nastawionej rasy Avuiri niż światów wojowniczych Pawolesów czy Ycromanów. W tej sytuacji baza uważana była przez oponentów Obrońców Pokoju za sztandarowy przykład biurokratycznego marnotrawstwa. Twierdzili oni, że nie ma potrzeby utrzymywać ogromnie rozbudowanych struktur wojskowych w pobliżu mało istotnych, skutecznie skolonizowanych światów takich jak Massif, Bergen, Kalevala i Dorcas.

Teraz te głosy powinny jednak przycichnąć przynajmniej na pewien czas.

Poczekalnia bazy robiła wrażenie i zdawała się zaprojektowana specjalnie do wielogodzinnego przebywania tu. Cavanagh pomyślał, że stworzono ją jako rodzaj testu na cierpliwość.

69

- Przykro mi, lordzie - powiedział już chyba po raz dziesiąty komandos pilnujący wewnętrznych drzwi. - Admirał Rudzinski wciąż uczestniczy w konferencji. Jestem pewien, że skontaktuje się ze mną, kiedy tylko będzie mógł pana przyjąć.

- Na pewno — rzekł Cavanagh starając się opanować rozdrażnienie. - Czy może pan

przynajmniej zdobyć potwierdzenie, że został poinformowany o moim przybyciu?

- Jestem pewien, że wie o tym, proszę pana.

- Czy może pan to potwierdzić?

- Jestem przekonany, że to zbyt techniczne.

- Tak - mruknął lord.

Odwrócił się i powoli podszedł do foteli, gdzie czekała pozostała czwórka.

- Coś się dzieje? - zapytał Arie.

- Tego tu mogliby zastąpić magnetofonem. - Stary Cavanagh z ciężkim westchnieniem usiadł między dziećmi. Między pozostałymi dziećmi. - Rudzinski jest wciąż na konferencji.

- Myślałem, że jesteśmy umówieni.

- Oczywiście. A wyznaczony termin upłynął już niemal godzinę temu. Arie prychnął pod nosem.

- Może po prostu się ukrywa. Cavanagh spojrział na komandosa.

- Zaczyna mi na to wyglądać.

Siedzący obok Arica Kolchin poruszył się w fotelu.

- Może nie powinniśmy czekać na oficjalne zaproszenie -podsunął}.

Lord spojrział na niego przenikliwie. Młody ochroniarz uważnie badał wzrokiem wartownika.

- Cokolwiek chodzi ci po głowie, nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Ale zwróci na nas uwagę - zauważył Kolchin.

- Raczej spowoduje, że wyrzucą nas z Edo. A ty wylądujesz w szpitalu. Ochroniarz skrzywił się drwiąco.

- Mało prawdopodobne.

- Pozwólcie mi czegoś spróbować - odezwała się Melinda. Sięgnęła po telefon i zaczęła przeglądać wykaz numerów. -Quinn, znasz plan tego budynku?

- Trochę.

70

- Dobrze. - Znalazła wreszcie odpowiedni numer i wybrała go. - Zobaczymy, co to da.

Ekran rozjaśnił się. Cavanagh nie widział wyraźnie obrazu, lecz rozmową jego córki był bez wątpienia mężczyzna w średnim wieku.

- Witam, doktorze Haidar. Mówi Melinda Cavanagh. W zeszłym tygodniu razem byliśmy na Caledonie... tak, w zespole Billingsgate'a... Och, wszystko poszło dobrze... Nie, tak się składa, że jestem tutaj, w budynku. Mój ojciec ma tu umówione spotkanie z osobą, która obecnie jest na konferencji i musimy czekać.

Przeglądałam właśnie książkę telefoniczną, znalazłam pański numer i pomyślałam że zatelefonuję... Ależ tak, to byłoby wspaniale... Chyba tak. Jeszcze sprawdzę.

Uniosła wzrok.

- Wszyscy mamy przepustki trzeciej klasy, prawda? - zapytała.

- Tak - potwierdził ojciec, zastanawiając się, co planuje Melinda. Ochrona z pewnością nie nabierze się na tak prymitywną sztuczkę.

- Oczywiście, nie ma problemu - odezwała się ponownie do słuchawki. - Świetnie. Czekamy. Przerwała połączenie.

- Będzie tu za kilka minut. Obiecał oprowadzić nas po sekcji medycznej.

- To wspaniale - stwierdził lord marszcząc brwi. - Ale chyba wiesz, że przez cały czas będziemy mieli niezbyt sympatyczne towarzystwo.

- Nie przyjechaliśmy tu na przyjacielskie spotkanie z admirałem Rudzinskim -

przypomniała mu. - Mamy zdobyć informacje o Pheylanie. - Spojrzała na Quinna. -

A każde laboratorium medyczne Obrońców Pokoju, jakie widziałam, ma co najmniej

jeden terminal z przyłączem mózgowym.

Stary Cavanagh także utkwiał wzrok w szefie ochrony.

- Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy pomysł, Melindo.

- Nie, proszę pana, ona ma rację - zaprotestował Quinn pewnym głosem. - To najlepsza szansa, jaką możemy mieć.

- Poradzisz sobie z tym?

- Nie ma sprawy.

- W porządku, jeśli jesteś tego pewien - przeciął dyskusję lord wstając. -

Przygotujmy się więc.

71

Ruszył ku strażnikowi i właśnie w tym momencie drzwi otworzyły się, a w nich, w towarzystwie dwóch członków obstawy, stanął admirał Rudzinski.

- To nie będzie konieczne, lordzie Cavanagh - oświadczył cicho. - Wszystkich państwa proszę za mną.

Admirał prowadził ich labiryntem korytarzy, a dwaj komandos z obstawy szli tuż za nimi. Arie, idąc obok Kolchina, od czasu do czasu spoglądał na niego kątem oka. Ochroniarz poruszał się sprężysto jakby gotów do skoku i gdyby Rudzinski miał jakieś niecne zamiary, zapewne zareagowałby natychmiast. Arie miał nadzieję, że zdąży rzucić się na podłogę, jeśli to nastąpi.

Do drzwi opatrzonych nazwiskiem admirała i numerem trzy dotarli jednak bez przeszkód.

- Wy poczekacie tutaj - polecił Rudzinski komandosom. - Państwa zaś zapraszam do środka.

Była to salka konferencyjna, niewielka, lecz robiąca wrażenie nawet na Aricu, który przywykł do bywania w tego typu pomieszczeniach. Jedną ze ścian zajmowała holograficzna mapa Federacji Międzygwiazdowej i światów innych ras, a naprzeciw niej znajdowała się zbliżonych rozmiarów mapa taktyczna. Na środku pomieszczenia stał duży, stylizowany stół z ekranem demonstracyjnym, otoczony dwunastoma komfortowymi fotelami.

Jeden z nich zajmował parlamentarzysta Jacy VanDiver. Miał taką minę, jakby przed chwilą wypił szklankę soku cytrynowego.

Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, lecz Arie zdążył go ubiec.

- No proszę - odezwał się swobodnie. - Widzę, że spędza pan urlop na Edo. Teraz przynajmniej wiemy, czemu musieliśmy tak długo czekać.

- Powtarzam panu jeszcze raz, admirale - powiedział VanDi-ver, jakby nie dotarli do niego słowa młodego Cavanagha. - To nie jest konieczne, a nawet moim zdaniem niewskazane.

- Wolałby pan, żeby dowiedzieli się z innych źródeł? - odparował Rudzinski.

- Oni nie mają prawa...

72

- Ależ mają, panie delegacie - uciął admirał. - Są najbliższą rodziną komandora Cavanagha.

- Ale nikt z nich nie ma prawa dostępu do informacji pierwszej klasy - warknął VanDiver. - Nie mają też szczególnego znaczenia dla NorCoordu czy sił Obrońców Pokoju.

- Czy sugeruje pan, że stanowię zagrożenie? - zapytał spokojnie stary Cavanagh. Parlamentarzysta spojrział mu prosto w oczy.

- Sugeruję, lordzie, że mimo pańskiego zachowania, nie jest pan już przedstawicielem Grampiansu z Avonu. Obecnie jest pan zwykłym obywatelem i nie należą się panu specjalne względy.

- Dziękuję za przypomnienie nam tego - rzekł Cavanagh, po czym zwrócił się do admirała. - Czy ma pan jakieś informacje dotyczące mojego syna?

- Mówiąc szczerze, nie dysponujemy niczym pewnym - odparł Rudzinski, wskazując przybyłym, by zajęli miejsca przy stole. - To, co mamy, należy raczej traktować jedynie jako spekulacje.

Nacisnął przycisk na tablicy kontrolnej i przez ekran demonstracyjny zaczęły powoli przesuwać się świetlne plamy.

- Oto fragment nagrania bitwy pod Dorcas - wyjaśnił.

Arie zerknął na twarz ojca. Znowu pojawiło się na niej cierpienie, lecz ukryte tak głęboko, iż tylko on i Melinda byli w stanie je dostrzec. Nic dziwnego: okazanie słabości w obecności Jacy'ego VanDivera byłoby ostatnią rzeczą, jakiej stary lord by pragnął.

- Te ujęcia zostały nakręcone kilka godzin później - ciągnął admirał. - Tutaj — na ekranie pojawiło się zakreślenie — podczas walki znajdowała się „Kinshasa”. Wiemy to zarówno na podstawie zapisu ze statków obserwacyjnych, jak i trajektorii szczątków kapsuł ewakuacyjnych. A tutaj - na skraju kręgu pojawiła się mglista i niewyraźna jasna smuga - widoczne jest pasmo cząsteczek tlenu. Zamilkł. Arie popatrzył po twarzach zgromadzonych, mając nadzieję, że z nich wyczyta, co to może oznaczać. Ale ich miny świadczyły, że wiedzą tyle samo co on.

- Czy to może być coś istotnego? - zapytał.

- Właściwie sami nie jesteśmy pewni - stwierdził Rudzinski. - Wiemy tylko, że wpływ tlenu nie nastąpił ani przed, ani

73

w czasie walki. Stożkowaty kształt i kierunek smugi są najlepszym tego dowodem.

- A więc skąd się wziął? - zapytał Arie. Admirał spojrzał na VanDivera.

- Nie ma możliwości ustalenia tego w sposób jednoznaczny - rzekł z pewnym wahaniem. - Ale nie jest wykluczone, że pochodzi z kontrolowanego wycieku ze zbiornika tlenu kapsuły ewakuacyjnej.

Przez długą chwilę w sali panowała cisza.

- Podobno zidentyfikowano już część kapsuł z „Kinshasy” - odezwał się wreszcie lord. - Czy znaleziono też fragmenty należącej do Pheylana?

VanDiver uderzył dłonią w stół.

- Proszę bardzo - rzekł do Rudzinskiego. - Mówiłem panu, że wyciągnie z tego właśnie takie wnioski.

- Nie, nie zidentyfikowaliśmy żadnego takiego fragmentu - odpowiedział wojskowy kręcąc głową. - Proszę pamiętać jednak, że to o niczym nie świadczy. Szczególnie biorąc pod uwagę zniszczenia, jakie miały miejsce.

- Ale pan coś podejrzewał - nie ustępował Cavanagh. - W przeciwnym wypadku po co to całe dochodzenie? Rudzinski skrzywił się.

- Nie ja, lecz dowódca garnizonu Obrońców Pokoju na Dor-cas. Odbył podróż do miejsca zdarzeń, po czym wydał polecenie, by sprawdzono, czy napastnicy nie wzięli jeńców. Rozkaz ten został potraktowany nader poważnie i analitycy zwrócili uwagę właśnie na ten fragment zapisu.

Do rozmowy włączył się Quinn:

- Jakie jest usytuowanie tej smugi względem innych obiektów?

- Właściwie można przyjąć, że znajduje się na osi między „Kinshasą” a jednostkami obserwacyjnymi.

- Czyli tak, jakby ktoś wykorzystał gaz ze zbiornika zapasowego do skierowania swej kapsuły w miejsce, gdzie mógł uzyskać pomoc?

- Nie ma najmniejszego dowodu na to, że ktoś przeżył bitwę - warknął VanDiver. - Ani Pheylan Cavanagh, ani ktokolwiek inny.

Quinn nie zwrócił na niego uwagi.

- Admirale?

74

- Nie da się wykluczyć takiej możliwości - przyznał Rudzinski. - Ale w grę wchodzić może także przypadkowy wyciek.

- On nie żyje, Cavanagh - tłumaczył parlamentarzysta. - Jak cała reszta.

Zdobywcy nie przestawali strzelać, aż ucichły wszystkie nadajniki.

- Nadajnik może zawieść - mówił powoli lord. - Albo można go uciszyć. - Spojrzał na admirała z nową nadzieją w oczach. - Bądź zablokować.

- Nie - zaprotestował wojskowy. - Analizowaliśmy już i taką wersję.

Wychwycilibyśmy specyficzne sygnały pochodzące z nadajnika zamykanego w innym statku, zanim ucichłyby na dobre. W zapisach pochodzących z jednostek obserwacyjnych nie ma nawet śladu czegoś podobnego.

- To o niczym nie świadczy.

- Podobnie jak robienie sobie płonnych nadziei — uznał VanDiver wstając. — W porządku, admirale, dopełnił pan obowiązku wobec rodziny. Teraz pora spotkać się z oczekującą na pana resztą parlamentarnej grupy obserwacyjnej.

- Jeszcze moment - odezwał się Arie. - Nie usłyszeliśmy, co Obrońcy Pokoju zamierzają zrobić dla odszukania Pheylana. Twarz Rudzinskiego sposepniała.

- Przykro mi - rzekł. - Nie jesteśmy w stanie niczego zrobić. Bez pewności, że komandor Cavanagh żyje, nie możemy ryzykować wysłania ekipy poszukiwawczej.

- Dlaczego? - Arie nie ustępował. - On gdzieś tam jest...

- Nie ma pan na to żadnego dowodu - uciał obcesowo VanDiver.

- Pan także nie ma...

- Dość! - warknął admirał.

Młody Cavanagh zamilkł. Rudzinski spojrział najpierw na niego, później na parlamentarzystę i wreszcie na lorda.

- Przede wszystkim — podjął spokojnym już tonem -nie mamy żadnych wskazówek, gdzie rozpocząć poszukiwania. Ich wektor odlotowy został zatarty przez bombę zakłóceńową ze statku obserwacyjnego, a bez odczytów ich spektrum podczerwonego nie wiemy nawet, jak długo tu lecieli. Ale to jeszcze nie jest najważniejsze.

Rzecz w tym, że jeśli szukając po omacku ekspedycja poszukiwawcza znajdzie się w polu obserwacji obcych, to ci na podstawie smug napędowych trafią prosto do Federacji Międzygwiazdnej. A jeśli już

75

cokolwiek można uznać za oczywiste, to fakt, iż jeszcze długo nie będziemy przygotowani do zapobieżenia inwazji na szerszą skalę.

A więc zamierza pan tak po prostu zostawić go własnemu losowi, pomyślał Arie, lecz wstrzymał się od głośnego wypowiedzenia swych myśli. Takie oskarżenie do niczego nie prowadziło, zwłaszcza że było niewłaściwie adresowane. Podstawowym obowiązkiem Rudzinskiego była obrona Federacji Międzygwiazdnej, nie mógł więc narażać dwudziestu czterech światów na niebezpieczeństwo, by pomóc jednemu człowiekowi.

Stary Cavanagh także doszedł do podobnego wniosku.

- Rozumiemy, admirale. - Wstał i wyciągnął rękę. - Dziękuję, że poświęcił nam pan swój cenny czas. I... był wobec nas szczerzy.

- Przykro mi, że nie jestem w stanie zrobić nic więcej -odparł Rudzinski ściskając wyciągniętą dłoń. Spojrzał na YanDi-vera. - Sądzę, że nie obrazę pana,

lordzie, przypominając, że wszystko, co zostało tu powiedziane, podlega obwarowaniom wynikającym z Kodeksu Spraw Stanowiących Tajemnicę.

- Nic nie wydobędzie się poza ten pokój — zapewnił Cava-nagh. Admirał pokiwał głową.

- Komandosi odprowadzą państwa do wyjścia. Żałuję, że nie mogę naprawdę pomóc.

- Dziękuję panu, admirale - rzekł cicho lord. - Sądzę, że zrobił pan już wystarczająco dużo.

Rozległo się ciche pukanie.

- Proszę - zawołał Cavanagh. Drzwi otworzyły się.

- Chciał mnie pan widzieć? - rzekł Quinn.

- Tak. - Lord wskazał fotel naprzeciw biurka. - Potrzebna mi twoja opinia jako zawodowca.

- Słucham pana - powiedział ochroniarz siadając. Cavanagh odwrócił w jego stronę tabliczkę leżącą na blacie.

- Przyjrzyj się i powiedz, co o tym sądzisz. Obserwował, jak jego podwładny czyta wyświetlany tekst.

- Czy mam to traktować poważnie? - zapytał Quinn podnosząc głowę.

76

- Bardzo poważnie. Wcale nie wyglądasz na zdziwionego. Quinn lekko wzruszył ramionami.

- Rozmawiałem z Kolchinem. Wspominał mu pan o tym już podczas drogi do portu. - Wskazał na tabliczkę. - Ale nie tędy droga.

- Dlaczego?

- Bo transportowce nie są zaprojektowane do działań wojennych. To nie okręty, choćby wyposażyc je w nie wiem ile dział i pocisków. Wyśle je pan przeciwko obcym, a w gnieniu oka zostaną zdruzgotane.

- W porządku, a więc w jaki sposób należy je przysposobić do walki?

Szef ochrony pokręcił głową.

- Nijak. Tego się nie da zrobić. Transportowce mają zbyt małą sterowność, w warunkach grawitacji są ciężkie jak kamienie, a stosunek przyspieszenia do masy jest o kilka rzędów wielkości za mały, by były skuteczne w walce. A poza wszystkim stanowią cholernie duże cele.

Lord skrzywił się. Więc daremnie poccił się przez niemal dwie godziny, usiłując sklecić eskadrę ze statków i załóg, jakimi dysponował CavTronics. Był to tylko zmarnowany czas.

- Muszę więc ująć to inaczej: postanowiłem wyruszyć na poszukiwania Pheylana. Co możesz zrobić, by pomóc mi zrealizować ten zamiar?

Quinn westchnął ciężko.

- Wiem, co pan czuje. Ale to jest z góry skazane na niepowodzenie. Nie dysponuje pan skutecznym uzbrojeniem i nie ma doświadczenia. A przede wszystkim nie wie pan, gdzie szukać.

- Znamy przecież wektor wskazujący, skąd przylecieli. Zacznę właśnie od tego.

- A czy jest pan pewien, że Pheylan żyje? - zapytał cicho ochroniarz. - To raczej mało prawdopodobne.

Lord obrócił głowę w stronę ściany, gdzie wisiały fotografie jego dzieci i żony.

- A więc przynajmniej upewnię się, że zginął - odparł. - Już podjąłem decyzję.

Czuł na sobie wzrok Quinna.

- Nie da się tego zrobić przy użyciu transportowców. Potrzebne są nam okręty wojenne. Ze sześć myśliwców szturmowych klasy Axehead lub Adamant, jeśli uda się je zdobyć. Plus

załogi. Ponadto paliwowiec wyposażony w dobry napęd gwiazdny, żeby zapewnić im bazę i przetransportować je.

- Naprawdę? - zapytał Cavanagh, zaskoczony tak gwałtowną zmianą zdania. - Jaką widzisz możliwość ich zdobycia?

- Nie ma innego wyjścia, trzeba je ukraść. Lord aż otworzył usta ze zdziwienia.

- Chyba nie mówisz poważnie.

Ochroniarz spokojnie wytrzymał jego spojrzenie.

- Mówię tak samo poważnie, jak pan o wyprawie.

Przez długą chwilę Cavanagh przyglądał mu się w milczeniu. Ten człowiek rzeczywiście nie żartował... teraz wszystko zależało wyłącznie od jego własnej decyzji. Rzecz tylko w tym, jak daleko gotów był się posunąć, by ratować syna.

Pukanie do drzwi przerwało te rozważania.

- Proszę - zawołał, odwracając jednocześnie ekran tabliczki w swoją stronę.

- Tato... - Arie skinął głową na przywitanie, wchodząc wraz z Melindą do pokoju.

- Przeszkodził nam w czymś?

- Właściwie nie - zapewnił. - Jak się czujecie?

- Jakoś się trzymamy. - Arie spojrzał na siostrę. - Chcieliśmy pomówić z tobą o Pheylanie.

Stary Cavanagh spojrzał znacząco na Quinna, a ten w odpowiedzi lekko pokręcił głową.

- O co chodzi?

Arie zauważywszy ten ruch zmarszczył czoło. Popatrzył na ochroniarza i ponownie na ojca.

- Zastanawialiśmy się, czy nie można by zrobić czegoś, żeby mu pomóc - rzekł wreszcie, podchodząc do biurka. - Jakoś przycisnąć Rudzinskiego albo poruszyć tę sprawę na forum Parlamentu.

- Nie wiemy nawet, czy on jeszcze żyje - powiedział lord, obserwując zachowanie syna. Młodzieniec wyraźnie usiłował zobaczyć, co wyświetlone jest na tabliczce.

- Ale to dobry pomysł - dodał, wygaszając ekran. - Może na początek przygotujcie z Melindą listę parlamentarzystów, którzy są mi winni przysługę.

- Jasne - odparł Arie mierzając ojca wzrokiem. - Ale może najpierw powiesz nam, co się dzieje?

- O co ci chodzi?

- Przestań, tato. Nie czas na tajemnice. Razem z Quinnem coś planujecie. Musisz i nam o tym powiedzieć.

Stary Cavanagh spojrzał na córkę. Ona także obserwowała go pełna wyczekiwania. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi, jak bardzo w takich sytuacjach przypomina Sarę.

- W porządku - powiedział z rezygnacją w głosie. - Ruszani na poszukiwania Pheylana.

- Rozumiem. Kiedy?

- Chwileczkę - zaprotestowała Melinda. - Nie tak szybko, Arie. Chyba nie chcesz powiedzieć, że lecisz osobiście, tato?

- Wyobraź sobie, że tak. I nie chcę słyszeć nawet jednego słowa sprzeciwu.

- Szkoda. Ale i tak nie zamierzam milczeć. To nie jest wycieczka do...

- Melindo. - Arie uniósł dłoń przerywając jej w pół zdania. - Niech sam opowie, co wymyślił, dobrze? Tato?

- Na razie nie mam wiele do powiedzenia - oświadczył lord wskazując obojgu

fotele. Powinien był przewidzieć, że długo nie utrzyma tej decyzji w tajemnicy przed nimi. Chociaż właściwie, nie zależało mu na tym aż tak bardzo. - Planowałem uzbroić nasze cztery transportowce i poszukać go, ale Quinn orzekł, że to nie ma sensu. Uważa, iż powinniśmy pożyczyc sobie myśliwce szturmowe od sił Obrońców Pokoju.

- Doprawdy? - zapytał Arie posyłając ochroniarzowi spojrzenie pełne powątpiewania. - A w jakiż to sposób zamierzasz dokonać takiej sztuczki? Szczególnie teraz, gdy trwają przygotowania do wojny?

- Jeśli chodzi o mobilizację, to pracuje ona na naszą korzyść - stwierdził Quinn. - Mnóstwo statków sił Obrońców Pokoju jest przetrzucanych po całej Federacji. Jest więc szansa, że dodatkowe rozkazy przelotu nie zwrócą niczyjej uwagi.

- A ile takich rozkazów może wchodzić w grę? - zapytał młody Cavanagh.

- Niewiele. Będziemy potrzebować lotniskowca dalekiego zasięgu i pół skrzydła axeheadów. - Zawahał się. - I jednego Miedzianogłowego.

Cavanagh ze zdziwieniem spojrział na syna, lecz twarz tamtego również wyrażała wyłącznie zaskoczenie.

- Doceniam twoje poświęcenie, Quinn. Ale to mój obowiązek. Mój i mojej rodziny. Dziękuję ci za ofertę pomocy.

- Nie ma pan wyboru - odparł szef ochrony. - Będzie nam potrzebny ktoś z doświadczeniem wojskowym, do tego potrafią-
79

cy dowodzić myśliwcami... to chyba pozostaje poza wszelkimi wątpliwościami. Niech się pan nie przejmuję, wciąż też jestem w stanie zdobyć co najmniej jeden myśliwiec typu Counter-punch.

Lord wpatrywał się w Arica zastanawiając się, co powiedzieć. Do tej pory nie brał w ogóle pod uwagę myśliwca używanego przez Miedzianogłowych, ale teraz miał nadzieję, że i w tej sprawie może liczyć na pomoc Quinna. Nie wiedział tylko, jak poruszyć ten temat w sposób możliwie dyplomatyczny.

Zastanawiał się właśnie nad tym, gdy odezwała się Melinda:

- Interesuje mnie, kiedy zapadła decyzja, że osobiście weźmiesz udział w tej wyprawie, tato.

- Wówczas, gdy pojawiła się nadzieja, że warto na nią wyruszyć - odparł lord. - I nie chcę już o tym rozmawiać.

- Tato...

- Powiedziałem, że temat uważam za zamknięty, Melindo. - Stary Cavanagh nie ustępował, tym razem nadając swojemu głosowi ostrzegawczy ton.

- Tak? - Melinda zdawała się nie zwracać uwagi na świdrujący wzrok ojca. - Chciałabym usłyszeć zdanie Quinna.

- On nie ma z tym nic wspólnego. Ja sam podjąłem decyzję.

- Ależ ma, i to wiele. Przecież on pokieruje całą ekspedycją. Stary ze zdziwienia aż zamrugał powiekami.

- Czyżby?

- To chyba całkiem naturalne - włączył się do rozmowy Arie. - Zwykle wybierasz ludzi najodpowiedniejszych do danej roboty i usuwasz im się z drogi. Nauczyłeś mnie tego już pierwszego dnia pracy.

Cavanagh przeniósł wzrok na syna.

- Ze wszystkich rzeczy, których uczyłem cię przez lata, zapamiętałeś akurat tylko to jedno - warknął. — W porządku, Quinn, twoja kolej. Posłuchajmy, co masz do powiedzenia.

- Szczerze mówiąc, proszę pana, oni mają rację - rzekł szef ochrony. - Pan nie może lecieć.

Lord usiłował zabić go wzrokiem, lecz i tu miał do czynienia z trudnym przeciwnikiem.

- Dlaczego nie?

- Nie owijając w bawełnę uważam, że nie pozwala panu na to wiek. Piloci myśliwców, które ściągniemy, nie podporządkują się, jeśli nie będą przekonani, iż mają do czynienia z prawdzi-

80

wymi żołnierzami sił Obrońców Pokoju. Mając pięćdziesiąt siedem lat nie można już pełnić służby liniowej, a nie ma powodu, dla którego starszy wiekiem oficer miałby uczestniczyć w misji ratunkowej takiej jak nasza.

- Wymyślny chyba jakieś logiczne wytłumaczenie.

- Żadnego, którego nie dałoby się szybko obalić - zaprotestował Quinn spoglądając na Melinę. - Z tego samego powodu także panią musimy wyeliminować. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem?

- Jest bardzo mało kobiet będących pilotami myśliwców szturmowych lub oficerami bezpośrednio współpracującymi z tymi formacjami. Najprawdopodobniej ci, których ściągniemy, większość z nich będą znać osobiście, a pozostałe przynajmniej z nazwiska.

- Ale przecież mogłabym udawać specjalnego wysłannika dowództwa sił Obrońców Pokoju - nie ustępowała Melinda. - Albo Parlamentu. Specjalistę do spraw jeńców lub kogoś podobnego.

- To zmusi mnie do wyjaśniania, dlaczego nie mam drugiego Miedzianogłowego - odrzekł szef ochrony. - I tak będziemy mieli na głowie mnóstwo innych kłopotów. Arie poruszył się w fotelu.

- A więc po procesie eliminacji pozostałem tylko ja - orzekł. Długą chwilę panowała cisza.

- Chyba tak - odezwał się wreszcie Quinn. - Kiedy chce pan wyruszyć? Arie zacisnął usta.

- Chyba im szybciej, tym lepiej. Od czego więc zaczynamy?

- Od lotu na Granparę. W tamtejszym dowództwie mam starego przyjaciela, który pomoże mi zdobyć jakiegoś counter-puncha i kilka axeheadów.

- W porządku. A co z paliwowcem dalekiego zasięgu?

- Ja mogę się tym zająć - zaproponował lord. - Wiem, że kilka starszych modeli zostało przerobionych na statki cywilne. Zapewne zamierzacie wyruszyć z Dorcas?

- Tak - odpowiedział Quinn. - Będzie nam także potrzeba sporo innego sprzętu... przygotuję listę. Poproszę o przysłanie tego wszystkiego na moje nazwisko, na Dorcas.

- Albo na moje - zaproponowała Melinda. - Mogłabym po-

6 - Duma zdobywców

81

lecieć pierwsza i wszystko przygotować. W ten sposób będziecie mogli startować, gdy tylko pojawią się myśliwce.

- To rzeczywiście pozwoli zaoszczędzić nieco czasu - przyznał Quinn wstając. - A więc dobrze, zrobimy właśnie tak. Jeśli wybaczycie mi państwo, zajmę się teraz sporządzeniem listy potrzeb.

- Czy mogę ci pomóc? - zapytał Arie. Szef ochrony pokręcił głową.

- Proszę przygotować się do drogi. Wyszedł.

- No proszę - odezwała się Melinda po chwili ciszy. - I pomyśleć, że przyszedliśmy tylko po to, by zaproponować wywarcie wpływu na Parlament. Cavanagh przytaknął i przyglądając się dwójce dzieci po raz kolejny pomyślał, jak różne charaktery mają dzieci zrodzone z jego związku z Sara. Arie, spokojny i rzeczowy, w mistrzowski sposób posługujący się słowem, choć jakiś odległy, nieprzystępny. Pheylan, trzy lata młodszy, zawsze starał się we wszystkim różnić od brata, z którym bez przerwy walczył, ale jednocześnie bronił go przed szkolnymi łobuziakami. Melinda, pozostająca pomiędzy nimi zarówno wiekiem jak i zdolnościami, wyborna specjalistka w dziedzinie chirurgii, podobnie jak Arie władająca słowem niczym bronią. Niestety często ze szkodą dla siebie. Pheylan odszedł, by wstąpić do sił Obrońców Pokoju. Melinda także opuściła dom, rozpoczynając mniej ryzykowną pracę konsultanta chirurgicznego, lecz podobnie jak brat także tułała się po całym świecie. Tylko Arie zdecydował się na bezpieczne i spokojne życie, pozostając w rodzinnym interesie. A teraz to właśnie Arie wyruszał gdzieś w nieznane. Melinda poderwała się gwałtownie.

- Chyba pójdę do Quinna - powiedziała. - Może zdążę złożyć przynajmniej część zamówień jeszcze przed waszym wyjazdem. Pożegnasz się z nami, prawda?
- Jasne - odparł Arie. - Do zobaczenia. Uśmiechnęła się do ojca i wyszła.
- Więc - odezwał się młody Cavanagh unosząc brwi. - Jesteś chyba tak samo zaskoczony ironią tego wszystkiego jak ja.
- Nie musisz lecieć, Arie. Moglibyśmy zapewne wymyślić wytłumaczenie, dlaczego ktoś w moim wieku uczestniczy

82

w akcji ratunkowej. Ponadto możemy przecież wysłać Kolchina lub Hilla. Chłopak pokręcił głową.

- Sam powiedziałaś, tato, że to sprawa rodzinna. Jest jeszcze coś. Nie możemy zdradzić naszej tajemnicy Hillowi ani nikomu innemu. VanDiver z rozkoszą zażądałby twojej głowy, gdybyśmy wyjawili przekazane nam tajemnice.
- Jestem przygotowany i na takie ryzyko.
- Ja nie. - Arie zmusił się do uśmiechu. - Pomyśl, jaką minę zrobi Pheylan, kiedy zobaczy, że to właśnie jego piecuchowaty brat przybywa na ratunek. - A co istotniejsze, na miejscu musi być ktoś, kto będzie miał oko na Quinna. I rozkaże mu odłączyć się od myśliwca, gdyby coś poszło nie tak, jak powinno. Stary Cavanagh westchnął.

- W takim wypadku mogę wam jedynie życzyć dużo szczęścia. Quinn czuje się odpowiedzialny nie tylko za firmę, ale i całą naszą rodzinę. A wiesz, że bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki.
- Ale nawet on powinien rozumieć, że wśród jego obowiązków nie ma miejsca na głupie ryzykanctwo.

Lord przytaknął czując ucisk w gardle. Dopiero teraz zaczęły do niego docierać ewentualne konsekwencje ich planu... a wraz z nimi wątpliwości i obawy. Tutaj nie chodziło o ominięcie jakichś przestarzałych przepisów albo posłużenie się nie praktykowanymi sposobami robienia interesów. Ich działania ocierać się będą o zdradę.

- Arie...

- Nie mamy wyboru, tato - rzekł miękko młody Cavanagh. - Jeśli chcemy ratować Pheylana, musimy ryzykować. Dobrze o tym wiesz. Ja także, podobnie jak Melinda i Quinn. Szczerze mówiąc założyłbym się, że admirał Rudzinski również. To nasza rodzina. I nasze ryzyko.

- Ale nie tylko my będziemy podejmować to ryzyko - przypomniał ojciec ze smutkiem. - Już na wstępie pojawia się tych sześć axeheadów. A to przecież dwunastu ludzi. Ale prawdziwe niebezpieczeństwo stanowi to, o czym mówił admirał. Jeśli wskażemy obcym drogę do Federacji Międzygwiazdnej, możemy stać się odpowiedzialni za śmierć milionów ludzi.

- Nie - zaprotestował Arie z zapalem. - Za to nie można by nas winić. Mamy tysiące statków przemierzających codziennie

83

kosmos, a każdy z nich zostawia za sobą smugę napędową. Jeśli obcym naprawdę będzie zależało na odszukaniu nas, zrobią to i tak. Bez naszego paliwowca i raptem sześciu myśliwców. Natomiast jeżeli będziemy ostrożni i zdetonujemy na trasie kilka bomb zakłóceńowych, nie powinno być problemu.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Ja również. - Arie wciągnął powietrze do płuc i wypuścił je głośno. - Tak czy inaczej cieszę się, że porozmawialiśmy, tato.

- Pożegnasz się przed wyjazdem, prawda?

- Przecież obiecałem to Melindzie. Nie martw się, nie zniknę bez słowa - zapewnił Arie. Ruszył ku drzwiom... i zatrzymał się.

- Tak przy okazji - rzucił przez ramię nieco zmienionym głosem. - Zwróciłeś uwagę na to, jak VanDiver określił tych obcych?

- Tak. Nazwał ich Zdobywcami. Młody Cavanagh pokiwał głową.

- Wygląda na to, że ktoś całkiem poważnie traktuje owe legendy Mrachów.

- Legendy często opierają się na faktach.

- To prawda. Warto by może wysłać kogoś na terytorium Mrachów, żeby dowiedział się czegoś więcej. Cóż... to wszystko. Drzwi zamknęły się za nim.

- Masz rację - mruknął lord do siebie. - Warto by.

Przez chwilę siedział bez ruchu, wsłuchując się w szum systemów swojego statku. Wreszcie drgnął i sięgnął po tabliczkę. Musiał zlokalizować któryś z paliwowców i zorganizować jego zakup. A później trzeba będzie zająć się listą sporządzoną przez Quinna.

A gdy załatwi i to, może wybierze się na wycieczkę do Mrą, zgodnie z sugestią Arica. Należałoby z pierwszej ręki usłyszeć te mrachańskie legendy o Zdobywcach. Kiedy Pheylan obudził się, jego nozdrza podrażniła nieznana mieszanina zapachów. Otworzył oczy i stwierdził, że dostarczono śniadanie.

Podane było na sześciu spłaszczonych półmiskach spoczywających na tacy wstawionej do środka przez otwór w drzwiach, którym wcześniej przekazano zasobnik. Każdy z półmisków zawierał papkę w różnych odcieniach brązu, z wystającymi z niej różnobarwnymi składnikami. Całość tworzyła mało apetyczną kompozycję i Pheylan nie był pewien, czy właśnie coś takiego chciałby zjeść z samego rana. Ale racje żywnościowe kurczyły się błyskawicznie, a planował zostawić sobie zapasy co najmniej na kilka dni, gdyby ucieczka się udała.

Przecież już jako rekrutowi Obrońców Pokoju obiecywano mu, że doświadczy nowych, egzotycznych przeżyć.

Pierwszym wyzwaniem okazało się poznanie funkcjonowania przyrządu dostarczonego wraz z posiłkiem. Główna jego część miała kształt zdeformowanej łyżki, od której dodatkowo odchodził sprężynujący pręcik, nadający narzędziu wygląd szczypców lub zmodyfikowanych chińskich pałeczek. Zapewne dawało się nim sprawnie operować za pomocą dodatkowego kciuka, lecz jego palce zupełnie do tego nie pasowały. Całość była wykonana z delikatnego, gumiestego tworzywa. Po chwili zastanowienia odgiął pręcik tak, by całość mogła służyć jako normalna łyżka.

Pierwsza próba przyrządzenia ludzkiego posiłku okazała się dla obcych trudnym zadaniem. Tylko jeden półmisek zawierał

85

w miarę smaczną papkę, inne zaś były albo zupełnie mdłe, albo też przypominały wołowinę, którą spalił kiedyś mamie na węgiel. Zjadł jednak wszystkie potrawy, z wyjątkiem najgorszej, zaczynając od najsmaczniejszej. Był ciekaw, czy obserwujący go obcy zwrócą uwagę na tę kolejność i zmienią menu następnego posiłku. Miał nadzieję, że tak.

Trzej kontaktujący się z nim obcy pojawili się pod koniec śniadania, ale tym razem weszli do sali ukrytymi drzwiami, pomiędzy dwoma konsolami, które uniemożliwiały dostrzeżenie tego, co znajdowało się dalej. Może była tam jakaś śluza, choć niekoniecznie na zewnątrz.

- Witaj, Caw-ana - rzekł Sw-selic, kiedy Pheylan odstawiał tacę. - IV dobrze?

- Względnie dobrze - odpowiedział Ziemianin, odkładając prowizoryczną łyżkę i wysuszając pojemnik z wodą.

Angielski Sw-selica zdawał się poprawić, choć nie w takim stopniu, jakiego można było spodziewać się po kimś wyposażonym w nowoczesne przyłącze mózgowe. Może mieli problemy z odszyfrowaniem danych z komputera komodora Dyamiego lub ich translatory nie były tak zaawansowane jak będące w wyposażeniu Obrońców Pokoju. Miał nadzieję, że powodem było to ostatnie, gdyż w takim wypadku okazałoby się, iż ludzkość wyprzedza obcych przynajmniej w tej dziedzinie.

- A wy?

- My dobrze.

Sw-selic poruszył się i najniższy spośród trójki - Thrr-gilag, jeśli dobrze zapamiętał - wystąpił naprzód z czymś, co wyglądało na złożony kombinezon.

Otworzył klapkę i wsunął go do celi. Pheylan obserwował go uważnie, kalkulując czy byłby w stanie chwycić za nadgarstek, zanim obcy zdąży wycofać rękę. Osądził wreszcie, że byłoby to możliwe, choć na razie wołał nie próbować.

- Ty włóż to - polecił Sw-selic, kiedy jego towarzysz zamknął klapkę.

Ziemianin podniósł kombinezon z podłogi. Był wykonany z tego samego materiału co dostarczane wcześniej, lecz miał pierścieniowate zgrubienia na barkach, przedramionach, udach, kostkach oraz na piersiach i brzuchu. Poza tym na całej jego powierzchni znajdowały się nieregularnie porozrzucane niewielkie przezroczyste dyski osadzone w materiale.

86

- Co to? - zapytał.

- Włóż. My idziemy na zewnątrz. Pheylan zaskoczony zmarszczył brwi.

- Na zewnątrz? - powtórzył. - Poza to pomieszczenie? Zapytany zawahał się, a może czekał tylko na przetłumaczenie.

- Ty potrzebujesz na zewnątrz. My idziemy.

- Tak jest - mruknął zdejmując dotychczasowy kombinezon i wkładając nowy.

Zupełnie nie odczuwało się zgrubień i było mu równie wygodnie jak w tamtym.

- Jestem gotowy - powiedział.

- IV nie opuszczaj my - ostrzegł Sw-selic, gdy Thrr-gilag podszedł do drzwi i otworzył je. - Odejdiesz, kara.

- Rozumiem.

To zapewne temu miały służyć owe pierścienie: jakiś mechanizm mający zapewnić kontrolę nad nim. W obecnej sytuacji był to jak najbardziej uzasadniony środek ostrożności.

Niestety, wiedział że będzie musiał ustalić, na jakiej zasadzie ów system

funkcjonuje. Miał tylko nadzieję, iż nie okaże się to zbyt bolesne.

Trzeci z obcych, Nzz-oonaz, pozostawał zdecydowanie z tyłu, podczas gdy Sw-selic i Thrr-gilag stanęli po bokach Ziemianina. A więc to on miał za zadanie kontrolować działanie tego kombinezonu posłuszeństwa. Należało uważnie go obserwować.

Przeszli przez pomieszczenie. Sw-selic zrobił coś przy jednym z paneli, co spowodowało, że drzwi stanęły otworem. Po raz pierwszy od chwili przybycia tu, niemal tydzień temu, Pheylan opuścił swoje więzienie i wyszedł na otwartą przestrzeń.

Pogoda przypominała tę z dnia lądowania: błękitne niebo, białe obłoki, lekki, lecz nieuciążliwy chłód, i delikatny wiatr. Na odległym krańcu lądowiska zobaczył niewielki statek rozmiarami przypominający łącznikowiec Obrońców Pokoju. Kręciło się przy nim kilku obcych. Drugi kompleks zabudowań rozrastał się błyskawicznie, bo do pojedynczej kopuły, zapewne mieszczącej jakiś system obrony, dobudowano dwie kolejne.

W środku utworzonego przez nie trójkąta dojrzał coś, czego z całą pewnością nie było tam wcześniej. W świetle słonecznym lśniła niewielka piramida, wysoka na jakieś trzy metry, idealnie

87

biała, lecz z mnóstwem ciemnych kropek rozrzuconych nieregularnie w górnej części.

- Dobrze?

Przeniósł wzrok na SvV-selica starając się zrozumieć, o co mu chodzi. Wreszcie uświadomił sobie: przecież sam mówił, że ludziom do życia potrzebne jest światło słoneczne.

- Pomaga - przytaknął rozpinając kombinezon na piersiach i odwracając twarz do słońca. - Chociaż przy takim stroju musi to nieco potrwać. Tylko niewielka część powierzchni skóry jest odsłonięta. Byłoby znacznie lepiej, gdybym mógł się rozebrać.

Język obcego wysunął się z otworu gębowego.

- Ty nie rób.

- W porządku - zgodził się Ziemianin wzruszając ramionami. - To była tylko propozycja. - Odetchnął głęboko i rozpostarł ramiona. - Czy mógłbym trochę pobiegać? Ludziom potrzeba też ćwiczeń.

- Ty nie opuszczaj my.

- A czy możemy się przynajmniej przespacerować? — nalegał Pheylan, wskazując las na lewo od kopuły i piramidy. - Chciałbym przyjrzeć się tym drzewom.

Nastąpił zwykła chwila ciszy, zapewne niezbędna do dokonania tłumaczenia, krótka konsultacja między stojącą obok niego dwójką i wreszcie Sw-selic odezwał się głośno:

- My idziemy. Ty nie opuszczaj my.

Ruszyli w stronę drzew, brnąc w sypkim czerwonym pyłe otaczającym kompleks i z każdym krokiem wzbijając całe tumany kurzu. Thrr-gilag i Sw-selic trzymali się blisko, podczas gdy Nzz-oonaz nadal szedł w pewnej odległości za nimi.

- Ty... Thrr-gilagu - odezwał się Pheylan. Niższy obcy spojrział na niego.

- Mów.

- Dlaczego nigdy nie rozmawiasz ze mną? Ogon Thrr-gilaga zdecydowanie, jakby nerwowo przyspieszył swoje ruchy.

- Nie rozumieć.

- Nigdy nic do mnie nie mówisz - tłumaczył Ziemianin, jednocześnie jakby przez

przypadek lekko zbaczając ku kopułom i piramidzie. - Podobnie jak Nzz-oonaz. Tylko Sw-selic prowadzi ze mną rozmowy. Może wy dwaj nie lubicie tu być? Zapytany posłał spojrzenie Sw-selicowi.

88

- Prawo Too'rra.

- Kim albo czym jest Too'rr?

- Sw-selic Too'rr - wyjaśnił Thrr-gilag.

Sw-selic Too'rr? Pheylan kilkakrotnie powtórzył te dwa słowa w myślach. Czy Too'rr to nazwa rodu? Tytuł? Stopień wojskowy? A może określenie kasty?

- Nie rozumiem - oświadczył, ponownie zbaczając nieco z drogi. - Czy Sw-selic jest ekspertem od przesłuchiwanie obcych? Cisza.

- Nie rozumieć.

- Czy jest specjalistą od rozmów z nie... a tak właściwie to jak się nazywa wasza rasa? Kolejna pauza i szepty.

- My Zhirrh - poinformował wreszcie mówca. Spróbował powtórzyć. Nie okazało się to aż tak trudne jak wymawianie ich imion.

- Czy więc Sw-selic jest specjalistą od kontaktów z nie--Zhirrhami? - zapytał ponownie. Nagle ów ekspert chwycił go za ramię.

- Nie iść - powiedział.

- Co? - zdziwił się Pheylan.

- Nie iść - powtórzył Sw-selic, językiem wskazując kopuły, ku którym konsekwentnie zbaczał Ziemianin.

- Nie rozumiem, dlaczego mam nie iść? - A więc nie mylił się - kopuły i piramida były czymś ważnym. - Chcę tylko przyjrzeć się drzewom.

- My iść - rzekł Sw-selic celując językiem w inną grupę drzew rosnących zdecydowanie bardziej na lewo.

- Ale ja chcę zobaczyć te - nalegał Pheylan pokazując rośliny rosnące w pobliżu kopuły. Podstęp nie poskutkował, a więc teraz spróbuje wymusić coś na nich. Gdyby i to się nie powiodło, będzie miał okazję sprawdzić, jak działa jego kombinezon posłuszeństwa. Zastanawiał się tylko, czy projektując go nie przecenili ludzkiej wytrzymałości.

- Ja tam idę, a wy róbcie sobie co chcecie.

Ruszył przed siebie, kątem oka obserwując Nzz-oonaza, który wyciągnął w jego stronę rękę, w której trzymał niewielki czarny przedmiot. Nadajnik uruchamiający system wmontowany w kombinezon lub jakąś broń.

- Nie iść - powtórzył Sw-selic.

89

- Nie ma obawy. Nie ucieknę - rzucił Ziemianin przez ramię. - Gdzie miałbym pójść? Chcę tylko lepiej przyjrzeć się tym drzewom.

- Nie iść - protestował obcy coraz bardziej zdecydowanie.

Pheylan nie zwracał na niego uwagi. Nzz-oonaz wciąż stał z wycelowanym urządzeniem, lecz jak na razie nic się nie działo. Zaciskając zęby Ziemianin zrobił kolejny krok, zastanawiając się, czy będzie to szok elektryczny, czy też zastrzyk. W każdym razie pragnął mieć to już za sobą. Następny krok...

- Nzz-oonaz: kasar! - zawołał Svv-selic.

Doświadczenie okazało się bolesne, lecz jednocześnie zaskoczyło Pheylana. Gdzieś z tyłu dał się słyszeć cichy szum i nagle nogi ugięły się pod nim, ramiona opadły i runął twarzą na ziemię.

Przez długą minutę leżał bez ruchu, czując na policzku ukłucia żdźbeł czegoś przypominającego trawę i rozpaczliwie starając się złapać oddech. A więc wpadli

na taki pomysł. Żadnych ryzykownych specyfików, potencjalnie niebezpiecznych elektrod, tylko kilka właściwie rozmieszczonych elektromagnesów, będących w stanie zupełnie go obezwładnić. Proste, eleganckie i bardzo bezpieczne, oczywiście pod warunkiem, że padając nie skręci sobie karku. Ostrożnie, starając się ukryć wkładany w to wysiłek, sprawdził, czy może się poruszyć. Nic z tego. Szum z tyłu ucichł nagle i znów mógł się poruszać. Na wszelki wypadek ostrożnie uniósł się na kolana, moment odczekał i następnie wstał.

- Ty nie iść - rzekł SvV-selic.

- Zrozumiałem - mruknął Ziemiańin rozcierając stłuczony policzek. - Przecież doskonale wiecie, że nigdzie nie chciałem się oddalić. Zależało mi tylko na zobaczeniu, co to jest.

- Dlaczego iść? - zapytał Zhirrzh.

- Bo jestem ciekaw - wyjaśnił Pheylan. - My, ludzie, jesteśmy bardzo ciekawi. To chyba leży w naszej naturze. SvV-selic językiem wskazał kopuły.

- Ciekawość niedobra - oświadczył z naciskiem.

Komandor uniósł głowę. W każdej z kopuł otwarte były trójkątne drzwi, przed którymi stali obcy trzymający szare rury zakończone prostokątnymi otworami i mnóstwem ostrz.

Broń ta była wymierzona prosto w niego.

- Ty nie iść - powiedział jeszcze raz SvV-selic.

90

- Zaczynasz się powtarzać - burknął Pheylan. W głębi każdej z rur coś dziwnie migotało, a może tylko mu się tak wydawało. - Ale niech wam będzie. Możemy podejść do tamtych drzew.

Pheylan miał nadzieję, że przyjrzy się uważniej kombinezonowi, Zhirrzhowie nie byli jednak na tyle naiwni, by mu go pozostawić. Po kilkuminutowych ćwiczeniach fizycznych odprowadzili go do celi i SvV-selic kazał mu się rozebrać. Gdy Ziemiańin posłuchał, otworzyli klapkę w drzwiach, odebrali strój i zniknęli tą samą drogą, którą przyszli.

Ubrał się w otrzymany rano kombinezon i zamyślił nad tym, co widział. Było dla niego jasne, że owe kopuły nie zawierały żadnych systemów obronnych, lecz stanowiły strażnice. Co więcej, ich usytuowanie nie pozostawiało wątpliwości, że chroniły białą piramidę.

Pytanie tylko, dlaczego.

Była zbyt mała na dom, przynajmniej dla kogoś wzrostu Zhirrzhów. Więc może to grobowiec? Ale znów byłby za mały, a przede wszystkim nie widział powodu, dla którego miano by tak skrupulatnie strzec czyichś zwłok. Czyżby pomnik? Ale i w tym przypadku nie był w stanie zrozumieć, po co miałyby go pilnować aż trzech uzbrojonych wartowników.

Tyle że przecież to byli obcy. Łatwo popełnić Mad zakładając, iż zachowują się i myślą podobnie jak ludzie. Nie mógł przewidzieć, czy potrafi zrozumieć ich pobudki i sposób myślenia.

Cóż, te rozważania były bez sensu. Nie. To występni, pozbawieni jakichkolwiek uczuć mordercy. Ale przecież sprowadzili go tutaj, karmili, ubierali i jak na razie robili wszystko, żeby utrzymać przy życiu. I jeśli nawet ich kultura i sposób bycia dyktowały postępowanie różniące się od ludzkiego, przebywając tutaj nie miał szans na zgłębienie tego problemu.

Coś poruszyło się na skraju pola widzenia. Odwrócił głowę, lecz jak zwykle okazał się zbyt powolny, by cokolwiek zobaczyć. Za szklaną ścianą celi jeden ze zhirrzhzańskich techników zerknął na niego, zainteresowany nagłym ruchem. Gdy

Pheylan także zaczął mu się przyglądać, obcy pospiesznie odwrócił wzrok i zajął się swą pracą.

Czym więc mogła być ta piramida? Jeśli nie pomnikiem, to

91

może urządzeniem technicznym? Może elementem ich systemu łączności? Albo czymś bardziej ezoterycznym? Na przykład transmitterem jakiejś energii?

Lecz jeśli tak, dlaczego piramida nie była wyższa? I czemu nie ustawiono jej w jakimś budynku, a przynajmniej za szczelną osłoną? Prowadzone przez ludzi eksperymenty z transmisją energii wykazały, jak ogromne znaczenie mają czynniki atmosferyczne. Chyba że to właśnie piramidalny kształt stanowił osłonę.

Pheylan pokręcił głową. Musiał przyznać, że wszystko to tylko bezsensowne marnowanie sił psychicznych. Piramida mogła pełnić tysiące różnych funkcji, poczynając od planetarnej stacji komunikacyjnej, a kończąc na sygnalizatorze ruchu związanym z lądowiskiem. Mogła być systemem nagłośnienia, napędzanym energią wiatru komputerem, elementem popieranej przez władze sztuki...

Albo bronią.

Pheylan spojrzął na obcych pracujących przy panelach i nagle poczuł suchość w gardle. Nieznane, strzeżone urządzenie w środku bazy Zhirrhów. Bazy, która właściwie nie posiada żadnego widocznego na pierwszy rzut oka systemu obrony. Podszedł do łóżka, położył się na boku i splótł ręce na piersiach. Podczas studiów w akademii Obrońców Pokoju uczestniczył w niezliczonych wieczornych dyskusjach dotyczących naukowych i technicznych aspektów funkcjonowania tajemniczego CIRCE. Jedną z bardziej intrygujących koncepcji zakładała, iż działanie tej broni opiera się na efekcie polowym, do którego uzyskania potrzeba od dwóch do pięciu biegunów elektromagnetycznych i takiej samej liczby bezrezonansowych generatorów tachionowych. Powstały w wyniku tego strumień promieni pojawia się tylko w punktach styku pól, będąc poza nimi zupełnie niegroźny.

I dlatego nic nie stało się z eskadrą myśliwców pod Caledo-nem ani też z mieszkańcami planety.

Czyżby Zhirrhowie dysponowali własną wersją CIRCE? Czy ta biała piramida to jeden z generatorów?

W porządku, Cavanagh, uspokój się, nakazał sobie w myślach. Pierwszym pytaniem, na które należało znaleźć odpowiedź, było, czy owo miejsce jest wysuniętą bazą wojskową, czy też kolonią. Zapewne nie instalowaliby CIRCE na dobrze już

92

poznanej planecie. Po drugie, czy piramida jest czymś unikatowym, czy też w pobliżu można znaleźć więcej takich konstrukcji. Trzecie zadanie polegało na ustaleniu, czy jest zamontowana na stałe, czy też daje się transportować, co w przypadku, gdyby to była broń, dawało możliwość celowania.

Wszystkie pytania były niewątpliwie logiczne i ważne. Rzecz jedynie w tym, że nie był w stanie wymyślić sposobu na uzyskanie odpowiedzi na którekolwiek z nich.

Za ścianą dwaj obcy i rozmawiali o czymś. Ziemiannin obserwował ich uważnie, żałując że nie ma tu Arica. Sam był z całej rodziny najsprawniejszy fizycznie, Arie zaś znacznie lepiej władał słowem. Nieraz Pheylan z zazdrością obserwował, jak brat chytrze wydobywa z ojca informacje, których ten wcale nie zamierzał zdradzić.

Już gdy był nastolatkiem, podziwiał tę umiejętność, lecz starał się ukryć przed Arikiem swój podziw, gdyż brat uzyskałby jeszcze większą przewagę, a i tak

nadużywał już posiadanej. Później zaś obaj dorośli i jakoś nigdy nie mieli okazji pomówić na ten temat.

Teraz Pheylan żałował, że nigdy nie wspomniał o tym nawet słowem. Zapewne było już za późno, by naprawić ten błąd.

Zaklął pod nosem. Takie wspominki do niczego nie prowadzą. Nie był mistrzem we władaniu słowem, i cóż z tego? Mimo wszystko wydostanie się stąd. Dysponuje rozumem, zmysłami oraz mięśniami i już najwyższy czas zacząć to wszystko właściwie wykorzystywać.

A pierwszym krokiem będzie poznanie każdego centymetra kwadratowego własnego więzienia i analiza wszelkich obserwacji zachowań obcych.

Z rękoma nadal splecionymi na piersiach zajął się wykonywaniem ćwiczeń izometrycznych z nadzieją, że pozostaną nie zauważone, i jednocześnie zapamiętywaniem rozkładu otaczających go przedmiotów.

Wąska ulica Granpany była niezwykle zatłoczona i hałaśliwa. Arie zaledwie kilkakrotnie miał okazję zobaczyć coś podobnego. Wokół tłoczyły się setki kolorowo odzianych przechodniów, poruszających się we wszystkich kierunkach. Sunęli to szybciej, to wolniej, a czasami nawet zupełnie stawali, gdy ktoś przystanął przed witryną sklepu lub wdał się w rozmowę z napotkanym znajomym. Kakofonia krzyków i głośnych rozmów w co najmniej trzech językach drażniła bębenki Arica, a mieszanka różnych, często egzotycznych woni, sprawiała, że chwilami kręciło mu się w głowie.

- Jak daleko jeszcze? - zawołał do idącego przed nim Quinna.

- Nie wiem - rzucił ten przez ramię. Kilka osób odwróciło głowy na dźwięk wypowiedzianych po angielsku słów i Arie zauważył z niepokojem, że ich miny nie należą, do przyjaznych. - Numeracja nie jest tu uporządkowana tak jak powinna.

Gdzieś nad ich głowami rozległ się przeraźliwy pisk. Arie odruchowo schylił się i dopiero po chwili uniósł głowę. Dostrzegł stadko grum wielkości małą, które skakały po pnączach winorośli porastających całe miasto kilka metrów ponad ich głowami.

Miasto i niemal całą powierzchnię wyspy.

- Co sądzisz o tej płataninie? - zapytał Arie podchodząc do ochroniarza na tyle blisko, by nie podnosić zaudto głosu. - Czy ona coś czuje?

94

- Nie - odpowiedział pewnym tonem Quinn. - Parra to tylko roślina. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Ja nie jestem taki pewien - rzekł młody Cavanagh, z niepokojem spoglądając na pnącza. - Czy ktoś ustalił na sto procent, że to coś nie słyszy? Mam pewne obiekcje. Zdaje się wyczuwać, co się dzieje wokół.

- Podobnie jak słoneczniki, jeśli potrzebujesz przykładu. Istnieje jeszcze wiele innych roślin, w których na skutek dotknięcia czy zranienia zachodzą pewne reakcje chemiczne. Ale nikt nie twierdzi, że one czują.

- Tyle że ta winorośl nie reaguje w taki sposób na przykład, gdy trafi w nią piorun - zauważył Arie. - Wówczas nie zachodzą żadne reakcje chemiczne i grumy nie wpadają w szal. Atakują tylko wtedy, gdy ktoś próbuje odciąć choćby jedno pnącze.

- To może być reakcja na zetknięcie z metalowym ostrzem - wyraził przypuszczenie ochroniarz. - Albo same grumy reagują tak na hałas i zamieszanie. Przecież nikt nie odkrył w tych lianach niczego, co mogłoby stanowić choćby namiastkę systemu nerwowego. Jak więc można w ogóle mówić o czuciu?

Nad ich głowami przemknęło kolejne stadko grum, mocnymi szczękami torując sobie drogę przez gęstwinę pnączy. Parra zdawała się potrzebować takiej naturalnej przecinki, podobnie jak bogatej w minerały oleistej substancji wydzielanej przez łapy grumów. W zamian żywiły się one czerwonymi pąkami wyrastającymi na pnączach, jakby dla nich specjalnie przeznaczonymi.

Wyłącznie dla nich. Każde inne zwierzę próbujące zjeść jakąkolwiek część rośliny było natychmiast atakowane i przepędzane przez oszalone grumy. Nad kwestią, czy wściekłość tę wywołują substancje występujące w pąkach, debatowano uporczywie w kręgach naukowych, podobnie jak nad problemem dziwnych reakcji Parry, lecz jak dotąd nic z tego nie wynikło.

Autochtoni nie uczestniczyli w jałowych dyskusjach, lecz po prostu starali się współżyć z istniejącą tu od zawsze przyrodą.

- Oto nasza ulica - rzekł Quinn przerywając Aricowi rozmyślenia. - Bokamba powinien mieszkać tam, na końcu uliczki.

- W porządku, znajdziemy - powiedział młody Cavanagh skręcając za przewodnikiem w wąską alejkę.

I nagle trafił nosem w plecy Quinna, gdy ten stanął niespodziewanie po kilku zaledwie krokach.

95

- Co...?

Urwał. Dziesięć metrów przed nimi drogę zagradzało czterech młodych osiłków o tępych wyrazie twarzy.

- O-ho - mruknął Arie.

- Właściwa reakcja - szepnął ochroniarz. - Wracajmy na główną ulicę i spróbujmy trafić na miejsce od drugiej strony.

Arie spojrział przez ramię. U wylotu uliczki, za ich plecami, pojawiło się kolejnych trzech mężczyzn równie sympatycznych jak tamci.

- Za późno. Chyba trzeba wezwać jakąś pomoc.

- Telefon już teraz nie pomoże - stwierdził Quinn. - Policjanci nie pojawią się na czas. Jeśli w ogóle przyjadą.

Cavanagh z trudem przełknął ślinę. Quinn jeszcze przed lądowaniem uprzedził go, że Grandparranie nie przepadają za Nor-Coordem i jego mieszkańcami. Wyglądało na to, że teraz będzie mógł przekonać się o tym osobiście.

- Co robimy?

Ochroniarz lekko wzruszył ramionami.

- Sprawdzimy, czego chcą.

Ruszył w stronę stojącej w równym szeregu czwórki.

- Witam - powiedział głośno. - Ładny mamy dzień.

Dwaj środkowi spojrzeli na siebie i była to jedyna ich reakcja. Quinn nie zatrzymał się, tylko pomaszerował prosto, a obcy ścieśnili się blokując drogę.

Wreszcie stanął zaledwie metr od nich.

- Pozwólcie nam przejść. Jesteśmy umówieni z kimś, kto mieszka dalej na tej ulicy.

- NorCoord - odezwał się jeden z mężczyzn po angielsku, lecz z dziwnym akcentem.

- Zgadza się, prawda? Jesteście z NorCoordu.

- A dlaczego pytasz? - warknął Quinn. Drugi z młodzieńców splunął pod nogi.

- Jesteście z NorCoordu. Nie wypieraj się.

- Niczego się nie wypieram. Chcę po prostu wiedzieć, jakie to ma znaczenie.

Mężczyzna obok warknął coś w obcym języku. Arie odsunął się nieco chcąc dać Quinnowi większe pole manewru, gdyby doszło do rękoczynów. Obejrzał się na

trójkę odcinającą im odwrót, jednocześnie zastanawiając się, czy obrońcy Pokoju znaleźli czas, by nauczyć swych elitarnych pilotów także walki wręcz.

96

Czterej młodzieńcy zbliżyli się zaciskając pięści. Quinn stał bez ruchu, zwrócony do nich nieco bokiem. Po chwili wolno uniósł ręce przyjmując postawę, jaką Arie widział u Kolchida...

- Sawa! - rozległ się nowy głos.

Cavanagh obejrzał się ponownie. Za plecami trójki młodzików stał mężczyzna w średnim wieku, z rękoma splecionymi na piersiach.

- Co tu robicie? - zapytał donośnym głosem.

Jeden z autochtonów rzucił coś przez ramię. Przybysz odpowiedział mu i wyciągnął przed siebie rękę. Rozmawiali przez minutę, a z każdą chwilą obaj wydawali się bardziej rozwścieczeni. Lecz z min i gestów Arie zorientował się, że ów starszy zdobywa przewagę i zanim jeszcze młodzik burknął coś i niechętnie odsunął się robiąc przejście, rytm serca Arica wrócił już do normy. Przybysze z NorCoordu minęli rzucających im wrogie spojrzenia opryszków i podeszli do swego wybawiciela.

Mężczyzna patrzył na Quinna z miną, z której można było odczytać mieszaninę ciekawości, niesmaku i radości.

- Jednak się zjawiłeś - odezwał się. - Wcale nie byłem przekonany, że to zrobisz.

- Czyżby moje słowo było już tak mało warte? Mężczyzna uśmiechnął się, a wyraz jego twarzy odzwierciedlał teraz radość i zainteresowanie.

- Chyba tylko w opinii Andersa. Przepraszam. - Spojrzał na Arica. - To jest zapewne ten dżentelmen, o którym on mi mówił?

- Tak - potwierdził Quinn. - To Arie Cavanagh, syn mojego pracodawcy. Panie Cavanagh, chciałbym panu przedstawić dowódcę skrzydła posiłkowego Iniko Bokambę. Mojego dowódcę, z czasów, gdy należałem do Miedzianogłowych.

- Co więc myślicie o sławnej granparrańskiej gościnności? - zapytał Bokamba dolewając miodu do płynu parującego w kubku Arica. - Zapewne czujecie się nieco rozczarowani.

Cavanagh spojrział na Quinna, lecz ten nie podnosił głowy znad swojego kubka.

- Bywałem już milej przyjmowany. Mam wrażenie, że chodziło im o coś więcej niż tylko o to, że jesteśmy tu gośćmi. Przez chwilę Bokamba wpatrywał się w niego uważnie.

97

- Jesteście z NorCoordu - rzekł wreszcie, po czym odwrócił się odstawiając na stoi dzbanek z miodem. - Granpanianie żywią do niego głęboką urazę.

- NorCoord jest przecież tylko jednym z członków Federacji Międzygwiazdnej - odparł Arie wzruszając ramionami. - Gran-parra ma takie same prawa.

Gospodarz uśmiechnął się lekko.

- Czy Granparranie rozmieścili platformy obronne nad Ziemią i innymi planetami należącymi do NorCoordu? Cavanagh zmarszczył brwi.

- Platforma Myrmidona nie została tu zawieszona bez istotnego powodu. Zgodnie z założeniem ma wam przecież zapewnić bezpieczeństwo.

- Doprawdy? A może ma po prostu trzymać w szachu samą Granparrę? Quinn poruszył się niespokojnie.

- Nie przybyliśmy tu, żeby dyskutować o polityce, miko.

- Warto, aby to usłyszał, Adamie - nie ustępował Bokamba. - Od dziecka korzystał z przywilejów, a przekonania wpajali mu tacy jak on sam.

- Wcale nie - zaprotestował Arie. - Ojciec otrzymał tytuł lorda dopiero sześć lat temu, gdy już odszedł z Parlamentu.

- Rzecz nie w tytułach. Chodzi mi o obywatelstwo Unii Nor-

-Coordu. To z niego wynikają pańskie przywileje.
- Mieszkańcy NorCoordu ciężko pracowali na to, co udało się im osiągnąć, komandorze Bokamba. A nasze sukcesy przynoszą przecież korzyści całej Federacji Międzygwiazdnej.

- Proszę nie tłumaczyć mi tego, co oczywiste - rzucił chłodno gospodarz. - Parra ogranicza jedynie nasze możliwości technologiczne, a nie intelektualne. Z pewnością mieszkańcy Nor-

-Coordu ciężko pracowali i mają ogromne osiągnięcia. Ale ich czas już się skończył.

- Nie rozumiem, czemu pan tak twierdzi. Dlaczego NorCoord nie miałby prawa istnieć jak, powiedzmy, Centauri?

- Nie chodzi mi wcale o przetrwanie - zaprotestował Bokamba. - Mówię o nadmiernym wzroście potęgi i znaczenia. Każde imperium ma określony czas rozkwitu, panie Cavanagh. Czas, po którym przechodzi do historii. Imperium rzymskie powstało i upadło. Tak samo jak dominacje Mongołów, Anglików, Rosjan i Amerykanów. Japońska Hegemonia i Panarabski

98

Kalifat przez pewien czas były najpotężniejsze, lecz i one się rozpadły.

Egzystuje jedynie imperium NorCoordu. A już nie powinno.

- Tyle tylko, że błędnie określa je pan jako imperium - odparował Arie. -

NorCoord nie jest wcale potężniejszy od innych członków Federacji Międzygwiazdnej.

Gospodarz pokręcił głową.

- Pan ocenia to niejako od wewnątrz, panie Cavanagh. Żadne państwo nie robi wrażenia na tych, którzy nim rządzą. Teoretycznie może i wszystkie stany Federacji Międzygwiazdnej są równe. Ale w praktyce to NorCoord podejmuje kluczowe decyzje. To wasi oficerowie NorCoordu dowodzą siłami Obrońców Pokoju. To wasz Parlament NorCoordu ustanawia prawa, które obowiązują wszystkich. To wasza administracja sprawuje nadzór nad handlem i finansami w całej Federacji Międzygwiazdnej. Nawet na planetach innych ras. - Uniósł rękę i zatoczył nią krąg. - Widział pan, jak żyją Granparranie. Proszę mi powiedzieć, dlaczego tu jesteśmy.

Arie sięgnął po kubek, gorączkowo starając się przypomnieć, czego uczono go w college'u o podrzędnych światach Federacji Międzygwiazdnej. Jakies pięćdziesiąt lat temu, kiedy kilka innych narodów zrezygnowało z tego po wnikliwych oględzinach, Meksyk uznał Granparę za swoją własność. Meksykanie założyli kolonię, tu na Wyspie Puerto Simone, w jedynym miejscu, gdzie Parra zdominowała śmiertelnie groźną faunę i florę planety. Ludzie wegetowali na niej przez kilka lat, lecz wreszcie skapitulowali. Wyspa pozostawała opuszczona przez następne ćwierćwiecze, dopóki w ramach realizacji programu Federacji Międzygwiazdnej, mającego zapewnić miejsce do życia ludziom pragnącym emigrować z Ziemi, nie przybyli obecni mieszkańcy.

- Bo chcieliście mieć swój własny świat - odpowiedział. - I nie chcieliście przyjąć do wiadomości, że Granparry nie da się skolonizować.

Bokamba uśmiechnął się smutno.

- Racja, takie pobudki kierowały wieloma spośród nas. Ale nie z tego powodu osiedlono nas właśnie tutaj.

- Nie rozumiem.

- Co zdarzyło się dwadzieścia pięć lat temu? Blisko, zaledwie trzydzieści lat świetlnych stąd?

99

Arie skrzywił się. Zrozumiał, do czego zmierza jego rozmówca.

- Natknęliśmy się na Ycromanów.

- No właśnie. I NorCoord uznał ich za największe zagrożenie dla ludzkości od czasu Pawolesów. Piątego nas tu sprowadzono. Żeby mieć' uzasadnienie dla rozlokowania sił Obrońców Pokoju. - Mięśnie na twarzy gospodarza zadrgały przez moment. -I stworzyć cel, którego Ycromani nie mogli zlekceważyć.

Cavanagh spojrział na Quinna, który tylko wzruszył ramionami. Widocznie dawno już przerabiał z Bokambą ten temat.

- A jednak Ycromani zignorowali go - odciął się Arie. -Odnoszę wrażenie, że nie jest pan obiektywny.

- Doprawdy? Czy to zbieg okoliczności, że ponowna kolonizacja Granparry zbiegła się w czasie z wzrostem napięcia między ludźmi a yycromańskimi Hierarchami? Czy również zbiegiem okoliczności jest fakt, iż Platforma Myrmidona została przetransportowana tu z Bergen, które w tym czasie uporczywie domagało się obrony przed grożącą im napaścią Ycromanów? A dlaczego żaden obywatel NorCoordu nie został wpuszczony na Granparrę, aż do czasu zakończenia demilitaryzacji i ustanowienia stref zakazanych?

- Na Myrmidonie służyło wielu ludzi pochodzących z Nor--Coordu - przypomniał cicho Quinn. - I wielu brało udział w demilitaryzacji.

- NorCoordianie wyobrazili sobie, że są wilkami - parsknął Bokambą. - Nie chcą wystąpić w roli owiec.

- Wkrótce będą jednym i drugim - rzekł Cavanagh. Gospodarz spojrział na niego uważnie, a jego zacietrzewienie powoli ustąpiło.

- Tak - mruknął. - Zdobywcy. Wygląda na to, że nieszczęść nie zabraknie nikomu. Mruknął jeszcze coś pod nosem, sięgnął po kubek i przez długą chwilę siedział wpatrzony gdzieś w dal. Wreszcie odetchnął głęboko, wracając myślami do terażniejszości.

- Anders uprzedził, że potrzebujesz mojej pomocy, Adamie. O co chodzi? Arie dostrzegł, że Quinn nagle sprężył się.

- Anders twierdził, że wciąż utrzymujesz jeden z naszych starych counterpunchów w sprawności bojowej. Chciałbym go pożyczyć.

- No proszę. A kto miałby nim latać?

100

Ochroniarz uśmiechnął się.

- Ja.

Bokambą zdziwiony uniósł brwi.

- Naprawdę? Już tylko dla tego warto było powstrzymać Sawę i jego koleżków. - Posłał spojrzenie Aricowi. - Co to za misja, że Adam zdecydował się znów usiąść za sterami?

Cavnagh westchnął ciężko. Podczas podróży z Ziemi obmyślił całą mowę, wykorzystując wszystkie znane mu sztuczki i zabiegi językowe. Patrząc teraz na twarz gospodarza uświadomił sobie, że wszystko to było zbyteczną stratą czasu.

- Mój brat dowodził „Kinhasą”. Sądźmy, że został schwytyany przez Zdobywców. Chcemy go odszukać i uratować.

Bokambą popatrzył na Quinna i z powrotem przeniósł wzrok na Arica.

- Dysponuje pan jakimś dowodem, że został wzięty do niewoli?

- Mamy podstawy, by tak sądzić. Ale nie jest to na tyle pewne, żeby obrońcy Pokoju zdecydowali się działać.

- Zamierzacie zrobić to sami? •

- Chciałbym wypożyczyć skrzydło axeheadów - odpowiedział Quinn. - Ojciec pana Cavanagha zajął się już zorganizowaniem paliwowca dalekiego zasięgu, który u nas pełnić będzie funkcję lotniskowca.

- Jak zamierzasz wejść w posiadanie tych myśliwców?

- Spreparuję odpowiednie rozkazy. Liczyłem, że zdobędziesz dla mnie kody operacyjne jakiegoś skrzydła. Najlepiej takiego, które od chwili ogłoszenia mobilizacji nie było jeszcze przebazowywane. Gdybym mógł uzyskać dostęp do ich bieżących rozkazów, skleciłbym zakodowane polecenie sprawiające wrażenie autentycznego.

Bokamba wstał i dołał sobie jeszcze nieco miodu.

- Mógłbym załatwić ci takie kody - oświadczył wracając na swoje miejsce. - Ale to ci nic nie da. Szczególnie w kryzysowej sytuacji, takiej jak teraz, wszystkie otrzymywane rozkazy muszą być potwierdzone. Nie jesteś w kursie... Pozostajesz wręcz poza rezerwą. Nie przeszedłbyś nawet pierwszego poziomu.

Quinn popatrzył na Arica.

- Więc polecimy sami. Oczywiście zakładając, że pożyczysz mi swój myśliwiec.

Gospodarz ponownie zajrzał do kubka i zacisnął wargi. Mło-

101

dy Cavanagh wsłuchując się w dalekie odgłosy miasta bezskutecznie starał się odczytać wyraz jego twarzy. Już sam fakt odbycia tej rozmowy mógł oznaczać kłopoty dla Bokamby, który dobrze o tym wiedział.

- Zawrę z tobą układ, Adamie - odezwał się wreszcie. - Możesz wziąć mojego counterpuncha... pod warunkiem, że myśliwce, które zabierzesz, będą pilotowane przez Miedzianogłowych.

Arie posłał ochroniarzowi pełne zdziwienia spojrzenie i otrzymał w odpowiedzi podobne.

- Doceniamy tę propozycję, komandorze... - zaczął.

- Adamie - powiedział Bokamba z wyraźną przyganą w głosie.

- Jak stwierdził pan Cavanagh, jesteśmy wdzięczni, ale nie możemy przyjąć takiej propozycji - rzekł wolno Quinn.

- Nie macie wyboru. Sami nie zdołacie spreparować rozkazów, które byłyby w stanie kogokolwiek zwieść. Natomiast ja mogę to zrobić. Ponieważ jednak należałem do Miedzianogłowych, to gdybym spróbował dogadać się z kimś z innych formacji, natychmiast wzbudziłoby to podejrzenia. A więc Miedziano-głowi albo nic z tego.

- Nie mogę się zgodzić - rzekł Quinn kręcąc głową. - Mógłbyś zapłacić za to głową. Nie po to tu przybyliśmy. Twarz gospodarza rozjaśnił przekorny uśmiech.

- Moja głowa i tak jest już w niebezpieczeństwie. Jeśli się nie dogadamy i nie doniosę o tej rozmowie, a nie mam takiego zamiaru, będę miał takie same problemy jak wy. Z drugiej jednak strony, jeśli wyprawa zakończy się sukcesem i znajdziecie komandora Cavanagha, nie będą w stanie tknąć żadnego z nas.

Bohaterowie, sami wiecie. Dlatego w naszym wspólnym interesie leży, żebyście polecili możliwie najlepiej wyposażeni.

Quinn przyglądał mu się długą chwilę.

- I to wszystko?

Bokamba przestał się uśmiechać.

- Oczywiście, że nie. Stoimy w obliczu wojny, Adamie... zrozum to. Nie chodzi o

byłe przepychanki, mające raczej wydźwięk polityczny, jak demilitaryzacja Yycromanów czy zatargi z rasami Bhurtala i Djadar. To wojna w pełnym tego słowa znaczeniu przeciw potężnemu i zdolnemu do wszystkiego wro-

102
gowi. Byłeś jednym z najlepszych pilotów, jacy kiedykolwiek latali. Może nawet najlepszym. Przeciwno wrogowi takiemu jak Zdobywcy potrzeba nam właśnie kogoś takiego. Quinn odwrócił głowę.

- Nie wiesz, dlaczego odszedłem.

- Chyba wiem - stwierdził Bokamba. - I pomimo skutków, jakie dla pozostałych miała twoja rezygnacja, nie winię cię za tę decyzję. Ale stare błędy zostały już naprawione. Wydaje mi się, że gdy zobaczysz w akcji nową generację Miedzianogłowych, na stałe wrócisz za stery.

Nastąpiła długa pauza.

- Nie mogę nic obiecać.

- Nie oczekuję tego od ciebie. Proszę tylko, żebyś dał nam jeszcze jedną szansę.

- Próba „wypożyczenia” Miedzianogłowych zamiast zwykłych pilotów może ściągnąć na nasze głowy jeszcze większe kłopoty - zauważył ochroniarz.

- Jestem przygotowany na to ryzyko - oświadczył Arie.

Jego zdaniem w obecnej sytuacji było to najmniejsze zmartwienie. Możliwość pozyskania do swoich celów pilotów elitarniej jednostki Federacji Międzygwiazdnej stanowiła jedyną i niepowtarzalną szansę, którą należało wykorzystać.

- W porządku, Iniko - powiedział Quinn. - Zgadzą się. I dziękujemy.

- Nie ma za co - odparł gospodarz uśmiechając się smutno i ściskając wyciągniętą dłoń przyjaciela. - Przecież komandor Cavanagh jest żołnierzem sił Obrońców Pokoju. Nie ma nic złego w tym, że chcemy odbić jednego ze swoich. Chodźcie, pokażę wam, gdzie trzymam swojego counterpuncha.

Drzwi uchyliły się.

- Panie VanDiver? - odezwał się niepewnie młody asystent.

Jacy VanDiver spojrzał na niego z wściekłością. Czy ten człowiek nie potrafi dostrzec, że on jest zajęty?

- O co chodzi, Peters?

- Przyszedł raport od pana Taurina Lee z Avonu. - Chłopak wyciągnął rękę z kartą. - Mówił pan, że chce być o wszystkim informowany na bieżąco.

103

Parlamentarzysta zmarszczył czoło. Co Lee robił na Avonie? Ach tak. Poleciał mu mieć oko na Cavanagha i jego rodzinę po tym jak ten nieodpowiedzialny głupiec Rudzinski zdradził im informacje zebrane przez Obrońców Pokoju.

- A więc co to jest?

Peters zrobił krok naprzód, podtykając mu kartę pod nos.

- Nie, ty mi powiedz. Nie mam czasu na czytanie.

- Tak jest.

Asystent wyjął swoją tabliczkę i wsunął do niej kartę, kuląc się pod spojrzeniem pryncypała. Był młody i pracował od niedawna, ale powinien już wiedzieć, że delegat do Parlamentu NorCoordu nie ma czasu czytać wszystkiego, co przechodziło przez jego biurko. W tym właśnie mieli pomagać asystenci tacy jak on.

- Tak jest - powtórzył. - Lord Stewart Cavanagh odleciał na Edo wkrótce po rozpoczęciu pracy przez pana Lee. Arie Cavanagh - to najstarszy syn lorda Cavanagha...

- Wiem - uciął zdenerwowany VanDiver. - Dalej.

- Tak jest. Arie Cavanagh udał się na Granparę na pokładzie transportowca

CavTronics. Doktor Melinda Cavanagh także odleciała transportowcem. W nieznanym kierunku.

- Jak to w nieznanym kierunku? - oburzył się parlamentarzysta. - Przecież mają obowiązek podać plan lotu, prawda?

- Hmm... - Peters pospiesznie przeszukiwał raport. - Pan Lee milczy na ten temat. Może ów plan nie został przekazany normalną drogą. Czasami tak się dzieje.

- Albo Cavanagh stara się być sprytny - warknął YanDiyer. A więc nie mylił się - Cavanagh coś kombinował. I cokolwiek to było, na pewno zrodzi jakieś problemy. To mógł powiedzieć od razu. - Prześlij Lee wiadomość - polecił. - Przekaż, że ma ustalić, dokąd poleciał transportowiec, i wysłać kogoś ze swoich ludzi za córką. I za synem. To zawsze była wzorowa rodzina - chcę wiedzieć, dlaczego tak nagle się rozdzielili. Sam Lee ma nie spuszczać z oka lorda. Niech przekazuje na bieżąco wiadomości, co robi każde z nich i gdzie. Jasne?

- Tak jest - odpowiedział Peters pospiesznie notując wszystko na swojej tabliczce. - Coś jeszcze, proszę pana?

VanDiver zawahał się. Nie wiedział jeszcze, co Cavanagh ma w zanadrzu, ale bez wątpienia było to coś poważnego. Tylko tego można się po nim spodziewać.

104

- Niech Lee poinstruuje swoich ludzi, że jeśli ktokolwiek z rodziny Cavanaghów choćby zbliży się do jakiegoś dziennikarza, należy natychmiast aresztować ich wszystkich.

Pióro asystenta zamarało w powietrzu.

- Dobrze słyszysz - warknął delegat. — Niech Lee coś wymyśli. Niech powoła się na mnie... albo na bezpieczeństwo Federacji... cokolwiek. Cavanaghom nie można pozwolić na skontaktowanie się z dziennikarzami.

- Tak jest - rzekł Peters. Skończył notowanie i uniósł głowę. - To już wszystko, proszę pana?

VanDiver przez chwilę bacznie mu się przyglądał. Usta młodzieńca były zaciśnięte i parlamentarzyście przyszło do głowy, że chłopak myśli o historiach zasłyszanych o Cavanaghu.

- Możesz być pewien, że to nie ma nic wspólnego z tak zwaną wojną między mną a nim - powiedział. - Rzeczywiście kiedyś konkurowaliśmy w interesach, a gubernator Grampiansu trzykrotnie wytypował jego, a nie mnie na delegata do Parlamentu. Ale to już stare dzieje. Tutaj chodzi - dla podkreślenia swych słów wpił palec w blat biurka - o bezpieczeństwo całej Federacji. Rodzina Cavanaghów dysponuje ściśle tajnymi informacjami na temat starcia ze Zdobywcami, których w ogóle nie powinna była poznać. Może to zakłócić prawidłową pracę rządu i działania sił Obrońców Pokoju, jeśli owe informacje przedostaną się do publicznej wiadomości. Zamierzam zrobić wszystko, żeby do tego nie doszło.

- Tak jest. - Peters wciąż sprawiał wrażenie nie do końca przekonanego, ale napięcie zniknęło z jego twarzy. - Przekażę wszystko najbliższemu łącznikowcem lecącym na Avon.

Wyszedł. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, VanDiver mruknął stare przekleństwo, którego nie używał chyba od trzydziestu lat. Obrońcy Pokoju intensywnie przygotowywali się do walki, a po całej Federacji Międzygwiazdnej rozeszły się już rozmaite plotki. Parlament zaledwie godzinę temu udostępnił opinii publicznej oficjalną wersję zdarzeń w rejonie Dorcas, a tymczasem jemu - delegatowi Jacy'emu VanDiverowi - znów wszedł w drogę ten przeklęty Stewart Cavanagh. Z jego osobą zawsze wiązały się wyłącznie kłopoty.

Ale to już ostatni raz. Wreszcie, przy odrobinie szczęścia, na dobre pograży Cavanagha.

Łącznikowiec odleci na Avon nie prędzej niż za jakieś pół
105

godziny. VanDiver wywołał katalog oficjalnych druków i wyświetlił jeden z najrzadziej używanych. W zależności od miejsca, jakie Cavanagh wybrał na realizację swoich zamiarów, Lee może mieć trudności z uzyskaniem na czas pomocy. Ale dysponując carte blanche Parlamentu NorCoordu, uniknie całej masy kłopotów. Gdziekolwiek udałby się Cavanagh, zawsze gdzieś w pobliżu znajdą się jakieś oddziały Obrońców Pokoju. Uśmiechając się złośliwie VanDiver zaczął wypełniać druk.

Luk „Cavatiny” został otwarty i wraz ze świeżym powiewem do korytarza wyjściowego przeniknęły egzotyczne zapachy Mra-mig - jednego ze światów Mrachów. Lord Cavanagh wyszedł na rampę i wciągnął w płuca mroźne powietrze. Dawno już nie był na żadnej z pięciu planet zasiedlonych przez Mrachów i zdążył zapomnieć tutejsze zapachy. Lecz teraz czuł je znowu, a wraz z nimi wróciły wspomnienia dotyczące tajemniczej i obcej kultury mieszkańców tych światów.

Obcość tę widać widać już było z rampy „Cavatiny”. W górze przemykała właśnie grupa łącznikowców, a ich srebrne kadłuby lśniły oślepiająco w słońcu. W dali, ponad zbudowanym z ciemnego marmuru terminalem portu i dachami budynków leżącego za nim miasta Mig-Ka, wznosiły się niemal czarne góry zwieńczone białymi śnieżnymi czapami. Tajemniczość, odmienność i jakże różna od innych cywilizacja - to wszystko cechowało kulturę Mrachów.

Ale nawet i ten świat zmieniał się teraz w obliczu zagrożenia ze strony Zdobywców. Na przykład przelatujące łącznikowce były najwyraźniej pospiesznie wyposażone w wyrzutnie raketowe i ich silniki pracowały na maksymalnych obrotach, by zrównoważyć dodatkowe obciążenie. Rozległe lądowisko, zaplanowane na setkę prywatnych jednostek rozmiarów „Cavatiny”, było w dwóch trzecich puste, a parkujące statki w zdecydowanej większości stanowiły własność Mrachów. Według kapitana Tevy byli pierwszą od dłuższego

107

czasu jednostką, która tu wylądowała. Inni pospiesznie startowali.

Gdy wreszcie oficjalnie ujawniono informację o ataku Zdobywców we wszystkich mrachańskich światach, zarówno miejscowi, jak i przyjezdni z obawą zaczęli spoglądać w niebo. Ci ostatni, jeśli tylko mogli, jak najszybciej opuszczali zagrożony obszar.

- Cóż za ironia - stwierdził stojący u boku lorda Kolchin. -Kiedy Mrachowie w każdej chwili spodziewali się najazdu ze strony Imperium Ycromanów, pojawiliśmy się my i ugasiłmy ten ogień. Teraz znowu grozi im zagłada, dla odmiany ze strony Zdobywców, a my możemy nie być w stanie ich przed tym uchronić.

- Nie uznałbym tego za ironię - odpowiedział Cavanagh. -Raczej tragedię.

Ochroniarz pokręcił głową.

- Rzecz w tym, że gdybyśmy wóczas nie interweniowali, nie mieliby innego wyjścia jak tylko zbudować jakieś systemy obronne i nauczyć się nimi posługiwać. Ale nasze przybycie zmusiło Ycromanów do wycofania się. Mrachowie nic nie musieli robić, więc wszystko pozostało po dawnemu.

Lord przytaknął, rozumiejąc teraz w czym rzecz.

- Tak, masz rację. Muszą nadrobić stracony czas.

- Właśnie. Ale jedno jest oczywiste: nie da się szybko nauczyć walki.

Jakiś ruch za plecami zwrócił uwagę Cavanagha: wyprowadzano z ładowni ich pojazd

naziemny.

- Kilka lat temu spędziłeś jakiś czas w Mig-Ka, prawda? -zapytał podwładnego, gdy ruszyli w dół.

- Zaledwie kilka tygodni. Mrachowie poprosili dowództwo, żeby przysłało im specjalistów od systemów obrony miast.

- Co o tej rasie sądzisz?

- Trudno powiedzieć - rzekł powoli Kolchin. - Sprawiali sympatyczne wrażenie... uprzejmi, przyjaźni i tak dalej. Ale... sam nie wiem. Potrafili gadać i gadać, a nic z tego nie wynikało. Kiedy w ten sposób postępują wojskowi, od razu widać, że to niewłaściwi ludzie do tej roboty. Czasami myślałem, że trzeba bronić Mrachów za wszelką cenę, ale zdarzały się chwile, kiedy sam byłbym gotów zniszczyć całą tę planetę.

Cavanagh pomyślał o własnych, co prawda rzadkich, kontaktach z Mrachami.

108

- Wiem, o czym mówisz. Potrafią wzbudzać różne, czasami zupełnie przeciwstawne uczucia. I chyba wcale nie zdają sobie z tego sprawy.

Kolchin skrzywił się.

- My także postępowaliśmy wtedy podobnie. Mieliśmy w oddziale dwóch facetów z Modendiny na Palisadesie, którzy poza służbą mieli zwyczaj rozmawiać ze sobą po włosku, i trzech z Edo, którzy szeptali między sobą po japońsku. A do kompletu był z nami Szalony Ray, przeklinający w dwudziestu różnych językach i gestykulujący przy tym jak opętany. Mrachowie nie rozumieli obcych słów i to doprowadzało ich do wściekłości.

Kiedy podeszli do pojazdu, za kierownicą siedział już Hill.

- Kapitan Teva zameldował się w kapitanacie portu - poinformował - Możemy jechać.

- Żadnej odprawy? - zdziwił się Kolchin.

- Widocznie nie obowiązuje przybywających. Teva odniósł wrażenie, iż Mrachowie są zachwyceni pojawieniem się kilku dodatkowych ludzi, których obecność będzie widoczna w mieście.

- Zapewne myślą o wykorzystaniu nas jako swego rodzaju gwarancji, gdyby Yycromani zdecydowali się na atak - mruknął były komandos. - Goszcząc nas tutaj mogliby liczyć na kontrakcję Obrońców Pokoju.

- Możliwe - zgodził się Hill. - Według Tevy oddziały stacjonujące w strefie zakazanej zaczęto przerzucać na granicę i na pozycje obrony planetarnej w innych częściach sektorów Lyra i Pegasus. -Spojrzał pytająco na pracodawcę. - Dokąd jedziemy?

- Do Agencji Informacyjnej. Chyba najlepiej zacząć właśnie od tego.

- Tak jest. - Hill wprowadził odpowiednie dane, zerknął na wyświetloną mapę i wyjechał na drogę pomiędzy sektorami postojowymi statków. - Aha, byłbym zapomniał, zarząd portu zarezerwował dla nas miejsca w hotelu „Mrapiratta” - rzucił przez ramię. - Niedaleko portu.

Cavanagh zmarszczył brwi.

- Powiedziałem Tevie, że nie potrzebujemy zakwaterowania.

- Tak, ale Mrachowie nalegali, żebyśmy zatrzymali się w hotelu. Lord rozeźlony pokręcił głową. Jedną z bardziej irytujących

109

cech tej rasy był ich upór w traktowaniu wszystkich gości, jakby wymagali szczególnie starannej opieki. Skrupulatnie dbali o zapewnienie im zakwaterowania w hotelach tuż obok portu gwiazdowego lub w centrum miasta. Większość ludzi

aprobowała tę nadgorliwość, szczególnie że należność za miejsce w luksusowym hotelu stanowiła zaledwie ułamek ceny za taką usługę, w innych światach Federacji Międzygwiazdnej.

Nie wiedział, jak reagują na to przedstawiciele innych ras, bowiem w czasie swojej bytności nikogo takiego nie spotkał. Jakoś nigdy nie udało mu się dowiedzieć, gdzie ich kwaterowano, choć przecież musieli bywać na tej planecie.

- Hill, mamy jakąś lornetkę? - zapytał niespodziewanie Kol-chin, wyglądając przez tylną szybę.

- W prawej szufladzie pod siedzeniem. A dlaczego pytasz?

- Coś się zbliża - odparł były komandos.

Wyjął lornetkę, podczas gdy Hill zatrzymał pojazd. Odchylił się, oparł łokieć na zagłówek i spojrzał w górę.

Cavanagh także się odwrócił i zaczął przeszukiwać niebo. Wreszcie zauważył punkcik wyraźnie zmierzający w kierunku portu gwiazdowego.

- Kłopoty? - zapytał.

- Nie wiem. To maszyna Ziemi... wygląda na statek łącznikowy. Nowy typ. Taki, jakich używają teraz parlamentarzyści i oficerowie dowództwa Obrońców Pokoju.

- Po co tu przyleciał? - mruknął Hill.

- To zagrożony obszar, więc raczej nie z rutynową wizytą - orzekł Kolchin. -

Jeśli w środku jest któryś z delegatów, musi to być coś poważnego. - Opuścił lornetkę i spojrzał na szefa. - Na przykład poinformowanie Mrachów, że ludzie zaprzestają kontroli nad Yycromanami.

Przez długą chwilę w samochodzie panowała cisza. Wszyscy trzej zastanawiali się, jakie konsekwencje może spowodować pozostawanie na obszarze kontrolowanym przez Mrachów w momencie, gdy nagle zawieszono zostaną ograniczenia w ruchu statków wokół planet Yycromanów.

- Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków - rzekł wreszcie lord. -

Parlamentaryzista może nie zechcieć zapuszczać się w tak niebezpieczną okolicę osobiście, ale wielu gotowych byłoby poświęcić swego asystenta, żeby zorientować się w panującej tu sytuacji. A gdyby ktoś chciał przekazać jakąś ważną

110

wiadomość, to skierowałby ją bezpośrednio na Mrą. Rząd Mrachów sam prześle ją już na pozostałe planety.

- Być może - zgodził się Kolchin odkładając lornetkę. - Proponuję, żeby polecił pan kapitanowi utrzymywanie statku w gotowości. Na wypadek gdybyśmy musieli stąd szybko zniknąć.

Lord jeszcze raz popatrzył na wyraźnie już widoczny statek, jedyny oprócz należącego do nich, który zdecydował się tu teraz wylądować.

- Tak - zgodził się. - To chyba dobry pomysł.

Przypominająca mysz pysk twarz Mracha zdawała się spłaszyc, a opalizująca szczecina pokrywająca szyję i ramiona zjeżyła się.

- Raczy pan żartować, lordzie Cavanagh - oświadczył melodyjnym tenorem, który zupełnie nie pasował do jego wyglądu. - Folklor? Stare opowieści? Plotki i legendy na nic się nie przydają, gdy w grę wchodzi poważne sprawy.

- To interesujący pogląd - odparł lord. - Szczególnie gdy weźmiemy pod uwagę fakt, że to właśnie z nich zaczerpnięto określenie „Zdobywcy”, którego używa się powszechnie w Parlamencie NorCoordu w stosunku do naszych nowych wrogów.

Sierść przyłgnęła do ciała Mracha.

- Czy to przedstawiciel naszej rasy wspominał o tych legendach? - zapytał, a w jego głosie zabrzmiała gorycz. - Czy w ogóle je potwierdził? Nie. To zapewne

sprawka Yycromanów.

- Zgadza się. Ale nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. Faktem jest, że natknęliście się kiedyś na obcą rasę...

- Tak twierdzą Yycromani - zaprotestował Mrach. - Oni mówią wiele rzeczy, które nie mają nic wspólnego z prawdą. Wciąż starają się nakłonić ludzką Federację Międzygwiazdową, by przestała chronić nas przed ich agresją.

- Federacja nie ma zamiaru opuścić Mrachów - zapewnił go Cavanagh. - Ale...

- Naprawdę? Wciąż docierają do nas słuchy, że ludzkie siły wkrótce zostaną wycofane z rejonu światów Yycromanów.

- Przecież plotki nic nie znaczą, gdy w grę wchodzi poważne sprawy - przypomniał spokojnie Kolchin.

- Ale nawet zagrożenie ze strony Yycromanów błędnie przy

111

nowym, wiszącym nad naszymi domami - ciągnął Mrach nie zwracając uwagi na przyganę. - Zawierzyliśmy sile ramion i umysłem ludzi. Czy jesteście w stanie bronić nas także przed tym zagrożeniem?

- Jak już powiedziałem, Federacja Międzygwiazdowa nie zamierza was opuścić - rzekł lord z naciskiem. - Ale skuteczność przeciwdziałania i możliwości ludzi w znacznym stopniu uzależnione są od wiedzy o przeciwniku, z którym przyjdzie nam się zmierzyć. Wszystko, przed czego udostępnieniem wzbraniacie się teraz, nawet legendy, może wpłynąć na nasze postępowanie.

Mrach skulił się.

- Grozi nam pan? - jęknął. - Nasze życie spoczywa w rękach Federacji Międzygwiazdowej.

- Nawet o tym nie pomyślałem - powiedział Cavanagh z westchnieniem, czując rosnącą złość, ale równocześnie i litość. Kolchin miał rację. Można lubić Mrachów i jednocześnie chcieć poskręcać im karki. - Staram się tylko udowodnić, że nie czas na wyciąganie zadawnionych animozji. Ludzie i Mracho-wie znajdują się w tym samym położeniu, a więc wszystkie posiadane przez was informacje i doświadczenia mogą okazać się ważne. Choćby zdawały się zupełnie błahe.

Mrach długo wpatrywał się w twarz rozmówcy.

- Wydam polecenia, żeby odszukano te opowieści - rzekł wreszcie, unosząc drobne ramię i opuszczając je w geście rezygnacji. - Jeśli coś znajdziemy, natychmiast panów powiadomię. Gdzie się zatrzymaliście?

- Będziemy na naszym statku. Na „Cavatinie”...

- To prywatny statek?

- Tak. Zarejestrowany na Avonie. Parkuje na lądowisku...

- A więc nic z tego - uznał urzędnik. - Dane nie mogą być przekazane na obcy statek. Musicie zamieszkać w hotelu. Lord zmarszczył czoło.

- O czym pan mówi? Przecież nigdy nie było żadnych problemów.

- Sytuacja się zmieniła - stwierdził Mrach. - W wyniku przygotowań do wojny i braku ludzi wprowadzone zostały pewne ograniczenia. Dane mogą być obecnie przekazywane tylko na mrachońskie statki i do budynków.

Cavanagh doszedł do wniosku, że takie zasady rzeczywiście mogły zostać wprowadzone. Ale zapewne prawdziwym celem,

112

zgodnie z opinią kapitana Tevy, było ściągnięcie do miasta jak największej liczby ludzi, by stanowili zabezpieczenie przed atakiem Yycromanów.

Bez względu na intencje gospodarzy i tak nie mieli wyboru, jeśli rzeczywiście chcieli uzyskać dostęp do danych, na których im zależało.

- W porządku - powiedział były parlamentarzysta. - Może pan przesłać nam informacje do hotelu „Mrapiratta”. -1 przypominam, że zależy nam na czasie.
- Zaraz wydam stosowne polecenia. Nic więcej nie mogę obiecać. Jak już mówiłem, mamy ograniczone możliwości, zrobimy jednak wszystko, co w naszej mocy.
- Z góry dziękuję - rzekł Cavanagh. -1 jeszcze raz przypominam, że w walce ze Zdobywcami wasze informacje mogą zadecydować o naszym zwycięstwie lub zagładzie. Mrach patrzył na niego jeszcze długą chwilę. Wreszcie bez słowa odwrócił się i pochylił nad terminalem.

Rozmowa najwyraźniej dobiegła końca. Lord wymienił z Kblchinem spojrzenia i ruchem głowy wskazał drzwi. Ochroniarz przytaknął i wyszli.

- Co o tym sądzisz? - zapytał lord, gdy znaleźli się na ulicy.

- Nie był zachwycony. Zdaje mi się, że według niego to tylko niepotrzebna strata czasu.

- Niewykluczone - zgodził się.

Sądził, że legendy o kontaktach ze Zdobywcami są wśród Mrachów powszechnie znane, nawet jeśli nie wszyscy w nie wierzą. Teraz jednak pomyślał, że może marnuje czas, zarówno swój jak i ich. Marnuje czas, ale przede wszystkim robi z siebie głupca.

Odpędził te myśli zły, że w ogóle przychodzą mu do głowy. Nigdy jeszcze nie dopuścił, by ryzyko ewentualnego ośmieszenia się powstrzymało go przed czymkolwiek. Teraz, gdy na szali mogło spoczywać życie Pheylana, byłby to najgorszy moment na zmianę sposobu postępowania.

Życie Pheylana i Arica.

- Damy im całą noc - zdecydował rozglądając się i unosząc rękę, by przywołać samochód. - Poczekamy do jutra.

- A więc jednak spędzimy tę noc w hotelu? - zapytał Kolchin, gdy Hill zatrzymał się przy nich i otworzył drzwiczki.

- Musimy - rzekł Lord wsiadając do wozu. - Ale jeśli nie

8 - Duma zdobywców

113

dowiemy się nic do obiadu, spróbujemy innej taktyki. Udamy się w okolice portu i poszukamy jakiegoś starego, rozmownego mrachońskiego pilota.

- Osobiście nie radziłbym tego - rzekł komandos. - Może się tam kręcić mnóstwo przedstawicieli innych ras. Po co ryzykować?

- Wątpię, żebyście mieli problemy z jakimś pijanym Pawole-sem. Zmiana planów, Hill. Jedziemy do hotelu „Mrapiratta”.

- Tak jest - odpowiedział słuźbiście kierowca, jednocześnie spoglądając uważnie we wsteczne lustro. - Zanim odjedziemy, proponuję spojrzeć na lewo. Na drugą stronę ulicy, pod ten trójkątny występ.

Cavanagh ostrożnie odwrócił głowę. We wskazanym miejscu dostrzegł przykucniętą, opartą plecami o ścianę, włochatą postać samicy rasy Sanduul, na którą marchañscy przechodnie w ogóle nie zwracali uwagi. Na jej kolanach spoczywała drewniana trapezoidalna ramka z rozpiętą na niej tkaniną.

- Wygląda na to, że coś tka czy haftuje.

- Ja też tak sądzę - zgodził się Hill. - A teraz proszę spojrzeć na wylot tej uliczki, dwa budynki dalej.

Stało tam trzech, z wyglądu młodych, ciepło ubranych Mrachów.

- O co chodzi?

- Stali tam już zanim zaparkowałem wóz. Nie jestem całkiem pewien, ale wydaje mi się, że obserwują Sanduulkę. Lord spojrzał na niego zdziwiony.

- Po co mieliby to robić?
- Nie wiem. Ale nie widzę innego powodu, dla którego mieliby sterczeć akurat w tym miejscu.
- Może po prostu na kogoś czekają? - podsunął Kolchin.
- A więc dlaczego nie wejdą do któregoś z budynków, żeby nie marznąć?
- Może nie są stąd. I wyznaczyli sobie tę uliczkę na miejsce spotkania.
- W takim razie co robią tamci? - zapytał kierowca, wskazując bardziej w lewo.
Lord spojrział w tę stronę: w zacienionej wnęce stało jeszcze dwóch młodych Mrachów. Widać było, że tkwią tam już od dawna i nie zamierzają szybko odejść. I rzeczywiście od czasu do czasu zerkali w stronę Sanduulki.

114

- Nie czekają także na żaden środek lokomocji - dodał Hill. - Sprawdziłem. Nie przebiega tędy żadne regularne połączenie.
- Ciekawe - mruknął Cavanagh, w zamyśleniu drapiąc się w policzek. - Szczególnie biorąc pod uwagę narzekania na brak rąk do pracy. Ciekawe, jakie mają zamiary.
- Jeśli pan chce, to razem z Hillem postaramy się tego dowiedzieć - zaproponował były komandos. Lord jeszcze raz zlustrował wzrokiem obie grupki Mrachów.
- Tak, trzeba by się tym zainteresować - orzekł. - Ale pójdziemy razem, Kolchin. Zajmiemy się chyba tymi w uliczce. Hill, możesz podjechać do nich od tyłu?
- Tak, ale czy nie powinienem pozostać z wami, tak na wszelki wypadek? Cavanagh uniósł brwi.
- Przeciwno piątce Mrachów? Lepiej żebyś odciął im drogę ucieczki, kiedy zorientują się, że zmierzamy w ich stronę. Damy ci kilka minut, abyś zajął właściwą pozycję.

Wraz z Kolchinem wysiadł z samochodu.

- Szczerze mówiąc chciałbym zauważyć, że nie jest to najlepszy pomysł - odezwał się ochroniarz. - Wolałbym, żeby to pan siedział w wozie. Nigdy nie wiadomo, jak mogą zareagować przedstawiciele innych ras.
- Właściwie masz rację. Ale tu chodzi o Mrachów i Sanduulkę. Trudno znaleźć kogoś o bardziej pokojowym nastawieniu.
- Być może - rzekł Kolchin nie przekonany. - Zamierza pan porozmawiać z Sanduulką?

- To dobry sposób, żeby dać Hillowi trochę czasu. Poza tym zawsze chciałem zobaczyć, jak powstają te tkaniny.

Przeszli przez ulicę, minęli obojętnie dwóch Mrachów stojących w zagłębieniu muru i skierowali się prosto ku Sanduulce. Z bliska Cavanagh dostrzegł, że jej jedyną osłonę przed zimnem stanowi cienki koc okręcony ciasno wokół tułowia. Rama spoczywała wsparta na długich, podkurczonych nogach, a poruszające się dłonie drżały z zimna.

Kolchin także zwrócił na to uwagę.

- Wygląda na to, że to nie najlepsze miejsce dla niej - zauważył.
- W niektórych częściach Ulu jest jeszcze zimniej. Ale tam noszą grube ubrania.

115

Podeszli do tkaczki i zatrzymali się.

- Witaj - zagadnął lord.

Sanduulka podniosła wzrok, a jej ręce zamarły na moment.

- Dzień dobry, panowie - odpowiedziała nieco zniekształcając słowa i wydając przy tym charakterystyczny świst. - Czy przyszliście zobaczyć mój kilim?

- Jeśli można...

- To dla mnie zaszczyt.

Uniosła ręce, przerywając jedwabistą nitkę wychodzącą z kę-dziorka przędnego. Cavanagh delikatnie uniośł dzieło. Przedstawiało Agencję Informacyjną, ponad którą piętrzyły się góry. Słońce na wpół widoczne pomiędzy dwoma szczytami przysłaniały białe obłoki.

- Proszę to obrócić, o tak - zaproponowała Sanduulka.

Lord posłuchał i nagle obraz zmienił się. Niby wszystko znajdowało się na swoim miejscu, lecz zmianie uległa pora dnia i nastrój. Zamiast krwistego wschodu widać było teraz zachód słońca, a miejsce napawającej radością obietnicy nowego poranka zajął smutek związany ze schyłkiem kolejnego zmarnowanego dnia.

- Nadzwyczajne - szepnął były parlamentarzysta zwracając dzieło. - Wprost niewiarygodne. Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego.

Sanduulka szeroko otworzyła usta odsłaniając ostre jak brzytwa zęby, które tak przerażyły ludzi podczas pierwszego spotkania z tą rasą.

- Jestem zaszczycona - powiedziała. - Fibbit u Bibrity u Tabli ak Prib-Ulu pragnie ci podziękować.

- Cavanagh z Hamiltonów z Townsendsów z Granprians-Avonu pragnie zapewnić, że cała przyjemność po jego stronie - odpowiedział lord, mając nadzieję, że we właściwym porządku dokonał rytuału prezentacji.

- Widziałem już sanduuliańskie tkaniny, ale nigdy tak wspaniałej. Czy mogę zapytać, dlaczego pracujesz tu, a nie na Ulu?

Pajęcza głowa odwróciła się, gdy samica obcych ponownie wsparła ramkę o nogi.

- Mrachowie także chcą podziwiać moje umiejętności. Zaprosili mnie, żebym doskonalila je na Mra-mig. Podarowano mi pieniądze i obiecano możliwość współpracy z mrachańskimi artystami.

116

Cavanagh spojrział na cienkie okrycie targane powiewami wiatru.

- Cóż więc się stało?

- Sama nie wiem - odparła ze świstem wypuszczając powietrze. - Kiedy przyleciałam, powiedziano mi, że to pomyłka i odebrano przyznane wcześniej pieniądze. Nie miałam środków na opłacenie powrotu do domu. Wciąż więc tu jestem.

- Nie udało ci się uzyskać niczyjej pomocy? A ambasada sanduulska?

- Na Mra-mig nie ma przedstawicielstwa Sanduuli - odpowiedziała Fibbit. -

Chciałam przesłać wiadomość na Ulu, ale i na to nie było mnie stać.

Lord zmarszczył czoło. Musiała żyć na granicy nędzy, skoro nie mogła sobie pozwolić na wysłanie zwykłego listu. Nawet wiadomości przesyłane bezpośrednio łącznikowcem nie kosztowały dużo.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Pół roku. - Przeciągnęła pazurem po okryciu. - Robiło się coraz zimniej.

- To długo. Jak więc sobie radzisz? Delikatnie pogładziła swe dzieło.

- Tkam. Czasami zatrudniają mnie Mrachowie, jak na przykład teraz. Robię też ich portrety, a także innych, i później staram się je sprzedać.

- Innych?

- W mieście są przedstawiciele różnych ras. Także ludzie -ponownie odsłoniła ostre zęby w uśmiechu. - Lubię robić ich portrety. Twarze mają ogromną głębię. Ale tutaj jest niewielu waszych.

- Jestem zdziwiony, że w ogóle spotkałaś tu choć jednego -stwierdził lord, starając się zrozumieć, o co właściwie chodzi. Przecież Fibbit była zupełnie niegroźną przedstawicielką wybitnie pokojowo nastawionej rasy. Dlaczego więc Mrachowie tak uporczywie ją obserwowali? Przecież mogli jej się pozbyć kupując

bilet powrotny na Ulu.

- Jest ich kilku - zapewniła tkaczka. - Jeden był tu dwukrotnie, odkąd zaczęłam tę pracę. Jego twarz jest naprawdę wyjątkowa.

Cavanagh słysząc to wyraźnie się zdziwił.

- Mówiąc „tu” masz na myśli budynek Agencji Informacyjnej?

117

- Tak. Był tu cztery i sześć dni temu. Lord spojrzął na Kolchina, a on w odpowiedzi tylko lekko wzruszył ramionami.

- Przecież właśnie tu skieruje swoje kroki każdy przyjezdny chcąc zdobyć potrzebne mu informacje - zauważył komandos.

- Masz rację - zgodził się były parlamentarzysta. Ale jeśli ten człowiek był kimś ważnym lub niebezpiecznym, to mogłoby tłumaczyć, dlaczego Fibbit jest obserwowana. - Rozmawiałaś z nim?

- Nie. Minał mnie nie odzywając się ani słowem. Ale jego twarz była niezwykła.

- Jak dobrze ją pamiętasz? Wystarczająco, żeby odtworzyć jej rysy na tkaninie?

- Nie ma takiej potrzeby. Już to zrobiłam.

- Naprawdę? - zapytał Cavanagh ponownie spoglądając na kilim. Właściwie nie powinno go to interesować. Przyleciał tu przecież w zupełnie innym celu. Ale jak na razie zrobił już wszystko co mógł, a sytuacja, w jakiej znalazła się Fibbit, coraz bardziej go intrygowała. - Czy mógłbym zobaczyć tamto dzieło?

- Będę zaszczycona. Mam je w domu, niedaleko...

- Mamy towarzystwo - przerwał jej Kolchin. Lord odwrócił się. Trzej Mrachowie przechodzili właśnie przez ulicę, wyraźnie kierując się w ich stronę.

- Znasz któregoś z nich, Fibbit? - zapytał.

- To ten w środku zlecił mi wykonanie tej tkaniny. Może idzie, żeby zobaczyć, jak posuwa się praca. A może nie. Twarze Mrachów nie są tak wyraziste jak ludzkie.

Cavanagh popatrzył na nich uważnie. Uświadomił sobie, że rzeczywiście trudno z nich cokolwiek odczytać. Dziwne, że nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi.

- Zobaczymy, czego chcą.

- Lordzie Cavanagh - odezwał się środkowy z trzech Mrachów, którzy zatrzymali się przed nimi. - Muszę stwierdzić, że pańska obecność tutaj zaskoczyła mnie. Sądziłem, że udał się pan do hotelu, by oczekiwać wiadomości od nas.

- Mój kierowca zwrócił uwagę na Fibbit - wyjaśnił były delegat, uważnie przyglądając się rozmówcy. Z pewnością nie był to urzędnik, z którym rozmawiali w budynku. Ten był wyższy, starszy i sądząc ze sposobu wysławiania się, bardziej wykształcony. - Zawsze interesowały mnie sanduulskie tkaniny.

118

Usłyszawszy imię tkaczki Mrach jakby się nieco zjeżył, lecz równie dobrze mógł to spowodować podmuch wiatru.

- Tak, to prawdziwa mistrzyni - zgodził się. - Mrachowie nabyli już kilkanaście jej dzieł. Może chciałby je pan obejrzeć? W swoim biurze mam zanotowane, gdzie obecnie się znajdują.

- Może później. Przyszedł pan, żeby mi to zaproponować? Mrach wyglądał na zaskoczonego.

- Wcale nie zamierzałem z panem rozmawiać - odpowiedział podchodząc do Fibbit. -

Jak już powiedziałem, pańska obecność tu po prostu zdziwiła mnie. Zamierzałem tylko sprawdzić, jak realizowane jest moje zamówienie.

Tkaczka bez słowa podała mu ramkę. Przyjrzał się uważnie, po czym pozwolił zrobić to także swym towarzyszom.

- Dzieło jest wspaniałe - powiedział. - Dokładnie takie jak chciałem. Chodź ze mną, to od razu ureguluję należność.

- Teraz? - zdziwiła się Fibbit. - Przecież jeszcze nie skończyłam.

- Jest już właśnie takie, jak chciałem - powtórzył Mrach stanowczym tonem. - Zapłata czeka. Chodź.

- Już idę. - Tkaczka wstała, ukazując swój imponujący wzrost. - Jestem gotowa - oświadczyła, owijając się szczelniej kocem.

Mrach zwrócił się do Cavanagha raz jeszcze.

- Informacje dla pana wkrótce będą gotowe, lordzie - oświadczył. - Mam nadzieję, że się przydadzą.

- Ja także.

Cała czwórka oddaliła się, z pajęczokształtną Fibbit górującą nad dość niskimi Mrachami.

- Jeszcze nie zameldowaliśmy się w hotelu - przypomniał Kolchin. - Jeśli wiadomość dotrze tam przed nami, zostanie odesłana.

- Wiem - odpowiedział Cavanagh, obserwując odchodzących. To wszystko zdawało się takie naturalne i oczywiste... a jednak czuł, że dzieje się coś dziwnego. Coś, czego nie potrafił dokładnie określić.

- Na razie pojedę do hotelu tylko z Hillem. Chciałbym, żebyś został tu jeszcze trochę. Upewnij się, czy Fibbit nic nie grozi. Ochroniarz sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Fibbit?

- Tak. Zbyt pośpiesznie sprzątnęli nam ją sprzed nosa.

119

Kolchin zamyślił się nad tym.

- Niewykluczone - rzekł wreszcie. - Ale zupełnie nie rozumiem ich intencji. Co to wszystko może mieć wspólnego z nami?

- Ja również. Mam jednak jakieś niejasne przeczucie, że otarliśmy się o coś ważnego.

- Czy czekając mam porozmawiać z tamtymi w uliczce? Jakiś ruch z prawej zwrócił uwagę lorda. Kiedy odwrócił głowę, zobaczył swój samochód zjeżdżający na pobocze.

- Musieli mnie zauważyć - rzekł przez otwarte okno Hill. - Zniknęli. Jakąś minutę temu. - Spojrzał na miejsce, gdzie wcześniej siedziała Fibbit. - Ta Sunduulka też odeszła?

- Zabrali ją do budynku Agencji - wyjaśnił Cavanagh. - Rzekomo żeby zapłacić za zleconą pracę. W którą stronę poszli tamci?

- W przeciwną - odpowiedział kierowca wskazując za siebie. - Chociaż mogli nas już obejść od tyłu.

- Lepiej ruszajmy - włączył się Kolchin. - Jeśli nas obserwują, wyglądamy dość podejrzanie. Możecie wysadzić mnie przecnicę dalej. Hill, mamy z tyłu składany skuter?

- Tak. A o co chodzi?

- Powiem ci po drodze - rzekł lord. - Tylko bądź ostrożny, Kolchin. Jesteś uzbrojony, prawda?

- Nigdy nie rozstaję się z bronią - odpowiedział cicho ochroniarz. - Proszę się nie martwić. Cokolwiek się zdarzy, dam sobie radę.

L

Wysadziwszy Kolchina, skierowali się w stronę portu, do znajdującego się nie opodal hotelu. Obsługa już na nich czekała, choć recepcjonista był zdziwiony, że

z zapowiadanej trójki na miejsce dotarli tylko dwaj. Cavanagh zameldowawszy się zapewnił pracownika, że trzeci dokona formalności zaraz po powrocie, i ruszył do swojego apartamentu, by tam czekać na wiadomość mającą nadejść z Agencji Informacyjnej.

Nie czekał długo. Hill nie skończył przeszukiwać pokoi, gdy głośnik komputera poinformował o przyjęciu przesyłki.

— Szybko się uwinęli - zauważył ochroniarz, wsunął kartę i wydał odpowiednie polecenia.

- Zdumiewająco szybko. Szczególnie biorąc pod uwagę, że tamten urzędnik nie spodziewał się niczego znaleźć.

Komputer odegrał kilka muzycznych akordów i wyłączył się. Lord wyjął kartę i wsunął ją do swojej tabliczki. Uruchomił translator i zanim ponownie zasiadł w jednym z pluszowych foteli ustawionych obok tkwiącej w rogu rzeźby, pięć stron mrachańskiego tekstu przemieniło się w trzy strony angielskiego. Usadowił się wygodnie i zaczął czytać.

Wiadomość była krótka i przyniosła jedynie rozczarowanie. Według niej statek gwiazdny nieznanego pochodzenia przeleciał przez system Mrą dwa wieki temu, wkrótce po pierwszych mrachańskich próbach lotu w kosmos. Obcy nawiązali kontakt z mrachańską załogową jednostką odbywającą długą jeszcze wówczas drogę na jedną z planet systemu. Przez pewien czas lecieli obok nich i nawet

121

nauczyli się języka Mrachów. Przekazali im, że pochodzą z potężnej rasy właśnie zdobywającej bliski siebie świat Mówili jeszcze wiele innych rzeczy, lecz znaczna część spośród nich po pewnym czasie okazała się nieprawdą. Nie pozostawili żadnego materialnego dowodu swojej obecności, co później doprowadziło do uznania całej tej historii za wymysł znudzonej załogi, podyktowany chęcią wzbudzenia ciekawości organizatorów ekspedycji. Raport kończył się zapewnieniem, że trwają dalsze poszukiwania i gdy tylko uda się coś jeszcze ustalić, natychmiast wiadomość zostanie przekazana do hotelu. Cavanagh wyłączył tabliczkę i odłożył ją na bok.

- Ma pan coś? - zapytał Hill z sypialni.

- Raczej nie. Mogliśmy sobie zaoszczędzić tej wyprawy. Jak wygląda apartament?

- Jest czysty. Pan wybaczy, nie chciałbym się narzucać, ale uważam za wskazane, żebym wiedział, czego właściwie szukamy. I dlaczego.

- Ależ to oczywiste. Poszukuję wszelkich informacji dotyczących Zdobywców. Jacy są, skąd mogą pochodzić... takie rzeczy. Ale przynajmniej na razie wolałbym nie wyjaśniać powodów mego zainteresowania.

- W porządku - odpowiedział Hill kiwając głową. - W tej sytuacji, jeśli mogę coś zaproponować, uważam, że powinniśmy spróbować w głównych archiwach rządowych na Mrą.

Lord pokręcił głową.

- Nie sądzę, żebyśmy znaleźli w nich coś więcej niż tutaj. Mrachowie są dumni z wzajemnego przekazywania sobie wszelkiego rodzaju informacji. Właśnie dlatego wylądowaliśmy tu, a nie na Mrą. Mamy dostęp do tych samych danych bez konieczności odbywania dłuższej podróży.

- Aż tak bardzo nam się spieszy?

Lord myślał przez chwilę nad odpowiedzią. Melinda powinna być już na Dorcas, podobnie jak paliwowiec, który wcześniej kupił. Nie miał żadnych wieści od Arica, ale jeśli działali ściśle według planu Quinna, pojawią się na Dorcas w ciągu kilku dni. „Cavatina”, aby tam dolecieć, potrzebuje najwyżej dwudziestu

czterech godzin...

A co dalej? Przecież ta podróż miała pomóc w ustaleniu, gdzie Arie powinien rozpocząć poszukiwania. A tymczasem lord jak dotąd nie dowiedział się niczego.

122

Poczuł wibracyjny sygnał pochodzący z kieszonkowego telefonu. Wyjął go i włączył.

- Tak?

Obraz na ekranie zaskoczył go: niewyraźny, ciemny bez choćby śladu twarzy rozmówcy.

- Tu Kolchin - rozległ się ledwie słyszalny szept komandosa. - Ta Sanduulka - Fibbit. Chce pan z nią rozmawiać, czy tylko upewnić się, że cała i zdrowa wyszła z budynku Agencji Informacyjnej?

- Raczej to drugie - odpowiedział lord zdziwiony pytaniem. Obraz poruszył się nieco i Cavanagh nagle uświadomił sobie, że to kurtka Kołduna w dużym zbliżeniu. Widać ochroniarz trzymał telefon tuż przy piersi, poniżej poziomu brody. - Chociaż właściwie mógłbym zadać jej kilka pytań, jeśli szukasz sposobu, żeby ją do nas ściągnąć.

- Nie chodzi o znalezienie sposobu - odpowiedział Kolchin. - Ale jeśli chce pan ją spotkać, proszę się szybko udać do portu. Wygląda na to, że Mrachowie postanowili ją deportować ze swej planety.

Droga z hotelu do portu gwiazdowego zajęła im zaledwie pięć minut. Hill nie kłopotał się o znalezienie miejsca do prawidłowego zaparkowania, lecz zostawił wóz przed wejściem i obaj z lordem wbiegli do terminalu.

Kolchin czekał w pustej poczekalni, przy korytarzach prowadzących do bramek.

- Gdzie ona jest? - zapytał zasapany Cavanagh.

- Są już przy odprawie. Lepiej się pospieszyć... Kiedy przejdzie na drugą stronę, nie wydostaniemy jej bez mnóstwa kłopotów.

- Racja - zgodził się lord, gdy ruszyli korytarzem. - Opowiadaj, co się zdarzyło.

- Złożyłem skuter i wróciłem w pobliże Agencji. Właśnie ją wyprowadzali - ci sami trzej Mrachowie plus jeszcze jeden. Podjechał duży rządowy wóz i wszyscy wsiedli do niego. Zanim ruszyli, umieściłem na nim sygnalizator, a potem śledziłem ich aż do jednej z gorszych dzielnic. Kręciło się tam mnóstwo przedstawicieli innych ras.

- Sądziłem, że w Mra-Ka nie ma takich miejsc.

- Na mapie na pewno nie są oznaczone - ciągnął ochroniarz. -

123

Na ich miejscu także nie zależałoby mi na afiszowaniu się, kto tam mieszka. To istne slamsy. W każdym razie weszli do jednej z takich ruder i wyszli stamtąd po kilku minutach. Sanduulka niosła coś na kształt plecaka, a Mrachowie taszczyli cały stos ramek tkackich. Wrzucili wszystko do wozu i popędzili prosto tutaj.

- Czy Fibbit była skuta kajdankami? - zapytał Hill.

- Nie sądzę. Z tego co widziałem, szła całkiem swobodna i jakby zadowolona.

- Wiesz, o który lot chodzi?

- Niestety. Sprawdziłem rozkład. Najbliższy na Ulu będzie dopiero za sześć godzin. Nie widzę więc powodu, dla którego mieliby się aż tak spieszyć.

Wyszli zza ostatniego zakrętu korytarza i ujrzeli niski kontuar służący do odprawy celnej, a przy nim Fibbit oraz sześciu Mrachów, z których dwóch miało na głowach błękitne czapki celników.

- Może mają po temu ważny powód - rzekł Cavanagh. -Przekonajmy się.

Mrachowie natychmiast zobaczyli nadchodzących, lecz jeśli lord spodziewał się oznak zdziwienia lub zaskoczenia, przeliczył się. Pojedynczo, spokojnie oglądali się na przybyszów, aż wreszcie zrobiła to także tkaczka.

- Cavanagh! - wykrzyknęła otwierając pysk w uśmiechu. - Wracam do domu!

- To wspaniale, Fibbit - odpowiedział były parlamentarzysta, przyglądając się jednocześnie eskortcie. - Ale przecież sama mówiłaś, że nie stać cię na bilet powrotny.

- Zostałam zaszczycona podarunkiem. Przez nieznanego, lecz widać bardzo szlachetnego darczyńcę. Wracam do domu.

- Bardzo się cieszę z tego powodu - rzekł Cavanagh przyglądając się przedmiotom leżącym na kontuarze. Plecak, o którym wspomniał Kolchin, był otwarty, a jego zawartość przygotowana do przeskanowania. W przeciwległym końcu dostrzegł dwa stopy już sprawdzonych trapezoidalnych ram tkackich. - Pamiętasz, że obiecałaś mi pokazać jedno ze swoich dzieł - przypomniał. - Mogę choć rzucić na nie okiem?

- Tamte przedmioty już zostały odprowadzone - odezwał się jeden z celników.

- Nie można ich nawet obejrzeć? Tylko przez chwilę.

124

- To niezgodne z przepisami - oświadczył twardo Mrach. - Po przeprowadzeniu kontroli...

- Proszę - przerwał mu inny. - To nie powinno stanowić problemu. Dla lorda Cavanagha, byłego członka Parlamentu Norcoordu, możemy zrobić taki wyjątek. Lord przyjrzał mu się uważnie. Był starszy od obu celników i trójki, która zabierała Fibbit do budynku Agencji. Pozostali spoglądali na niego z wyraźnym szacunkiem. Zapewne to był ów nowy, o którym wspomniał Kolchin.

- Dziękuję - rzekł zaskoczony Ziemiannin. - Chyba się nie znamy...

- Nazywam się Paallikko - przedstawił się Mrach z lekkim ukłonem. - Departament do Spraw Kontaktów z Gośćmi. Proszę powiedzieć, lordzie, która z prac tak pana interesuje?

- Fibbit opowiadała mi o portrecie pewnego człowieka. Kogoś, kto ostatnio odwiedzał Agencję Informacyjną.

- Rozumiem. Czy zna go pan osobiście? Cavanagh wzruszył ramionami.

- Wątpię. Ale nie jestem tego pewien, bo ona przecież nie zna jego nazwiska.

- A jednak chce pan zobaczyć tę twarz.

- Chcę sprawdzić, jak Fibbit radzi sobie z portretowaniem ludzi. Podoba mi się jej sztuka i zapragnąłem zatrudnić ją do wykonania mojej podobizny.

- I tylko po to przybył pan tu, do portu? - Jego czoło zmarszczyło się naśladując ludzki gest. - To zaskakujące zachowanie.

- My, byli politycy, należymy do ekscentryków - odpowiedział spokojnie lord. - I czasami troszczymy się o zziębniętych i głodnych artystów innych ras. To leży już w naszej naturze.

- Tak - mruknął Paallikko. - Stara avońska tradycja... Cóż za dobroczynność.

- A jej korzenie tkwią jeszcze w czasach poprzedzających kolonizację Avonu. Fibbit znajdowała się w ciężkiej sytuacji, więc chciałem zrobić coś dla niej.

- To bardzo szlachetne z pana strony. A jednak, jak pan widzi, nie ma już takiej potrzeby. Wraca bowiem do domu.

- Cieszy mnie to. Wciąż jednak pragnąłbym zobaczyć tę jej pracę, zanim odleci.

- Dobroczynność - powtórzył Mrach, jakby to słowo

125

szczególnie mu się spodobało. - Muszę przyznać, że zadziwia mnie pan, lordzie.

Czy szacunek dla prywatności nie należy także do starej tradycji? Goście Mrachów

nie przybywają do Mig-Ka po to, aby później ich twarze były prezentowane osobom postronnym.

Były parlamentarzysta zmarszczył brwi. Tego rodzaju argumentu nie brał dotąd pod uwagę.

- Ale przecież ten człowiek pokazywał się publicznie - zauważył wreszcie. - Nie wygląda na to, żeby miał cokolwiek do ukrycia. Gdybym był tu wcześniej, mógłbym przecież zobaczyć go osobiście.

- Ale przyleciał pan później. Z jakiego więc powodu miałbym pozwolić na naruszenie jego prywatności? Lord popatrzył na tkaczkę.

- Mówiąc szczerze nie jestem pewien, czy w ogóle potrzebna jest tu pańska zgoda. Tkanina stanowi własność Fibbit. Decyzję o pokazaniu mi swego dzieła winna podjąć ona sama.

- Ale już przecież przeszło kontrolę... - zaczął celnik. Przedstawiciel Departamentu do Spraw Kontaktów z Gośćmi ponownie nie dał mu dojść do słowa:

- To celna uwaga, lordzie. Co więc o tym sądzisz, Fibbit u Bibrit u Tabli ak Prib-Ulu?

Przez moment Sanduulka stała nieporuszona. Dopiero po chwili zrozumiała, że to pytanie było skierowane do niej.

- Cavanagh oczywiście może zobaczyć tkaninę.

- A więc wszystko jasne - orzekł Paallikko zwracając się do celników. -

Przynieście wszystkie kilimy. Mrachowie w milczeniu przynieśli oba stosy ramek.

- Musi tu być - zapewniła Fibbit przeglądając je po kolei. — Dobrze pamiętam, że miałam go tu kilka dni temu...

Urwała, unosząc kolejne trzy ramki i z wyraźnym osłupieniem przypatrując się czwartej.

- Co tam jest? - zapytał Cavanagh.

Tkaczka powoli odłożyła trzymane prace i uniosła tę, która wywarła na niej tak piorunujące wrażenie.

Kiedyś z pewnością było to tkaniną. Teraz jednak pozostała tylko bezładnie splątana masa jedwabnych nitek.

- Co się stało?

- Nie wiem - odpowiedziała Fibbit ledwie dosłyszalnym szeptem. - Nie wiem.

126

- Naprawdę ogromna szkoda - odezwał się Paallikko.

Lord posłał mu wściekłe spojrzenie, po czym podszedł do trzech odłożonych na bok ramek. Odsunął dwie górne i przyjrzał się uważnie trzeciej. Drewno na spodzie było gładkie, lecz w jednym z rogów gwóźdź spajający listewki wystawał kilka milimetrów.

- Chyba wiem, jak do tego doszło, Fibbit - oświadczył pokazując znalezisko. - Gwóźdź musiał poprzerzywać nitki podczas transportu.

- Tak - wyjąkała niepewnie tkaczka.

- Czy możesz odtworzyć kilim? - zapytał Kolchin. - To znaczy zrobić drugi taki sam.

- To zbyt ciężkie - stwierdził Cavanagh posyłając ochroniarzowi ostrzegawcze spojrzenie. - Poznałem już twoje możliwości, Fibbit. Czy zgodzisz się zrobić mi portret?

Przez chwilę jeszcze Sanduulka przyglądała się zniszczonej tkaninie. Wreszcie z westchnieniem odłożyła ją na stos.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Będiesz leciał ze mną tym statkiem? Lord popatrzył na Mracha.

- Myślałem, że zrobimy to w moim hotelu, jeszcze przed odlotem. Masz przecież aż sześć godzin do startu. Fibbit rozejrzała się wyraźnie zaskoczona.

- Sześć godzin? Przecież powiedziano mi, że odlatuję natychmiast.

- Bo rzeczywiście tak jest - odezwał się Paallikko. - Liniowiec, o którym mówi lord, faktycznie leci dopiero za sześć godzin. Ale przygotowaliśmy ci miejsce na pokładzie naszego łącznikowca, który startuje lada chwila.

- Przykro mi więc, Cavanagh - rzekła tkaczka. - Dam ci jednak swój adres w Prib-Ulu. Może spotkamy się tam kiedyś.

- Może. Ale przecież nigdy nie wiadomo, jak potoczą się nasze losy. Ogrom pracy często nie pozwala mi na realizację osobistych planów, a i ty, Fibbit, możesz udać się gdzieś, gdzie nie będę cię już w stanie odszukać.

- Z pewnością znajdzie pan czas, lordzie - rzekł Mrach. - Jeśli to rzeczywiście takie ważne, nie powinien pan mieć z tym problemów.

- Doprawdy? - zapytał przybierając ironiczny wyraz twarzy były delegat. - To nic pewnego.

127

Przez moment rozmówcy mierzyli się wzrokiem.

- Jeśli ma pan inne propozycje, słucham uważnie.

- Rzeczywiście mam. Otóż pewność dnia dzisiejszego jest więcej warta niż obietnice na jutro. Innymi słowy chciałbym, żeby Fibbit już teraz wykonała mój portret.

- Ale przecież nie mogę, Cavanagh - rzekła Sanduulka, gwałtownie machając ręką.

- To dla mnie jedyna okazja powrotu do domu.

- Ja też mogę cię tam zawieźć, kiedy tylko załatwię sprawy, które mnie tu sprowadziły. W moim statku jest wystarczająco dużo miejsca, żebyś się tam pomieściła.

- Ale mój dobroczyńca - zaprotestowała tkaczka, spoglądając to na lorda, to na Paallikko - może poczuć się urażony, jeśli odrzucę jego podarunek.

- Nie wydaje mi się - zapewnił ją Ziemianin. - Prawdziwym mecenasom zależy na osiągniętym szlachetnym celu, a nie jedynie na formie. Jestem pewien, że będzie zadowolony, gdy znajdziesz się w domu, bez względu na to, kto cię tam przetransportuje. - Posłał spojrzenie Mrachowi. - Mam nadzieję, że miejscowe władze nie będą miały nic przeciwko temu, że Fibbit zostanie na Mra-mig dzień dłużej?

- Szczerze mówiąc sprawa jest delikatna. Polecenie wyjazdu zostało wydane z dzisiejszą datą. Przedłużenie pobytu może stanowić problem.

- Sądziłem, że były parlamentarzysta może liczyć na pewne względy - odezwał się uszczypliwie Kolchin. Paallikko spojrział mu prosto w oczy.

- Wydawało mi się, lordzie, że ludzkie obyczaje nakazują podwładnym zachować milczenie, dopóki nie udzieli im się prawa głosu.

- My, ludzie, mamy wiele różnych obyczajów - stwierdził Cavanagh. - Dlatego nasza kultura jest tak bogata i zróżnicowana.

- Zwykła anarchia - syknął z pogardą Mrach. - Tym naprawdę jest wasza kultura. Oczywiście anarchia.

- Czasami rzeczywiście może to sprawiać takie wrażenie - zgodził się Ziemianin. - Ale jakoś sobie radzimy.

Przez długą chwilę panowało milczenie. Wreszcie Paallikko syknął ze złością:

- Zrobimy wyjątek. Ale tylko na jeden dzień, do jutrzejszego

128

zachodu słońca. Jeśli nie zgodzi się pan na to, Sanduulka odleci natychmiast.

- Zgadzam się - odparł Cavanagh, starając przybrać możliwie łagodny ton. Właściwie zakończył tu już swoje sprawy i powinien ruszać na Dorcas, żeby pomóc Quinnowi i Aricowi w przygotowaniach do wyprawy. Po co zostawać choćby na jeden dzień, śledząc cienie i walcząc z wiatrakami. - Zapewne opuścimy Mra-mig znacznie wcześniej.

- A więc wszystko jasne - orzekł Paallikko i kiwnął głową na jednego z celników.

- Kawa mron ce gan ce mrash. Ten przytaknął.

- Ba mrach - odpowiedział i odszedł. Mrach ponownie spojrzął na lorda.

- W dokumentach poczynione zostaną stosowne zmiany - poinformował. - Czy poradzi pan sobie z zakwaterowaniem dodatkowej osoby? Może przysłać kogoś do przetransportowania tkanin?

- Nasz apartament jest wystarczająco duży. A co się tyczy kilimów, zabierzemy ze sobą tylko ten zniszczony. Reszta, skoro została już odprawiona, może zostać przeniesiona bezpośrednio na „Cavatine”.

Drugi z celników po chwili zastanowienia pokiwał głową.

- Zajmiemy się tym.

- W porządku - stwierdził lord. - Chodź, Fibbit. Dziękuję panu, Paallikko, za pomoc i poświęcony nam czas.

- To dla mnie przyjemność udzielić pomocy członkom ludzkiej Federacji Międzygwiazdnej - oświadczył Mrach. - Dobranoc, lordzie. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony ze swojego portretu.

Cavanagh uśmiechnął się.

- Dziękuję. Jestem pewien, że mi się spodoba.

9-

Ostatnia tuba awaryjnego lepiszcza została zapakowana, ostatni elektroniczny moduł zapasowy sprawdzony i odłożony na miejsce, ostatnia racja żywnościowa zaewidencjonowana. Z westchnieniem ulgi Melinda Cavanagh wyłączyła swą tabliczkę i odłożyła ją na pakę, na której przysiadła.

- Wreszcie - westchnęła. - Wszystko policzone i na miejscu.

Oczywiście nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Wstała i rozcierając obolały krzyż rozejrzała się po wynajętym magazynie pełnym skrzyń i pojemników. Chód była potwornie zmęczona, czuła się zadowolona z siebie. Przygotowała zapasy w naprawdę rekordowo krótkim czasie. Zgromadziła w tym pomieszczeniu wszystko, czego mogło potrzebować czternastu ludzi wyruszających na kilkutygodniową wyprawę.

Teraz pozostało jej tylko czekać na statek, na który zostanie załadowany cały ten ekwipunek.

- Hej! - rozległo się gdzieś za jej plecami. - Jest tu kto? Melinda odwróciła się zaskoczona. Głos nie należał do mężczyzny, od którego wynajęła magazyn.

- Tutaj! - zawołała. - Tylnym wejściem. Usłyszała odgłos szybkich kroków... i zza jednej z pak wyłonił się młody mężczyzna w mundurze sił Obrońców Pokoju.

- Witam - rzekł. Zszedł w jej stronę, rozglądając się ciekawie. - Sporo pani tego nagromadziła.

- Dziękuję za uznanie - odparła Melinda, bezskutecznie sta-

130

rając się zidentyfikować czarne dystynkcje na jego kołnierzu. - Mogę panu w czymś pomóc?

- Zapewne tak. Słyszałem o tym miejscu i osobiście chciałem się przekonać, jak wygląda.

- Nie miałam pojęcia, że stanie się atrakcją turystyczną. Nie chcę być

niegrzeczna, ale w tej chwili jestem bardzo zajęta. A to jest teren prywatny.

- Obawiam się, że to ostatnie niewiele obecnie znaczy. Na Dorcas w każdej chwili może zostać wprowadzony stan wojenny. W znacznej mierze decyzja ta uzależniona jest od współpracy, na jaką będziemy mogli liczyć.

- Doprawdy? - zapytała lodowatym tonem. - Czy pański dowódca pochwała używanie takich gróźb wobec cywilów?

Mężczyzna podszedł do dziewczyny, po raz pierwszy bacznie na nią spoglądając.

- To nie żadne groźby, doktor Cavanagh - rzekł głosem równie chłodnym jak jej. - Tylko stwierdzenie faktu. Stoimy w obliczu możliwości ataku... a według mnie jest on bardzo prawdopodobny. Bez wątpienia należy pani do przyjezdnych cywilów, ale znajduje się w strefie wojennej i to właśnie ja tu rządę. Zarówno moim prawem jak i obowiązkiem jest obrona wszystkich osób przebywających na Dorcas. Melinda z trudem przełknęła ślinę. Dopiero gdy wojskowy stanął zaledwie metr od niej, wyraźnie zobaczyła sokoła i gwiazdę komandora-porucznika na jego kołnierzu.

- Przepraszam - powiedziała szczerze. - Nie chciałam, żeby moje słowa zabrzmiały w ten sposób.

Przez chwilę stał bez słowa, patrząc jak się zaczerwieniła. Wreszcie jego twarz rozjaśnił lekki uśmiech.

- Nie ma za co. I ja przepraszam. Powinienem być delikatniejszy. Zaczniemy więc może od początku, dobrze? Witam na Dorcas, doktor Cavanagh. Jestem komandor-porucznik Castor Holloway, dowódca miejscowego garnizonu sił Obrońców Pokoju. Oficer informacyjny powiadomił mnie, że przybyła pani transportowcem załadowanym do połowy jakimiś pakami i skrzyniami. - Ruchem ręki wskazał wokół. - Widzę, że miał rację. Zapewne spodziewa się pani, jak będzie brzmiało moje następne pytanie.

- W jakim celu to wszystko znalazło się tutaj? - podsunęła Melinda.

131

Ponownie się uśmiechnął.

- Bardzo dobrze. A więc?

Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie. Z bliska stwierdziła, że nie jest aż tak młody, jak wydało się na pierwszy rzut oka. Doszła do wniosku, że zbliża się do czterdziestki, lecz jego oczy zdawały się należeć do starca.

- Zapewne nie wystarczy oświadczenie, że to prywatna sprawa? Holloway pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie. Przed przyjazdem tu zapoznałem się z dokumentami dotyczącymi pani przylotu. Chciała pani uzyskać pozwolenie na pozostawienie transportowca wraz z jego ładunkiem na orbicie. To pozwala sądzić, iż dobra te nie są przeznaczone dla mieszkańców naszej kolonii, lecz wykorzystuje pani Dorcas jedynie jako punkt przeładunkowy.

Dziewczyna przytaknęła. Był bystry, to widać. Musiała więc uważać na każde słowo.

- Rzeczywiście, nie myli się pan. Za dzień lub dwa spotykam się ze swoim bratem Arikiem i jego towarzyszami. Wszystko to ma zostać przekazane właśnie im. - Obrzuciła go surowym spojrzeniem. - Zadanie to byłoby znacznie prostsze, gdyby pozwolono mi pozostać na orbicie.

- Znajdujący się na orbicie pojazd sprawiłby, że Dorcas zostałaby natychmiast rozpoznany jako zamieszkała planeta, gdyby zapuścił się tu statek zwiadowczy Zdobywców - wyjaśnił wojskowy. - Podobną identyfikację umożliwiają wszelkiego rodzaju satelity. Lecąc tu mogła pani zauważyć, że wszystkie zostały usunięte.

Przykro mi, jeśli sprawiło to pani nieoczekiwane trudności, ale jak już wcześniej wspomniałem, to strefa prawdopodobnych działań wojennych. I tak jesteśmy tu bezbronni niczym kaczka w czasie polowania, więc po co dodatkowo zwracać na siebie uwagę. - Uniósł brwi. - Ale nasuwa się kolejne, oczywiste pytanie. Dlaczego akurat Dorcas?

Melinda pokręciła głową.

- Obawiam się, że tego nie mogę powiedzieć.

- Obawiam się, że będzie pani musiała. Przeładunek orbitalny jest powszechnie stosowany na Ziemi czy na Bergen, ale nie w tak zapadłej dziurze jak Dorcas.

Można by pomyśleć, że chodzi o, powiedzmy, nie do końca legalną transakcję.

- Ależ co pan mówi - oburzyła się dziewczyna. - Otacza nas

132

taki bezmiar kosmosu, że gdyby w grę wchodziło coś nielegalnego, wszystko można by załatwić właśnie tam. To wykluczałoby zjawienie się na Dorcas, gdzie przecież aktywnie działają siły Obrońców Pokoju.

- Celna uwaga - skwitował Holloway. - To jedna z przyczyn, dla których jak dotąd daliśmy pani spokój. Ale muszę zapytać ponownie: dlaczego Dorcas?

Melinda westchnęła ciężko.

- W porządku. Tak naprawdę wraz z bratem towarzyszymy wysokiemu rangą oficerowi sił Obrońców Pokoju wykonującemu delikatną i raczej nieoficjalną operację.

Właśnie tutaj wyznaczaliśmy sobie spotkanie.

- Cóż za rewelacyjna historia. Dysponuje pani jakimiś dowodami na jej potwierdzenie?

- Jeśli ma pan na myśli oficjalne dokumenty, obawiam się, że nie - odpowiedziała Melinda, za wszelką cenę starając się, by jej głos brzmiał pewnie. - Jak wspomniałam, operacja ma delikatny charakter. Poinformowano mnie, że dopóki nie poprosimy o pomoc miejscowych sił Obrońców Pokoju, sami będą trzymać się od nas z daleka.

- Naprawdę? Muszę stwierdzić, że to świadczy o dość naiwnym sposobie myślenia. Czy dysponuje pani jakimikolwiek dokumentami?

- Nie - odparła z wahaniem. W zanadrzu miała jeszcze jedną mocną kartę, która, teraz należało zagrać. - Jeśli zależy panu na potwierdzeniu mojej historii, to proszę się skontaktować bezpośrednio z dowództwem Obrońców Pokoju.

Zdziwiony uniósł brwi.

- Z dowództwem Obrońców Pokoju. Aż tak wysoko? Dziewczyna przytaknęła.

- Może nawet wyżej.

Holloway z niedowierzaniem pokiwał głową.

- Rozbudziła pani moją ciekawość. Chyba rzeczywiście tak zrobię. Do kogo mam skierować pytanie?

Melinda spaliła już za sobą wszystkie mosty. Nie pozostawało jej nic innego jak brnąć dalej.

- Bezpośrednio do biura admirała Rudzinskiego.

- Do samego Rudzinskiego? - zdziwił się wojskowy. - Widzę, że porusza się pani w zdecydowanie wyższych sferach niż przypuszczałem.

133

- Tylko proszę załatwić to dyskretnie - powiedziała starając się panować nad sobą.

Jeśli Holloway uzna, że blefuje i wyśle zapytanie na Ziemię, za siedemdziesiąt dwie godziny ona znajdzie się w nie lada kłopotach. Ale przynajmniej zyska nieco czasu. Za trzy doby przynajmniej Arie i Quinn będą już bezpieczni, poza

zasięgiem oficjalnej władzy.

- Admirał ma obecnie na głowie mnóstwie innych spraw -dodała.

- Postaram się więc być nadzwyczaj lakoniczny - zapewnił dowódca obrony. - I dyskretny, na wypadek gdyby admirał rzeczywiście wiedział o pani poczynaniach.

- A więc to już chyba wszystko - stwierdziła, pomijając milczeniem uszczypliwą uwagę sugerującą, że kłamie.

- Na razie tak. Aha, jeszcze jedno. Jakies pół godziny temu z podprzestrzeni wyszedł stary paliwowiec dalekiego zasięgu klasy Moray. Należy do pani? Z jego tonu jasno wynikało, że zna odpowiedź.

- Zapewne tak. Czyżby nie udzielili wszystkich żądanych informacji?

- Oczywiście, że udzielili - odpowiedział spokojnie Holloway. - Chodziło mi tylko o potwierdzenie. - Wskazał na paki. — A więc wszystko to ma trafić na jego pokład. Wydam polecenia, żeby umożliwić mu lądowanie jak najbliżej magazynu.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Wojskowy zerknął na zegarek. - Wybacz mi pani, mam mnóstwo pracy. Pragnę także poznać pani brata, kiedy tu przyleci.

Skinął głową i wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł.

- Oczywiście - mruknęła Melinda. - Z pewnością Arie także będzie zachwycony możliwością spotkania z panem.

Lotniskowiec zbliżał się ku ziemi jakby trochę niepewnie i Melinda wstrzymała oddech, gdy zakołysał się nad lądowiskiem. Ale pilot widocznie wiedział, co robi, bo bez trudu ustabilizował lot. Statek minął pasy startowe, wykonał półpętlę i przy wtórze huku i błysków z silnika typu Icefire osiadł rufą na skraju lądowiska, tuż obok magazynu, w którego wejściu stała Melinda.

134

Silnik ucichł i dziewczyna wyrwała się z odrętwienia. Statek charakteryzował się nadzwyczaj prostą konstrukcją. Był to nieco spłaszczony cylinder pokaźnych rozmiarów z ośmioma włazami doków oraz występem na dziobie zakończonym lukiem, mającym służyć do łączenia się w przestrzeni kosmicznej z innymi jednostkami.

Napęd stanowił silnik Icefire na rufie oraz silnik gwiazdny Chabrier w przedniej części. Środkowy segment kadłuba mieścił zredukowane do minimum pomieszczenia mieszkalne i sekcję kontrolną. Do połowy wysokości statku sięgały szyny zewnętrznej windy. Kiedy Melinda ruszyła w stronę lotniskowca, właśnie otworzył się właz, wysunęła się z niego winda i została osadzona w szynach. Po chwili zjechała na dół zatrzymując się na płycie w momencie, gdy dziewczyna podeszła do statku.

Wsiadła do kabiny i ta natychmiast zaczęła się unosić. Z bliska statek zdawał się mniejszy niż się tego spodziewała, szczególnie biorąc pod uwagę, iż miał służyć zarówno jako miejsce zakwaterowania dla szesnastu ludzi, jak i magazyn ich wyposażenia oraz baza myśliców. Zastanawiała się czy Arie, który kiedyś narzekał, że musi dzielić pokój hotelowy z bratem, naprawdę zdaje sobie sprawę z tego, w co się pakuje.

Jak cała jednostka, także właz i wąskie korytarze były zaprojektowane do wykorzystania w warunkach nieważkości. Poruszanie się w nich przy normalnym ciężeniu było utrudnione, lecz Melinda poradziła sobie z tym bez większych problemów. Minęła przypominającą klatkę dyżurkę oraz jeszcze mniejszą kuchnię i wreszcie dotarła do pomieszczenia kontrolnego.

Nie było tam nikogo.

Zdziwiła się. Pilot powinien tu na nią czekać, kończąc procedurę lądowania.

- Hej! - zawołała.

- Witam, doktor Cavanagh - rozległ się mechaniczny głos. -Nazywam się Max. Witam na pokładzie.

- Dziękuję - odpowiedziała. A więc dlatego statek spóźnił się dwa dni. Stary lis znów ją zaskoczył. - Wybacz mi zdziwienie, ale spodziewałam się spotkać tu człowieka.

- Zapewne koncepcja umieszczenia mnie tutaj przyszła lordowi Cavanaghowi do głowy w ostatniej chwili. Uznał widocznie, że posiadanie na pokładzie kogoś o moich możliwościach okaże się pomocne w realizacji misji.

135

- Z pewnością tak będzie - zgodziła się dziewczyna. - Obawiam się, że nie do końca wiem, co produkuje CavTronics. Mogę zapytać, do jakiej serii należysz?

- Jestem z grupy Carthage-Ivy - wyjaśnił. - Dokładnie Cart-hage-Ivy-Gamma.

- Ze zdolnościami decyzyjnymi szóstej klasy?

- Siódmej - poprawił. - Wnioskuje...

- A co ze strukturami logicznymi?

- Zmodyfikowane Korngold-Che. Jeśli rzeczywiście tak to panią interesuje, wszystkie moje dane znajdują się w jednym z plików. Czy zapasy dla wyprawy są już zgromadzone?

- Tak — odparła Melinda starając się opanować wesołość. A więc był to komputer pochodzący z zakładów CavTronics. Ojciec, doprowadzany do szaleństwa zarozumiałstwem konkurencyjnych paramyślących komputerów zalecił, by seria Cartha-ge niechętnie opowiadała o sobie.

Rozejrzała się po pomieszczeniu i stwierdziła, że wmontowanie tu komputera nie było jedyną zmianą poczynioną przez ojca. Tam, obok głównego ekranu, znajdowało się przyłącze mózgowie przeznaczone dla Quinna. A przecież szef ochrony powiedział kiedyś na przesłuchaniach przed Parlamentem, że nie chce już nigdy korzystać z urządzenia sprzężonego z jego mózgiem.

- Doktor Cavanagh...

Melinda z trudem wróciła myślami do teraźniejszości. W zaistniałych okolicznościach owo przyłącze rzeczywiście mogło okazać się niezwykle przydatne. Ale jednocześnie fakt jego zainstalowania kłócił się z tak charakterystycznym dla ojca honorowaniem decyzji innych. Może stać go było na większy pragmatyzm niż przypuszczała.

- Wszystko jest w magazynie obok - wyjaśniła.

- Mam nadzieję, że dysponuje pani dostatecznie dużą ilością paliwa. Nie spodziewałam się, że będę zmuszony po drodze lądować tutaj.

- Ja również. Możemy mieć tylko nadzieję, że starczy go na realizację zamierzeń Arica i Quinna.

- Istnieje pewne wyjście. Towarzyszący mi transportowiec posiada zapewne spore zapasy paliwa. Wprawdzie lord Cavanagh polecił jego kapitanowi, żeby wycofał się z Dorcas kiedy ja dotrę na miejsce, ale w tych okolicznościach może pani zmienić ten rozkaz.

136

- Nie, lepiej, żeby stąd odleciał - orzekła dziewczyna. -Tutejsze dowództwo sił Obrońców Pokoju nie chce, żeby jakikolwiek statek pozostawał na orbicie dłużej, niż jest to niezbędne.

- Może pani rozkazać, by wylądował.

- Wówczas od kręcących się tu członków załogi Holloway mógłby wyciągnąć informacje, które ściągnąłby na was nie lada kłopoty - stwierdziła Melinda kręcąc głową. - Nie, lepiej nie.

- Rozumiem. - Zapanowała krótka chwila ciszy. - Transportowiec został poinstruowany, żeby postępowano zgodnie z dotychczasowymi rozkazami.
- Dobrze - rzekł doktor Cavanagh, rozglądając się, by zlokalizować moduł towarowy. - Sama poradzę sobie z drobiazgami. Ale jeśli chodzi o skrzynie i duże pojemniki, będzie potrzeba wózków i ludzi do transportu. Wróć teraz do magazynu i zajmę się zorganizowaniem tego.

Odwróciła się do wyjścia.

- Jeszcze chwileczkę - odezwał się komputer. - Odbieram sygnał nadawany jednym z prywatnych kodów lorda Cavana-gha.

- Czy to ojciec? - zapytała niecierpliwie, pospiesznie podchodząc do fotela przy panelu łączności. Widać załatwił sprawy na Mra-mig szybciej, niż się spodziewali.

- Nie. To pan Arie. Odpowiedziałem na jego sygnał wywoławczy i uruchomiłem dekoder. Proszę bardzo. Rozległ się charakterystyczny cichy szum.

- Melinda? - dobiegał ją nieco zniekształcony głos Arica.

- Jestem. Witani z Dorcas.

- Cieszę się, że wreszcie tu dotarliśmy. Po dwudziestu sześciu godzinach w myśliwcu miło będzie rozprostować kości.

- Nie rób sobie zbyt dużych nadziei - ostrzegła brata. -W tym paliwowcu także nie ma zbyt dużo wolnego miejsca.

- Doktor Cavanagh, tu Quinn - włączył się do rozmowy szef ochrony. — Widzę, że pani statek opuszcza orbitę. Czy coś się stało?

- To transportowiec, towarzyszący mojemu. Ja z paliwow-cem i całymi zapasami jestem na planecie.

- Na planecie? - powtórzył zaskoczony. - Statek miał przecież pozostać na orbicie.

137

- Okazało się to niemożliwe - wyjaśniła. - Żaden statek nie może orbitować dłużej niż dwie godziny. Rozkaz Obrońców Pokoju.

Zapadło długie milczenie.

- Niedobrze - skwitował wreszcie Quinn. - Bardzo niedobrze.

- Co się stało? - zapytał Arie. - Czyżby paliwowiec mógł mieć jakieś problemy ze startem?

- Z tym nie będzie trudności. Ale chodzi o coś zupełnie innego. W czasie postoju na lądowisku nie będziemy w stanie nanieść na jego kadłub właściwych oznaczeń, nie zwracając powszechnej uwagi.

- Tak, to prawda - zgodził się młody Cavanagh. - A jeśli tego nie zrobimy, to gdy przybędą Miedzianogłowi, natychmiast zaczną zadawać niewygodne pytania.

- Na które nie mamy odpowiedzi - dokończył Quinn. - Musimy wymyślić coś, żeby temu zaradzić. Doktor Cavanagh, czy mamy wszystko z listy, którą pani dostarczyłem?

- Tak, wszystko jest już gotowe do transportu. Czy się nie przesłyszałam?

Mówicie o Miedzianogłowych?

- Później to wyjaśnimy. Teraz najpilniejsze jest załadowanie zapasów na pokład lotniskowca. Proszę już zacząć, pani doktor. Przybędziemy za jakąś godzinę i pomożemy. Do rana trzeba to skończyć - możemy spodziewać się myśliwców nawet już jutro w południe.

- Już się do tego zabierani. Uważajcie na dowódcę miejscowego garnizonu - komandora-porucznika Hollowaya. Jest sprytny i jeśli będzie mu na tym zależało, obawiam się, że potrafi nas rozszyfrować.

- Proszę się nie martwić. Wiem, jak sobie radzić z takimi oficerami - zapewnił Quinn. - Proszę zająć się załadunkiem.

- W porządku. Do zobaczenia. Połączenie zostało przerwane.

- Zidentyfikowałem miejscowe częstotliwości komunikacyjne, doktor Cavanagh - odezwał się Max. - Czy mam wynająć robotników?

- Dziękuję, nie - odpowiedziała dziewczyna podnosząc się z fotela. Lawirując między sprzętami przeszła do wyjścia. -Zwracamy na siebie i tak wystarczająco dużo uwagi bez zdradzenia, że dysponujemy komputerem klasy Carthage-Ivy. Zajmij

138
się sprawdzeniem systemów statku. Bądź przygotowany do startu natychmiast po moim sygnale.

- Oto północny kraniec kanionu - wyjaśnił major Takara, wyświetlając następny widok. - Jeśli przyjrzesz się uważnie -o tu - dostrzeżesz miejsca, gdzie wypaliliśmy miękkie warstwy skalne przysłonięte granitową granią. Działka zostały ustawione tu, tu i tu, wyrzutnie rakiet pod nawisami, a projektory maskujące na samej grani i tutaj.

Holloway pokiwał głową. W niczym nie przypominało to teoretycznych opracowań systemu obronnego, lecz i tak było o wiele lepsze od tego, czym dysponowali bezpośrednio po tragicznej bitwie.

- Świetnie się spisałeś, Fuji - pochwalił.

- Dziękuję, ale wciąż jest jeszcze wiele do zrobienia. Mam tylko nadzieję, że gdy Zdobywcy przylecą, zdecydują się na klasyczną inwazję. Szkoda byłoby tych wszystkich wysiłków, gdyby postanowili zniszczyć całą planetę, operując z orbity.

- Jeśli już mówisz o nadziejach, najlepiej byłoby, gdyby w ogóle nie pojawili się na obszarze Federacji - stwierdził ironicznie Holloway. - Dobra, co jeszcze zostało do zrobienia?

- Niewiele. Właście kończymy wybierać miękkie pokłady skalne. Wszędzie wokół pozostał już tylko twardy granit. Będziemy mieć wystarczająco dużo miejsca dla stanowiska dowodzenia i sekcji medycznej, plus magazyny na zapasy.

- A więc nie starczy go już dla cywilów?

- Podobnie jak dla większej części garnizonu. Geolodzy wciąż szukają formacji skalnych umożliwiających przygotowanie kolejnych schronów. Ale wygląda na to, że będą musieli wytrzymać w namiotach i ziemiankach.

Komandor-porucznik popatrzył przez okno na kolejny konwój samochodów powietrznych przewożących zapasy do kanionu.

- Zakładając, że w momencie ataku Zdobywców będą tu jeszcze jacyś cywile.

- Moim zdaniem ten exodus dobiega już właściwie końca -stwierdził Takara. - Ci, którzy do tej pory nie odlecieli, chyba zdecydowali się zostać na dobre. Typowi twardzi koloniści, sam

wiesz.

139

- Tak... dumni, odważni i uparci. Osobiście wołałbym, żeby jednak wszyscy podwinęli pod siebie ogony i uciekli gdzie pieprz rośnie. Partyzantka jest trudna nawet bez dwudziestu pięciu tysięcy cywilów na głowie.

- Nie oceniaj ich tak krytycznie, Cass. Cywile również mogą okazać się niebezpieczni, jeśli tylko odpowiednio się nimi pokieruje.

- Mam nadzieję, że dla Zdobywców. Równie dobrze mogą sami sobie skakać do gardeł. Albo zagrozić nam. - Holloway wyświetlił ogólny widok kanionu. -

Północny kraniec wygląda na maksymalnie zabezpieczony. Zajmijmy się teraz tym

wyłomem we wschodniej ścianie.

Rozległ się brzęczyk interkomu.

- Komandorze, melduje się sierżant Grane. Polecił pan natychmiast informować się o wszelkich nietypowych jednostkach w pobliżu.

Włosy na karku Hollowaya aż się zjeżyły.

- Co masz?

- Och, na szczęście nic specjalnie groźnego - zapewnił pośpiesznie Grane. -

Chodzi o tę smugę myśliwca, którą wychwyciliśmy pół godziny temu. Wygląda na to, że pozostawia ją stary counterpunch.

Dowódca garnizonu spojrział zdziwiony na Takarę.

- Counterpunch?

- Tak jest. Właśnie wyszli z podprzestrzeni i prowadzą z kimś będącym tu, u nas, kodowaną rozmowę. Major był już w połowie drogi do drzwi.

- Ustal z kim - zawołał Holloway obchodząc swe biurko. -Zaraz przyjdę.

Gdy dotarli do sekcji czujnikowej, zastali Crane'a i jeszcze jednego operatora pochylonych nad głównym panelem.

- To żaden ze standardowych kodów Obrońców Pokoju -oznajmił sierżant, gdy podeszli do niego. - Nie należy także do używanych przez inne rasy. Wciąż poszukujemy odbiorcy... to chwilę potrwa.

- Czy to może być czyjś prywatny kod? Grane wzruszył ramionami.

- Wszystko na to wygląda. Ale kto na Dorcas zadawałby sobie tyle trudu?

- Doktor Melinda Cavanagh, nikt inny - orzekł Holloway. -

140

Daję głowę, że odpowiedzi pochodzą z jej paliwowca lub z jego najbliższego otoczenia. Operator wystukał coś na klawiaturze.

- Niech mnie licho - mruknął. - Nie pomylił się pan.

- Chcesz, żebym posłał tam kilku ludzi? - zapytał Takara.

- Transmisja zakończona - obwieścił operator, zanim dowódca zdążył odpowiedzieć.

- Chwileczkę. Counterpunch zaczął właśnie nas wywoływać.

- Daj to na głośnik - polecił Holloway. - Do nie zidentyfikowanego myśliwca typu Counterpunch, tu centrum kontrolne Dorcas. Proszę o identyfikację.

- Dorcas, tu dowódca skrzydła Adam Quinn - brzmiała wojskowa, lakoniczna odpowiedź. - Proszę o pozwolenie na lądowanie.

- Dowódco, mówi komandor-porucznik Holloway. Proszę o podanie numeru autoryzacyjnego.

- Nie zostałem przydzielony do pańskiego garnizonu, komandorze. Jestem tylko przelotem.

- Przykro mi to słyszeć. Przydałby nam się pan. Ale i tak proszę o podanie numeru. Zapadła krótka cisza.

- Sześć, siedem, cztery, dwa, cztery, dziewięć, pięć, pięć -padła wreszcie odpowiedź. - Kod MSC Foxtrot Lima Yictor Yictor.

- Dziękuję. Kontrola ruchu przekaże panu instrukcje dotyczące wektora zejścia. Chciałbym, żeby po lądowaniu zameldował się pan u mnie.

- Oczywiście, komandorze. Dziękuję.

- Fuji, mogę prosić cię na słowo? - rzekł Holloway. Przeszli do pustego kąta pomieszczenia.

- Co o tym sądzisz? Takara wzruszył ramionami.

- Kod wyglądał na autentyczny.

- Składał się z właściwej liczby elementów. Przynajmniej tyle możemy od razu stwierdzić.

- No cóż, powinniśmy jeszcze sprawdzić tego Quinna - zauważył major. - Jego nazwisko powinno znajdować się w głównym wykazie pilotów.

- Jeśli nie, bardzo chciałbym poznać cywila będącego w stanie pilotować counterpuncha - stwierdził dowódca garnizonu. -

141

Ale i tak sprawdź go. - Zaciśnął usta. - A przy okazji zbierz wszystkie dostępne informacje na temat doktor Melindy Cava-nagh. Takara zdziwił się.

- Myślałem, że jest związana z CavTronics Industries.

- Tak przynajmniej twierdzi. Chcę sprawdzić, czy nie kłamie.

- Wszystko gotowe, komandorze - odezwał się Grane. - Wyląduję za jakieś czterdzieści pięć minut. Czy mam zająć się sprawą zakwaterowania?

- Nie. Przekonamy się, co zamierza. Wiesz, kto z nim leci?

- Hmm... - mruknął sierżant. - Nie, niestety. Sam tego nie powiedział, a nie pomyślałem, żeby zapytać. Mam ponownie się połączyć?

- Nie ma potrzeby — odpowiedział Holloway kręcąc głową. — Jestem gotów się założyć, że to brat doktor Cavanagh, Arie. Tak przy okazji, Fuji, sprawdź również jego.

- Zajmę się od razu całą rodziną - uśmiechnął się Takara. - Na pewno i tak trzeba będzie to zrobić.

- Dzięki - rzucił komandor kręcąc głową. - Kiedy skończysz, przyjdź do mojego biura. Wciąż nie wiem jeszcze, jak chcesz zabezpieczyć ten wyłom we wschodniej ścianie.

Drzwi biura otworzyły się z cichym skrzypieniem i Holloway gwałtownie wyprostował się w fotelu.

- Tak?

- Przepraszam, Cass - rzekł Takara. - Nie wiedziałem, że śpisz.

- Ja też nie - przyznał dowódca trąc oczy i spoglądając na zegarek. Zdrzemnął się na pół godziny. Stracił niewiele czasu, lecz ubodło to jego dumę. - Co tu robisz? - zapytał. - Przecież już dawno skończyłeś służbę.

- Podobnie jak ty - zauważył major podchodząc do biurka. - Wciąż pracujesz nad tym wyłomem?

- Raczej bezskutecznie walę w niego głową - odpowiedział Holloway zerkając na zdjęcie z powietrza, wyświetlone na ekranie. - Nie możemy pozwolić, żeby pozostał bez obrony, Fuji. To jakby zaproszenie dla wroga. Mogą nim wdrzeć się do środka.

142

- Proponuję przespać się z tym problemem. Właśnie tego już próbowałeś, prawda? - zapytał starając się zachować powagę.

- Nie bądź taki dowcipny - warknął komandor. - Masz jakiś powód, żeby obrażać tu swojego dowódcę zamiast na kwaterze nabierać sił do pracy?

- Nawet dwa - odpowiedział Takara siadając. - Jakies pół godziny temu z Edo przyleciał łącznikowiec. Wygląda na to, że wreszcie dostaniemy eskadrę.

- Najwyższy czas. Od dawna już ją obiecują. Kiedy ma tu przybyć?

- Trzeba będzie poczekać jeszcze jakieś trzy, cztery dni. Sądzę, że w tej chwili ją kompletują.

- Świetnie - mruknął Holloway. - Co dostaniemy, przerobione barki?

- Tego nie określili. Ale nie liczyłbym na nic powyżej klasy Vega. Może Rigel, jeśli będą akurat w dobrym humorze.

- Na pewno nie - stwierdził dowódca z westchnieniem. - Przecież każda planeta w Lirze i Pegazie domaga się dodatkowej osłony. A Zdobywcy wybiorą na obiekt ataku

sektory z najbardziej rozczłonkowanymi systemami.

- Zapewne - przyznał Takara wyjmując kartę. - A oto następna wiadomość: Hobson zebrał informacje o Quinnie i rodzinie Cavanaghów. Oczywiście jeśli wciąż cię to interesuje...

- Nie mam wyboru - burknął Holloway sięgając po kartę. - Są tu, a więc przynajmniej przez pewien czas jestem za nich odpowiedzialny... a jestem gotów się założyć, że chodzi im o coś nie w pełni legalnego.

Major wzruszył ramionami.

- Rzecz w tym, żeby ustalić dokładnie, co.

Komandor wsunął kartę do czytnika, mrużąc pod nosem przekleństwa. Gdzieś tam niczym chmura gradowa czaiło się zagrożenie ze strony potężnej i podstępnej obcej rasy. Już w tej chwili ich siły uderzeniowe mogły zmierzać ku Dorcas.

Dysponował zaledwie trzystoma wyszkolonymi żołnierzami, którzy pomagali w przygotowaniach do obrony i równocześnie musieli przerzucić w bezpieczne miejsce dwadzieścia pięć tysięcy cywilów, mając na to tylko dwie godziny. Takim czasem będą dysponowali, jeśli dopisze im szczęście. Ostatnią więc rzeczą, której pragnął, było zajmowanie się rodem Cavanaghów.

- Wciąż prowadzą załadunek paliwowca?

143

- Trwał jeszcze, kiedy ostatnio sprawdzałem - odpowiedział Takara. - Nawet z jednej strony ustawili jakąś brezentową zasłonę. Czy Quinn wspominał coś o tym?

- Nie powiedział mi właściwie niczego. Może kontrolują spawy.

Holloway przeniósł wzrok na materiały przygotowane przez Hobsona.

Jego twarz w miarę czytania przybierała wyraz zaskoczenia.

- Przeglądałeś to? - zapytał podwładnego.

- Nie miałem okazji. Coś ciekawego?

- Tak, można tak powiedzieć. Ojcem Arica i Melindy jest lord Stewart Cavanagh, były delegat do Parlamentu NorCoordu z ramienia Grampans na Avonie. Słyszałeś coś o nim?

- A jakże. Czy to nie on rozwalił całą dawną strukturę programu Miedzianogłowych? Właśnie przez niego doszło do wielu zmian.

- Zgadza się - przytaknął komandor. - To on udowodnił, że przyjmowali w szeregi Miedzianogłowych ludzi, którzy ze względu na cechy emocjonalne nie nadawali się do tego typu służby. Nie wytrzymywali występujących tam obciążeń. - Uniósł brwi.

- A zgadnij, kto był jego koronnym świadkiem?

Oczy majora zwęziły się.

- Stawiam na dowódcę skrzydła Adama Quinna.

- Trafiłeś.

- No proszę - mruknął Takara. - Wiesz, Cass, dochodzę do wniosku, że warto by sprawdzić, co doktor Cavanagh mówi na temat swoich pełnomocnictw.

- Jasne, że warto. Ale mam przecucie, że byłaby to tylko strata czasu. Policz: osiemnaście godzin lotu na Ziemię, godzina lub dwie oczekiwania na audiencję u admirała Rudzinskiego, żeby w efekcie dowiedzieć się, iż nigdy nie słyszał o Melindzie Cavanagh, a tym bardziej nie powierzał jej żadnej tajnej misji, i kolejnych osiemnaście godzin na powrót. - Holloway wskazał ręką w stronę, gdzie znajdował się port. - Jak sądzisz, czy zdążą załadować swój statek i odlecieć stąd w ciągu trzydziestu siedmiu godzin?

- Jeśli będą się uwijać tak jak teraz, to na pewno - orzekł major. - Ale jeśli zdecydujesz się zatrzymać ich na podstawie podejrzeń, nie będą mogli tego zrobić. Oczywiście kiedy już wystartują, będziemy mieli kłopot z głową.

- Można na to spojrzeć i z tej strony - przyznał dowódca. - Jeśli nawet jednak pozbędziemy się kłopotu, może na tym ucierpieć nasza reputacja. Ale osobiście nie widzę innego wyjścia... - urwał nagle. - Ależ tak... Przyszła mi do głowy świetna myśl.

- Mów.

Holloway uśmiechnął się przebiegle.

- Melinda Cavanagh nie dysponuje żadnymi dokumentami, więc żeby ją sprawdzić, musielibyśmy wysłać kogoś na Ziemię. Zapewne to właśnie zakładali w swoich planach. Ale mogli nie wziąć pod uwagę faktu, że przestała być jedynym graczem w tej partii. Pojawił się dowódca skrzydła Quinn... a z nim jest już inna sytuacja. Przecież twierdzi, że dysponuje oficjalnym numerem autoryzacyjnym. Na twarzy Takary także pojawił się uśmiech.

- A to daje się szybko sprawdzić w wielu miejscach. Na przykład w bazie Obrońców Pokoju na Edo.

- Od której dzieli nas zaledwie dziewięć godzin lotu - dodał Holloway pochylając się nad tabliczką. - Warto spróbować. Zawiadom załogę, a ja w tym czasie przygotuję odpowiednie dokumenty.

- Tak jest.

- Później idź się przespać. Jutro czeka nas naprawdę ciężki dzień. Takara zatrzymał się jeszcze przy drzwiach.

- A jak sądzisz, o co im naprawdę może chodzić? Quinnowi i Cavanaghom.

- Nie mam pojęcia. Ale jest jeszcze jedna, ważna wskazówka, o której ci nie wspomniałem. Arie i Melinda mają... a właściwie mieli brata... o imieniu Pheylan. Do niedawna był dowódcą „Kinshasy”.

- „Kinshasy”? - powtórzył w zamyśleniu major. - Tak, to właśnie może wszystko tłumaczyć. Holloway spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Naprawdę? A więc?

- Wiem przecież tyle co i ty. Miałem na myśli, że to może stanowić klucz do całej sprawy.

- Dzięki - mruknął komandor. - Czasami jesteś niezastąpiony. Mam tylko nadzieję, że to jakaś błahostka. Drobiazg, który pozwala co najwyżej ich zatrzymać.

10 - Duma zdobywców

Takara skrzywił się.

- Nie pomyślałem o tym. Nasz rejon określono jako potencjalną strefę działań wojennych, ze wszelkimi wynikającymi z tego konsekwencjami, prawda?

- Tak. I wiążą się z tym specjalne procedury.

- Na przykład doraźne sądy polowe.

- I natychmiastowe wyroki.

Takara głośno wypuścił powietrze z płuc.

- Tak jest. Oby więc rzeczywiście nie było to nic poważnego.

Trzej kontaktujący się z Pheylanem Zhirrhowie nie przyszli do niego w dzień po pierwszym spacerze. Nie pojawili się także przez dwa kolejne. Wrócili dopiero czwartego dnia.

Lecz ich przywódcą nie był już Svvelic.

Zauważył to już w chwili, gdy przez ukryte drzwi weszli do pomieszczenia. Svvelic zawsze zajmował miejsce w środku, a Thrr-gilag i Nzz-oonaz stali po bokach nie uczestnicząc bezpośrednio w rozmowie. Tym razem Thrr-gilag, najniższy z całej trójki, szedł pośrodku.

I to on przemówił:

- Dzień dobry, Cawana. Ty dobrze?

- Stosunkowo dobrze - odpowiedział Pheylan. Przez moment rozważał, czy powinien skomentować nowy status Thrr-gi-laga, lecz doszedł do wniosku, że lepiej o tym nie wspominać. -Ale przydałoby mi się nieco słońca. Od dawna już nie wychodziłem na zewnątrz.

Przez chwilę nowy mówca uważnie mu się przyglądał.

- To ty zrobiłeś - rzekł. - Ty nie idź gdzie zakazane.

- Nie miałem zamiaru zrobić nic złego - zapewnił Ziemianin. Kolejny dowód, że ta biała piramida miała dla nich jakieś szczególne znaczenie. I zapewne z powodu umożliwienia mu zbliżenia się do niej SvV-selic pozbawiony został funkcji przywódcy. - My ludzie jesteśmy ciekawi i to wszystko.

- Ty już mówiłeś. Chcesz iść na zewnątrz?

Pheylan posłał spojrzenie Nzz-oonazowi, stojącemu przy kła-

147

pce w drzwiach, z kombinezonem posłuszeństwa przewieszonym przez ramię.

- Tak, chcę - odpowiedział ostrożnie, wyczuwając, że czegoś od niego oczekują.

- Mamy pytanie - oświadczył obcy. - IV odpowiesz, ty wyjdiesz.

A więc wreszcie doszło do oczekiwanego od dawna pierwszego przesłuchania.

- Najpierw pozwólcie mi wyjść - upierał się Pheylan. -Później odpowiem na wasz pytania.

- Najpierw pytanie. Ty odmówisz, ty nie wyjdiesz. Jeniec zacisnął szczęki.

- Pójdźmy na kompromis - zaproponował. - Odpowiem na te pytania, kiedy wyjdziemy na powietrze.

Przez moment Thrr-gilag stał bez ruchu, wyraźnie rozważając propozycję. Pheylan wytrzymał jego spojrzenie, zaciskając w myślach kciuki. Im większe ustępstwa zdoła wywalczyć w jakiegokolwiek sprawie, tym lepszą pozycję zdobędzie do przyszłych negocjacji.

Mimo tego był wyraźnie zaskoczony, kiedy Zhirrh ustąpił.

- Ty odpowiesz na zewnątrz. Jeśli nie, ty nie iść na zewnątrz już.

- Dobrze. Ale pamiętajcie, że wtedy sami skażecie mnie na śmierć.

- Ty nie umrzeć. My ci nie pozwolimy. - Mówca uczynił ruch ręką, a Nzz-oonaz przyklęknął i wsunął kombinezon przez klapkę.

Obserwowali, jak Pheylan się przebiera.

- Ty rób co mówimy - ostrzegł obcy otwierając drzwi celi. -Inaczej ty ukarany znowu.

Pogoda na zewnątrz nie była tym razem tak ładna jak przed czterema dniami. Niebo całkowicie przykrywały szare i brudno-białe chmury, a pomimo lekkiego ocieplenia wzbijający tumany czerwonego pyłu silny wiatr mocno dawał się we znaki.

- Nie na wiele zda się to dzisiejsze wyjście - oświadczył Ziemianin. - Przez te chmury przebija się niewiele promieni słonecznych.

- Jutro ty wrócisz na zewnątrz. Ale ty musisz odpowiedzieć.

A więc to z powodu pogody Thrr-gilag ustąpił w sprawie przesunięcia w czasie przesłuchania. Wiedział, że i tak ma więźnia w garści.

148

- W porządku - mruknął Ziemianin. - A więc zamieniam się w słuch.

- Tylko jedno pytanie. Powiedz wszystko o broni CIRCE.

Pheylan poczuł nagle w żołądku ciężar, który sprawił, że aż ugięły się pod nim nogi. A więc sprawdziły się najgorsze obawy, jakie miał od chwili uświadomienia sobie, iż obcy weszli w posiadanie komputera komodora Dyamiego.

Zhirrzhowie wiedzieli o CIRCE.

- Nie rozumiem - odpowiedział. - O czym mówisz?

- CIRCE - powtórzył Thrr-gilag. - Odmawiasz odpowiedź?

Pheylan przeniósł wzrok na białą piramidę i trzy otaczające ją kopuły, starając się błyskawicznie obmyślić dalszy tok swego postępowania. Przetrawanie ludzkości mogło zależeć od możliwości wykorzystania CIRCE przeciw obcym i ich niezwykle odpornym statkom. Im więcej Zhirrzhowie wiedzieli o tej broni, tym bardziej rosły ich szanse na znalezienie jakiejś formy obrony przed nią.

Ale przecież zawarł układ z Thrr-gilagem. Jeśli nie dotrzyma obietnicy, straci wszelkie szanse na wyrwanie się stąd. Poza tym to co on sam wiedział, obcy zapewne poznali już przez nieodpowiedzialne postępowanie Dyamięgo.

- Nie, nawet nie mam takiego zamiaru - zapewnił. - Chciałem tylko dowiedzieć się, o co dokładnie wam chodzi. Nie wiem nic o CIRCE, znam tylko jego historię. Za plecami Thrr-gilaga SvV-selic mruknął coś w ich języku.

- Ty dowodzisz ludzkim statkiem - zauważył rozmówca. - Znasz różne rodzaje broni. Pheylan wzruszył ramionami.

- Dowodzenie statkiem nie ma z tym nic wspólnego - odparł i ruszył w stronę lasu rosnącego na tyłach bazy. - A przynajmniej nie z CIRCE.

- Ale to ludzka broń - rzekł Thrr-gilag podążając za więźniem.

Ziemianin obejrzał się na niego... i zwrócił uwagę na coś intrygującego. Z bliska dostrzegł, że na występie na głowie obcego znajduje się niewielki przycisk w kolorze skóry. Trudno było stwierdzić z całą pewnością, ale odniósł wrażenie, że od przycisku odchodzą cztery wypustki łączące się z czterema równoległymi smugami na skórze pod występem.

- Co to takiego? - zapytał Pheylan wskazując przycisk.

149

- To? - zapytał Zhirrzh, dotykając go językiem. - To połączenie z tłumaczem.

- Z tłumaczem? Mówisz o urządzeniu? O komputerze?

- Tak.

- Ale myślałem... nieważne.

- Wyjaśnij.

- Powiedziałem, że nieważne - mruknął Ziemianin odwracając się.

Obcy wyciągnął rękę i jego trzy palce i dwa kciuki zacisnęły się na ramieniu jeńca.

- Wyjaśnij - polecił.

Pheylan ponownie spojrzał na przyłączy audio, po czym przez ramię popatrzył na SvV-selica i Nzz-oonaza. Teraz, gdy wiedział już, na co zwrócić uwagę, dostrzegł je także i u nich.

A więc czym naprawdę były owe blizny u podstawy ich czaszek? Szramy, które początkowo uznał za rodzaj przyłączy mózgowych?

Obcy wciąż czekał na odpowiedź.

- Sądziłem, że jesteście połączeni z komputerem na stałe - wyjaśnił wreszcie. -

Miałem na myśli te blizny z tyłu. - Wyciągnął rękę w kierunku głowy Thrr-gilaga...

Tym razem nie upadł prosto na twarz, ponieważ stał pewnie, gdy Nzz-oonaz uruchomił elektromagnesy umieszczone w jego kombinezonie. Ale i tak łokcie uderzył go boleśnie w bok, gdy uniesiona ręka opadła bezwładnie.

- Hej! - wyjąkał, kołysząc się rozpaczliwie i usiłując zachować równowagę. - Chciałem tylko pokazać.

Jego rozmówca rzucił coś i urządzenia obezwładniające zostały wyłączone.

- Wyjaśnij słowo „blizna” - polecił.

- Blizny to pozostałość po operacji chirurgicznej - odpowiedział Pheylan posyłając wściekłe spojrzenie Nzz-oonazowi i rozcierając bok. - Po rozcięciu skóry, by wyjąć coś ze środka lub tam umieścić. Wszyscy trzej je macie, dokładnie u podstawy czaszki. - Chciał ponownie pokazać, lecz zreflektował się i wskazał miejsce na własnej szyi. - O tutaj.

Przez długą chwilę trzej Zhirrhowie przyglądali mu się, a ich twarze pozostawały zupełnie nieruchome. Operator nadajnika mruknął coś do Thrr-gilaga, który odpowiedział tym samym tonem. Do rozmowy włączył się SvV-selic i z ożywieniem deba-

150

towali przez dobrą minutę. Ziemianin czekał, mrużąc oczy przed porywami silnego wiatru, niosącego ze sobą podnoszony z ziemi pył. Kiedy poprzednio byli w tym miejscu, dostrzegł coś, co przypominało ścieżkę znikającą wśród drzew. Miał nadzieję, że dzisiaj dokładniej obejrzy sobie to miejsce.

- Ludzie nie mieć organu fssst

Oderwany od własnych myśli popatrzył na rozmówcę.

- Czego?

- Szramy pofsss - wyjaśnił Thrr-gilag. - Ludzie mieć tu? -jego język wskazał prawą stronę brzucha Pheylana.

Ten zmarszczył brwi. Nie było tam nic godnego uwagi, z wyjątkiem niewielkiego zrostu po usunięciu, w wieku dziesięciu lat, wyrostka robaczkowego.

Znamię to, uświadomił sobie teraz, zwróciło szczególną uwagę Zhirrhów badających go pierwszego dnia pobytu tutaj.

- Nie wiem - odpowiedział. - Nasze nazwy są zupełnie różne. Do czego służy wam tenfsssl

SvV-selic warknął coś, a jego język kilkakrotnie wysunął się na ułamek sekundy z otworu gębowego. Thrr-gilag odpowiedział, jak Ziemianin uznał, z ociąganiem, a następnie zwrócił się ponownie w jego stronę.

- Nieodpowiedni temat. Ty mów o CIRCE.

- Właściwie nie ma o czym mówić - odparł więzień. A więc obcemu gwałtownie zależało na zmianie tematu. Czyżby nie wypadało wspominać o tym organie w uprzejmych rozmowach? A może chodziło o coś, co chcieli zachować przed nim w tajemnicy? W każdym razie zdobył kolejną, wartą przemyślenia informację. - To akronim, czyli skrót pochodzący od Kolima-cyjnego Działu Efemerycznego Rezonansu Jonowego. Oprócz tego znam tylko jego historię, która jest powszechnie dostępna. Zaledwie kilku ludzi wie, czym dokładnie jest CIRCE i jak działa.

- Opowiedz, co ty wiesz.

Pheylan westchnął ciężko, a po plecach przebiegł mu dreszcz. W akademii pokazywali im to nagranie chyba z pięćdziesiąt razy... i niezmiennie robiło ono na widzach ogromne wrażenie.

- To była zasadzka - zaczął. - Pięć najnowszych pawole-skich statków ukryło się w cieniu planety najbliższej słońca. Wypadły wprost na trzy jednostki NorCoordu, z których żadna

151

nie była nawet w połowie tak duża jak napastnicy. Wystrzelili swoje myśliwce, a my swoje.

- Ty widzieć? Ziemianin pokręcił głową.

- To było trzydzieści siedem lat temu. Nie było mnie jeszcze na świecie.

Widziałem tylko zarejestrowany przebieg tej walki.

- Mów więcej.

- Właściwie nie ma o czym. Myśliwce spotkały się w połowie drogi i bitwa właśnie się rozpoczęła, gdy nagle szyki Pawolesów zupełnie się załamały. Ich myśliwce zaczęły się wycofywać, a nasi ruszyli w pogoń... Widać było, że ich statki zaczynają bezwładnie dryfować. CIRCE zabił wszystkich stanowiących ich załogi. Zapadła cisza, po czym obcy znów zaczęli się między sobą naradzać. Pheylan szedł tymczasem, obserwując las z lewej. Nie mylił się: rzeczywiście było tam coś, co przypominało ścieżkę. Biegła w miarę prosto znikając za drzewami i zaroślami na tyłach kompleksu zabudowań. Skręcając o kilka stopni, zaczął się do niej zbliżać.

Konferencja za jego plecami dobiegła końca.

- Jak? - zapytał Thrr-gilag.

- Co jak? Jak CIRCE ich zabił? Chodzi zapewne o jakiś rodzaj promieniowania. Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia.

Rozmówca jakby zamyślił się nad jego słowami. A może tylko oczekiwał na właściwe przetłumaczenie ostatniego określenia.

- Dlaczego CIRCE nie użyty w ataku na Zhirrh? - zapytał wreszcie. Ziemianin spojrzał mu prosto w oczy.

- Zastanów się, co mówisz. To nie my zaatakowaliśmy. Wy na nas napadliście.

- Nieprawda. Dowódcy i Starsi mówią. Ludzkie statki zaatakować pierwsze.

- Byłeś tam? Osobiście? - zapytał wzburzony jeniec. Język Thrr-galiga wysunął się kilkakrotnie i schował.

- Nie. Starszy klanu Kee'rr mówi...

- A ja tam byłem - przerwał mu Pheylan podnosząc głos. -I nie obchodzi mnie, co mówią wam dowódcy, Starsi, czy ktokolwiek inny. Wasze statki zaczęły strzelać pierwsze.

152

Odwrócił się plecami do Zhirrhza, a przed oczami stanęły mu twarze zamordowanych członków załogi: Rico, Hauver, Meyers, Chen Ki...

- Ty nie mów źle o Starszych - ostrzegł SvV-selic. - Starszy klanu Too'rr mówi to samo.

- I starszy Klanu Flii'rr - dodał Nzz-oonaz.

- Nie obchodzi mnie, co mówią ci wasi Starsi...

- Koniec! - warknął groźnie SvV-selic robiąc krok w stronę więźnia. - Ty nie mów źle o Starszych. Albo kara.

Pheylan zacisnął zęby. A więc to takie panowały tu stosunki. Według opublikowanych informacji to ziemskie eskadra z „Jut-landem” na czele była agresorem. Jego rozmówcy byli o tym święcie przekonani. Nawet nie pomyśleli, że można wątpić w to, co mówi władza i nie chcieli słuchać czegoś, co nie zgadzało się z oficjalną wersją wydarzeń. A więc wszelkie tłumaczenia z góry skazane były na niepowodzenie.

Pełna kontrola i pełne posłuszeństwo... a jednak, gdy zdusił w gardle pełne pogardy parsknięcie, uświadomił sobie, że być może właśnie w tej chwili w ich systemie absolutnego podporządkowania pojawiły się pierwsze rysy. Rysy, które mogą go zburzyć. Historia ludzkości dowiodła niestabilności autokratycznych rządów polegających na manipulowaniu narodem, od Niemiec hitlerowskich, poprzez Związek Radziecki, Dominację Chińską, aż do reżimu Caledonu. Potrzebna była tylko wystarczająco silna iskra, by wysadzić je w powietrze.

Fakt, iż tutejsze władze kłamią, by uzasadnić konieczność prowadzenia wojny, mógł okazać się taką właśnie iskrawą. Czując nagły przypływ adrenaliny Pheylan

uświadomił sobie, że owa trójka wyznaczona do kontaktów z nim może posłużyć za zapalnik.

Thrr-gilag nie dołączył do chóru wzburzonych towarzyszy. Stał w milczeniu.

- Ja tam byłem - powtórzył jeniec, patrząc na niego. - Widziałem dokładnie, co się wydarzyło.

- Ty nie mów źle o Starszych - rzekł Thrr-gilag. Ale Pheyln wyczuł wahanie i jakby niepewność w jego głosie. - Zły temat. Ty mów, dlaczego CIRCE nie użyty przeciw Zhirrh?

Ziemianin odwrócił się i ponownie ruszył ku ścieżce znikającej w lesie.

- CIRCE nie jest standardowym wyposażeniem ludzkich statków - wyjaśnił. - W przeciwieństwie do tego, co zapewne

153

twierdzą wasi przywódcy, ludzie nie zabijają dla satysfakcji, lecz tylko w przypadku konieczności. Traktują to jako ostateczność.

- CIRCE użyty przeciw innym.

- Został wykorzystany przeciwko Pawolesom. Ale wtedy również oni zaatakowali jako pierwsi. Doszli na skraj lasu, zanim Thrr-gilag odezwał się ponownie.

- Jak często CIRCE użyty?

- Tylko w tym jednym przypadku - odpowiedział jeniec. - Pawolesi byli na tyle rozsądni, że poddali się, zanim został użyty ponownie. - Spojrzał prosto w potrójne źrenice obcego. - Inne rasy, z którymi mieliśmy zatargi, wiedząc czym dysponujemy, ustępowały.

Ponownie odwrócił się w stronę lasu.

- To chyba jakaś ścieżka - zauważył. - Dokąd prowadzi?

- Nie idź tam.

- Nie pójde - zapewnił Pheyln, jednocześnie stawiając kolejny krok.

Widział teraz, że rośliny przypominające trawę były wydeptane, odsłaniając znajomy czerwony pył oraz kilka płaskich, niewielkich kamieni.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, dokąd biegnie - ciągnął nadal idąc. Jego wiedza geologiczna była mizerna, lecz rozpoznał, że owe kamienie są z całą pewnością krzemieniami. A ostrą ich krawędzią...

- Nie idź tam - ostrzegł szef obcych.

- Czy tam jest dalsza część tego kompleksu zabudowań? - zapytał Pheyln, robiąc kolejny krok. Nzz-oonaz na pewno w końcu uruchomi elektromagnesy. Musi wtedy znaleźć się tam, gdzie leżą krzemienie - Zamierzacie zbudować tu drogę? - rzucił przez ramię. Jeszcze jeden krok... drugi... trzeci...

- Kasar! - krzyknął Thrr-gilag.

Nawet przygotowany, Ziemianin nie był w stanie nic zrobić, gdy system obezwładniający został uruchomiony. Skrzywił się, gdy ręce opadły bezwładnie, a całe ciało osunęło na ziemię.

- Nie musieliście tego robić - warknął oburzony, odwracając głowę, by spojrzeć na obcych. - Nie zamierzałem tam iść.

- Ty nie zatrzymać się - wyjaśnił Thrr-gilag.

- Bo nie powiedzieliście, że bym to zrobił - odparował jeniec. Zbliżyli się do niego, lecz jeszcze przez sekundę lub dwie jego lewa ręka pozostanie poza zasięgiem ich wzroku. Ostrożnie,

154

starając się, aby nie zostało to zauważone, zaczął palcami macać wokół. - Nie chcieliście tylko, że bym tam poszedł. A ja nie miałem nawet takiego zamiaru. Dowódca Zhirrhów zwolnił, jakby na moment się zawahał... i właśnie w tym

momencie Pheylan natrafił na to, czego szukał. Uniósł kamyk i schował go w dłoni.

- Ja mówię nie iść tam, znaczy zatrzymać się.

- Następnym razem postaram się o tym pamiętać - burknął Ziemianin. - Mogę już wstać?

Thtt-gilag wykonał gest dłonią. Nzz-oonaz uniósł rękę z trzymanym w niej urządzeniem i elektromagnesy wyłączyły się.

- Dziękuję.

Pheylan podniósł się, rozcierając łokieć, którym ponownie uderzył o żebra. Obcy naciskając przycisk kierował urządzenie w jego stronę. Czy miało to znaczyć, że działało ono z wykorzystaniem podczerwieni lub wąskiej wiązki dźwiękowej, a nie fal radiowych?

- Na przyszłość przydałoby się, gdybyście najpierw mnie ostrzegli - powiedział, trąc podbródek podrapany o ostre rośliny, a jednocześnie rozpinając kombinezon o kilka centymetrów i ukrywając pod nim kamyk.

- Ty teraz wrócisz - oświadczył Thrr-gilag.

Więzień jeszcze raz popatrzył na ścieżkę, lecz nawet stąd nie widział dokąd biegnie. Sądził, że nie prowadzi raczej do żadnego ważnego miejsca, co najwyżej do jakichś zabudowań gospodarczych.

- A więc wracajmy - mruknął.

Wiele zabiegów kosztowało go przemycenie krzemika podczas zdejmowania kombinezonu posłuszeństwa, kiedy to cała trójka obcych obserwowała go uważnie.

Udało mu się jednak, i żaden z nich nie dostrzegł ukrytej w dłoni zdobyczy.

Oddał kombinezon przez klapkę w drzwiach i przeszedł pod prysznic.

System wentylacji w postaci szeregu niewielkich otworów w suficie działał skutecznie, tak że nigdy nie zdarzyło się, by zewnętrzne ściany celi zaparowały.

Nie dotyczyło to jednak kabiny prysznicowej. Odkręcił gorącą wodę i wykorzystując tymczasowe ukrycie przyjrzał się cennej zdobyczy.

155

Był to mały skarb, o wymiarach pięć na trzy centymetry, nie grubszy niż trzy milimetry. Choć jego brzegi były dość ostre, trzeba będzie długich starań, zanim ten kamyk będzie w stanie ciąć tkaninę kombinezonu lub skórę Zhirrhów.

Niemniej dysponował namiastką broni, której posiadanie dodawało mu pewności siebie... i nadziei. Jeśli udałoby mu się ją ukryć, a później wyostrzyć jedną z krawędzi, zyska mnóstwo nowych możliwości.

Co prawda nie wiedział jeszcze jakich, ale był pewien, że już wkrótce coś wymyśli.

Umył się i wyszedł spod prysznicu energicznie wycierając włosy, z kamieniem znów ukrytym w dłoni. Wciąż nie pojmował, jak udaje mu się nie zwrócić niczyjej uwagi, ale im dłużej nad tym rozmyślał, tym większego nabierał przekonania, że dłonie Zhirrhów nie pozwalają na ukrycie w nich jakiegokolwiek przedmiotu.

Pierwotnie planował schować zdobycz między palcami nogi. Uświadomił sobie jednak, że kombinezon uniemożliwia szybkie wyjęcie go stamtąd, więc porzucił ten pomysł. Usiadł na łóżku i wciągając kombinezon odsunął na centymetr prawą szufladę pod łóżkiem i wrzucił tam kamyk -pomiędzy ściankę a zajmujący większość miejsca pusty zasobnik.

Resztę dnia spędził na rutynowych działaniach, dzieląc czas pomiędzy ćwiczenia izometryczne, kontrolę zapamiętywania rozkładu pomieszczenia i rozmyślanie nad sposobem ucieczki. Kilkakrotnie nachodziła go nieodparta wprost chęć odsunięcia szuflady. Pragnął wziąć krzemień do ręki, poczuć jego krawędzie upewniając się,

że jest na swoim miejscu. Ale zapanował nad sobą. Zwrócił już uwagę, że nadzór nad nim jest mniej intensywny, gdy udaje się na spoczynek. Będzie to więc właściwy czas na znalezienie dla kamienia pewniejszej kryjówki.

Chwila ta jednak nigdy nie nadeszła. Leżał na łóżku i ukradkiem obserwował kręcących się za szybą techników, kiedy nagle sześciu obcych weszło szybkim krokiem do sali i skierowało się prosto ku jego celi. Dwaj spośród nich mieli takie same długie, szare rury, jakie wcześniej widział u strażników przy piramidzie. Dwaj inni trzymali zaś jakieś pękate urządzenia rozmiarów latarki. Pozostali wyglądali na nie uzbrojonych.

156

- Co tu się dzieje? - wykrzyknął Pheylan, kiedy obcy zajęli pozycje wokół celi. Ci nie uzbrojeni zbliżyli się do drzwi, zaś pozostali ubezpieczali ich.

Ziemianin zauważył z niepokojem, że wszyscy czterej mierzą prosto w niego... a z bliska te długie rury wyglądały jeszcze groźniej.

- Co się dzieje? - powtórzył, tym razem już mniej pewnie.

Podczas gdy ludzie preferowali broń palną i rakiety, Zhirrhowie wyraźnie woleli lasery. Jeśli ta broń była zbudowana na podobnej zasadzie co lasery na ich statkach, to mogli spalić go na popiół nawet przez ściany celi. Zapewne była to jedna z przyczyn, dla których zrobiono je ze szkła.

- Ty odsuń się - rozległ się głos za jego plecami.

Jeniec odwrócił się. Stał tam Thrr-gilag. Jego język wysuwał się z ust i chował w nich, a ogon poruszał w przyspieszonym tempie. - Ty stań tam.

Pheylan bez słowa wstał i podszedł do prysznicza, podczas gdy wyloty broni śledziły jego ruchy. Drzwi celi otworzyły się i do środka weszli dwaj nie uzbrojeni obcy. Jeden pozostał przy wejściu, podczas gdy drugi podszedł do łóżka. Otworzył szufladę, odsunął zasobnik i wyjął kamień.

- Nie należy - odezwał się Thrr-gilag. - Ty nie miej.

- Rozumiem - odpowiedział Ziemianin, a słowa z trudem wydobywały się przez zaciśnięte gardło.

A więc mylił się. Tyle starań i wybiegów... wszystko na nic. Wiedzieli o kamyku, zapewne od chwili, gdy podniósł go z ziemi.

Nie. To niemożliwe. Krzemień leżał w szufladzie już od dwunastu godzin. Jeśli wiedzieli o nim od samego początku, z pewnością interweniowaliby znacznie wcześniej.

Obejrzał się na Zhirrhów, którzy wycofali się z celi zamykając za sobą drzwi. A jednak wiedzieli, gdzie go ukrył. I to tak dokładnie, że nie musieli nawet szukać. Po chwili zastanowienia, wnioskując z pośpiechu, z jakim tu wpadli, uznał, że widocznie dopiero go zlokalizowali.

Ale jak?

Jeden z szóstki obszedł celę i zatrzymał się przy Thrr-gilagu. Szeptał z nim przez jakiś czas, obracając kamień w palcach i oglądając go na wszystkie strony. Pheylan obserwował ich uważnie, a różne myśli przelatywały mu przez głowę jak gnane

157

wichrem jesienne liście. Posiadali niewielkie zdolności telepatyczne i dopiero teraz odkryli, że ma kamień. Te zdolności były ogromne, ale dysponowali nimi tylko nieliczni i ktoś taki właśnie tu się pojawił. Przeprowadzili nocny skanowanie celi, tak dokładny, że idealnie zlokalizował niewielki kamyk w rogu szuflady. Mieli bezpośrednie połączenie z Bogiem, a On nie chciał, żeby Pheylanowi szybko udało się stąd uciec.

Ale najbardziej prawdopodobne było, że od początku wiedzieli o wszystkim i uważnie obserwowali, co z nim robi. Dali mu dwanaście godzin nadziei mając pewność, że nie zdoła posłużyć się zdobyczą, zanim mu ją odbiorą.

Thrr-gilag spojrział na więźnia.

- Nie należy - powtórzył. - Jutro ty nie iść na zewnątrz.

- To nieuczciwe - zaprotestował więzień, dobrze wiedząc, że sprzeciw niczego nie zmieni, lecz jednocześnie nie należy z niego zrezygnować. - Nigdy nie zabranialiście mi czegoś takiego. Poza tym muszę wyjść. Potrzebuję światła słonecznego.

- Ty ukarany - oświadczył obcy. - Nie robić znowu.

Odwrócił się i odszedł ku ukrytym drzwiom. Prawie równocześnie dowódca oddziału zebrał swoich ludzi i wyprowadził ich z sali. Technicy, z daleka obserwujący całą scenę, powrócili do swoich zwykłych zajęć.

Powoli, z rezygnacją, jeniec podszedł do łóżka. W porządku. Stracił kamień, ale tak naprawdę nie powinien był liczyć, że uda mu się długo go ukrywać. Stracił kamień, lecz zdobył kolejne ważne informacje, które przekaże po ucieczce.

Położył się, zamknął oczy i analizował to, czego się właśnie dowiedział.

- Lordzie?

Cavanagh obudził się gwałtownie, czując na ramieniu rękę ciemnej postaci stojącej przy jego łóżku.

- Kto to? - wyszeptał przez wysuszone gardło.

- To ja, Kolchin - usłyszał cichą odpowiedź. - Mamy gości.

- Naprawdę? - Nie bez trudu lord skupił wzrok na wyświetlaczu zegara. Była 4:37.

- Nieco za wcześnie jak na kurtuazyjne odwiedziny, prawda?

- Oni z pewnością nie przyszedli w celach towarzyskich. To attache" Federacji i trzy osoby z naszego konsulatu na Mra-ect.

- Z Mra-ect? - zdziwił się Cavanagh siadając i wyciągając rękę po szlafrok. -

Pokonali dziewięć lat świetlnych, tylko po to, żeby się z nami spotkać? Ale zaszczyt. Czego chcą?

- Nie jestem pewien. Sądzę jednak, że chodzi im o Fibbit. Ręka lorda zawisła w powietrzu.

- O Fibbit? Po co, u licha?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział ochroniarz. - Odmówili mi jakichkolwiek wyjaśnień. Twierdzą, że będą rozmawiać jedynie z panem. Ale rozglądają się, jakby szukali kogoś lub czegoś.

- Jak to rozglądają się - zapytał były parlamentarzysta przewiązując szlafrok i wsuwając stopy w kaptcie. - Chyba nie weszli już do apartamentu?

- Nie, Hill zatrzymał ich na razie w foyer. Ale usiłują zajrzeć do dalszych pomieszczeń. Sprawiali wrażenie bardzo zawiedzionych, że nie chcemy wpuścić ich dalej.

159

- Niech się wściekają - mruknął Cavanagh. Obudzony o czwartej trzydzięci rano, był mocno wytrącony z równowagi. - A w ogóle to gdzie jest Fibbit?

- Nie wiem. Jeszcze przez kilka godzin po pańskim odejściu pracowała nad tkaniną, o którą pan prosił. Ale później muszę przyznać, straciłem ją z oczu. Na pewno nie wyszła, ale nie ma jej także w pokoju. To już sprawdziłem.

- Pewnie śpi w jakimś kącie. Chodźmy poznać przyczynę tej dziwnej wizyty.

Czterej przybysze byli widoczni jako niewyraźne cienie poruszające się za przyciemnioną szybą oddzielającą foyer od reszty apartamentu.

- Nazywam się Stewart Cavanagh - przedstawił się były delegat, zatrzymując się

obok pilnującego ich Hilla. - Czym mogę panom służyć?

- Przepraszam, że pana niepokoiimy, lordzie - odezwał się tęgi mężczyzna w średnim wieku, występując jednocześnie przed swych towarzyszy. - Jestem attache* Federacji Międzygwiazdowej i nazywam się Petr Bronski. - Popatrzył w głąb apartamentu, ponad ramieniem Cavanagha. - Możemy wejść?

- Proszę na wstępie wyjaśnić mi, co was sprowadza o tak niestosownej porze. Jeden z młodych mężczyzn towarzyszących Bronskiemu mruknął coś pod nosem i stanął obok szefa. W odpowiedzi Hill przesunął się nieco w bok, blokując mu drogę. Cavanagh kątem oka dostrzegł, że także Kolchin zajął dogodniejszą pozycję. Cała czwórka przybyszów już na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie umiających sobie radzić w trudnych sytuacjach. Takich właśnie ludzi Federacja wysyłała, gdy w grę wchodziły niebezpieczne zadania. Niemniej nawet przy stosunku dwóch na jednego, gdyby doszło do próby sił, lord postawiłby na swoich ludzi.

Być może Bronski także odniósł podobne wrażenie. Z ociąganiem uniósł rękę i jego podwładny wycofał się.

- Radzę współpracować z nami, lordzie - rzekł wyjmując z kieszeni jakąś legitymację. - Właściwie nie jest mi wcale potrzebne pańskie przyzwolenie, żeby wejść.

Cavanagh otworzył dokument i obejrzał go uważnie. Identyfikator dyplomatyczny Bronskiego mógł robić wrażenie na terenie NorCoordu, ale tu, na terytorium Mrachów, nie dawał pra-

160

ktycznie żadnych specjalnych uprawnień. Lecz pod okładką znajdowała się tymczasowa czerwona karta wystawiona przez władze mrachańskie.

- W takim razie proszę wejść - powiedział eks-parlamentarzysta, przekazując dokumenty Kolchinowi. - Hill, wskaż panom gdzie mogą usiąść.

- Dziękuję. Nie trzeba. Chodzi nam jedynie o tę Sanduulkę. Zabierzemy ją i nie będziemy już pana niepokoić.

- Sanduulkę? - powtórzył Cavanagh, gdy cała czwórka minęła Hilla i przeszła do salonu.

- Tak, Sanduulkę - potwierdził Bronski, stając pół kroku przed podwładnymi. - Fibbit u-coś-tam-u-coś-tam, skądś tam na Ulu. Zresztą dobrze pan wie, o kogo mi chodzi.

- Czego od niej chcecie?

- Właściwie nie powinno to pana interesować. Powiem więc tylko, że musi być deportowana.

- Przecież na moją prośbę oficjalnie przedłużono jej pobyt o jeden dzień.

- Widać tamta decyzja została zmieniona. Gdzie ona jest?

Cavanagh rozejrzał się. Salon był umeblowany w mrachańskim stylu, z dziwacznie profilowanymi meblami i mnóstwem zwisających z sufitu elementów dekoracyjnych. Wystrój został pomyślany tak, by szczególnie eksponować zajmującą czwartą część pomieszczenia ba wialnię. Na jej umeblowanie składały się długie, wąskie kanapy i miękkie fotele ustawione tak, by akcentować lekko falującą rzeźbę przedstawiającą płomienie, usytuowaną w narożniku. O jedną z kanap oparta była ramka z rozpiętą na niej tkaniną, nad którą uprzednio pracowała Fibbit. Jej samej nigdzie nie było widać.

- Naprawdę jesteście panowie pewni, że macie ją deportować? - zapytał z naciskiem.

- Gdzie ona jest, Cavanagh - warknął Bronski nie odpowiadając lordowi i

przechodząc do bawialni, podczas gdy jego ludzie skierowali się ku jadalni i sypialni. Hill sprawiał wrażenie, jakby chciał ich zatrzymać, lecz lord uchwyciwszy jego spojrzenie lekko pokręcił głową. Tutaj rządzą Mrachowie, a ich czerwona karta była dokumentem dającym największe uprawnienia, jaki mógł otrzymać przedstawiciel obcej rasy. Niewątpliwie chcieli czegoś od Fibbit i chyba bardzo im na tym zależało.

- Co to takiego? - zapytał Bronski.

11 - Duma zdobywców

161

Cavanagh odwrócił się do niego i stwierdził, że przybysz ogląda dzieło tkaczki.

- To kilim, który zamówiłem u Fibbit - wyjaśnił spokojnie. Attache" na moment podniósł na niego wzrok.

- Ten, kogo przedstawia, nie jest wcale podobny do pana. To jest już pańskie, czy nadal tej Sanduulki?

- Moje.

- Może pan to udowodnić?

- Nie dysponuję jeszcze dowodem nabycia go.

- A więc wciąż należy do niej. Zabierzemy to razem z właścicielką.

- Chwileczkę - zaprotestował lord podchodząc do Bronskie-go. - Wasze postępowanie jest całkiem pozbawione sensu. Czy mogę przynajmniej dowiedzieć się, o co w ogóle chodzi?

Przybysz przez chwilę mierzył go wzrokiem.

- Jasne, powiem panu w czym rzecz - warknął. — Otóż mój szef cztery godziny temu wyrwał mnie z łóżka i przekazał dwie wiadomości: po pierwsze, że Mrachowie mają problemy z Sanduulką, a po drugie, iż" jakiś człowiek wtyka nos w sprawy, które w ogóle nie powinny go obchodzić. Wkrótce zajmiemy się pańskim postępowaniem, ale na razie weźmiemy tylko Sanduulkę. Zamierza pan nam ją wydać, czy też nie?

- Mówiąc szczerze nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. Ponieważ nie ma jej tutaj, to najwyraźniej musiała wyjść w czasie, gdy spałem.

Attache" skrzywił się.

- Ci dwaj ochroniarze nie pozwoliliby prześliznąć się nawet myszy - zauważył odkładając ramkę na kanapę. - Mało przekonywujące tłumaczenie.

- Moi ludzie także muszą kiedyś spać - odparował lord, z trudem zachowując spokój. - Jej rzeczy są wciąż tutaj... Jestem więc pewien, że wróci. I jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię, to bezsensowne trwonicie czas i energię. Wicie przecież, że rano zamierzałem opuścić Mra-mig wraz z Fibbit.

- Może właśnie dlatego uciekła - zauważył chłodno przybysz. - Zdaję sobie sprawę, że takim jak pan byłem delegatorem wciąż wydaje się, iż wiedzą o wszystkim, co się dzieje we wszechświecie. - Spojrzał ponad głowę Cavanagha. - No i co?

Lord odwrócił się i stwierdził, że trojka podwładnych Bronskiego wróciła do salonu. Z pustymi rękami.

162

- Tu rzeczywiście jej nie ma - zameldował jeden z nich. - Chyba było tak jak on mówi: wyniknęła się, kiedy wszyscy spali. - Przeszedł do bawialni i spojrzał na tkaninę. - Kto to?

- Ktoś, kogo Fibbit widziała ostatnio - odpowiedział lord. - Poprzedni portret tego człowieka został zniszczony w porcie. Postanowiła, że odtworzy go, póki jeszcze pamięta tę twarz.

- Ach tak - mruknął mężczyzna przyglądając się Cavanagho-wi. - A więc twierdzi

pan, że spotkał go tu, w Mig-Ka?

- Tego nie powiedziałem. Tak się składa, że to ona go widziała. Czy zna go pan, panie...

- Lee - przedstawił się tamten. - Taurin Lee.

- Czy więc rozpoznaje go pan, panie Lee? - powtórzył eks--parlamentarzysta.

Zapytany przyjrzał się uważnie portretowi, a na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy.

- Raczej nie - odpowiedział cedząc słowa. - Rozumiem, że zabieramy to ze sobą - zwrócił się do Bronskiego.

Ten otworzył usta... i zamarł, gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

Przez chwilę wszyscy pozostawali w bezruchu. Jako pierwszy z zaskoczenia otrząsnął się lord, posyłając znaczące spojrzenie Kolchinowi, który lekko skinął głową i ruszył w stronę drzwi.

Nie odszedł jednak daleko.

- Chwileczkę - rzucił Lee odkładając tkaninę i szybkim krokiem doganiając ochroniarza. Pozostali ludzie Bronskiego i Hill dołączyli do nich. Cavanagh skrzywił się i podążył także w stronę drzwi, myśląc, że Fibbit mogłaby jednak pojawić się w dogodniejszym czasie.

Machnął ręką uznając, że właściwie to nie jego sprawa. Lee oraz Kolchin wyszli na korytarz i gdy któryś z nich otworzył drzwi, rozległo się westchnienie ulgi.

Cavanagh spodziewał się raczej okrzyku triumfu Tarnina Lee, bądź pełnego zaskoczenia pisku Fibbit. A tymczasem dobiegło do niego tylko to ciche westchnienie.

Podszedł do półprzezroczystej szklanej ścianki akurat w chwili, gdy pojawił się przy niej Kolchin.

- To Mrach, proszę pana - zameldował. - Mówi, że pragnie widzieć się z panem. Znowu coś związanego z Sanduulką? - Poproś, żeby wszedł.

163

Ochroniarz odwrócił się i skinął głową, po czym zrobił miejsce wchodzącemu.

Jak w przypadku większości innych ras, tak i Mrachowie byli dla ludzi trudni do odróżnienia. Lecz lord nie miał wątpliwości, że z tym osobnikiem nie miał do czynienia ani w Agencji Informacyjnej, ani w porcie.

- Który z panów jest lordem Cavanagh? - zapytał Mrach niepewnie, rozglądając się po twarzach zgromadzonych.

- To ja. A z kim mam przyjemność...?

- Żadnych nazwisk - syknął przybyły. - Nie mam czasu. Przynoszę prywatną wiadomość od mojego zwierzchnika. Dowiedział się o pańskich poszukiwaniach i pragnie pomóc.

Właściciel CavTronics poczuł, że serce zabiło mu mocniej. A więc istniał jakiś dalszy ciąg owych legend.

- Ma pan jakieś dodatkowe informacje o Zdobywcach? Mrach był wyraźnie zaskoczony.

- Zdobywcach? Nie. O człowieku, którego sportretowała Sanduulka. Tym, którego pan szuka. Znajdzie go pan pośród Ycromanów, na Północnych Stepach planety Phormbi.

Po plecach Cavanagha przebiegł nagły dreszcz.

- Co on tam robi? Ma jakieś kłopoty?

- Nic więcej nie mogę powiedzieć - syknął przybysz wycofując się. - Muszę już iść, zanim ktoś odkryje, gdzie jestem. Powodzenia w poszukiwaniach.

Odwrócił się i wyszedł.

- Interesujące - pokiwał głową Bronski, kiedy Lee zamknął drzwi za Mrachem. - Nadal zamierza pan twierdzić, że ten sportretowany mężczyzna jest kimś mało znaczącym, lordzie?
- Nigdy nie mówiłem, że to ktoś przypadkowy. Powiedziałem tylko, że nie wiem, kim jest.
- Oczywiście - mruknął attache" wskazując w stronę bawiał-ni. - Garcia, bierz tę tkaninę.
- Chwileczkę - odezwał się Cavanagh, gdy wskazany ruszył, by wykonać polecenie.
- Portret jest moją własnością. Nie macie prawa go zabierać.
- A ma pan dowód, że należy do pana?
- Nie jest mi wcale potrzebny. Fibbit została przeze mnie zatrudniona. Jeśli odeszła, to według mrachańskiego prawa jej własność należy do mnie.
- Niezła koncepcja. Ale pan nie jest Mrachem.

164

- Według tego jestem - odpowiedział lord, wskazując na kieszeń przybysza. - Proszę być konsekwentnym. Korzysta pan z czerwonej karty, co powoduje, że obowiązuje nas mrachańskie prawo.
- Bronski zmrużył oczy. Widocznie wcześniej nie brał pod uwagę takiej argumentacji.
- To niedorzeczne - rzekł bez przekonania.
- Ależ skąd. Działa pan na podstawie prawodawstwa Mrachów, a ono jest jednoznaczne w sprawach dotyczących ochrony własności. Jeśli nie aresztuje mnie pan, nie wolno pana także tknąć przedmiotów należących do mnie.
- A więc może pana aresztuję - warknął Bronski.
- Przykro mi, ale to niemożliwe - odezwał się cicho Lee. - Nie mamy podstaw do wysunięcia oskarżeń uzasadniających takie działanie. Przynajmniej w tej chwili.
- A ukrywanie zbiega? - zapytał Bronski.
- Sanduulka formalnie nie jest uznana za zbiega - wyjaśnił Lee, obrzucając Cavanagha lodowatym spojrzeniem. - Poza tym nie znaleźliśmy jej tutaj.
- Attache zaklął pod nosem.
- To typowe - warknął. - Naprawdę typowe. Wy, parlamentarzyści NorCoordu, potraficie tylko wymyślać bzdurne przepisy. Dobrze więc; niech pan zachowa tę tkaninę i udławi się nią. Garcia, wykonaj dokumentację tego cholerstwa i wynośmy się stąd.
- Ale proszę być pewnym, że to tylko niewielka zwłoka - dodał Lee. - W tej chwili mamy związane ręce, ale to nie potrwa długo. Kiedy tylko opuścicie terytorium Mrachów, znajdziecie się ponownie pod jurysdykcją Federacji.
- Cavanagh uśmiechnął się.
- Jeśli to było obliczone na przestraszenie mnie, panie Lee, to się nie udało. Dobrze znam prawo obowiązujące w Federacji i wiem, że nic mi nie grozi.
- Doprawdy? Nie jestem tego taki pewien. Był świetnie pan ustawiony we władzach, lordzie, i sytuacja taka trwała zdecydowanie za długo. Ale wszystko kiedyś się kończy... i chociaż posiadanie wysoko postawionych przyjaciół jest niewątpliwie przydatne, niebawem przekona się pan, że jesteśmy naprawdę groźnym przeciwnikiem. Proponuję, żeby dobrze rozważył pan swoje szansę, zanim podejmie z nami walkę.

165

- Będę miał to na uwadze - obiecał były delegat.
- Zrobiłem zdjęcia pod trzema różnymi kątami - oświadczył po chwili Garda. - Jest coś jeszcze do zarejestrowania?

- Nie, na razie wystarczy - stwierdził Bronski. - Zawsze możemy tu jeszcze wrócić. Mam nadzieję, że nigdzie się pan teraz nie wybiera.
- Do łóżka - odpowiedział lord. - Chyba nie macie panowie nic przeciwko temu?
- Niech pan śpi jak długo zechce. Do rana przygotujemy znacznie więcej pytań.
- Z przyjemnością udzielę na nie odpowiedzi.

- A więc dobranoc, lordzie. Miłych snów.

Bronski uśmiechnął się złośliwie i wyszedł, wraz ze swymi podwładnymi. Po chwili zza szklanej ścianki działowej wyłonił się Kolchin.

- Wszystko czyste - zameldował. - Wreszcie spokój.

- Dziękuję - rzekł Cavanagh, przeszedł do bawialni i ciężko usiadł na kanapie obok portretu. Cała ta sprawa zaczynała urastać do absurdalnych rozmiarów. - Chyba nie zrezygnuje z pilnowania nas.

- Zapewne nie. Kiedy wychodzili, Bronski polecił, aby obstawili wyjścia. Ale, do diabła, o co tu właściwie chodzi?

- Nie mam pojęcia. - Lord wolno pokręcił głową. Czuł się staro i w duchu zaczynał żałować, że zainteresował się tkaczką i jej pracami. - Postępują tak, jakby chodziło o sprawę najwyższej wagi. Ale gdzie się podziała Fibbit?

- Tu jestem - dobiegł go gdzieś z dołu drżący głos.

Cavanagh zerwał się zaskoczony. Spod kanapy wysunęło się cienkie ramię Sanduulki, a zakończone pazurami palce uczepliły się grubego dywanu.

- Fibbit! - wykrzyknął lord przykucając. A więc przez cały czas była pod kanapą. Trudno pojąć, w jaki sposób zdołała się tam wcisnąć. - Ale mnie przestraszyłaś.

- Proszę o wybaczenie - odezwała się tkaczka niepewnym tonem. - Nie miałam zamiaru podsłuchiwać prywatnej rozmowy.

- Właściwie wcale nie była prywatna - stwierdził były delegat, ze zdziwieniem obserwując, jak Sanduulka powoli wydostaje się z ukrycia i prostuje swe długie członki. Nigdy nie słyszał o tego rodzaju umiejętnościach jej rasy. - Cieszę się, że kiedy tamci tu byli, nie zdradziłaś swojej obecności.

166

- Właściwie nie mogłam - wyjaśniła Fibbit. - Byłam w śpiączce, a w takim stanie nie możemy się ruszać. Czego oni ode mnie chcą?

- Sam chciałbym to wiedzieć. Sądzę, że kluczem do tej sprawy jest mężczyzna z portretu. A więc widziałaś go, kiedy wchodził do Agencji Informacyjnej?

- Tak - odparła tkaczka i mimo nerwowości w jej głosie dało się wyczuć także dumę. - Podoba ci się?

Cavanagh uniósł tkaninę do światła. Po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się jej dokładnie. Podobnie jak pozostałe prace Fibbit, także ta była wprost nadzwyczajna. Przedstawiała starszego, zapewne już po siedemdziesiątce, siwego mężczyznę. Już na pierwszy rzut oka widać było, że odznacza się szczególną bystrością umysłu i inteligencją. Miał na sobie brązową kurtkę w paski i w oryginalny sposób zawiązany szalik, mający zapewne chronić go przed podmuchami wiatru.

I wyglądał jakby znajomo. Z całą pewnością lord już go gdzieś widział.

- Bardzo mi się podoba - oświadczył.

Zmienił kąt, pod jakim patrzył na tkaninę i stwierdził, że Fibbit zastosowała tę samą technikę, co w przypadku panoramy Agencji Informacyjnej. Tutaj także zmianie ulegał nastrój dzieła. Właściwie twarz pozostawała taka sama, jednak...

Nagle zrozumiał.

- Zmienia się wyraz jego twarzy obrazujący myśli i odczucia. Przechodzi od względnego spokoju... do przerażenia. Autentycznego przerażenia.

- Tak - przyznała Sanduulka. - Dwukrotnie przeszedł obok mnie. Siedem dni temu i dwa dni później.

Cavanagh wysilił pamięć, starając się odnieść te daty do obecnych zdarzeń. Lecz o piątej rano jego umysł nie był tak sprawny jak zwykle.

- Kolchin, możesz mi podpowiedzieć, co się wtedy działo?

- Tak jest. Siedem dni temu wieść o ataku Zdobywców nie była jeszcze powszechnie znana. Ale po upływie dwóch dni wiedzieli o nim wszyscy.

- To chyba tłumaczy jego reakcje - wtrącił Hill. Lord ponownie uniósł tkaninę i studiował ową twarz, na której malował się paniczny lęk. - Nie - powiedział wreszcie. - Jest w tym coś jeszcze. Oczywiście -

167

wiecie strach, ale nie tylko. Jakby jeszcze... sam nie wiem. Wina, wstyd, albo rozczarowanie z powodu nie spełnionych nadziei. Fibbit, czy jest pewna, że nie wiesz, kim jest ten człowiek?

- Spotkałam go po raz pierwszy.

- Według mnie Lee go zna - stwierdził Kolchin. - A przynajmniej wie na jego temat znacznie więcej niż my. Cavanagh pokręcił głową.

- Teraz nie ma co tego roztrząsać - rzekł odkładając dzieło tkaczki. - Mamy na głowie istotniejsze sprawy, a zmarnowaliśmy już mnóstwo czasu. Hill, skontaktuj się z Tewą i powiedz, żeby przygotował statek do startu. Kolchin, zbadaj, w jaki sposób możemy ominąć ludzi zostawionych przez Bronskiego. Znikamy stąd. Skierował się w stronę swej sypialni.

- A co ze mną? - zapytała Fibbit, niepewnie podążając za nim.

- To zależy wyłącznie od ciebie - odpowiedział właściciel CavTronics stojąc już w drzwiach. - Mamy do załatwienia sprawy na Dorcas, ale później z przyjemnością odstawimy cię na Ulu. Możesz także poczekać tu na Bronskiego i Mrachów, którzy odeślą cię bezpośrednio do domu. Wybieraj.

Sanduulka gwałtownie pokręciła głową.

- Nie ufam Bronskiemu - rzekła z przekonaniem. - A teraz boję się także Mrachów. Ale przecież narażę was na niebezpieczeństwo, jeśli pozostaniemy razem.

- O to nie musisz się martwić - powiedział Cavanagh ubierając się. Lecz zamiast stroju, jaki miał na sobie poprzedniego dnia, wkładał prosty kombinezon mechanika, który wcześniej zabrali z samochodu. Właściwie takie odzienie nie pasowało do byłego parlamentarzysty, lecz czuł się w nim swobodnie, a przy tym nie zwracał niczyjej uwagi. - Bronski może się odgrażać ile tylko chce, ale tak naprawdę nie ma podstaw prawnych, by zrealizować swoje groźby. I dobrze o tym wie.

- Ale...

- Proszę pana - odezwał się Kolchin, który właśnie pojawił się w korytarzu.

Nawet w półmroku widać było, że jest zaniepokojony. - Mamy kłopoty. Wyrzależem na zewnątrz i zobaczyłem, że przy windzie wybuchła jakaś kłótnia. Ludzie Bronskiego spierają się o coś z Bhurtalami.

Lord skrzywił się słysząc nazwę tego ludu.

168

- Bhurtalami? - powtórzył z niedowierzaniem. Ochroniarz przytaknął.

- Spór z każdą chwilą przybiera na sile. Powinniśmy spróbować wyjść z hotelu, zanim dojdzie do strzelaniny.

- Słusznie — przyznał Cavanagh siadając na łóżku i wkładając półbuty.

Konfrontacje ludzi z Bhurtalami z reguły kończyły się rozlewem krwi. Szczególnie jeśli jedną ze stron stanowili osobnicy pokroju podwładnych Bronskiego. - Masz

pomysł, jak niezauważenie opuścić nasze piętro?

- No cóż, na pewno nie windą - oświadczył Kolchin. - Możemy spróbować dostać się do schodów, ale moim zdaniem lepiej będzie skorzystać z platform ewakuacyjnych. Uruchomi to zapewne alarm, ale będzie znacznie szybsze niż cokolwiek innego. Istnieje także duże prawdopodobieństwo, że w przeciwieństwie do schodów platformy nie zostały obstawione.

- Chyba masz rację - orzekł lord czując jednak ucisk w dołku. Platformy ewakuacyjne, mające zwiększyć bezpieczeństwo przebywających w hotelu w przypadku zagrożenia, były czymś, czego przecież nie używało na co dzień. Dotychczas nigdy z nich nie korzystał, więc perspektywa karkołomnego opuszczenia budynku wcale go nie zachwycała. - Gdzie są wyjścia?

- Najbliższe jakieś trzy metry od drzwi, w holu. Nie powinniśmy mieć problemu z dostaniem się do nich, nawet jeśli tamci nas zauważą i będą się starali powstrzymać.

Pajęcza ręka dotknęła ramienia byłego delegata.

- Czy to źle, Cavanagh? - zapytała niepewnie Fibbit. - Kim są Bhurtale?

- To wielkie, silne istoty, które bardzo nie lubią ludzi. Ale nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze.

- Nie lubią ludzi? - powtórzyła tkaczka wyraźnie zdziwiona.

- I to bardzo. Zapewne dlatego, że kiedyś nasi przywódcy usiłowali pozbawić ich własnej kultury i wykorzystać do swoich celów.

- Nie chodzi wyłącznie o ludzi - wtrącił Kolchin. - Nie darzą sympatią także innych ras. Nie pojmuję, dlaczego Mracho-wie pozwalają im swobodnie kręcić się po centrum miasta.

- Na szczęście to nie nasz problem - uciął lord. — Ruszamy.

Hill zdążył już uchylić drzwi wejściowe i stał przy nich z bronią gotową do strzału, gdy pozostali dołączyli do niego.

169

Przez wąską szparę Cavanagh słyszał niewyraźne głosy dobiegające z końca korytarza.

- Jeszcze nie skończyli? - zapytał.

- Nie. I są coraz głośniejsi. Z tego co słyszę, Bhurtale ubzdurali sobie, że ludzie nie powinni opuszczać hotelu o tak wczesnej porze. Bronski sprzecza się z nimi właśnie o to.

- Nie widać tutejszej ochrony?

- Jeszcze nie.

- Zapewne celowo trzymają się na uboczu - stwierdził Kolchin. - W porządku, ja wyjdę pierwszy i zabezpieczę strefę ewakuacyjną. Szefie, pan i Fibbit ruszycie na mój znak. Hill, ty na końcu. W razie czego będę cię osłaniał. Wszystko jasne? Otwieraj.

Hill otworzył drzwi na całą szerokość, padł na kolano i trzymając broń gotową do strzału popatrzył na prawo, skąd dochodziły odgłosy kłótni. Kolchin przemknął za jego plecami i skoczył w lewo. Cavanagh zaś ostrożnie wyjrzał na zewnątrz, by zorientować się w sytuacji.

Byli tam, oddaleni zaledwie o pięćdziesiąt metrów: Bronski i jego trzech ludzie ustawieni w szereg vis-a-vis dwóch potężnych Bhurtalów, którzy blokowali im dostęp do wind. Mężczyźni, z wyjątkiem Lee, mierzyli do przeciwników z pistoletów strzałkowych. Lord wiedział, że takie postępowanie może przynieść więcej szkody niż pożytku. Ta broń była zupełnie nieskuteczna przeciw Bhurtalom, a tylko mogła ich bardziej rozwścieczyć.

Za jego plecami rozległo się pstryknięcie palcami.

- W porządku - szepnął Hill. - Ruszajcie.

Zaciskając zęby Cavanagh wypadł na korytarz, a za nim niemal deptając mu po piętach Fibbit. Kolchin czekał już w płytkiej niszy, z której wchodziło się do komory ewakuacyjnej. Lord dał jednego susa, drugiego...

- Hej! - rozległ się krzyk za jego plecami. - Spójrzcie, tam jest Sanduulka...

Nagle korytarz rozświetlił błysk, a podmuch wybuchu sprawił, że eksparlamentaryzista stracił równowagę.

Nie upadł jednak, ponieważ silna dłoń chwyciła go pod ramię i odciągnęła na bok.

- Szybko! - dobiegł go czyjś krzyk, chyba Kolchina, nie był pewny, bo dzwonienie w uszach nie pozwalało rozpoznać głosu. - Tu są drzwi...

170

Rozległa się kolejna eksplozja, lecz jakby znacznie odleglejsza. W jej błysku dojrzał, że Kolchin wskazuje mu jeden z trzech słupów. Chwycił go drżącymi rękami i stanął na niewielkiej platformie.

Nagle otoczyła go ochronna metalowa klatka i już spadał w ciemność. Kolejno docierały do niego: coś jakby gwizd powietrza, wycie syren, jakiś krzyk, jakby przerażenia czy też zaskoczenia, a wysoko z góry doleciał huk trzeciej eksplozji...

Po chwili poczuł przytłaczający ciężar, gdy platforma zaczęła hamować. Z całych sił zacisnął ręce na słupie, nie dowierzając zabezpieczającej klatce i zastanawiając się, jak dalece niezawodne są te urządzenia...

Nastąpiło gwałtowne szarpnięcie, zgrzyt metalu i platforma stanęła. Asekurująca go osłona zniknęła, a przed sobą ujrzał zarys drzwi. Ostrożnie, na chwiejnych nogach, ruszył w ich stronę. Kręciło mu się w głowie od karkołomnego zjazdu i gwałtownego wzrostu ciśnienia spowodowanego eksplozjami. Skrzydła drzwi rozsunęły się, gdy tylko dotknął ich dłonią. Znalazł się na zewnątrz i rozejrzył uważnie.

Był w wąskiej alei biegnącej między hotelem a budynkiem magazynowym na jego zapleczu. O tak wczesnej porze docierało tu niewiele światła, lecz wystarczyło go, by zorientować się, że w pobliżu nikogo nie ma.

- Cavanagh? - Za plecami usłyszał słaby głos Sanduulki. -Gdzie jesteś?

- Tutaj, Fibbit - odpowiedział cofając się, żeby ująć jej wyciągniętą rękę.

Zupełnie zapomniał, że Sanduulowie bardzo słabo widzą w ciemności. Nic więc dziwnego, że tkaczka zjeżdżając z góry krzyczała tak rozpaczliwie. Pomógł jej wyjść na zewnątrz.

Rozległ się jęk hamowania i kolejna postać wylądowała na podłodze.

- Kolchin?

- Tak, to ja. Czy Fibbit tu jest?

- Jest. Wszystko w porządku. A gdzie Hill? Zamiast odpowiedzi pojawił się on sam.

- Nic ci nie jest? - zapytał Kolchin.

- Nie, wszystko O.K. Lepiej się stąd zbierajmy... Postawiłem zasłonę dymną, ale to nie zatrzyma ich na długo.

- Racja - przyznał były komandos, gdy dołączyli do Cava-

171

nagha znajdującego się już w alejce. - Spróbuję dostać się do naszego wozu. IV weź lorda na drugą stronę i poszukaj tam jakiegoś ukrycia.

- Już idziemy - odpowiedział Hill, wyciągając broń. - Za mną, szefie. Ruszyli truchtem.

- Co wyczynialiście tam na górze? - zapytał Cavanagh, nie będąc do końca pewnym, czy rzeczywiście chce usłyszeć prawdziwą odpowiedź.

- Nikomu nie zrobiliśmy krzywdy, jeśli o to panu chodzi -zapewnił Hill. -

Wysadziliśmy tylko kilka ścianek, żeby ich trochę zająć.

Dotarli do końca alejki i prowadzący na moment zatrzymał się, by sprawdzić, czy dalszy odcinek drogi jest bezpieczny.

- Wygląda czysto - stwierdził. - Tamta nisza... za tym dużym występem...

Spróbujemy się do niej przedostać.

Nie spotkawszy nikogo po drodze przekradli się przez ulicę i ukryli w niszy.

- Uważasz, że można stąd bezpiecznie skontaktować się ze statkiem? - zapytał lord sięgając po telefon.

- Proszę zakodować treść. I niech będzie jak najkrótsza.

- Postaram się.

Wystukał numer. Teva odebrał już po pierwszym sygnale.

- To pan, lordzie? - zapytał tonem, w którym słyhać było zdenerwowanie. - Gdzie pan jest?

- Już w drodze. Powinniśmy dotrzeć na miejsce za dziesięć minut. Kapitan pokręcił głową.

- Nie jestem pewien, czy mamy tyle czasu. Właśnie otrzymaliśmy rozkaz od kogoś przedstawiającego się jako Petr Bronski i twierdzącego, że jest attache"

Federacji Międzygwiazdnej. Polecił nam przerwać procedury startowe i przygotować się do przyjęcia go na pokład.

- A co na to Mrachowie?

- Mrachowie? Nic. Cavanagh zmarszczył brwi.

- Nic?

- Nie odzywali się od czasu, kiedy przed kilkoma minutami dali nam pozwolenie na start. To było tuż przed telefonem owego Bronskiego.

172

- I zezwolenie nie zostało cofnięte?

- Nie, proszę pana.

Lord popatrzył w głąb opustoszałej ulicy i przygryzł wargę. To naprawdę nie miało żadnego sensu. Jeśli Bronski chciał rzeczywiście uniemożliwić „Cavatinie" opuszczenie planety, w pierwszej kolejności winien skontaktować się z wieżą kontrolną, a nie z kapitanem statku. Przecież działał na mocy uprawnień nadanych mu przez mrachańskie władze.

A przynajmniej tak twierdził... .

- Nowe rozkazy - rzekł Cavariagh. - Startujcie natychmiast, dopóki jeszcze możecie. Tevie aż się wstrząsnął.

- Teraz, proszę pana?

- Natychmiast - powtórzył dobitnie lord. - Nie czekajcie na nas. Kiedy pojawi się Bronski, was ma już nie być.

- Szefie, nie mogę pana tak zostawić.

- Przede wszystkim ma pan dbać o statek i całą moją rodzinę. I wykonywać wszelkie nasze polecenia. Proszę lecieć na Dorcas, tak jak to było wcześniej ustalone i przekazać Aricowi, że poszukiwania nic nowego nie wniosły. On będzie wiedział, o co chodzi. Później niech pan wraca do domu. Sami tam dotrzemy, albo skontaktujemy się ponownie.

Teva westchnął ciężko.

- Tak jest - powiedział po chwili wahania. - Powodzenia. Ekran zgasł.

- Co z Kolchinem? - zapytał Cavanagh chowając telefon.

- Na razie go nie widać - odpowiedział Hill, ze zdziwieniem patrząc na pracodawcę. - Proszę pana, nie wydaje mi się, żeby odesłanie „Cavatiny” było dobrym pomysłem.

- Ja także nie jestem zachwycony taką koniecznością - przyznał lord. - Ale jeśli nie wystartują teraz, mogę nie mieć już takiej możliwości. Miałem kilka minut na przemyślenia i doszedłem do wniosku, że istnieje tylko jeden powód uzasadniający obecność Bhurtalów w hotelu. Muszą pracować dla Mra-chów. A konkretnie dla jakiejś ich grupy.

Hill okazał wyraźne zdziwienie.

- Pomijając i tak już dziwny fakt, że Bhurtale zgodzili się pracować dla innej rasy, byłem przekonany, że władze Mrachów stanowią idealny monolit.

- Ja też aż do dzisiaj tak sądziłem - powiedział Cavanagh. -

173

Moje poglądy na ten temat zmieniła wizyta owego tubylca, który tak się martwił, że zostanie przyłapany na rozmowie z nami. Zwróć uwagę, że odwiedził nas na krótko przed pojawieniem się Bhurtalów. Oni przecież wyraźnie starali się uniemożliwić wszystkim przedstawicielom rasy ludzkiej opuszczenie hotelu.

- Co pozwala przypuszczać, że Bronski i Bhurtalowie znajdują się po przeciwnych stronach barykady - skonstatował ochroniarz. — Chyba że pracują dla tych samych mocodawców i tylko przez przypadek weszli sobie w drogę.

- Tego także nie można wykluczyć - zgodził się lord zerkając na Fibbit.

Sanduulka chowała się w głębokim cieniu, zapewne przerażona sytuacją, w jakiej się znalazła. — W każdym razie należy przypuszczać, że mężczyzna z portretu jest ważniejszy, niż można było sądzić na początku.

- Wciąż jednak nie wiemy kim jest. O, jedzie Kolchin.

- Najwyższy czas - mruknął Cavanagh kiwając na tkaczkę. -Chodź.

Samochód zjechał na pobocze i cała trójka pospiesznie do niego wsiadła.

- Jakież kłopoty? — zapytał lord, kiedy były komandos zawrócił i wcisnął pedał gazu.

- Żadnych. Ktokolwiek wynajął tych Bhurtalów, widocznie nie był przygotowany na taki obrót sprawy. A więc Kolchin doszedł do podobnych wniosków.

- On może tak, ale nie Bronski. Skontaktował się z „Cavati-ną” i polecił, żeby wstrzymali start.

- I?

- Poleciłem, żeby Teva nie czekał na nas, tylko natychmiast odleciał.

- Rozumiem - rzekł ochroniarz beznamiętnym tonem. -A co z nami?

- Nie jestem pewien. Miałem nadzieję, że będziesz wiedział, gdzie moglibyśmy kupić jakiś statek - odrzekł lord.

Gdy spojrzął na rozmówcę, dostrzegł na jego ustach lekki uśmiech.

- Szczerze mówiąc, dysponuję znacznie lepszymi informacjami. Pamięta pan, że wspominałem, iż kiedyś już tu byłem i doradzałem Mrachom, jak zorganizować obronę miast?

- Tak.

- Jednym z naszych zaleceń było ukrycie kilku myśliwców

174

i łącznikowców w górskich jaskiniach, na wypadek gdyby doszło do oblężenia Mig-Ka i innych większych miast.

- To rozsądny plan. A nie wiesz przypadkiem, gdzie dokładnie zostały ukryte te jednostki?

- Osobiście nadzorowaliśmy ich zabezpieczanie - oznajmił Kolchin z dumą w

głosie. - Możemy tam być w kilka godzin. Obok niego Hill pokręcił głową.

- Zakładając, że Mrachowie nie zorientują się, co planujemy, i nie podążą naszym śladem. Dojechali do wjazdu na autostradę.

- Tak - zgodził się były komandos, gdy już jechali ku odległym góróm, rysującym się na bladym niebie. - Zawsze trzeba brać pod uwagę taką ewentualność.

Smugi tachionowe pojawiły się na ekranie dokładnie o trzynastej następnego popołudnia i upłynęło dziesięć pełnych napięcia minut, zanim szef stacji czujnikowej zidentyfikował je.

- Jesteś pewien, Gasperi? - zapytał Holloway maszcząc brwi nad monitorem. - Nie wygląda mi to na żadną znaną formację myśliwców.

- To z całą pewnością myśliwce, komandorze - zapewnił Gasperi. Nacisnął klawisz i na sąsiednim ekranie pojawiło się sześć punktów. - To właśnie dlatego tak długo nie mogłem ich zidentyfikować - wyjaśnił. - Lecą bardzo blisko siebie, z częściowym pokryciem i zniesieniem interferencji w podstawowym sygnale. Proszę popatrzeć, co się stanie, gdy zbliżą się do siebie.

Punkty na monitorze skupiły się, a ciągnąca się za nimi smuga zafalowała i przybrała kształt identyczny jak ten na odczycie.

- O, proszę.

- Daje znacznie słabszy sygnał niż typowa formacja myśliwców - zauważył Takara.

- Zdobywcom znacznie trudniej byłoby go wychwycić. Ale wymaga to sporych umiejętności pilotów.

- Umiejętności albo głupoty - stwierdził Holloway. - Jak sądzisz, kto to może być?

- W takim szyku latają wyłącznie Miedzianogłowi - odpowiedział Gasperi. - Lecą pewnie corvinami. Takara spojrział na dowódcę.

176

- Czyżby reszta eskadry Quinna?

- Zapewne. Sądzę, że za jakąś godzinę wyjdą z podprzestrzeni, a po następnej wylądują.

- Prawdopodobnie - zgodził się szef stacji czujnikowej. Holloway zerknął na zegarek. Również za jakieś dwie godziny miał wrócić z Edo łącznikowiec. Major widocznie myślał o tym samym.

- Dwie sprawy zbiegną się w czasie - zauważył. - Sądzisz, że Quinn specjalnie tak to zaplanował?

- Nie. Jeśli ma autentyczne rozkazy.

A gdyby ich nie miał, to komandor bardzo chciałby poznać bliżej człowieka, który zdołał wyprosić, pożyczyć lub skraść pół szwadronu myśliwców Miedzianogłowych.

Ktoś taki musiałby być niezwykle inteligentny, przebiegły i zarazem bezczelny.

I w żadnym razie nie liczyłby na przypadek.

Podszedł do terminala i podał swoje hasło.

- Coś się stało? - zapytał Takara.

- To tylko przeczucie - odpowiedział dowódca, wyświetlając wykaz przylotów i odlotów od momentu pojawienia się Melindy Cavanagh.

Jeśli to rzeczywiście nieczysta gra, pomyślał, z pewnością byli na tyle sprytni, żeby dodatkowo się zabezpieczyć...

Znalazł to, czego szukał. Pośród mnóstwa lotów transportowców wypatrzył przybycie niewielkiej, prywatnej jednostki. Na jej pokładzie był tylko jeden mężczyzna, który zarejestrował się cztery godziny po Quinnie i Aricu Cavanaghu.

- Co o nim wiemy? - zapytał majora wskazując na ekran.

- Nic szczególnego. Zarejestrowano go tuż przed moim zejściem ze służby. Nazywa

się McPhee... i wyprzedza ładunek niepsującej się żywności, która ma nadejść w najbliższych dniach. Zarówno jego identyfikator jak i inne dokumenty wyglądają na autentyczne.

- Jest od nas?

- Nie, to cywil - odparł Takara. - Pracuje bezpośrednio dla... - Spojrzał uważnie na Holloway a. - Dla Parlamentu Nor--Coordu.

Dowódca garnizonu pokiwał głową.

- Tego samego, w którym nasz przyjaciel lord Stewart Cava-nagh był przez trzy kadencje. I co, uważasz, że to czysty zbieg okoliczności?

12 - Duma zdobywców

177

- Raczej nie. Ale wiesz, Cass, teraz naprawdę nie mamy czasu na tego typu spekulacje.

- Zgoda. Ale nie możemy też ignorować czyichś podejrzanych zachowań.

- Więc co zrobimy?

Komandor podrapał się po policzku. Quinn i Cavanaghowie dysponowali paliwowcem i counterpunchem na ziemi, oraz sześcioma condnami w drodze. To powodowało, że bardzo rzucali się w oczy. Jeżeli więc zaplanowali jakąś sztuczkę, zapewne decydujące o jej powodzeniu było ukryte wsparcie w osobie McPhee'ego.

- Rozdzielimy ich - oświadczył. - Zamierzałeś udać się z oddziałem obserwacyjnym do sektora B, prawda?

- Mogę ruszać w każdej chwili - odpowiedział Takara. -Chcesz, żebym zabrał przy okazji jedno z nich i trzymał z daleka od reszty przez kilka godzin?

- Tak. Niech to będzie ten McPhee... Pozostałych łatwiej obserwować.

- A jeśli nie będzie chciał iść? Holloway zrobił zdziwioną minę.

- Jak to? Przecież przybył tu, żeby pomóc w przygotowaniach do przyjęcia ładunku, prawda? Musi więc zobaczyć, jak przebiegają te prace w sektorze B.

- Oczywiście. Jakże mogłem o tym nie pomyśleć. Holloway przeniósł wzrok na coraz lepiej widoczną na ekranie smugę tachionową.

- Bądź ostrożny - rzekł cicho. - Nie wiemy, o co im chodzi i o jak wysoką stawkę grają. Możesz mieć kłopoty.

- Nie martw się. Jesteśmy przecież Obrońcami Pokoju. Zajmiemy się nim.

Ostatnia paczka z żywnością znalazła się w magazynie. Arie jedną ręką przytrzymał całą ich przymę, a drugą opuścił zrolowaną ściankę. Wstrzymał oddech, lecz tym razem, jak z ogromną ulgą stwierdził, zamek zaskoczył za pierwszym razem.

- Skończyłem - obwieścił. - Potrzebujesz pomocy?

- Nie - dobiegł z drugiego pomieszczenia głos Quinna. -Lada chwila też powinienem skończyć, a już Max sam zajmie się sprawdzeniem wszystkiego. Ale może pan pomóc siostrze.

178

- Dobrze - mruknął młody Cavanagh i tyłem wycofał się z magazynu.

Melinda miała rację: da się tu jeszcze wcisnąć dwunastu ludzi, ale będą jak sardynki w puszcze. Miał tylko nadzieję, że w nieważkości powstanie przynajmniej wrażenie, że mają więcej miejsca

Stała właśnie na lądowisku, gdy on zjeżdżał windą.

- Jak idzie? - zapytała.

- Wszystko jest już w środku. I pomimo początkowych obaw udało się nam to zmieścić. A u ciebie?

- Dolne pomieszczenia są pełne i właśnie kończę nadzorować tankowanie. Jak u

Quinna?

- Wyglądało, że już kończy mocować zapasowe baterie -odpowiedział Arie. - Zaraz trzeba będzie polecić Maxowi, żeby skontrolował wszystkie systemy, i możemy ruszać. - Spojrzał na brezentową ścianę osłaniającą jedną stronę statku. - Sprawdzaliśmy, jak schnie farba?

- Jakieś dziesięć minut temu. Wciąż jest lepka.

Farba powinna już dawno wyschnąć, ale właściwie nie mogło to dziwić. Planowali nanieść znaki na kadłub jeszcze na orbicie, a farby, przeznaczone do malowania w próżni, w atmosferze traciły swe normalne właściwości.

- Na szczęście upłynie jeszcze trochę czasu, zanim pojawią się tata i corviny.

Może zdąży wyschnąć na tyle, żeby nie ulec zniszczeniu podczas startu.

- Miejmy nadzieję - odpowiedziała Melinda spoglądając w górę. — Według mnie im szybciej stąd odleciecie, tym lepiej. Mam przeczucie, że komandor Holloway poważnie rozważa, czy nie zatrzymać całej naszej trójki.

Jakiś ruch na parkingu zwrócił uwagę Arica: wojskowy samochód wyjechał pomiędzy dwóch magazynów i zbliżał do nich.

- Wygląda na to, że już się zdecydował - rzekł podchodząc do interkomu przy windzie. - Quinn? Mamy towarzystwo. Nadjeżdża wóz Obrońców Pokoju.

- Ilu ludzi? - zapytał ochroniarz. Młody Cavanagh skrzywił się.

- Chyba czterech, włącznie z kierowcą. Wydaje mi się, że jest pośród nich komandor Holloway.

- Będę na dole za kilka minut - oświadczył rozmówca. -Proszę go zabawiać, dopóki do was nie dotrę. I pamiętajcie, że według ich informacji działamy w pełni legalnie.

179

- Dobrze - odpowiedział Cavanagh i odetchnął głęboko. Gdy w grę wchodziły negocjacje handlowe, zawsze jakoś sobie radził. Najbliższą rozmowę musiał potraktować podobnie. Jak zwykle pertraktacje, tyle tylko, że tu chodziło o szczególnie ważny kontrakt.

Auto zatrzymało się obok nich.

- Dzień dobry - zawołał Holloway, wysiadając w towarzystwie dwóch podwładnych. - Jak przebiega załadunek?

- Dziękuję. Już kończymy. - Arie uśmiechnął się swobodnie, równocześnie kątem oka taksując przybyłych. Dobrze zbudowani, sprawiający wrażenie inteligentnych, z odznakami komandosów na kołnierzach i krótką bronią w kaburach u pasa. -

Trzeba jeszcze przeładować resztę paliwa, sprawdzić wszystkie systemy i będziemy gotowi do startu.

- Oczywiście kiedy tylko dotrze tu reszta myśliwców - zauważył dowódca garnizonu podnosząc wzrok na osłonę. -A więc uszczelnianie spawów także zostało już zakończone?

- Niczego nie uszczelnialiśmy - zaprzeczył młody Cavanagh, bo coś w głosie przybysza ostrzegło go, by nie dać się złapać w pułapkę przytakując mu.

- Rzeczywiście nie czuć zapachu spoiwa - przyznał komandor. - A więc co robiliście?

- Jeden z płatów poszycia uległ drobnemu uszkodzeniu. Musieliśmy go wymienić i pokryć farbą zabezpieczającą.

- Rozumiem - rzekł wojskowy z miną, która nie pozwalała zorientować się, czy uwierzył w to wyjaśnienie. - Czy mógłbym porozmawiać z dowódcą Quinnem?

- Jest na statku. Za kilka minut powinien do nas zjechać.

- Byłbym wdzięczny, gdyby poprosił go pan, by zrobił to już teraz.

Uprzejmy ton i gładkie słówka. Ale i tak brzmiało to jak polecenie.

- Oczywiście - odparł Arie podchodząc do interkomu. Po minucie dołączył do nich Quinn.

- Komandorze - skinął Hollowayowi. - Czym mogę służyć?

- Chciałem poinformować, że reszta pańskich sił zbliża się już do systemu.

Oczekujemy, że lada chwila wyjdą z podprze-strzeni. Pomyślałem, że może zechce pan skorzystać z przekaźnika w moim samochodzie, żeby wydać im stosowne rozkazy.

180

Arie poczuł nagłą suchość w gardle. Pierwotnie planowali, że corviny skontaktują się ze stanowiskiem dowodzenia garnizonu Obrońców Pokoju według powszechnie stosowanej procedury. Dopiero później Quinn nawiąże z nimi łączność, już z orbity wydając rozkazy w taki sposób, by nasłuch w garnizonie bez problemu je przechwycił. Lecz Quinn ostrzegał go, że z pali-wowcem zablokowanym na planecie taki plan może się nie udać. Widać Holloway zamierzał całkowicie zniweczyć ich zamierzenia.

- Dziękuję panu - oświadczył pilot podchodząc do samochodu i sięgając po mikrofon podany mu przez kierowcę. - Tu mówi dowódca Quinn.

- Chwileczkę - włączył się czyjś głos. - Właśnie nawiązaliśmy łączność z corvinami. Rozległ się trzask.

- Siły wypadowe Miedzianogłowych, Omicron Four do kontroli naziemnej Dorcas - zabrzmiało w głośniku. - Mówi lider Thomas Masefield. Proszę o pozwolenie na rozmowę z dowódcą skrzydła Adamem Quinnem.

- Tu Quinn. Witam na Dorcas, dowódco.

- Dziękuję. Czy ma pan dla nas jakieś nowe rozkazy?

- Żadnych, ale miejsce spotkania ulega zmianie. Będzie pan musiał wejść na orbitę i przygotować się do ewentualnego lądowania.

Na chwilę zapadła cisza.

- Rozumiem, że się spieszymy.

- Zgadza się - przyznał Quinn. - Ale czekamy jeszcze na kogoś. Mam nadzieję, że pojawi się na czas i wówczas spotkamy się na orbicie. W przeciwnym razie będziecie zmuszeni zejść na dół.

- Zrozumiałem. Do wejścia na orbitę pozostało nam czterdzieści pięć minut. Sześćdziesiąt do lądowania.

- Zrozumiałem. Wkrótce się spotkamy.

- Tak jest. Bez odbioru.

Quinn wyłączył mikrofon i zwrócił go kierowcy.

- Dziękuję, komandorze - rzekł. - Czy to jedyna sprawa, która pana tu sprowadza?

- Szczerze mówiąc nie - odparł Holloway i wziął od kierowcy mikrofon. Poruczniku Gasperi? - rzucił. - Proszę o informacje o zbliżającym się łącznikowcu.

181

- Jest już wystarczająco blisko, komandorze - rzekł głos. - Otrzymujemy właśnie przekaz danych.

— Dobrze. Proszę pozostać w kontakcie. — Holloway poważnie popatrzył na Quinna.

- To łącznikowiec z Edo, dowódco, żeby nie było jakichkolwiek wątpliwości.

Wysłaliśmy go z zadaniem potwierdzenia pańskich numerów autory-zacyjnych.

Arie z trudem powstrzymał się od spojrzenia na towarzyszy. Melinda ostrzegała ich zaraz po przylocie, że Holloway to sprytny lis i na pewno nie uwierzył w jej historyjkę. Ale zlekceważyli to, wiedząc, że do komandora nie zdążą dotrzeć z Ziemi informacje na ich temat. Możliwość sprowadzenia Quinna na Edo i zaoszczędzenia dzięki temu dwudziestu godzin nigdy nawet nie przyszła im do

głowy.

Teraz stało się jasne, dlaczego komandor był tak uprzejmy i skłonny do pomocy.

Przejrzał ich na wylot i teraz, gdy ostrze wisiało im już nad głową, osobiście zamierzał przerwać misję, która praktycznie jeszcze się nie rozpoczęła.

Arie niby przypadkowo zerknął kilkakrotnie na dwóch komandosów. Stali między nimi a statkiem, w pewnej odległości od siebie, z dłońmi wspartymi na kaburach broni. Pełna gotowość.

- Panie komandorze? Holloway uniósł mikrofon.

- Słucham, poruczniku.

- Transmisja zakończona. - Dotyczy pańskiego pytania: siły Obrońców Pokoju AAN 67424955/MSF Foxtrot Lima Yictor Yictor. Oddział myśliwców Miedzianogłowych Omicron Four przydzielony dowódcy skrzydła rezerwy Iniko Bokambie do nieokreślonego zadania patrolowego. Transfer przez Dorcas. AAN potwierdzony, 7/4/03, 15:07:39 LTM, Stacja 33, Centrum Przetwarzania Danych Dowództwa Sił Obrońców Pokoju, Edo.

- Zrozumiałem. Żadnej informacji o dowódcy Quinnie?

- Nie, proszę pana. Ale jest tu wzmianka, że lider Omicron Four otrzymał nieformalnie dodatkowe wytyczne. Edo nie zna jednak ich treści.

Holloway uniósł brew.

182

- Interesujące. Czy mógłby pan wyjaśnić mi dokładniej tę kwestię, dowódcu?

- Nie wydaje mi się, żeby było to celowe, komandorze - odparł spokojnie Quinn.

- Zaczniemy więc może od tego, dlaczego prowadzący oddział Masfield jest przekonany, że to pan kieruje tą misją, a nie Bokamba.

- Zakładam, że tego właśnie dotyczyły owe dodatkowo przekazane mu wytyczne.

- Zakłada pan? A więc nie wie pan tego na pewno?

- Naprawdę nie rozumiem, w czym problem - włączyła się Melinda. - Pańskie przedsięwzięcie miało przecież na celu potwierdzenie rozkazów Quinna, prawda?

- Rzecz w tym, że wcale tego nie uzyskaliśmy - odpowiedział dowódca garnizonu. -

Co najwyżej potwierdziliśmy decyzje dotyczące dowódcy Bokamby. Wciąż niewyjaśniona pozostaje sprawa roli państwa w tym wojskowym przecież przedsięwzięciu.

- A więc proszę zapytać o to bezpośrednio dowódcę Bokambę - rzekł Arie. -

Zakładając, oczywiście, że zechce z panem rozmawiać na ten temat.

Po raz pierwszy Holloway stracił pewność siebie.

- Bokamba też tu jest?

- Wkrótce się pojawi - odpowiedział młody Cavanagh. - Słyszał pan przecież, jak Quinn mówił, że czekamy jeszcze na kogoś, prawda?

- Rzeczywiście - mruknął komandor przyglądając się w zamyśleniu całej trójce. -

Kiedy więc tu dotrze?

- Nie umiem dokładnie określić - stwierdził Quinn. - Mam nadzieję, że wkrótce.

Holloway podszedł do wozu.

- Ja również. A więc dobrze. Poczekamy na jego przylot i zobaczymy, co ewentualnie ma do powiedzenia. Na razie życzę miłego dnia.

Wsiadł do samochodu, a komandosi poszli w jego ślady. Pojazd zawrócił i odjechał.

Arie westchnął ciężko i spojrzał na siostrę.

- Co o tym sądzisz?

- Nie dał się wykiwać - orzekła. - Wie, że coś tu nie gra. Nie zdołał jeszcze tylko ustalić, o co dokładnie chodzi.

- Ja też tak uważam - oświadczył szef ochrony Cavana-ghów. - I obawiam się, że to właśnie zmusza nas do natychmiastowego działania. Kiedy tylko corviny zbliżą się nieco, startujemy.

- A co z tatą? - zapytała dziewczyna.

- Nie możemy pozwolić sobie na czekanie - stwierdził Quinn kręcąc głową. -

Wyposażenie naszego paliwowca w centralny komputer spowodowało, że stracił mnóstwo czasu. Jeśli Mrachowie nie spieszą się z dostarczeniem wiadomości, po które do nich polecał, może tu dotrzeć dopiero za jakieś sześć, może dwanaście godzin, albo jeszcze później. Nie ma żadnej gwarancji, że do tego czasu nie pojawi się łącznikowiec z Edo lub Ziemi, dostarczając prawdziwe dane dotyczące naszego numeru autoryzacyjnego.

- Jest jeszcze jeden problem - zauważył Arie. - Holloway nigdy nie uwierzy, że dowódca skrzydła Miedzianogłowych lata prywatnym jachtem.

- Oczywiście kiedy tylko pan Cavanagh wyjdzie z podprze-strzeni, Holloway nawiąże z nim kontakt i poprosi o rozmowę z Bokambą - zauważył Quinn. - Teva nie będzie wiedział, o co chodzi, i natychmiast wszystko może się wydać.

- Rozumiem - rzekła Melinda. - Ale w tej chwili nie macie nawet pojęcia, gdzie rozpocząć poszukiwania. Pilot wrzucił ramionami.

- Będziemy musieli radzić sobie, bazując wyłącznie na danych dotyczących ataku Zdobywców. Melinda westchnęła.

- Nie podoba mi się to. Ale nie widzę innego wyjścia. Co więc mam robić? Quinn omiół wzrokiem sylwetkę paliwowca.

- Niech pani zacznie od polecenia Maxowi, żeby pomijając kontrolę czujników i innych mało ważnych systemów przeszedł od razu do przygotowania startu. Czy da sobie radę z wyprowadzeniem statku na orbitę?

- Sam wylądował, więc teraz nie powinien mieć żadnych problemów.

- W porządku. Pan Cavanagh poleci więc ze mną counter-punchem. Później pozostanie już pani tylko zaszyć się gdzieś i czekać na przylot „Cavatiny”.

Chyba że zdecyduje się pani zająć czymś uwagę Hollowaya.

Melinda zmarszczyła czoło.

- Odwracać jego uwagę? - powtórzyła. - Jak niby mam to robić?

- Wymyślisz coś - stwierdził Arie. - Chodź, Quinn, nie ma czasu.

- Mam, panie komandorze - zameldował Hobson. - Bokambą, Iniko Uom.

Holloway podszedł do niego i przebiegł wzrokiem ekran. Bokambą rzeczywiście był dowódcą skrzydła Miedzianogłowych, a dodatkowe informacje o nim robiły wrażenie. Wskazywano, że pozostaje w rezerwie, zastrzegając jednak, że z powodu zamieszania panującego w bazach sił Obrońców Pokoju niemożliwe jest bieżące aktualizowanie wszystkich przydziałów służbowych.

- Ma coś wspólnego z Quinnem? - zapytał.

- Tak jest. Udało się ustalić, że Quinn przez ponad rok służył w szwadronie Bokamby. Do czasu, kiedy wystąpił ze służby.

I stał się głównym świadkiem lorda Stewarta Cavanagha podczas przesłuchań przed komisją parlamentarną.

- W porządku - mruknął komandor. - Przynajmniej wiemy, że się znają. Masz coś jeszcze?

- Chyba mam. - Hobson wyświetlił kolejne dane wyjaśniając: - Przez dłuższy czas w systemie panował spokój, więc przeprowadziłem poszukiwania globalne. Chodziło mi o tego McPhee'ego, który pojawił się wkrótce po Quinnie. Okazuje się, że

przyleciał z Granparry, gdzie obecnie mieszka Bokambą.

- No proszę. Gdyby okazało się to potrzebne, mamy kolejny dowód, że McPhee współpracuje z Cavanaghami. Dziękuję ci.

- Jeszcze chwileczkę. Nie wiem, czy orientuje się pan, iż statek McPhee'ego został zatankowany i przygotowany do lotu na Granparze, na Platformie Myrmidona.

- Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Stąd. - Hobson wskazał na jeden z szeregów cyfr, który zawierał plan lotu McPhee'ego. - Ten fragment - pięć ostatnich cyfr - to kod klasyfikacji serwisowej. Pochodzi bez wątpienia z bazy sił Obrońców Pokoju, a jedyną naszą placówką w systemie Granparry jest Platforma Myrmidona.

- Interesujące - mruknął Holloway marszcząc czoło. - Czyż-

185
by cywile zostali ostatnio dopuszczeni do korzystania z wojskowej infrastruktury?

- Jeśli tak, to nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedział Hobson. Dowódca garnizonu rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Gasperi, czy major Takara meldował już swój powrót?

- Jego oddział właśnie wylądował, panie komandorze. Powinien tu być za minutę lub dwie.

- Skontaktuj się z nim. Powiedz, że chcę widzieć go wraz z McPhee'em w moim biurze.

- Tak jest. Aha, jest tu także doktor Cavanagh, mówi, że chce się z panem zobaczyć.

Dobrze. Jeden kłopot z głowy, i tak zamierzał polecić odszukanie jej.

- Niech Duggen i Spaulding zaprowadzają do biura - polecił Holloway. - I powiedzą, że zaraz tam przyjdę.

- Tak jest.

Podszedł do terminala i usiadł przy nim, uśmiechając się do własnych myśli.

Wreszcie... Wreszcie miał haka, którego poszukiwał od chwili, gdy w jego bazie pojawiła się Melinda Cavanagh. McPhee, nawet jeśli jego papiery z NorCoordu były autentyczne, niewątpliwie złamał przepisy sił Obrońców Pokoju, a dowody tego znajdowały się w dokumentacji jego lotu. A skoro w sposób oczywisty powiązany był z Quinnem i Cavanaghami, pozwalało to już Hollowayowi na zatrzymanie ich wszystkich. Przynajmniej na tyle długo, żeby mieć czas na ustalenie, co naprawdę szykują.

Przygryzł wargę, bo poczuł gdzieś w przetyku gorzyc. W głębi duszy wciąż miał nadzieję, że nie chodzi o nic poważnego. Ale teraz, gdy przekonał się, że w grę wchodzi sześć najnowszych corvinów, ta nadzieja wyraźnie osłabła. Zapewne więc nie da się uniknąć doraźnego sądu wojskowego...

Ale tym nie musiał się już przejmować. Jego zadaniem było ustalenie faktów i dopilnowanie, żeby sprawiedliwości stało się zadość, więc robi to, co do niego należy.

Gdy zjawił się w biurze, wszyscy już tam czekali: Takara, McPhee oraz Melinda Cavanagh, z Duggenem i Spauldingiem strzegącymi drzwi.

- Dzień dobry - przywitał gości. Obszedł biurko i usiadł za nim. - Jak zapewne wszyscy państwo wiecie, jesteśmy obecnie

186

niezwykle zapracowani, więc od razu przejdę do rzeczy. Panie McPhee, poinformował nas pan, że ma przyjąć transport przeznaczony dla Dorcas. Kto jest jego nadawcą i skąd pochodzi? Zapytany wzruszył ramionami.

- Działam pod auspicjami Parlamentu NorCoordu. Wydawało mi się, że wie pan o tym.

- Tak, wiem - przyznał komandor przyglądając się jego kamiennej twarzy i żalując, że nie pojawił się w biurze jako pierwszy. Ciekawe, jak McPhee zareagował na widok doktor Ca-vanagh. - Ale jak dotąd operuje pan jedynie mętnymi ogólnikami. Chciałbym poznać szczegóły. Kto jest pańskim zleceniodawcą? Rysy McPheego stężały nieco.

- Nie podoba mi się ten ton, komandorze - stwierdził sucho.

- Przykro mi to słyszeć, bo mnie nie podobają się cywile, którzy nielegalnie korzystają z urządzeń wojskowych.

- Z urządzeń wojskowych? - zdziwił się Takara. - Z naszych? Jakich?

- Nie, na Granparze - wyjaśnił dowódca, uważnie przyglądając się McPhee'emu. Lecz ten miał nadal pewną siebie minę. -Jego statek został przygotowany do lotu na Platformie Myrmi-dona. Dowiedziałem się o tym zaledwie kilka minut temu.

- Dlaczego uważa pan, że to było nielegalne? - zapytał McPhee.

- Jest pan cywilem - rzucił Holloway. -I działa w cywilnej sprawie. - Uniósł papiery, które już wcześniej sobie przygotował. - Mam tu nasz regulamin. Tego typu sprawy są w nim określone nadzwyczaj jasno.

- Istnieją wyjątki.

Komandor pochylił się w fotelu.

- Słucham.

McPhee spuścił wzrok i Holloway wychwycił jego ukradkowe sporzenie skierowane na Melindę Cavanagh, która spokojnie siedziała obok. Usta podejrzanego drżały przez moment, a gdy ponownie podniósł głowę, jego oczy płonęły wściekłością.

- Przykro mi pana rozczarować, komandorze - rzekł lodowatym tonem - ale tak się składa, że dysponuję wystarczającą władzą, by korzystać ze wszystkiego, czym dysponują siły Obrońców Pokoju. Włącznie z pańską osobą i całym tym garnizonem.

187

- Jestem pod wrażeniem, ale to tylko słowa - stwierdził wojskowy, czując nagły niepokój. - Może pan to jakoś udowodnić?

- Sądzę, że to wystarczy - rzekł McPhee wyjmując z kieszeni prostokątną kartę. - Nawet panu. - Wprawnym ruchem rzucił ją tak, by wylądowała na środku blatu biurka. - Proszę sprawdzić.

Holloway sięgnął po kartę.

- Carte blanche Parlamentu NorCoordu - rzekł wreszcie, starając się ukryć zaskoczenie. A więc cała opowieść Melindy Cavanagh była prawdziwa. Ci ludzie rzeczywiście byli zaangażowani w jakąś ściśle tajną operację.

I jeśli ten delegat Jacy VanDiver, który wystawił dokument, albo sam admirał Rudzinski, dowiedzą się, że jakiś nadgorliwy komandor-porucznik wtyka nos w nie swoje sprawy...

Zacisnął zęby. Nie, wszystko po kolei.

- Dziękuję, panie McPhee. Oczywiście sprawdzimy pańskie upoważnienie. - Spojrzał na biurko, gdzie zazwyczaj stał terminal komputerowy, zapominając, że jakąś godzinę temu został przeniesiony do Sekcji A. - Fuji, idź do centrum czujnikowego i zrób to - powiedział wręczając dokument majorowi. - Znasz procedurę?

- Tak jest - odpowiedział Takara formalnym tonem. - Należy skontrolować ogólną formę i styl tekstu. Następnie zaś zlokalizować i porównać kod potwierdzenia znajdujący się w standardowych plikach aktualizowanych co czterdzieści osiem

godzin.

- Zgadza się. Dopilnuj tylko, żeby nikt nie mógł ci w tym czasie zajrzeć przez ramię.

- Tak jest - powtórzył major i pospiesznie opuścił biuro.

Holloway odprowadzając go wzrokiem zauważył, że Duggen i Spaulding stoją w postawie na baczność, czego nigdy nie wymagał od podwładnych. Widocznie wystarczyło już samo określenie „carte blanche”.

- Spokojnie, panowie - rzekł. - To nie jest żadna inspekcja. Komandosi powrócili do pozycji „spocznij”, a Spaulding aż się zaczerwienił.

- Intrygująca sprawa, panie McPhee - zaczął dowódca garnizonu. - W dzisiejszych czasach rzadko już widuje się tego typu dokument.

- Proszę sobie oszczędzić tych uwag, komandorze - poradził

188

chłodno McPhee. -1 przeprasza, na które będzie się pan zapewne silił. Jeżeli pańskie postępowanie spowoduje negatywne konsekwencje, to oczywiste jest kto za nie odpowie. Holloway spojrzał mu prosto w oczy.

- Ja na pana miejscu nie spieszyłbym się tak ze wskazywaniem winnych - oświadczył spokojnie. - Nieznani ludzie pojawiający się w strefie działań wojennych pod absurdalnym pretekstem nie powinni być zakoczeni, że zwracają na siebie szczególną uwagę. A jeżeli chodzi o ewentualne konsekwencje...

- Ewentualne konsekwencje? To idiotyczne stwierdzenie świadczy o tym, że nie ma pan zielonego pojęcia, co tu się naprawdę dzieje.

- Wprost przeciwnie - zaprotestował komandor, starając się zapanować nad sobą. Musiał znosić polityków, którzy panoszyli się w kręgach wojskowych, nie zdając sobie sprawy, ile złego potrafią wyrządzić. Polityków, którzy starali się ukrywać swą ignorancję pod maską arogancji.

- Chyba wie pan, że w przypadku okazania swych dokumentów zaraz po przybyciu ja i moi oficerowie udzielilibyśmy panu wszelkiej niezbędnej pomocy.

- Oczywiście. Ale gdybym tak postąpił, w całym garnizonie aż huczałoby od plotek. A w zaistniałej sytuacji mogłoby mi to tylko przeszkadzać.

Komandor odetchnął głęboko, z trudem powstrzymując słowa cisnące mu się na usta. Jego ludzie mieli ciekawsze zajęcia niż plotkowanie o jakimś ważniaku, który przyleciał z Ziemi nie wiadomo właściwie po co...

- Jeśli pan się zgodzi - rzekł - proponuję, abyśmy dalszą część rozmowy odłożyli do powrotu majora Takary. Jestem pewien, że pan VanDiver życzyłby sobie, aby wszystko odbywało się zgodnie z przepisami.

McPhee nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy świadczył, iż będzie o tym pamiętać, gdy przyjdzie właściwy czas. Holloway stwierdził jednak, że w obecnej sytuacji niewiele go to obchodzi.

Krępująca cisza zdawała się trwać dłużej niż kilka minut oczekiwania na powrót Takary.

- Karta jest autentyczna - zameldował. - Wszystkie kody są prawdziwe.

189

- Dziękuję - rzekł dowódca, tłumiąc w sobie chęć zwrócenia karty w ten sam sposób, w jaki ją otrzymał. - W porządku, panie McPhee, jest pan tym, za kogo się podaje. Teraz słucham, czego pan od nas oczekuje.

- Przede wszystkim chciałem, byście zajęli się swoimi własnymi sprawami i zostawili mnie w spokoju. A ponieważ wiele już zepsuliście, muszę zażądać teraz konfiskaty paliwowca i towarzyszącego mu counterpuncha.

Holloway spojrzał na Melindę, siedzącą wciąż bez słowa, z kamienną twarzą.

- Nie rozumiem.
- Czego? Słowa „konfiskata”, czy też niedość dokładnie określiłem jednostki, o które mi chodzi? Takara na wół uniósł się z siedzenia.
- Komandorze...
Dowódca wyciągnął rękę, by usiadł.
- Chwileczkę, majorze.
- Komandorze, to bardzo ważne...
- Nie słyszał pan - warknął McPhee, piorunując go wzrokiem. - Proszę się zamknąć. - Odwrócił głowę do Hollowaya. -Otrzymałem od pana Jacy'ego VanDivera polecenie, by zdobyć dowody na to, iż rodzina Cavanaghów podjęła działania niezgodne z prawem. Pierwotnie planowałem wykryć, co planują nie ujawniając się, ale dzięki pańskiej ciekawości możliwość ta została zaprzepaszczona. Niemniej nielegalne wejście w posiadanie własności sił Obrońców Pokoju wystarczy już, by aresztować całą grupę.
- To żadna własność Obrońców Pokoju - odezwała się Me-linda, po raz pierwszy od początku spotkania. - Oba statki i wszystkie zapasy są prywatne.
- A lecące tu corviny? - zapytał komandor.
- Corviny? - powtórzył zaskoczony McPhee. - Gdzie? Ile?
- Komandorze, one zniknęły - wtrącił się do rozmowy Takara. - Oba.
- Oba? Myślałem, że było sześć myśliwców.
- Nie corviny. Cavanagh i Quinn, razem z obydwoma statkami. Wystartowali, kiedy sprawdzałem autentyczność dokumentów pana McPhee'ego.
Przez chwilę posiadacz carte blanche siedział bez ruchu, z na wpoi otwartymi ustami.

190

- Co? - wyjąkał wreszcie. Gwałtownie zerwał się z fotela.
- Co? - wykrzyknął. - Co za cholerny...? - Wymierzył palec w Hollowaya. - Ściągnąć ich. Ściągnąć natychmiast. Dowódca zdążył już uruchomić swój komunikator.
- Gasperi, czy są uwagi dotyczące przebiegu startu counterpuncha i paliwowca?
- Nie ma, panie komandorze — odpowiedział Gasperi spoglądając na niewidoczny dla rozmówców ekran. - Żadnych problemów przy starcie.
- Masz z nimi kontakt?
- Nie, skryły się już za horyzontem. Ponownie będą w naszym zasięgu za jakąś godzinę.
- Komandorze, to major Takara nie zapobiegł ich startowi! -wykrzyknął McPhee.
- Tak, wiem - odpowiedział dowódca garnizonu intensywnie myśląc. - Gdzie jest łącznikowiec wracający z Edo? Można za jego pośrednictwem połączyć się z corvinami albo counterpun-chem?
- Obawiam się, że nie, ale spróbuję wykorzystać zakrzywienie dyfrakcyjne.
- Dobrze. Niech dowódca Quinn i Arie Cavanagh niezwłocznie wylądują i zgłoszą się na przesłuchanie. McPhee parsknął pod nosem.
- Chyba nie liczy pan na to, że wykonają takie polecenie? Holloway jakby nie słyszał jego słów.
- I jak najszybciej przygotujcie do lotu dwójkę. Chcę, żeby wystartowała w ciągu piętnastu minut.
- Tak jest - odpowiedział Gasperi, na bieżąco wprowadzając odpowiednie rozkazy.
- Panie komandorze, właśnie wykryliśmy nową smugę tachionową zbliżającą się do systemu. Jednostka wstępnie zidentyfikowana jako jacht gwiazdny klasy Effenzeal-Royce. Przewidywane lądowanie za dwie godziny.

Holloway odwrócił głowę do Melindy.

- Pani?

- Mojego ojca.

Ponownie spojrział na ekran komunikatora.

- Mieście na niego oko - polecił. -1 niech łącznikowiec jak najszybciej startuje.

191

- Tak jest.

- Marnuje pan tylko czas - rzekła Melinda, gdy przerwał połączenie. - Łącznikowiec i tak nie zdąży ich dogonić.

- Dziękuję za radę, ale sam o tym zadecyduję. Zakładam, że na pokładzie jachtu nie uda się znaleźć dowódcy Bokamby? W milczeniu pokręciła głowę.

- Świetnie - mruknął komandor, ponownie włączając komunikator. - Gasperi, udało się nawiązać łączność?

- Niestety. Żadnej odpowiedzi. Sygnał prawdopodobnie nie dociera do nich.

- Co z dwójką?

- Wciąż trwają przygotowania, panie komandorze. To musi potrwać jeszcze kilka minut. Dowódca bezsilnie zacisnął pięść.

- Nie stać nas na dalszą zwłokę. Niech się pospieszą.

- Tak jest - odpowiedział mechanicznie Gasperi. - Zaraz będę miał...

Urwał i odwrócił głowę. Dał się słyszeć czyjś niewyraźny głos i Gasperi ze złością machnął ręką.

- Co jest? - zapytał Holloway.

- Przykro mi. Paliwowiec właśnie wszedł w podprzestrzeń. Odczyt smug wskazuje, że corviny również.

- Counterpunch na pewno także - uzupełnił komandor z westchnieniem. - Trudno. Przerwać przygotowania do startu. Wszyscy wracają do swoich zajęć.

- Tak jest.

Dowódca wyłączył komunikator i spojrział prosto w oczy doktor Cavanagh.

- Moje gratulacje - rzekł z goryczą w głosie. - Pani brat zniknął na dobre, umykając sprawiedliwości. Choć wciąż nie jesteśmy pewni, za co powinien ponieść odpowiedzialność.

Odczuł lekką satysfakcję widząc grymas na jej twarzy.

- Przykro mi, panie komandorze. Nie zamierzaliśmy sprawdzić kłopotów ani panu, ani nikomu innemu.

- A jednak udało się to państwu - stwierdził. - W obecnej sytuacji sądzę, że jest mi pani winna przynajmniej wyjaśnienie motywów waszego postępowania.

- Niestety, bardzo mi przykro - odpowiedziała zerkając na McPhee'ego. -

Obowiązek zachowania tajemnicy nie pozwala mi nic powiedzieć. - Rozchyliła usta w lekkim uśmiechu. -

192

Mogę tylko stwierdzić, że część odpowiedzialności za ujawnienie całej sprawy spoczywa na panu. Holloway zmarszczył brwi.

- Co to ma znaczyć?

- Dość - rzekł ostro McPhee. - Komandorze, ja także nie znam szczegółów. Ale ponieważ rzeczywiście chodzi o zachowanie tajemnicy, tę rozmowę uważam za zakończoną. Proszę przetrzymać gdzieś panią Cavanagh, do czasu aż mój statek zostanie przygotowany do lotu. Zabieram ją ze sobą.

Dowódca garnizonu spojrział mu prosto w oczy.

- To chyba nadmierny pośpiech. Jeśli doktor Cavanagh ma zostać pozbawiona

wolności, to najpierw musi być szczegółowo przesłuchana.

Oczy McPhee zwięzły się.

- Czyżby pan ogłuchł, komandorze? Powiedziałem przecież, że dalsza dyskusja jest wykluczona. Został pan wyłączony z dalszego ciągu sprawy.

- Proponuję, żeby odświeżył pan swoją znajomość przepisów wojskowych, panie McPhee - oświadczył Holloway wstając. - Ta kobieta znajduje się na mojej planecie. Jest na terenie mojego garnizonu. Podlega więc mojej jurysdykcji. Jeśli zechcę ją przesłuchać, zrobię to.

McPhee zerknął na Takarę, okazując pierwsze oznaki niezdecydowania.

- Nadużywa pan swojej władzy, komandorze.

- Wprost przeciwnie. Jeśli jeszcze pan tego nie zauważył, to przypominam, że znajdujemy się na obszarze uznanym za strefę działań militarnych. W każdej chwili mogę ogłosić stan wojenny, a kiedy to zrobię, pańskie upoważnieni stanie się tylko miłą pamiątką.

- A więc decyduje się pan ogłosić stan wojenny? - zapytał McPhee.

Rozległ się sygnał komunikatora. Dowódca garnizonu nachylił się i nacisnął odpowiedni klawisz.

- O co chodzi? - zapytał ostro.

Znowu zameldował się Gasperi, a jego twarz była blada jak ściana.

- Panie komandorze, właśnie wychwyciliśmy nowe smugi - oświadczył ochryplym głosem. - Taki sam odczyt jak wtedy. Za pierwszym razem.

13 - Duma zdobywców

193

Holloway poczuł nagły skurcz żołądka.

- Jesteś pewien, że to nie rezonans między paliwowcem a nadlatującym jachtem?

- Niestety. To Zdobywcy.

Spojrzał na Takarę. Ten nie słyszał słów Gasperiego, lecz wyraz jego twarzy świadczył, że mimo to zorientował się, o co chodzi.

- Ile jednostek?

- Trudno powiedzieć. Wygląda mi na pięć, może sześć. A przecież zaledwie cztery statki Zdobywców doszczętnie zniszczyły siły uderzeniowe z potężnym „Jutlandem” na czele.

- I lecą w naszym kierunku? - upewnił się komandor.

- Tak jest. Przynajmniej na to wygląda. Miną jakieś dwie godziny, zanim wejdą na orbitę.

- Zrozumiałem. Proszę wydać polecenie ewakuacji kolonii. Uruchomić wszystkie statki i pojazdy. Wyżsi oficerowie mają stawić się za pięć minut w sali dowodzenia. Aha. Przygotować dwójkę. Niech leci na Edo z najnowszymi wiadomościami.

- Tak jest.

Holloway wyłączył się.

- Zdobywcy? - spytał major nieswoim głosem. Dowódca przytaknął.

- Mamy dwie godziny. Pięć, może sześć statków. - Spojrzał na McPhee'ego. - Odpowiedź brzmi tak. Od tej chwili na Dorcas panuje stan wyjątkowy.

1

Ostatnia czerwona kontrolka na tablicy kontrolnej zmieniła barwę na pomarańczową, by wreszcie zabłysnąć zielenią.

- Tu Shrike - dobiegło z głośnika. - Operacja dokowania zakończona pozytywnie - zameldował ten sam głos z wyraźnie rosyjskim akcentem.

- Zrozumiałem - rzekł Quinn nie spuszczając wzroku z tablicy kontrolnej. - Do

wszystkich. Ostatnia kontrola. Sześciu pilotów zgłaszało się po kolei.

- Potwierdzam. Przygotować się do wejścia w podprzestrzeń. Wyłączył interkom.

- W porządku, Max - rzucił. - Ruszamy.

- Tak jest, dowódco - odpowiedział komputer. - Baza Obrońców Pokoju od pewnego czasu usilnie stara się nawiązać z nami łączność. Czy chce pan zmienić kurs, żeby im to umożliwić?

- Nie. Nie mamy na to czasu. Włącz silniki.

- Zrozumiałem.

Na tablicach zamigotały kontrolki, gdzieś rozległ się trzask spowodowany napięciami metalu i już byli w podprzestrzeni. Arie odetchnął głęboko.

- No to zaczęło się - mruknął.

- Chyba tak - przyznał Quinn, przełączając coś na tablicy kontrolnej. - Jest pan gotowy?

Gdzieś w głębi rozległo się kilka głuchych dźwięków, które towarzyszyły otwarciu włazów pomiędzy dokami dla myśliwców a resztą statku.

195

- Mam nadzieję. Ty jesteś Hydra, a ja El Dorado, tak?

- Tak. W czasach gdy byłem pilotem, załogi myśliwców zawsze posługiwały się pseudonimami, zwłaszcza przebywając we własnym towarzystwie, z dala od obsługi naziemnej. Ale niewykluczone, że zwyczaj ten zanikł w ciągu kilku ostatnich lat. Masefield przedstawi nam pozostałych. Proszę uważnie słuchać, jak będzie ich nazywać.

Przez korytarz przemknął jakiś cień, a po chwili u wejścia do kokpitu pojawił się szczupły chłopak z krótko przystrzyżonymi włosami koloru słomy.

- Dowódca Quinn? - zapytał wyciągając rękę. - Jestem Tom Masefield; Clipper. Cieszę się, że pana poznałem.

- Ja również - odpowiedział szef ochrony ściskając mu dłoń. - To mój drugi, Cavanagh - El Dorado. A mnie nazywają Hydra.

Clipper uniósł brwi.

- Naprawdę? Myślałem, że Maestro. Quinn kątem oka spojrzała na Arica.

- Kiedyś rzeczywiście. Ale to stare czasy. Co jeszcze powiedział wam Bokamba?

- Niewiele - odparł Masefield przyglądając się Cavanagho-wi. - Wiem tylko, kim pan jest i że Bokamba przekazał panu dowodzenie nami. Zakładam, że nieformalnie.

- Całkowicie - przyznał Quinn. - Czy mówił coś o samej misji?

Clipper przecząco pokręcił głową.

- Powiedział tylko, żeby mu zaufać. I panu. Urwał i odsunął się, gdy drugi mężczyzna, o ciemnych włosach i podobnej karnacji, pojawił się obok.

- Hydra, El Dorado, to mój drugi - przedstawił przybysza. - Porucznik Sieyes; Delphi.

- Jestem zaszczycony - rzekł Delphi ściskając dłoń Quin-na. - Po drodze zauważyłem, że pozostali zbierają się w dyżurce.

- Dobrze. Dokonajmy więc pełnej prezentacji.

Dziesięciu mężczyzn tłoczyło się już w dyżurce, gdy tam weszli. Pomieszczenie to, nawet puste, wydawało się Aricowi maleńkie, lecz kiedy znalazł się tam z trzynastoma osobami, poczuł się jak sardynka w puszcze.

- Panowie, zbiórka - polecił Clipper wpływając do salki.

196

Podwładni sprawnie wykonali rozkaz przyjmując pionowe pozycje.

- Zaczynając od najwyższych stopniem. Kirkov i Asquith, czyli Shrike i Crackjack, Bethmann i Mario we: Jaeger oraz Watchdog. Dalej Yanbrugh i Hodgson,

czyli Wraith i Augur. Atkinson i Young - Paladin i Dazzler. I wreszcie Kempis oraz Savile: Harlequin i Bookmaker. Panowe, a to Quinn, nasz obecny wódz, oraz Cavanagh. Hydra i El Dorado.

- Miło mi poznać was wszystkich - rzekł Quinn. -Przejdźmy od razu do sprawy. Jeśli spojrzycie na ten ekran...

- Przepraszam, ale najpierw mam do pana pytanie - odezwał się Jaeger. - Chciałbym wiedzieć, jaki właściwie jest nasz status.

- Widziałeś rozkazy - przypomniał mu Clipper.

- Tak jest. Ale nie przypominam sobie, żeby wspomiano w nich o dowódcy Quinnie. Gdy dokowaliśmy maszyny, Watchdog zwrócił uwagę na pewien szczegół. Znaki rozpoznawcze na statku są dziwnie rozmazane i zniekształcone.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy, Watchdog - zauważył Quinn. - Masz rację; oznaczenia są świeże. Statek dopiero co został ponownie włączony w skład sił Obrońców Pokoju.

- Rozumiem - powiedział Jaeger rzeczowym tonem. - Czy dysponuje pan oficjalnymi rozkazami potwierdzającymi ten fakt?

Były pilot popatrzył na Clippera.

- Może od razu wyjaśnimy sobie coś, by skończyć tego rodzaju spekulacje - oświadczył. - Bieriecie udział w nietypowej misji, zorganizowanej dla, a nie przez siły Obrońców Pokoju. Nie mam więc pisemnych rozkazów. Nie jestem obecnie nawet oficerem rezerwy. Potrzebowałem eskorty do wykonania nieoficjalnego, lecz niezwykle ważnego zadania w mało znanych obszarach kosmosu. Bokamba przyrzekł zapewnić mi ją i oto jesteście.

Arie rozejrzał się z niepokojem. Wiedział, że ta chwila kiedyś nadejdzie, lecz liczył, że będzie już wtedy za późno, by ktokolwiek mógł się wycofać. Quinn zaś igrał z ogniem, nieledwie zachęcając pilotów do odejścia, aresztowania oszustów i odesłania ich wprost na Dorcas.

- Quinn - rzekł nagle Wraith. - Oczywiście. Maestro. Rozległ się pomruk zdziwienia.

197

- Maestro? - powtórzył Dazzler. - Te n Maestro?

- Był tylko jeden - odparł Clipper nieco zmienionym głosem.

- Ach tak - rzekł Dazzler i odepchnął się od ściany, by podpłynąć bliżej Quinna.

- To pan narobił tego zamieszania, żądając zmiany zasad przyjmowania do Miedzianogłowych. Wielu utraciło wówczas szansę na wstąpienie do tej formacji. Na przykład mój brat.

- Dość tego, Dazzler - upomniął go Clipper. - Wracaj na miejsce.

- Nie, wszystko w porządku - zaprotestował Quinn znużonym głosem. - Niech powie, co leży mu na sercu.

- Dziękuję panu. Charleston był cztery lata starszy ode mnie. Od piętnastego roku życia marzył o zostaniu Miedzianogłowym. W dniu kiedy skończył osiemnaście lat, złożył stosowne papiery. Zaliczył wszystkie testy, wstępne szkolenie pilotów... Zostało mu dwa tygodnie do wszczepienia złącza mózgowego, kiedy Parlament zdecydował o poddaniu wszystkich bardziej wnikliwym badaniom. Nie przeszedł ich.

- Przykro mi. Dazzler pokręcił głową.

- Potrzebował sześciu miesięcy, żeby się z tego otrząsnąć, ale potem uświadomił sobie, że zostanie Miedzianogłowym byłoby największym błędem jego życia. Po prostu nie nadawał się do tej roboty.

I ku zdziwieniu Arica pilot wyciągnął rękę.

- Kiedyś powiedział mi, że jeśli przypadkiem natknę się na pana, mam podziękować za uchronienie go przed skutkami szczenięcej głupoty. Tak powiedział.

Przez długą chwilę Quinn ani drgnął. Wreszcie, sprawiając wrażenie jakby wciąż nie do końca wierzył w to, co słyszy, wyciągnął rękę i uściśnął dłoń pilota.

- Dziękuję - powiedział cicho.

- Nie ma za co. - Dazzler wrócił na swoje miejsce. - Dzięki panu przysł czar i urok Miedzianogłowych. Osobiście nie chciałbym latać z ludźmi, którzy wstąpili w nasze szeregi tylko po to, by móc chwalić się przynależnością do tej jednostki.

Potrzebni nam są dobrzy piloci. Pan pomógł w ich właściwym doborze.

Przez długą chwilę panowała cisza.

198

- Zamierzał nam pan powiedzieć coś więcej o misji - odezwał się wreszcie Clipper.

- Tak - rzekł Quinn i ciężko westchnął. Arie widział wysiłek malujący się na jego twarzy, gdy starał się nie wracać myślami do przeszłości.

- Wszyscy słyszeliście o ataku Zdobywców na siły uderzeniowe z Dorcas. Nie wiecie jednak, że na polu bitwy nie znaleziono później jednego ciała - zwłok Komandora Pheylana Ca-vanagha, dowódcy „Kinshasy”.

- Cavanagha? - powtórzył Harlequin spoglądając na Arica.

- To mój młodszy brat.

- Aha - mruknął Augur. - A więc to dlatego zostaliśmy tu ściągnięci i lecimy w tak prymitywnych warunkach.

- Staraliśmy się skłonić obrońców Pokoju, żeby zorganizowali misję ratunkową z prawdziwego zdarzenia. Ale admirał Rudzinski w obecnej sytuacji nie zgodził się na to.

- A więc nie powinno nas tu być - orzekł Jaeger. - Stwierdzenie, że misja jest wykonywana dla obrońców Pokoju, nieco mija się z prawdą, Maestro.

Przygotowaliście ją wbrew woli naszego kierownictwa.

- Czy istnieją jakieś dowody na to, że Cavanagh żyje? - zapytał Delphi.

- Jedynie pośrednie - odparł Quinn. - Nie znaleziono ciała, ani najmniejszego nawet fragmentu jego kapsuły ewakuacyjnej, więc logika nakazuje sądzić, że Zdobywcy postanowili wziąć jeńca, by poddać go badaniom i przesłuchać.

- Bardzo uważnie przejrzałem zapisy dotyczące tamtej bitwy - odezwał się Shrike, gładząc dłonią brodę. - Wynika z nich, że wszystkie nadajniki kapsuł zamilkły jeszcze przed opuszczeniem tej strefy przez jednostki obserwacyjne.

- To prawda - włączył się do rozmowy Clipper. - Ale istnieją przypuszczenia, że Zdobywcy wykorzystywali właśnie ich sygnały do namierzania celów. Możliwe, że komandor Ca-vanagh wpadł na to i uszkodził nadajnik, zanim trafili jego kapsułę.

- I ta jego roztropność została nagrodzona pojmaniem żywcem - dokończył myśl Crackjack. - Coś może w tym być. Wiecie chociaż, gdzie zacząć poszukiwania?

- Znamy przybliżony wektor przylotu Zdobywców, wyliczony przez „Jutland” i garnizon na Dorcas - odpowiedział

199

Quinn. - W związku z tym należałoby wytypować podejrzane systemy i sprawdzać je po kolei.

- To będzie wymagało sporo czasu - zauważył Jaeger. - A tymczasem cała Federacja jest wystawiona na wrogi atak. Crackjack prychnął pod nosem.

- Po tym, co stało się z „Jutlandem” nie sądzę, żeby sześć corvinów mogło cokolwiek zmienić.

- To bez znaczenia - rzucił ostro Jaeger. - Zapominasz, że to nie my decydujemy,

czy nasza obecność gdzieś jest ważna, czy też nie. Nie mamy także prawa latać w swoich maszynach tam, gdzie nam się podoba. Musimy wykonywać rozkazy służąc innym. - Spojrzał na Quinna, po czym odwrócił się do Clippera. - Nie widzę powodu, żeby tu pozostać. Proponuję wracać.

Mięśnie na policzkach dowódcy Miedzianogłowych zdrząły.

- Maestro?

- Oczywiście możesz wracać, Jaeger - rzekł Quinn. -Wszyscy możecie, jeśli nie zechcecie nam pomóc. El Dorado i ja polecimy dalej, bez względu na waszą decyzję.

- Ja zostaję - zadeklarował Dazzler. - Przecież będzie wam potrzebny ogon.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo - oświadczył jego partner, Paladin. - A więc już nie będziesz sam, Maestro.

- My z Delphi także w to wchodzimy - rzekł Clipper. - Możecie uznać, że jestem staroświecki, ale nie mam zamiaru zostawić Cavanagha własnemu losowi. Nie możemy zapominać o swoich, którzy popadli w tarapaty.

- A więc i o całej ludności Federacji - stwierdził Wraith. -Marnujemy czas, Jaeger.

- Tak - powiedział ten rozglądając się. - Kto wraca?

- Jeśli ktoś jeszcze chce nas opuścić, niech zrobi to teraz — dodał Clipper. - Jeżeli zostanie, to już do końca misji.

Arie popatrzył po twarzach zgromadzonych. Nikt nie sprawiał wrażenia zadowolonego, ale także nikt więcej nie zadeklarował chęci powrotu

- A więc tylko wy czterej - rzekł wreszcie Clipper. - Lepiej zbierajcie się, zanim odleciemy jeszcze dalej. Maestro, wyjdiesz z podprzestrzeni?

- To nie będzie konieczne - powiedział Wraith kierując się wraz z Augurem ku wyjściu. - Możemy rozłączyć się i w pod-

200

przestrzeni. - Usta wykrzywił mu lekki uśmiech. - Poza tym powinno wam zależeć, żeby znaleźć się jak najdalej od Dorcas. W przeciwnym wypadku gotowi wyruszyć za wami w pogoń.

- Chyba masz rację - zgodził się Quinn. - Dziękuję.

- Proszę uznać to za wyraz szacunku. - Wraith skinął liderowi zespołu. - Powodzenia. Spotkamy się na rozprawie sądowej.

- Dzięki - odpowiedział Clipper. - Przywieziemy wam na pamiątkę fragment statku Zdobywców. Czwórka mężczyzn opuściła dyżurkę i zniknęła w korytarzu.

- W porządku, Maestro - mruknął Clipper. - Jaki masz plan?

- Jak już mówiłem, czekają nas długie poszukiwania - zaczął Quinn i podpłynął do ekranu monitora. Wyświetlona na nim była taktyczna mapa gwiezdna z kilkoma kolorowymi liniami, okręgami i wspartym na nich stożkiem. - To tutaj Zdobywcy zaatakowali naszych - powiedział wskazując szczyt stożka. - Na Dorcas nie zarejestrowali pełnej transmisji, więc wektor nie jest pewny. Prosiłem, żeby Bokamba sprawdził, czy laboratoria ustaliły, z jak daleka mniej więcej nadlecieli. Czy wspomniał coś o tym?

- Nie. Ale z innych źródeł słyszałem, że badania znalezionej fragmentu kadłuba statku obcych nie pozwoliły na określenie tego.

- A więc musimy przyjąć szeroki zakres poszukiwań. Zakładając, że odchylenie wektora może wynosić co najwyżej dwadzieścia stopni i że nie lecieli dłużej niż sto lat świetlnych, mamy do sprawdzenia osiemnaście systemów. Jeśli nic w nich nie znajdziemy, rozszerzymy teren poszukiwań.

- A co będzie, gdy już na coś natrafimy? - zapytał Book-maker.

- Wasze corviny polecą jako osłona, a my z El Dorado zejdziemy niżej. Mam nadzieję, że nie zaniedbywaliście ćwiczeń w walce w atmosferze.
- Nie ma obawy - zapewnił Clipper. - Ale nasz statek chyba nie jest uzbrojony?
- Zamontowaliśmy mu namiastkę uzbrojenia - odpowiedział Quinn. - Mamy tu dwa działka i baterię wyrzutni. Masefeld podejrzliwie spojrzął na Arica.
- Miałeś kiedykolwiek do czynienia z taką bronią, El Dorado?
- Nie. Ale to nie ja będę musiał ją obsługiwać. Max, przywitaj się z gośćmi.
201

- Dzień dobry panom - odezwał się komputer. - Nazywam się Max. Będę obsługiwał statek podczas całej naszej podróży.
- Interesujące - orzekł Bookmaker. - Paramyślący? Arie przytaknął.
- Carthage-Ive-Gamma. Ze zdolnościami decyzyjnymi siódmej klasy.
- Korngold-Che?
- Tak. Ale zmodyfikowany. Bookmaker posłał spojrzenie Clipperowi.
- Stary Cavanagh nie poskąpił nam wyposażenia. To najnowszy model, jeszcze niedostępny na rynku. I pewnie drogi jak cholera.
- Sobie zapewne udzielił zniżki - roześmiał się ten. - Jak poradzi sobie w walce?
- Nie gorzej od innych paramyślących maszyn - odpowiedział Bookmaker. - Na pewno reaguje znacznie szybciej od człowieka, tyle tylko, że brakuje mu nieco wyobraźni.
- Nie szkodzi. Dwa działka i jedna bateria wyrzutni nie powinny zmuszać go do nadmiernego wysiłku. Max, co powiesz o statku?
- Wszystkie systemy działają prawidłowo - zameldował komputer. - Jednostka jest w dobrym stanie, tuż po remoncie. Poza tym na pokładzie mamy pełny komplet części zapasowych.

Clipper zwrócił się do Quinna.

- Pracował pan już kiedyś z takim komputerem?
- Nie, ale lord Cavanagh osobiście zajmował się jego instalacją. Zapewne wybrał sprawdzoną, najlepszą z istniejących wersji.
- Wygląda na to, że tak. A więc dobrze. Jak stoimy z zapasami?
- Wystarczą na co najmniej trzy tygodnie, zaś bez dwóch myśliwców i czterech ludzi poszukiwania mogą trwać jeszcze dłużej.

Dowódca Miedzianogłowych zacisnął usta.

- Mogą, ale nie wiem, czy powinny. Jaeger i Wraith mieli rację: naszym podstawowym obowiązkiem jest służba Federacji. Właściwie im dłużej myślę nad tym, tym mniejsze daję nam szansę. Osiemnaście systemów... To za dużo. Na ich sprawdzenie nie wystarczy nawet miesiąc.

Quinn spojrzął na pozostałych.

202

- A więc ustalmy, ile możemy skontrolować? Clipper obserwował ekran krzywiąc się nieco.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli sobie pozwolić na więcej niż pięć - powiedział wreszcie. - Jeśli w którymś z nich nie znajdziemy komandora Cavanagha, wracamy.

Arie w poczuciu bezradności zacisnął dłonie w pięści.

- Pięć systemów?! To...

Urwał na znak dany przez Quinna.

- Zdajecie sobie oczywiście sprawę - odezwał się ten - że jeśli nie przywieziemy go ze sobą, znajdziemy się w naprawdę poważnych kłopotach.

- Tak - odpowiedział Clipper patrząc mu prosto w oczy. - Wiemy też, że jako współuczestnicy narażamy się na konsekwencje nie mniejsze od tych, które grożą panu.

Były pilot skrzywił się.

- Oczywiście. Przepraszani. A więc tylko pięć systemów. I miejmy nadzieję, że dopisze nam szczęście.

-* Oby. Dobrze, panowie, narada skończona. Trzeba przenieść rzeczy i przeprogramować maszyny na tryb wyczekiwania. Do roboty.

Sprawnie opuścili dyżurkę i po chwili zostali w niej tylko Arie z Quinnem.

- Poszło lepiej, niż się spodziewałem — stwierdził szef ochrony Cavanaghów. Arie odruchowo przytaknął, nie spuszczając wzroku z ekranu. Pięć systemów. Spośród miliardów w ich galaktyce mieli wytypować do sprawdzenia pięć. Sukces był mniej prawdopodobny niż otrzymanie pokera z ręki, a przecież stawkę stanowiło nie tylko życie Pheylana, ale także kariery oddanych tej sprawie ludzi.

- Max, czy smuga wykryta tuż przed wejściem w podprze-strzeń należała do „Cavatiny”? - zapytał.

-

- Był to jacht gwiazdny klasy Effenzeal-Royce. Na dokładniejszą identyfikację nie mieliśmy czasu.

- Tak, oczywiście - mruknął młody Cavanagh. - Dziękuję.

- Wiedzieliśmy, że pańska siostra będzie miała kłopoty, gdy tylko pojawi się „Cavatina” - przypomniał Quinn.

- Już wcześniej je miała. Przecież usiłowali się z nami połączyć nie po to, by życzyć szczęśliwej drogi. Mam tylko nadzieję, że ojciec potrafi jakoś uspokoić Hollowaya.

203

- Z pewnością. Przecież pański ojciec wciąż ma rozległe kontakty zarówno w Parlamencie jak i dowództwie sił Obrońców Pokoju. Zapewne skończy się na areszcie domowym na Avonie do momentu naszego powrotu.

- Miejmy nadzieję. Byłoby straszne, gdyby trafiła do aresztu na Dorcas.

- Proszę się nie martwić - rzekł Quinn. - Jeśli musi się pan niepokoić o czyjeś bezpieczeństwo, to niech się pan niepokoi o nasze.

Pięć dwuosobowych myśliwców przeciwko całej flocie obcych.

- Masz rację. My ryzykujemy znacznie więcej - przyznał Arie.

1

Nie dawało się trzasnąć rozsuwanymi drzwiami, lecz gdy komandor-porucznik Holloway wpadł do pokoju, Melinda pomyślała, że właśnie usiłował to zrobić.

- Nie mam na to czasu - rzucił wściekły. - McPhee jest już gotowy do startu.

Proszę wejść na pokład.

- Nie możemy teraz odlecieć - zaprotestowała wytrzymując jego palące spojrzenie.

- „Cavatina” ma zaledwie kilka minut przewagi nad okrętami Zdobywców. Jeśli nie ostrzegę moich zaraz po ich wyjściu z podprze-strzeni, wszyscy zginą.

- Poradzimy sobie z odesłaniem ich bez pani pomocy - rzekł dowódca garnizonu już nieco spokojniejszym tonem. - Nic im nie grozi. Proszę jak najszybciej się stąd wynosić.

Melinda pokręciła głową.

- Nie rozumie mnie pan, komandorze. Znam ojca. Wie, że tu jestem i nie uwierzy pańskim zapewnieniom. Nie zdoła pan przekonać go wystarczająco szybko.

Holloway westchnął głośno.

- Proszę posłuchać, pani doktor. Rozumiem pani niepokój. Ale niepotrzebnie się pani martwi. Tak, mają zaledwie kilka minut przewagi nad obcymi, lecz nie zanoszą się na to, by wyszli z podprzestrzeni w pobliżu siebie. Pani ojciec natychmiast zauważył, co mu grozi, i momentalnie zniknie.

- Może mi pan to zagwarantować?

- Oczywiście, że nie. Nie mogę także zapewnić, że sami zdążycie wejść bezpiecznie w podprzestrzeń, jeśli dalej będzie-

205
dzie pani zwlekać. Przykro mi, ale tak właśnie wygląda sytuacja.

Melinda westchnęła ciężko. Niestety, racja była po stronie Holloway. A więc zostawało jej tylko jedno wyjście.

- Niech więc McPhee leci sam. Ja zostaję. Czoło komandora pokryły bruzdy.

- Co?

- Zostaję tu - powtórzyła, nie zwracając uwagi na serce walące w piersiach niczym młot. - Wszystko wskazuje na to, że będzie panu brakować fachowego personelu medycznego. Jestem lekarzem i proponuję swoją pomoc.

- Chyba pani zapomniała, że przede wszystkim jest pani więźniem - zauważył.

- Wprowadzony został stan wyjątkowy. Jeśli więc wymagają tego okoliczności, może pan chwilowo zawiesić areszt. Oczywiście Hollowaya przypominały laserowe skalpele.

- Zdaje sobie pani sprawę, co proponuje? - zapytał.

- Oczywiście. Chociaż nie twierdzę, że mnie to nie przeraża.

Przyglądał się jej jeszcze długą chwilę.

- Na pani miejscu uciekałbym stąd jak najszybciej - rzekł wreszcie i sięgnął po komunikator. - W porządku, niech będzie. Duggen? Cavanagh zostaje z nami. Powiedz McPhee'emu, żeby natychmiast startował. - Otrzymał potwierdzenie i przypiął aparat do pasa. - Chodźmy więc.

Na lądowisku panował ruch jak w mrowisku. Żołnierze zapełniali ładownie samochodów powietrznych, a cywile grupowali się przy wejściach do sekcji pasażerskich. Melinda obserwowała ich twarze jadąc z Hollowayem w stronę kompleksu dowodzenia, zdziwiona, że mimo pośpiechu nie widać nawet śladu hysterii czy paniki. Wprost przeciwnie. Wszyscy wydawali się przygotowani do stawienia czoła swemu losowi.

- Wyglądają na dobrze zorganizowanych - zauważyła.

- Mieliliśmy kilka tygodni - przypomniał jej. - Ci, którzy nie uparli się by zostać, odlecieli już dawno temu.

- Ile ludności zostało?

- Więcej, niżbym chciał. Jakies dwadzieścia pięć tysięcy. Melinda podniosła wzrok na bezchmurne niebo, naiwnie myśląc, że chmury mogłyby skryć ich przed zbliżającym się wrogiem.

- Dokąd ich wywozicie?

206

- W górach, jakieś siedemdziesiąt kilometrów na wschód stąd, jest wąski kanion. Płynąca jego dnem rzeka zapewni wodę, a pieczary wykute w zboczach schronienie. Przygotowaliśmy go najlepiej jak tylko się dało.

- A żywność, medykamenty i cała reszta?

- Zgromadziliśmy tam pewne zapasy. Nie wiadomo jednak, czy będziemy w stanie się bronić, jeśli Zdobywcy postanowią wykurzyć nas stamtąd.

Mogą przecież bez żadnego ryzyka rzucić tam kilka bomb wodorowych, dopowiedziała w myślach Melinda. Ale takie rozważania niczego nie zmieniały. W każdym razie na pewno niepokoiły także i Hollowaya.

Widząc wzmożony ruch na lądowisku spodziewała się zastać podobną sytuację w kompleksie dowodzenia. Wyobrażała sobie, że żołnierze biegają w tę i z powrotem przenosząc do pojazdów cenny sprzęt. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu stwierdziła, że jest tu już niemal pusto i tylko garstka personelu obsługuje resztki oprzyrządowania.

- Szybko działacie - skomentowała.

- Mówiłem pani, że przygotowaliśmy się najlepiej jak było można - powiedział dowódcą podchodząc do konsoli wyposażonej w sześć monitorów, na których widać było jakieś skomplikowane wzory. - Crane, co tam u naszych niepożądanych gości?

- Zbliżają się - zameldował młody mężczyzna lekko drżącym głosem. - Jacht i Zdobywcy. Ponadto kilka minut temu wychwyciliśmy nowy sygnał. Wszystko wskazuje na to, że to wracają dwa z tamtych condnów.

Holloway zmarszczył czoło.

- Tylko dwa?

- Tak wynika z odczytu - odpowiedział Crane. - Paliwowiec wciąż się oddala, a pozostałe myśliwce zapewne już do niego przycumowały.

Komandor spojrzał na Melinę.

- Czy wasz paliwowiec ma wbudowany czytnik tachionowy? Zresztą to nie ma znaczenia - orzekł, zanim zdążyła udzielić odpowiedzi. - Zniknęli, zanim wychwyciliśmy smugi napędowe Zdobywców. Wniosek z tego, że piloci owych dwóch corwinów nie wiedzą, w co się pchają. Crane, kiedy wyjdą z podprzestrzeni?

- Jeśli zrobią to według standardowej procedury, kilka minut przed jachtem i Zdobywcami.

207

- Nieszczęścia zazwyczaj chodzą parami - przypomniał komandor. - W porządku, skierujcie na nich lasery komunikacyjne. Trzeba przynajmniej spróbować ich ostrzec.

- Tak jest - powiedział Crane i nacisnął kilka klawiszy na tablicy kontrolnej.

- Wkrótce potem nawiążemy łączność z jachtem - zwrócił się Holloway do Melindy.

- Wie pani już, co powiedzieć?

Dziewczyna przytaknęła, żałując, że nie potrafi odczytać symboli i wzorów wyświetlanych na ekranach. Czowała się jak zamknięta w ciemności, słysząc tuż nad uchem oddech jakiegoś nieznanego zwierza.

Nagle rozległ się brzęczyk i Melinda podskoczyła nerwowo, oderwana od własnych myśli.

- Panie komandorze, corviny wyszły z podprzestrzeni. Nawiązaliśmy kontakt.

- Do corwinów, mówi komandor-porucznik Holloway. Mamy tu czerwony alarm: zbliża się co najmniej pięć jednostek, zapewne statki Zdobywców. Proszę podać swój status.

Nastała chwila ciszy, przerwana mruknięciem — przypuszczalnie wypowiedzianym pod nosem przekleństwem.

- Tu porucznik Bethmann, komandorze. Jeśli chodzi o nasz status, to teraz jesteśmy pańskimi jednostkami wsparcia. Słuchamy rozkazów.

- Schodźcie najszybciej jak się da. Dysponujecie lokalizacją kolonii?

- Tak jest.

- Ewakuujemy się do kanionu w górach, siedemdziesiąt dwa kilometry na wschód od zabudowań. Podchodźcie od pomocy. Zapewnimy naprowadzanie.

- Przyjąłem - zameldował Bethmann. Holloway wyłączył się.

- No, przynajmniej powstała szansa zabezpieczenia tego wyłomu we wschodniej ścianie - rzekł. - Co z jachtem, Crane?

- Wychodzi za czterdzieści pięć sekund.

- Dobrze. Jest pani gotowa?

- Tak - potwierdziła Melinda, ponownie czując krew pulsującą w uszach. - Komandorze, jak szybko od wyjścia z podprzestrzeni Zdobywcy dotrą na powierzchnię planety?

Zapytany wzruszył ramionami.

- To zależy od tego, gdzie dokładnie się pojawią. My za-
208

zwyczaj zostawiamy sobie osiemdziesiąt tysięcy kilometrów, ale oni mogą wyskoczyć znacznie bliżej. Gdybym ja dowodził siłami inwazyjnymi, podszedłbym tak blisko jak tylko pozwala na to pole magnetyczne planety. Sądzę, że pojawią się zaledwie kilka tysięcy kilometrów od nas. A może tylko tysiąc, jeśli ich dowódca jest ryzykantem. Już wkrótce się przekonamy.

- Rozumiem.

- Proszę się nie martwić. Powinniśmy mieć wystarczająco dużo czasu na dotarcie do kanionu. - Zmierzył ją wzrokiem. - Żałuje pani swojej decyzji?

- Wszystko w porządku - powiedziała nie spuszczać oczu z enigmatycznych wzorów na monitorach. Ponownie rozległ się brzęczyk.

- Mamy już jacht - zameldował Crane. - Proszę, pani doktor.

- „Cavatina”? Mówi Melinda Cavanagh - zawołała. - Tato, musisz stąd jak najszybciej uciekać. Tuż za wami lecą statki Zdobywców.

- Doktor Cavanagh, tu kapitan Teva - odpowiedział jej znajomy głos dowódcy jachtu. - Potwierdzam wykrycie smug napędowych. To na pewno Zdobywcy?

- Czy mój ojciec jest z panem?

- Niestety nie - padło po chwili ciszy. - Ale polecił przekazać pani bratu, że poszukiwania nic nie dały.

A więc poznanie owych mrachańskich legend nie przyniosło żadnych wskazówek, gdzie można znaleźć Zdobywców. Dobrze więc, że Arie i Quinn nie czekali.

- Zrozumiałam. A teraz proszę stąd odlecieć.

- Pani doktor, jeśli to naprawdę Zdobywcy...

- Nic nie może pan zrobić - ucięła dziewczyna. - Nie zdoła mnie pan już stąd zabrać, a w razie podjęcia takiej próby jacht stanie się zapewne ich pierwszym celem. Proszę się nie martwić... Znajduję się pod opieką Obrońców Pokoju. Niech pan jak najszybciej odlatuje i ściągnie pomoc.

- Pani doktor, jestem przecież za panią odpowiedzialny...

- Odpowiada pan przede wszystkim za statek i za całą naszą rodzinę - rzekła z naciskiem Melinda, starannie dobierając słowa. - I przypominam o obowiązku wypełniania wszystkich naszych poleceń. Czy to jasne?

Mogła sobie wyobrazić rozterkę, która w tym momencie ma-

14 - Duma zdobywców

209

lowała się na twarzy Tevy. Ale jej stanowisko było twarde, a kapitan dobrze znał swoje obowiązki.

- Zrozumiałem, pani doktor - powiedział wreszcie z westchnieniem. - Powodzenia.

- Panu także.

Holloway wykonał ruch ręką i Crane przerwał łączność.

- Odleci? - zapytał.

- Tak - odparła. A więc pozostała na tej planecie, pozbawiając się ostatniej możliwości ucieczki. - Czy nie powinniśmy się już stąd zbierać?

- Proszę bardzo. Ja poczekam jeszcze trochę, by przekonać się jakimi dokładnie

siłami dysponuje przeciwnik. Proszę wsiąść do któregoś z samochodów powietrznego, gdzie tylko znajdzie pani miejsce.

- Dobrze.

Melinda wstała i ruszyła do wyjścia. Była już prawie za drzwiami, kiedy znowu odezwał się brzęczyk...

- Komandorze! - wykrzyknął Crane. Dziewczyna odwróciła się gwałtownie.

- Co się dzieje? - wyjąkała.

- Są tuż nad nami. - Dowódca poderwał się i skoczył w jej stronę. - Tu Holloway - rzucił do komunikatora. - Pełny alarm bojowy... Obcy wyszli na poziomie atmosfery... Pięćset kilometrów nad nami. Do całego personelu i wszystkich pojazdów, natychmiastowa ewakuacja.

Ledwie skończył, gdy potężna eksplozja zakołysała budynkiem. Melinda zamachała rękoma usiłując zachować równowagę, a poprzez szum w uszach docierały do niej niezrozumiałe okrzyki Crane'a.

Holloway był już jednak przy niej i silnym ramieniem uchronił przed upadkiem.

- Co się stało? - krzyknęła.

- Zniszczyli główny transmiter - wyjaśnił równie głośno, prowadząc ją ku drzwiom. - Trafienie laserem. Idziemy.

Wypadli na zewnątrz, mając Crane'a tuż za plecami. Dziewczyna uniosła wzrok...

- Komandorze! - jęknęła wyrывая trzymaną przez niego dłoń. Nad nimi krążyło pół tuzina ciernych kształtów...

- Co pani wyprawia? - oburzył się. Ponownie chwycił ją mocno i pociągnął za sobą. - To przecież nasi.

210

Pozwoliła poprowadzić się ku ostatniemu pojazdowi pozostającemu na ziemi, podczas gdy sylwetki pozostałych ginęły już z pola widzenia gdzieś na wschodzie. Ze wstydu, że uległa panice, poczuła pieczenie policzków. Momentalnie jednak o tym zapomniała, kiedy jasny błysk rozświetlił wzgórze od zachodniej strony.

- Kolejny strzał - krzyknął Holloway, jednocześnie zwiększając siłę uścisku. - Proszę się trzymać...

Grzmot zdawał się tym razem cichszy, lecz o dziwo grunt zakołysał się pod jej nogami, a głowa zabolala, jakby otrzymała potężny cios. Zachwiała się. Jak przez mgłę poczuła uchwyt na drugim ramieniu...

Po chwili stwierdziła, że jest wciągana po rampie do niskiego pomieszczenia o stalowych ścianach.

- Proszę siadać - polecił komandor wpychając ją na jedno z dwóch wolnych siedzeń tuż za sterówką i samemu zajmując miejsce obok. — Bremmer, startuj!

Samochód powietrzny poderwał się w górę i prawie natychmiast wyrównał lot. Wciąż oszołomiona chwilę szarpała się z wojskowymi pasami, lecz zdążyła je zapiąć, zanim pojazd gwałtownie przyspieszył i z hukiem pomknął na wschód.

- Nic pani nie jest? - zapytał Holloway.

- Nie - odpowiedziała Melinda kilkakrotnie mrugając powiekami i na próbę otwierając usta. Tak naprawdę nie doszła jeszcze do siebie, ale z każdą chwilą czuła się coraz lepiej. - Co się stało? Czy to był szok akustyczny?

- Zapewne. - Dowódca ujął jej głowę w dłonie i spojrzał prosto w oczy. - Źrenice w porządku. To pewnie tylko drobne kłopoty z błędnikiem.

- Na pewno - zgodziła się.

Rozejrzała się lustrując wnętrze pojazdu. Sądząc z rozmiarów samochodu powietrznego spodziewała się, że jest przeznaczony do przewozu ludzi. Z zewnątrz wyglądało, że może pomieścić czterdzieści, pięćdziesiąt osób, a tymczasem oprócz

miejsce dla dwóch pilotów było tu tylko sześć siedzeń. Jedno zajmował Crane, a trzy pozostałe bliźniacy cywile.

- To transportowiec - wyjaśnił Holloway spoglądając ponad ramieniem pilota na przesuwane się pod nimi zalesione wzgórza. - Bremmer, odbierasz sygnały obcych?

- Nie, panie komandorze. Ale nasze urządzenie ma mały zasięg. Skontaktować się z kanionem?

211

- Nie uda ci się. Jestem pewien, że ich drugi strzał unieszkodliwił zapasowy transponder. Leć jak najszybciej i możliwie najniżej.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Melinda przysunęła się do dowódcy, starając się zobaczyć coś przez okna znajdujące się z przodu pojazdu. Równiny i pagórki zaczęły ustępować miejsca porośniętym niskimi drzewami lub niemal zupełnie nagim górcom. Samochód śmigał zaledwie kilka metrów ponad koronami drzew. Kiedy zanurkowali schodząc do jakiejś doliny, daleko przed sobą ujrzeli pokryte śniegiem szczyty i zaniepokoiła się, że kanion, do którego lecą, może być usytuowany na znacznej wysokości. Będą wówczas musieli radzić sobie z odmrożeniami i hipotermią...

- Odbieram coś, panie komandorze - zameldował nagle drugi pilot. - Wszedł na nasz zakres. Jest gdzieś z tyłu...

Nie dokończył, ponieważ w niewielkiej odległości, z prawej strony, nastąpił oślepiający błysk. Melinda odruchowo odwróciła głowę i chwyciła Hollowaya za ramię, gdy pojazd wszedł w gwałtowny skręt. Pilot zdołał wyprowadzić maszynę, a w tym samym czasie wokół dziewczyny pojawiła się siatka zabezpieczająca, osłaniająca i unieruchamiająca jej ciało.

- Co z maszyną? - zapytał dowódca, przekrzykując znacznie głośniejszą teraz pracę silnika.

- Źle - odparł pilot. - Prawe skrzydło uszkodzone, lotki nie funkcjonują. Spadamy.

Dziewczyna zacisnęła zęby. Uniosła się na tyle, na ile pozwoliła jej blokująca ją siatka i wyjrzała przez okno. W piorunującym tempie zbliżali się do przesuwanego się w dole wzgórz. Nagle przed nimi pojawiło się wyjątkowo wysokie drzewo. Na szczęście pilot w ostatniej chwili zdołał je wyminąć. Obniżyli lot do poziomu koron i trzask gałęzi łamanych przez brzuch samochodu zastąpił huk silnika. Nadal zbliżali się do ziemi i tylko siatka ratowała Melindę przed dotkliwymi potłuczeniami, gdy pilot rozpaczliwie manewrując starał się utrzymać maszynę w locie ślizgowym. Przymknęła oczy nie chcąc patrzeć, co się dalej stanie, lecz jednocześnie niezdolna odwrócić wzroku. Wydawało jej się, że zgrzyt gałęzi o metal to krzyk obwieszczający śmierć...

212

Nagle świat zawirował, rozległ się ogłuszający huk, a po chwili zapanowała dziwnie nienaturalna, dzwoniąca w uszach cisza.

- Nic pani nie jest? - zapytał Holloway.

Melinda otworzyła oczy. Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią oczekując fali bólu, lecz nie poczuła nic, z wyjątkiem lekkiego pieczenia w miejscach otarć o zabezpieczającą siatkę.

- Nie - odpowiedziała. - Jak długo byłam nieprzytomna?

- Może minutę - odparł. Sam oswobodził się już i właśnie uruchamiał mechanizm likwidujący otaczającą ją klatkę. - Musimy się stąd wynosić. Pod pani siedzeniem jest specjalny kombinezon. Proszę go odnaleźć i jak najszybciej nałożyć.

Dziewczyna posłuchała. Wydostała ciężki pakiet i rozwinęła go. Strój składał się z poncho z kapturem oraz grubego pasa, a w kieszeni znajdowała się dodatkowo jakaś cienka rurka. Bez wahania przepasała się w talii i naciągnęła pelerynę przez głowę. Materiał, wykonany z jakiegoś dziwnego tworzywa, był gruby i nieprzyjemny w dotyku.

- Miała już pani do czynienia z bronią?

- Kilkakrotnie ze strzelbą - odpowiedziała.

Niepewnie wstała i rozejrzała się. Ostatni spośród cywilów, także już przebrany, przechodził właśnie przez dziurę wyrwaną w miejscu, gdzie przedtem były drzwi. W rękach ścisnął potężną, groźnie wyglądającą, dwulufową wojskową strzelbę. Crane odpinał z uchwytów jeszcze dwie podobne.

- Ale na pewno nie z czymś podobnym - dodała.

- A więc już za późno na naukę - orzekł komandor. Wziął jedną ze strzelb od Crane'a i wskazał dziewczynie wyjście. -Zestaw pierwszej pomocy jest pod siedzeniem pilota... Proszę go zabrać. Musimy znaleźć jakieś schronienie, zanim nas dopadną.

Katastrofa spowodowała ogromne zniszczenia, za maszyną ciągnął się długi pas powalonych drzew. Wychodząc Melinda ujrzała trzech cywilów przekradających się ostrożnie w stronę gęstszej części lasu. Dwaj piloci, z których jeden mocno utykał, szli nieco z tyłu.

- Tędy, pani doktor - rzucił Holloway, wskazując tę dwójkę. - Crane, idź z Bremmerem. Znajdźcie jakąś kryjówkę i okopcie się. Nie używajcie radia. Zdobywcy natychmiast namierzają

213

miejsce nadawania. Korzystajcie tylko z gwizdków i sygnałów rękami.

- Tak jest.

Komandor i dziewczyna dopadli drzew równocześnie z utykającym pilotem.

- Tam może być nieźle - stwierdził dowódca wskazując labirynt utworzony przez niskie skałki. - Wei, jak tam noga?

- Nie najgorzej, panie komandorze — odpowiedział pilot spokojnym, rzeczowym tonem. - Nie sądzę, żeby kość była naruszona.

- Jak tylko będzie można, sprawdzimy to. Czy nadałeś May-day, zanim się rozbiliśmy?

- Tak jest. - Wei skrzywił się, siadając. - Ale nie było żadnej odpowiedzi.

Zostało nam jeszcze jakieś osiem kilometrów... Pewnie w kanionie wcale nie odebrali naszego sygnału.

- Ale może dotarł do którejś z pozostałych maszyn - wyraził przypuszczenie Holloway zdejmując broń z ramienia. - Proszę sprawdzić jego nogę, pani doktor. Nie, chwileczkę... Najpierw zajmę się pani strojem.

Melinda nawet nie drgnęła, gdy sięgnął pod jej poncho i przesunął przełącznik na pasie. Do jej uszu dobiegł cichy syk.

- Co to? - zapytała.

- Ciekły azot z pojemników w pasie - wyjaśnił dokonując tej samej operacji przy swoim ubiorze. - W połączeniu z tą tkaniną pozwala zakłócić widmo podczerwone. A tu jeszcze coś. - Spod poły wyjął spory dysk. Nacisnął znajdujący się na nim włącznik i cisnął go pomiędzy drzewa rosnące jakieś dwadzieścia metrów bliżej rozbitego pojazdu. - Jeśli to coś działa, to na odczucie będzie bardziej podobne do człowieka niż my.

- Oczywiście może się to okazać zupełnie nieprzydatne, jeśli nie korzystają z wykrywaczy podczerwieni - zauważył Wei. -Albo nie wiedzą, jak wyglądamy.

- Trzeba przynajmniej próbować. W porządku, pani doktor, teraz może pani wykazać się umiejętnościami zawodowymi.

Melinda ostrożnie zdjęła pilotowi but, czując jak po plecach spływają jej krople potu. Rzeczywiście była lekarzem i posiadała bogatą wiedzę medyczną. Ale teoria i symulacje komputerowe nie dały się porównać do obcowania z żywym pacjentem. Dawno już nie miała do czynienia z klasyczną chirurgią i była pełna obaw, czy w jednej chwili będzie w sta-

214

nie przypomnieć sobie, jak w danym przypadku należy postępować.

Dlatego po wstępnych oględzinach z ulgą stwierdziła, że nie będzie zmuszona do specjalnego wysiłku.

- To tylko zwichnięcie - orzekła sięgając do apteczki i sprawnie nakładając na staw bandaż elastyczny. - Przejdzie za kilka...

- Cicho - syknął Holloway. - Coś się zbliża.

Melinda zamarła nasłuchując. W oddali słyszała cichy szum.

- To nasi? - wyszeptała.

- Nie wygląda na to. Wei, daj sygnał Crane'owi i Bremmerowi, żeby byli gotowi.

- Tak jest.

Pilot sięgnął po rurkę i nałożył przez głowę łańcuszek przytwierdzony do jednego końca. Przyłożył ją do ust i rozległ się przenikliwy gwizd. Trzy krótkie sygnały i jeden długi. Natychmiast nadeszła odpowiedź: jeden długi i jeden krótki.

- Chyba ich widzę - wyszeptał dowódca wyglądając zza drzew. - Niech się pani schowa pod poncho.

Melinda skuliła się za skałą. Wsunęła podkurczone nogi pod materiał i jeszcze głębiej naciągnęła kaptur. Szum przybierał na sile i w pewnej chwili ujrzała, że między drzewami mignęło coś białego. Z całych sił zacisnęła zęby...

I nagle to coś było tuż obok. Przemknęło ponad wyłomem w drzewach i rozbitym samochodem powietrznym. Przypominało mlecznobiałą ważkę, lecz zamiast skrzydeł miało wirujące łopaty napędu. Maszyna wykonała ciasną pętlę ponad wrakiem i wreszcie zawisła kilka metrów za nim, wzbijając tuman pyłu. Kołysała się przez chwilę, jakby prowokując do ataku. Melinda napięła mięśnie, lecz Obrońcy Pokoju nie otworzyli ognia. Po minucie statek osiadł na ziemi i po obu jego stronach otworzyły się luki, przez które wyszło dwóch obcych.

Gdy ciekawość wzięła górę nad strachem, Melinda ostrożnie spojrzała w ich stronę. Obcy nie byli podobni do żadnej ze znanych jej istot myślących. Wzrostem co prawda nie różnili się prawie od ludzi, lecz byli od nich wyraźnie szczuplejsi, a wąskie głowy wystawały zdecydowanie do tyłu. Duża czaszka zawierała zapewne dobrze rozwinięty mózg. Byli za daleko, żeby mogła przyjrzeć się ich dłoniom, lecz ze sposobu, w jaki trzymali szare rurki domyśliła się, że posiadają przeciwstawny kciuk. Niewy-

215

kluczone, że nawet dwa. Mieli także krótkie, płaskie ogony w miejscu właściwym dla większości zwierząt. Poruszały się one bez przerwy, co przywodziło jej na myśl oglądane kiedyś wodne stwory. Pomyślała, że może być to swoisty wymiennik ciepła lub próbnik podobny do języka węży. Jeden z obcych odwrócił się w jej stronę, tak że mogła przyjrzeć się jego trójkątnej twarzy. Oczy były głęboko osadzone, osłonięte wydatnymi łukami brwiowymi, poniżej zaś znajdował się otwór gębowy przypominający ptasi dziób. Obie postacie idąc pochylały się nieco do przodu, a ich stopy przywodziły na myśl kończyny mew, tyle tylko, że pomiędzy

palcami nie zauważyła błony pławnej.

- Komandorze? - szepnął niecierpliwie Wei.

- Nie powinniśmy strzelać. Może ograniczą się do oględzin naszego samochodu i odlecą.

Melinda z trudem przełknęła ślinę, sparaliżowana powagą sytuacji. To nie byli przedstawiciele byle rasy, którzy pojawili się tu, by mogła ich sobie obejrzeć.

To byli Zdobywcy, a przybyli, by zabijać.

Jeszcze czterech obcych wyszło ze statku. Zajęli pozycje wokół rozbitego pojazdu, a pierwsza dwójka ostrożnie zajrzała do jego wnętrza. Pomimo szumu silnika Melinda usłyszała, że coś mówią. Dominował jeden jakby sztucznie wzmocniony głos.

- Wiedzą już, że żyjemy i ukryliśmy się - szepnął Hollo-way. - Zaraz będziemy wiedzieli, jak bardzo zależy im na odnalezieniu nas.

Nie musieli długo czekać na odpowiedź. Po kilku sekundach pojazd Zdobywców zaczął się unosić, lecz na wysokości dziesięciu metrów zawisł w powietrzu, zaś szóstka obcych ruszyła tyralierą w stronę drzew, między które Holloway rzucił dysk.

- Dlaczego nie strzelamy? - niecierpliwił się Wei, zaciskając dłonie na kolbie, aż zbieleły mu kostki.

- Wszystko w swoim czasie - szepnął dowódca garnizonu, zerkając na wiszący w górze pojazd. - Razem spróbujemy zdjąć ten helikopter. Nastaw pełną moc i powiadom Crane'a i Bremmera, żeby zaatakowali obcych, kiedy my otworzymy ogień.

- Tak jest - odparł pilot. Sięgnął po gwizdek i przekazał nim całą serię sygnałów-rozkazów.

216

Zdobywcy zatrzymali się przyjmując pozycje w półprzysiadzie i rozglądając się niespokojnie. Melinda zamarła wystraszona, lecz gwizd miał to do siebie, że nie dawało się zlokalizować, skąd pochodził. Wei dokończył przekazywanie wytycznych, a obcy nadal pozostali w bezruchu, jakby zapraszając do ataku. Ale Holloway wciąż nie wydawał tego najważniejszego rozkazu. Zdobywcy wreszcie wyprostowali się i ponownie ruszyli w kierunku drzew.

- Panie komandorze? - syknął nerwowo pilot.

- Przygotuj się - polecił dowódca. Popatrzył na dziewczynę, którą uderzył niebywały spokój malujący się na jego twarzy. - Proszę się trzymać, pani doktor.

Narobimy teraz mnóstwo hałasu. Wei, na zero. Trzy, dwa, jeden, zero.

Dwie strzelby odezwały się zgodnie, przerywając ciszę złowieszczymi szczęknięciami towarzyszącymi wystrzeliwaniu eksplodujących w zetknięciu z celem pocisków. Po chwili ten sam dźwięk rozległ się z drugiej strony, gdy ogień otworzyli pozostali Obrońcy Pokoju oraz cywile.

Melinda przywarła do ziemi, zamknęła oczy i odruchowo skrzywiła się. Las odbijał huk ogłuszających eksplozji. Pomędzy nimi docierały do niej jakieś krzyki, a przez zamknięte powieki przebijały się ostre błyski...

Po kolejnym wybuchu ziemia zadrżała tak, że na moment utraciła z nią kontakt. I cisza.

Ostrożnie, powoli otworzyła oczy i uniosła głowę. Z miejsca, w którym tkwiła, dojrzała nieruchome ciała Zdobywców. Ich kombinezony były zbroczone jakże podobną do ludzkiej, czerwoną krwią. Dalej, jakieś trzydzieści metrów od wraku samochodu, spoczywał rozbity, dymiący jeszcze helikopter obcych. Grane, Bremmer oraz cywile zbliżali się już do tych szczątków.

- Czy to koniec? - zapytała, dopiero po chwili uświadamiając sobie, jak głupio

zabrzmiały te słowa.

Ale jeśli Holloway także zwrócił na to uwagę, nie dał po sobie nic poznać.

- Na jakiś czas. Nie, proszę się nie ruszać... Pozostaniemy na stanowiskach. Nic pani nie jest?

- Chyba nie - wykrztusiła z trudem, ponieważ gryzący dym drażnił jej gardło i płuca. - Co teraz?

217

- Jeśli wszyscy zginęli, ruszamy do kanionu - powiedział. -Ich wsparcie może być już w drodze. A nawet jeśli nie, i tak wkrótce tu przybędą.

Melinda spojrzała na zabandażoną kostkę Weia.

- Czeka nas długa droga.

- Nie mamy wyboru. Ale na razie proszę zachować ciszę.

Obrońcy Pokoju i cywile dotarli do rozbitego helikoptera. Dym był już zdecydowanie rzadszy i na mlecznobiałym poszyciu maszyny Melinda widziała mnóstwo przecinających się pęknięć. Jeden z żołnierzy, chyba Bremmer, oddał krótką serię w burtę, aż odpadł znajdujący się w niej właz.

- Tylko spokojnie - mruknął Holloway. — Powoli i ostrożnie.

Bremmer opuścił broń, podszedł do otworu i zajrzał do środka.

Nagle odskoczył z krzykiem, gdy z wnętrza wytoczył się Zdobywca.

Dziewczyna jęknęła. Zanim jednak obcy, wyraźnie oszołomiony, pewnie stanął na nogach, Bremmer zrobił krok naprzód i lufą strzelby pchnął go prosto w piersi.

Zdobywca zachwiał się, a wtedy jeden z cywilów chwyciwszy broń w obie dłonie przycisnął szyję obcego, unieruchamiając go. Ten starał się uwolnić, lecz nie był w stanie...

- Uważać - ostrzegł komandor. - Naprawdę ostrożnie. Powalcie go na ziemię przed przeszukaniem.

Tymczasem Bremmer oddał swą strzelbę Grane'owi i zbliżył się do pojmanego...

I właśnie w tym momencie Zdobywca zaatakował.

Melinda nie zauważyła nawet co się stało, lecz nagle żołnierz padł na plecy, a z jego szyi popłynął potok krwi.

- Odsuńcie się! - rozkazał Holloway chwytając strzelbę.

Było już jednak za późno. Ktoś krzyknął, Crane odrzucił krępującą mu ruchy drugą strzelbę, Zdobywca obrócił głowę... i tym razem Melinda jak na dłoni widziała jego przerażający w skutkach atak. Z ust wystrzeliło mu coś przypominającego nóż, co cięło przez szyję mężczyznę znajdującego się za jego plecami. Rozległ się kolejny okrzyk, który zdławiła tryskająca fontanna krwi i cywil padł na ziemię. Zdobywca chwycił tymczasem strzelbę wypuszczoną przez swą ofiarę...

218

Ale na szczęście w tej chwili Crane otworzył ogień. Trafiony z bliska obcy został niemal rozerwany na strzępy.

Melinda patrzyła na to wszystko szeroko rozwartymi oczami. Jej ciało drżało gwałtownie, a żołądek podjechał do gardła, czego nie doświadczyła się od czasów pierwszego roku na medycynie. Widziała dokumentację dotyczącą wojen, w których uczestniczyli Obrońcy Pokoju. Ale ani tamto, ani praktyka medyczna nie przygotowały jej do tego, co zobaczyła teraz. Tu ludzie ginęli na jej oczach. Wreszcie, chyba po raz pierwszy, naprawdę dotarło do niej, że znajduje się w środku działań wojennych.

Westchnęła ciężko. Tak, rzeczywiście wokół niej rozpętała się wojna. Ale przecież była lekarzem, a to pociągało za sobą pewne obowiązki. Włącznie z realizacją obietnicy danej Hollowayowi.

- Idę tam - zakomunikowała wstając. - Może będę w stanie udzielić pomocy.
- Oczywiście - odpowiedział komandor, a w jego głosie pobrzmiwały gniew, gorycz i brak wiary, że w jakikolwiek sposób można jeszcze pomóc. - Wei, zostań tu i miej oczy szeroko otwarte.

Bez większych trudności przedostali się między powalonymi drzewami. Okazało się jednak, że pomoc faktycznie jest już zbędna.

- Nie żyją? - zapytał Holloway.

Melinda podniosła się z klęczek i przytaknęła. Serce wciąż waliło jej jak młotem, lecz przynajmniej opanowała mdłości. Starła się potraktować to ciało wyłącznie jako przedmiot badania medycznego, w pełnym oderwaniu od faktu zamordowania człowieka.

- Przecięcie tętnicy szyjnej. - Spojrzała na Crane'a. - Widział pan, jak do tego doszło? Pokręcił głową.

- Wszystko zdarzyło się zbyt szybko. Jakaś dziwna broń... jakby z jego ust...

- Cisza - przerwał mu nagle dowódca, wpatrzony gdzieś w dal.

Melinda zmarszczyła brwi. Dopiero po chwili także to usłyszała: dobrze już znany szum...

- Kryć się! - polecił Holloway chwytając ją za ramię i ciągnąc mocno.

219

Utraciwszy równowagę, dziewczyna padła na ziemię, tuż obok wraku helikoptera, komandor zaś osłonił ją dodatkowo swoim ciałem.

Z szybkością huraganu pojawiły się nad nimi trzy ważkopo-dobne maszyny obcych. Spomiędzy drzew rozległo się szczekanie broni Weia, i jeden z helikopterów wykonał gwałtowny manewr, podczas gdy na jego brzuchu pojawiały się pęknięcia spowodowane trafieniami. Melinda słyszała, że Holloway coś krzyczy, a do tego gwałtownie sięgając po broń boleśnie wbił jej łokieć w żebra. Wszystkie trzy pojazdy zaczęły strzelać z laserów w stronę Weia. Melinda skuliła się i przywarła do ściany wraku. Jej towarzysze także otworzyli ogień. Jeden z helikopterów wziął ich na cel, nie zważając na otaczające go eksplozje. Promień jego lasera nieubłaganie zbliżał się do leżących w ukryciu ludzi. Dziewczyna przymknęła oczy, zastanawiając się, co będzie czuła umierając...

W tym momencie oślepił ją jaskrawy, niebieskobiały błysk, gdy burta szarżującej maszyny eksplodowała i pojazd zataczając się jak raniony zwierz, z hukiem runął na ziemię. Załogi pozostałych helikopterów, jakby zdezorientowane, przerwały ostrzeliwanie Weia. Ponad lasem przemknęły z szybkością błyskawicy dwie jakże znajome sylwetki myśliwców.

Corviny.

Zdobywcy starali się odwrócić swe pojazdy dziobami do nich i podjąć walkę. Ale myśliwce weszły już w niewiarygodnie ciasny skręt i ponownie zbliżały się do przeciwnika w manewrze oskrzydłującym. Helikoptery strzelały rozpaczliwie, lecz bez skutku...

I nagle otoczyło je morze płomieni.

Gdy ucichł huk eksplozji i szczątki pojazdów spadły na ziemię, zapadła nienaturalna, dzwoniąca w uszach cisza.

- Nic pani nie jest? - zapytał dowódca głosem, który wydał jej się słaby i odległy, choć tuż przy sobie czuła ciepło jego ciała.

- Wciąż pan to powtarza - oburzyła się. Własny głos słyszała niewiele lepiej.

Biorąc jednak pod uwagę siłę dźwięków, jakie towarzyszyły walce, powinna się cieszyć, że w ogóle jeszcze cokolwiek słyszy. - Co dalej?

- Uciekamy stąd - odpowiedział wstając. - Grane, sprawdź co z Weiem. Reszta...

- Panie komandorze! - zawołał ktoś z lasu. Holloway obejrzał się.

- Tutaj - odkrzyknął.

Melinda podniosła się i zobaczyła mężczyznę w mundurze Obrońców Pokoju, nadchodzącego z bronią gotową do strzału.

- Panie komandorze - powtórzył tamten z wyraźną ulgą w głosie. - Dzięki Bogu...

Myśleliśmy, że już po was. Nasz statek jest tam.

- Dzięki - odpowiedział dowódca. - Mamy już jakieś raporty?

- Nie wiem nic na ten temat. Nikt przecież nie korzysta z radia. Z naszych obserwacji wynika, że Zdobywcy zajęli zabudowania, a ponadto kilka naszych ostatnich maszyn nie dotarło jeszcze do kanionu. Corviny odleciały, żeby zapewnić osłonę ekipie poszukiwawczej.

- Musimy się stąd jak najszybciej zabierać - rzekł Holloway. - Wyślijcie kogoś, żeby pomógł Crane'owi. - Spojrzał na Melindę. - Niech ktoś zabierze zwłoki jednego z obcych. Wybierzcie takie, które są w najlepszym stanie. I weźcie też ich broń.

Trzy minuty później byli już w powietrzu. Melinda siedziała wśród brudnych, zmęczonych ludzi, a za ich plecami piętrzyły się worki z ciałami poległych.

Wojna rozpoczęła się na dobre... a ona tkwiła w samym jej środku.

- Żałuje pani, że nie odleciała, kiedy jeszcze było można? - zapytał cicho dowódca garnizonu.

Odwróciła głowę. Jego poważne, piwne oczy wpatrywały się w nią z wyraźną troską. Może zastanawiał się, czy w najbliższych dniach nie sprawi więcej kłopotów niż przyniesie pożytku.

- Żałuję, że w ogóle doszło do takiej sytuacji - odpowiedziała. - Lepiej byłoby, gdybyśmy zaczęli od rozmów, a nie od strzelania.

- To nie zależało od nas - przypomniał. - Przecież to Zdobywcy zaatakowali.

- Może ich przestraszyliśmy.

- A może im wcale nie potrzeba rozmów. Przecież dobrze pani wie, że według niektórych dyskusje tylko przeszkadzają w osiągnięciu założonego celu. Trafiliśmy chyba właśnie na kogoś

221

takiego... Jako lekarz dobrze pani wie, że jest tylko jeden sposób postępowania ze wściekłym zwierzęciem. Obejrzał się na worki z ciałami.

- Miejmy nadzieję, że politycy dojdą do podobnego wniosku, zanim będzie za późno.

Melinda także spojrzała w tę stronę, a po plecach przebiegł jej dreszcz.

- Myśli pan o CIRCE?

- Oczywiście. Nie wiem, na co czeka NorCoord. Na ich miejscu zabrałbym się do jego montowania w dniu, w którym zniszczono „Jutland”.

- Wie pan, ile czasu potrzeba na podjęcie politycznych decyzji...

Przypomniała sobie że Pheylan, jeszcze jako dziecko, miał bzika na punkcie tej broni. Wypowiedział wtedy słowa, które teraz znów zabrzmiały jej w uszach...

- Może i ma pani rację. Ale nie tracę nadziei, że wreszcie ruszą się z tych swoich miękkich foteli i zaczną działać.

- Oby. Panie komandorze, był pan dowódcą garnizonu na Dorcas, prawda?

- Wciąż nim jestem - odpowiedział z goryczą w głosie. - Chociaż obecnie to niewiele warte. A dlaczego pani pyta?

- Zastanawiałam się, czy na Dorcas są przechowywane jakieś elementy CIRCE. Długa chwilę Holloway bez ruchu patrzył na worki.

- Do diabła - szepnął wreszcie. Melindzie mocniej zabiło serce.
- A więc są?
- Nie wiem. Takich informacji nie powierza się lokalnym dowódcom. Ale jeśli umieszczono je tu, mogą znajdować się tylko w jednym miejscu.
- W siedzibie dowództwa garnizonu?
- Nie aż tak źle. Ale wystarczająco niedobrze. Na wzgórzach, na północ od garnizonu, jest niewielka, automatyczna stacja do badań sejsmicznych. A przynajmniej takie jej przeznaczenie mi podano. Agencja NorCoordu zakończyła budowę zaledwie kilka lat temu. Jeśli rzeczywiście właśnie tam przechowują części CIRCE... - pokręcił głową. - Dobrze chociaż, że znajduje się pod powierzchnią ziemi i Zdobywcy mogą jej nawet nie zauważyć. Ale jednocześnie my nie zdołamy tam dotrzeć nie pchając się prosto w ich łapy.

222

- A więc co z tym zrobimy?
- Nie wiem. Ale nie to jest teraz najważniejsze. Przede wszystkim musimy wzmocnić obronę i przygotować się na to, co szykują nam Zdobywcy. Jeśli przetrwamy... cóż, dopiero wtedy zobaczymy, co da się zrobić.
Z dziwnie ukształtowanej tablicy kontrolnej, prawie otaczającej Hilla, dobiegł sygnał brzęczyka, wyrwijąc Cavanagha z niespokojnej, płytkiej drzemki.
- Co tam? - zapytał, wychylając się, by dojrzeć coś w półmroku. Brzęczyk zamilkł.
- Wszystko w porządku, proszę pana - odpowiedział ochroniarz. - To tylko ostrzeżenie o bliskości planety. Dolatujemy do Phormbi.
Lord zerknął na zegarek. Minęło już około siedmiu godzin od ucieczki z Mig-Ka.
- Gdzie wylądujemy?
- Na Północnych Stepach. W komputerze mamy mapę i opis tego rejonu. Za pańskim pozwoleniem zamierzam wydać polecenia, żebyśmy wyszli z podprzestrzeni od ciemnej strony. W ten sposób unikniemy najczęściej używanych tras.
- Dobrze - mruknął Cavanagh trąc powieki. Ostatnie kilka dni było dla niego bardzo męczące. - Kolchin? Nie śpisz?
- Nie, proszę pana - padła odpowiedź. - Ale Fibbit chyba wciąż jeszcze się nie obudziła. Mam spróbować to zrobić?
- Nie kłopotz się - odpowiedział lord. Sygnał brzęczyka wciąż dzwonił mu w uszach, a Sanduulka spała w najlepsze. Albo jej sen był aż tak twardy, albo też miała słuch nie lepszy niż zdolności widzenia w ciemnościach. - Hill, wiesz jak wygląda tu procedura lądowania?

224

- Nie mam pojęcia. Nigdy dotąd nie byłem w świecie Yycro-manów. Ale sądzę, że możemy się tego dowiedzieć od któregoś ze statków nadzoru.
- Miejmy nadzieję, że to nie potrwa długo - rzekł Kolchin. - Będzie źle, jeśli wieść o naszych perypetiach na Mra-mig zastanie nas tutaj.
- Wiemy przynajmniej, że nie mogła nas wyprzedzić - zauważył Hill. - To już coś.
- Tak. Lordzie, rozmyślałem nad zajściem w hotelu. Pan uważa, że była to próba sił między różnymi frakcjami Mra-chów?
- Tak.
- Przyszła mi do głowy inna możliwość: może ta karta, którą okazał Bronski, była fałszywa... Cavanagh zmarszczył brwi.
- Interesujące przypuszczenie - uznał. - Nigdy wcześniej nie widziałem tego rodzaju dokumentów, a tej karcie nie miałem okazji przyjrzeć się dokładnie.
- Ja również. To mogłoby wyjaśnić, dlaczego Mrachowie nie przysłali z Bronskim

swojego przedstawiciela. I dlaczego nie zabrał nas ze sobą, mając taką możliwość.

- A także incydent przy windach - dodał były parlamentarzysta. - Jeżeli frakcja A wydaje czerwone karty, a Bronski pracuje dla frakcji B, posługując się falsyfikatem, frakcja A mogła wysłać Bhurtalów, żeby się z nim rozprawili.

- Ale dlaczego dyplomata NorCoordu miałby pracować na rzecz Mrachów? - zapytał Hill.

- Wiemy, kim jest, wyłącznie na podstawie jego własnych słów - przypomniał komandos. - Jeśli posiada sfalszowaną czerwoną kartę, to zdobycie podrobionego dyplomatycznego identyfikatora nie powinno stanowić dla niego problemu.

- Wszystko to prowadzi nas znów do owego człowieka z portretu - stwierdził Cavanagh. Nagle do głowy przysłała mu dziwna i dość niepokojąca myśl. - Spójrz na to od innej strony, Kolchin. Czy nie istnieje możliwość, że wszystkie wydarzenia w hotelu były tylko prowokacją? Że Mrachowie przekazali nam informację o Phormbi, a później celowo pozwolili uciec?

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza.

- Jeśli chcieli, żebyśmy uciekli, dlaczego nie pozwolili przejść Bronskiemu? - zapytał wreszcie ochroniarz.

15 - Duma zdobywców

225

- Pilnowali tylko wind. Nie widziałem nikogo przy schodach, a droga ewakuacyjna także przecież nie była strzeżona. Może gdyby Bronski zawrócił i skorzystał ze schodów, zamiast wszczynać kłótnię, przepuściliby go.

- Niewykluczone. Ale Bronski nie należy do ludzi, którzy się wycofują. W porządku, założmy więc, że chcieli, aby udało się nam wydostać i polecieć na Phoimbi. Dlaczego?

- Przychodzi mi do głowy, że bierzemy udział w polowaniu. Może wiedzą, kim jest ten człowiek z portretu Fibbit i robią wszystko, żebyśmy się z nim skontaktowali. Albo też w tych legendach o Zdobywcach jest coś, co starają się przed nami zataić.

Kolchin przeanalizował w myślach każdy z tych wariantów.

- Trochę to zbyt skomplikowane jak na Mrachów - orzekł. - Oni nie rwą się do tego rodzaju spisków. Lord wzruszył ramionami.

- Większość osób które spotkałem w życiu potrafiła spiskować, gdy w grę wchodziły naprawdę ważne sprawy. Tyle tylko, że niektórzy nie najlepiej sobie z tym radzili.

- Może właśnie dlatego Mrachowie wskazali nam Phormbi, a nie jakieś znacznie odleglejsze miejsce - podsunął Hill. - Upłynęłoby parę dni, zanim przekonalibyśmy się, że znajomy Fibbit nie przebywa powiedzmy, na Nadzieździe.

- Jeśli pan rozkaże, możemy zawrócić - rzekł Kolchin. - Dysponujemy wystarczającymi zapasami paliwa. Cavanagh pokręcił głową.

- Teraz to nie miałyby sensu. Skoro praktycznie jesteśmy już na miejscu, powinniśmy i tu zadać kilka pytań. Z tablicy kontrolnej dobiegł kolejny sygnał dźwiękowy.

- Wychodzimy - obwieścił Hill. - Gotowi...?

Za ich plecami rozległ się trzask przekaźników. Ciemność na panoramicznym ekranie zastąpiło coś w rodzaju tunelu, a po chwili otoczyły ich gwiazdy, przed sobą zaś mieli zielono-nie-bieski glob.

- Idealnie - pochwalił z podziwem w głosie ochroniarz. - Dobra maszyna.

- Widać Mrachowie to całkiem zdolni konstruktorzy - stwierdził Cavanagh.

Przyjrzał się planecie i otaczającemu ją mrowiu jasnych punkcików. - Które z nich są statkami Obrońców Pokoju?

226

Hill pochylił się nad monitorem.

- Szczerze mówiąc... żadne. Lord zmarszczył czoło.

- Jak to żadne?

- Nie wiem. Odbieram około trzydziestu sygnałów, lecz wszystkie pochodzą z yycromańskich jednostek handlowych. Ani jednego wysłanego przez statek Federacji.

Były parlamentarzysta potarł dłonią policzek. Ani śladu Obrońców Pokoju... a oni znaleźli się na pokładzie mrachańskiego statku w przestrzeni kosmicznej należącej do Yycromanów. Nie była to sytuacja godna pozazdroszczenia.

- Kiedy znajdziemy się w zasięgu ich laserów? - zapytał.

- Poszukuję baterii naziemnych i satelitarnych. Myślę, że powinniśmy mieć jeszcze kilka minut.

Pokiwał głową i popatrzył na ciemną stronę planety. Jeśli rozrzucone gdzieś tam światelka to tutejsze miasta, planeta nie mogła być gęsto zaludniona.

- Może powinniśmy uprzedzić ich działania i nawiązać łączność z którymś ze statków. W ten sposób przynajmniej będą wiedzieć, kim jesteśmy.

- Nie musimy aż tak się obawiać - stwierdził Kolchin. - Przecież oni nie dysponują żadną naziemną ani orbitalną bronią.

- Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewien - rzekł Hill zmienionym głosem. -

Lordzie, proszę popatrzeć na to. - Ekran zamigotał i obraz na nim uległ zmianie.

Z ciemności powoli wyłaniał się niewyraźny kształt. Rósł w oczach i wkrótce widać już było wyraźnie jego odbijające światło powierzchnie. Statek, wyjęty prosto z ksiąg historycznych, który nie powinien istnieć, a już na pewno latać.

Był coraz bliżej.

- To yycromański okręt - wyszeptał Cavanagh słabym głosem.

- Tak. I wygląda na to, że chcą z nami rozmawiać...

W porównaniu z surowym umeblowaniem w mrachańskim hotelu, pomieszczenie, do którego ich zabrano, było zbyt dobre. Olbrzymie, urządzone z przepychem, pełne mebli i ozdób, kojarzyło się Cavanaghowi raczej z muzeum niż biurem czy poczekalnią. Fibbit zdawała się odbierać to jeszcze wyraźniej. Wędro-

227

wała po pokoju, od obrazu do rzeźby, od ubrań do kilimów, uważnie przyglądając się wszystkiemu i zupełnie nie zwracając uwagi na yycromańskich strażników pilnujących kolejnych drzwi.

Oni zaś interesowali się przede wszystkim jej osobą. Lord widział, jak uważnie obserwują spod swych hełmów każdy ruch tkaczki, wykazując niewielkie zainteresowanie resztą spokojnie siedzących zgromadzonych.

Wreszcie, po niemal dwóch godzinach wyczekiwania, zaczęło się coś dziać.

Doczekali się gościa.

I to wysoko postawionego w miejscowej hierarchii, sądząc po zdobionym, paradnym hełmie i takimż płaszczu.

[Który z was jest lordem Stewartem Cavanagh?] - zapytał Yycroman podchodząc do bogato rzeźbionego fotela stojącego naprzeciw grupki zatrzymanych.

- To ja - odezwał się były parlamentarzysta. - Czy mogę zapytać, z kim mam zaszczyt?

[Jestem Klyveress ci Yyatoor, dwunasty konsul Hierarchii]. Żeńskie imię, i tytuł tradycyjnie przypadający samicy.

- Jestem zaszczycony, ci Yyatoor - powiedział lord kłaniając się z gracją, nieco uspokojony. Sytuacja wciąż była niewesoła, lecz przynajmniej nie musieli radzić sobie z samcem, którego reakcji nie sposób było przewidzieć. - Chciałbym przeprosić za wszystkie kłopoty, jakie mogło spowodować nasze nagłe przybycie - ciągnął. - Mam nadzieję, że szybko wyjaśnimy wszelkie ewentualne nieporozumienia.

[Trzech spośród was ma paszporty NorCoordu] stwierdziła Klyveress przypatrując się po kolei mężczyznom, a następnie przenosząc wzrok na zamarłą w bezruchu Fibbit. [Sanduulka nie ma zaś żadnych dokumentów. Wszyscy przybyliście tu na pokładzie mrachańskiego łącznikowca. Wyjaśnij.]

- Przyznaję, że to dość nietypowa sytuacja. Jak tłumaczyłem już dowódcy statku, okoliczności zmusiły nas do pożyczania łącznikowca, by móc opuścić Mra-mig. [Czy człowiek uciekający przed Mrachami nie szukałby pomocy u innych ludzi? A jednak przylecieliście na Phormbi, zamiast do ludzkiego świata, albo przynajmniej na Kammis, gdzie jest wasza ambasada. Wyjaśnij.]

- Szukamy kogoś. Mężczyzny, który podobno przebywa teraz gdzieś na Północnych Stepach, na Phormbi.

228

Spojrzenie Klyveress jakby nabrało czujności. [Kto wam o tym powiedział?]

- Mrach, który zjawił się w naszym hotelu. [Jak się nazywa? Jaki ma tytuł?]

- Przykro mi. - Cavanagh pokręcił głową. - Nie wiem o nim zupełnie nic. Nawet nam się nie przedstawił.

[A jednak uwierzyłeś Mrachowi, którego nie znasz?]

Lord skrzywił się. Przy tak sformułowanym pytaniu jego wcześniejsze wyjaśnienia brzmiały wprost niedorzecznie.

- Nie mieliśmy żadnej innej wskazówki - wyjaśnił. - Uznałem, że warto zaryzykować rozpoczęcie poszukiwań właśnie tu. [Kogo więc szukacie?]

- Obawiam się, że tego także dokładnie nie wiemy.

Yycromanka przekrzywiła swój krokodyli łeb.

[A jednak go szukacie. Czyżbyście aż tak mało dbali o swój czas, żeby marnotrawić go w ten sposób?]

Cavanagh czuł, że traci grunt pod nogami. Klyveress wyraźnie podejrzewała ich, że pracują dla Mrachów. Biorąc pod uwagę również fakt, iż widzieli okręt, którego Yycromanom nie wolno było posiadać, nie dziwiło go, że traktowała ich jak wrogów.

- Udaliśmy się na Mra-mig poszukując dokładniejszych informacji o niegdysiejszych domniemanych kontaktach Mrachów ze Zdobywcami - wyjaśnił.

Yycromanka głośno wypuściła powietrze.

[Wcale nie domniemanych. To pewne.]

- Naprawdę? - zdziwił się lord. [My o tym wiemy. Mów dalej.]

- Właściwie nie ma już o czym. - Wzruszył ramionami zastanawiając się jednocześnie, skąd u licha Yycromanie wiedzą cokolwiek o liczących sobie dwieście lat legendach wrogiej rasy. Czyżby już wtedy penetrowali przestrzeń kosmiczną? - Na ulicy zobaczyliśmy pracującą Fibbit - sanduulską tkaczkę, która teraz nam towarzyszy - i kilku Mrachów śledzących ją z ukrycia. Zwróciło to naszą uwagę, więc podeszliśmy do niej i nawiązaliśmy rozmowę. Powiedziała nam między innymi o człowieku, który dwukrotnie przechodził obok niej, i zaproponowała, że pokaże jego portret. Wkrótce potem Mrachowie zaczęli robić

wszystko, aby uniemożliwić nam kontakt z nią. To jeszcze bardziej pobudziło moją ciekawość, więc kiedy wspomniany już

229

Mrach pojawił się w hotelu z informacją, że człowiek ten jest na Phormbi, zdecydowaliśmy się przylecieć tu i odszukać go. [A jeśli nie uda się wam go znaleźć?]

- Chyba po prostu odlecimy na Avon. Zwrócimy ten statek ambasadzie mrachańskiej i odstawimy Fibbit na Ulu, kiedy tylko dotrze do nas mój jacht „Cavatina”.

Klyveress ponownie głośno wypuściła powietrze.

[Przejrzałam dane o tobie, lordzie. Nie byłeś sprzymierzeńcem Yycromanów pracując w Parlamencie NorCoordu. Ale nie sprzyjałeś także Mrachom.]

- Moim celem było wyłącznie dbanie o sprawiedliwość i prawdę.

[Szlachetne cele] uznała Yycromanka. [Rozumiemy je i szanujemy. Ale jeśli prawda jest ukrywana, może się łatwo przerodzić w niesprawiedliwość. Nie mam wątpliwości, że w tym wypadku właśnie to nastąpiło.]

Cavanagh zaskoczony zmarszczył czoło.

- Jak to? Jaka prawda została zatajona?

[Wiele prawd nie zostało ujawnionych] odpowiedziała Klyve-ress zagadkowo. [Może później przyjdzie właściwy czas na wykazanie wszystkich kręctw Mrachów. Ale teraz muszę już iść.]

Lord spojrzął na strażników przy drzwiach.

- A co z nami?

[Chciałeś udać się na Północne Stepy] rzekła owijając się płaszczem. [A więc spełnimy twoją prośbę. Przez kilka najbliższych dni będziemy cię tam gościć.]

- Jako gościa? Czy też waszego więźnia?

[Nie jest to naszym zamiarem, lordzie. Twoje słowa upewniły mnie, że znalazłeś się tu dzięki manipulacjom Mrachów. Ale przez kilka najbliższych dni nie wolno ci mówić, co tu widziałeś. Jednostki Obrońców Pokoju zniknęły i droga stoi otworem. Yycromani muszą działać jak najszybciej. Dopóki jeszcze można.]

- Co planujecie?

Klyveress dała znak ręką i strażnicy opuścili swoje stanowiska.

[Naprawimy wszystkie błędy] odparła.

Wartownicy ustawili się półkolem naprzeciw ludzi i Fibbit.

- Czy według was Federacja także postępuje niewłaściwie? -zapytał cicho

Cavanagh.

230

Popatrzyła na niego uważnie.

[Nic nie rozumiesz, lordzie. Ale może pewnego dnia pojmiesz, w czym rzecz.

Chodźcie, wasz transport już czeka.]

Północne Stepy były pasmem rozległych równin w północnej części drugiego co do wielkości phormbiańskiego kontynentu. Wbrew nazwie porastały je lasy ogromnych wachlarzowców. Drzewa te pochodziły jeszcze z czasów przed zmianą klimatu, która zniszczyła wszystkich mniejszych i trudniej przystosowujących się przedstawicieli miejscowej flory. Wysokie, o gładkich pniach i płaskiej koronie na szczycie, wachlarzowce były w miejscowych legendach przedstawiane jako filary podtrzymujące niebo. Lasy sprawiały jednak dosyć smutne wrażenie. Ponad głową miało się bowiem zieloną gęstwinę, a pod stopami pozostającą w wiecznym półmroku, zupełnie jałową ziemię. Tylko tu i ówdzie wznosiły się pnie przypominające gigantyczne słupy.

Teraz jednak widok z drugiego piętra budynku musiał budzić w obserwatorze zgoła

innego rodzaju refleksje. Dokąd tylko sięgał wzrok, pomiędzy pniami znajdowały się statki i sprzęt pomocniczy opleciony kilometrami kabli, a wokół nich uwijała się cała armia Yycromanów.

Po dwudziestu pięciu latach narzuconego pokoju ponownie sposobili się do wojny.

- To bezsensowne - mruknął Cavanagh, po raz kolejny wyglądając przez okno. - Czy wszyscy nie mamy wystarczająco dużo kłopotów ze Zdobywcami?

- Może właśnie dlatego postanowili zrobić to teraz - wyraził swe obawy Hill, który spacerował nerwowo po pokoju. Lord nie znał przyczyny takiego zachowania, lecz przypuszczał, że ochroniarza gnębi bezradność. To oczywiste, że gołymi rękami nie był w stanie zlokalizować urządzeń podsłuchowych, które mogły być tu zainstalowane. - Może sądzą, że Obrońcy Pokoju będą zbyt zajęci, aby starać się ich powstrzymać.

- A więc są durniami. Nie ma mowy, żeby Federacja ot tak sobie zlekceważyła próbę ludobójstwa.

Tkwiąca od pewnego czasu w przeciwnym końcu pomieszczenia Fibbit ożywiła się nagle.

- Co? - zapytała poruszona. - Jakiego ludobójstwa?

231

Cavanagh spojrział na nią z irytacją. Czyżby zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co dzieje się wokół?

Z wysiłkiem powstrzymał wzbierający w nim gniew. Nie, chyba nie. Choć Sanduulianie byli genialnymi artystami, w rozumieniu świata pozostawali na poziomie co najwyżej czterolatka.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją. W tych warunkach czuła się zapewne jeszcze bardziej bezsilna i zdezorientowana niż oni. - Wszystko będzie dobrze. Nie martw się, poradzimy sobie.

- Tak - powiedziała niepewnie. - Wierzę ci.

Lord westchnął. Świetnie, pomyślał. Tylko tego brakowało, aby jego barki, oprócz winy za wciągnięcie ich wszystkich w obecne kłopoty, obciążyla jeszcze pokładana w nim wiara. Dlaczego, u licha, nie polecili prosto na Avon, tylko właśnie tu?

- Może zajmiesz się tkaniem albo czymś innym - podsunął. - Nie ma sensu siedzieć i zamartwiać się. Sanduulka rozejrzała się bezradnie.

- Ale przecież nie mam ramek...

- Hill na pewno ci coś wynajdzie - stwierdził posyłając podwładnemu znaczące spojrzenie.

- Tak jest - mruknął służbiście ochroniarz, nie kryjąc jednak grymasu niezadowolenia. - Chodź, Fibbit, zobaczmy co uda nam się znaleźć.

Tkaczka wstała nieporadnie i wspólnie przeszli do innego pomieszczenia swej obecnej siedziby. Westchnąwszy ponownie, Cavanagh odwrócił się do okna.

- Jeśli będziemy musieli dłużej tu posiedzieć, to wszyscy zwariujemy. Lepiej zająć się znalezieniem jakiegoś wyjścia z sytuacji.

Kolchin uniósł palec w górę.

- Chwileczkę, proszę pana.

Były parlamentarzysta przyglądał się uważnie, jak ochroniarz metodycznie lustruje to co dzieje się na zewnątrz, jednocześnie bezgłośnie poruszając ustami.

Po minucie odwrócił głowę.

- No i? - zagadnął go lord.

- Nie jestem do końca pewien. Ale wygląda mi na to, że montują tylko zewnętrzne systemy broni na statkach. W więc-

kszości to nowe modele frachtowców, zapewne specjalnie zaprojektowane do tak szybkiej przeróbki.

- A więc niemożliwe, aby robili to od dłuższego czasu?

- Nie dłużej niż przez tydzień. Może nawet jeszcze krócej... Jednostki nadzoru odleciały przecież zaledwie kilka dni temu.

- A kiedy to nastąpiło, Hierarchia doszła do wniosku, że mają okazję powrócić do wojny w punkcie, w którym została przerwana - stwierdził Cavanagh.

- Sam nie wiem. Od dawna już nie prowadzili żadnych wojen, ale ze słów Klyveress wynikało, że teraz się na nią zdecydowali. Na miejsce przygotowań wybrali właśnie tę planetę, bo inne są bardziej zaludnione i leżą bliżej głównych szlaków handlowych, gdzie lata sporo statków innych ras. I to zapewne jest jedyne miejsce koncentracji.

- Jakie to ma znaczenie?

- Rzecz w tym, iż to nie wystarczy.

Cavanagh uświadomił sobie, że Kolchin mówi z pełnym przekonaniem.

- Jak to?

- Proszę uważnie popatrzeć. Mamy tu mnóstwo sprzętu, ale przecież widać stąd zaledwie trzydzieści, czterdzieści statków. Nawet jeśli całe Stepes są wypchane nimi tak jak tu, w grę wchodziłoby najwyżej tysiąc jednostek. A proszę pamiętać, że są to jedynie uzbrojone frachtowce, a nie prawdziwe okręty.

Cavanagh zacisnął usta, wspominając opinię Quinna na temat takich przeróbek.

- Może to tylko flotylla wsparcia - podsunął. - Główne siły uderzeniowe mogą składać się z jednostek takich jak ta, która nas zatrzymała.

- Nie, nie wydaje mi się. Po demilitaryzacji ich flota wojenna praktycznie przestała istnieć. Nie mieli możliwości ukrycia przed inspektorami więcej niż kilku tak dużych statków. Nie wydaje się również prawdopodobne, żeby w tajemnicy zbudowali nowe okręty. Przecież uniemożliwiały to strefy zakazane i ograniczenia w wymianie towarów.

Lord przytaknął. Jako członek Parlamentu widział dokładnie, jak funkcjonują te sankcje i jak skutecznie spełniają swoje zadanie.

- A więc jaki z tego wniosek? - zapytał. Ochroniarz wzruszył ramionami.

- Mamy tu, powiedzmy, tysiąc statków z prowizorycznie

zainstalowanym uzbrojeniem, których celem jest zdobycie lub zniszczenie dwóch dużych i tyluż małych planet. To nie takie proste i Yycromani zdają sobie z tego sprawę. W tej sytuacji zapewne pierwszy atak nie zakończy się powodzeniem, a przecież do kolejnych nie dopuszczają już Obrońcy Pokoju.

Właściciel CavTronics w zamyśleniu patrzył na statki i nagle aż ugięły się pod nim nogi.

- A może nie zamierzają polegać wyłącznie na działkach i raketach - rzekł cicho. Poczł na sobie badawcze spojrzenie Kolchina.

- Nie mówi pan chyba poważnie.

- Nie? Powiedz, że to niemożliwe. Szczególnie teraz, kiedy NorCoord zapewne ściąga już rozrzucone części, by zmontować je w śmiertelnoścą całość.

- Zupełnie nie przyszło mi to do głowy - mruknął ochroniarz. - Boże drogi. Jeśli Yycromani rzeczywiście go mają, to straszne.

Cavanagh z trudem wciągnął powietrze do płuc. CIRCE w rękach nieodpowiedzialnych, żadnych krwi Yycromanów...

- Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków - rzekł starając się uspokoić przede

wszystkim samego siebie. - Może opracowali jakiś rewelacyjny plan, do którego realizacji wystarczy im tysiąc jednostek.

Kolchin pokręcił głową.

- Szkoda, że nie ma z nami Quinna. W oddziałach komando-skich nie uczono nas wiele o okrętach i ich uzbrojeniu. - Odwrócił się plecami do okna. - Przyszło mi teraz do głowy, że nie mylił się pan i że Mrachowie rzeczywiście celowo pozwolili nam uciec. Stawiam dziesięć do jednego, iż wiedzieli o tym miejscu i chcieli, żebyśmy podnieśli alarm.

Cavanagh zupełnie zapomniał już o tamtej rozmowie.

- Rzeczywiście, to by pasowało. Ale zwróć uwagę na coś jeszcze. Ci Yyatoor powiedziała, że nasz statek ma specjalne urządzenia utrudniające wykrycie go.

- Tak. Zapewne chodzi tu o jego zlokalizowanie już po wyjściu z podprzestrzeni. My także stosujemy podobny system w przypadku statków obserwacyjnych. Ale przecież to opóźnia wykrycie co najwyżej o kilka minut.

- Lecz przez to Yycromani wzięli nas za szpiegów.

- Właściwie nie ma się czemu dziwić - uznał Kolchin. -

234

1

Wciąż jednak nie rozumiem, czemu Mrachowie tak usilnie zabiegali, żebyśmy się tu znaleźli. Dlaczego po prostu nie powiadomili bezpośrednio sił Obrońców Pokoju?

- Nie wiem. Może nie chcieli odpowiadać na niedyskretne pytania dotyczące źródła tych informacji. A może starali się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu:

pokrzyżować plany Yycromanom, a jednocześnie spowodować, że zaprzestaniemy poszukiwań mężczyzny z portretu i zapomnimy o mrachańskich legendach.

Ochroniarz pokręcił głową.

- To zaczyna być zbyt skomplikowane jak na możliwości intelektualne Mrachów. Lord parsknął.

- A mnie wydaje się, że oni wcale nie są tak naiwni, jak sądzimy. - Za plecami wyczuł ruch i gdy odwrócił się, zobaczył, że to powraca Hill. - Zająłeś czymś Fibbit?

- Mniej więcej - odpowiedział ten nieco zde gustowany. - Ramkę zrobiłem z plastikowego pudełka i ręcznika. Nie była zachwycona, ale powiedziałem, że powinno to być dla niej szczególnym wyzwaniem. Powiedziała, że spróbuje jeszcze raz odtworzyć dla pana twarz tego mężczyzny z Mig-Ka.

- Jak tam pokój? - zapytał Kolchin. Hill wzruszył ramionami.

- Nie widać śladów żadnych świeżych instalacji. Mogą mieć mikrofony kierunkowe, ale przy takim hałasie na zewnątrz nie na wiele się zdadzą.

- Co to w ogóle za obiekt? - zapytał Cavanagh. - Czyżby jakiś hotel?

- Na pewno. Zbudowany jakieś dwadzieścia lat temu przez szwajcarsko-yycromańskie konsorcjum.

- Dość dziwne miejsce na hotel - orzekł Kolchin.

- Bo i był przeznaczony dla dziwacznej klienteli. Stanowili ją znudzeni wspinacze skałkowi, którzy chcieli spróbować czegoś nowego.

Były komandos z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Chyba żartujesz.

- Ależ skąd - zaprotestował Hill. - Międzygwiazdny Klub Wspinaczkowy nadał tym drzewom jedną z najwyższych kategorii trudności i momentalnie zrobiło się tu tłoczno. Turyści zniknęli stąd dopiero jakieś sześć miesięcy temu, gdy yycromań-

235

skie władze doszły do wniosku, że dość już mają grzebania śmiałków, którym nie

dopisało szczęście, i zabroniły łożenia po drzewach. Cavanagh zmarszczył czoło.

- Sześć miesięcy temu? - powtórzył.

- Tak przynajmniej słyszałem. A jakie to ma znaczenie?

- Może żadne. Ale niemal dokładnie w tym samym czasie Izba Handlowa zaczęła ograniczać innym rasom dostęp do militarnych technologii Federacji.

- Uważa pan, że istnieje tu jakiś związek? - zapytał Kolchin. Lord zamyślony spoglądał w okno.

- Pewnie to tylko zbieg okoliczności. Przez długą chwilę panowała cisza.

Przerwał ją wreszcie były komandos:

- Chyba naszym następnym krokiem powinno być znalezienie jakiejś drogi ucieczki.

- Lepiej prześpijmy się z tymi problemami - przerwał rozmowę były

parlamentarysta trąc powieki. - Nie wiem jak wy, ale ja wprost lecę z nóg.

- To zrozumiałe. Proszę się więc położyć. Ty też, Hill.

- Aty?

- Obejmę straż - odparł Kolchin. - Spałem podczas podróży. Poza tym chciałbym jeszcze coś sprawdzić.

- Dobrze - zgodził się Cavanagh, zbyt zmęczony, by protestować. - Rób co chcesz, bylebyś tylko nie hałasował.

- Proszę się nie martwić. Może pan spać spokojnie.

J

Trzej rozmawiający z nim obcy nie pokazywali się przez całych siedem dni. Ale Pheylanowi nie przeszkadzało to specjalnie, ponieważ w tym czasie opracował nowy plan. Kiedy wreszcie przyszli, był gotów przystąpić do jego realizacji.

- Zaczynałem się zastanawiać, czy w ogóle zamierzacie wrócić - rzekł, kiedy wyprowadzili go na zewnątrz. - Wiecie, że byłoby dla mnie znacznie zdrowiej, gdybym mógł wychodzić przynajmniej co drugi dzień.

- Dobrze, ty wyszedłeś w ogóle - odpowiedział Thrr-gilag. - Ty próbować wziąć kamień.

Jeniec wzruszył ramionami. Właściwie był nieco zdziwiony, że tym razem główny mówca nie został pozbawiony swej funkcji, jak wcześniej miało to miejsce w przypadku SvV-selica. Czyżby oznaczało to, że Thrr-gilag stoi wyżej w miejscowej hierarchii? A może to dlatego, iż ostatni incydent nie wiązał się z tajemniczą piramidą, więc uznano go za mniej znaczący.

- Chciałem po prostu coś mieć - wyjaśnił beztrąsko.

- Może. Albo nie. Ale dobrze. Dzisiaj my pójdziemy na spacer. - Obcy wysunął język i wskazał na las - kierunek akurat przeciwny do miejsca usytuowania piramidy.

- Zgoda - mruknął Ziemianin, posłusznie kierując się we wskazaną stronę. I tak chciał przyjrzeć się tamtym drzewom.

- Ty powiedz co za broń Miedzianogłowi. Pheylan z rozmysłem odczekał chwilę, zanim odwrócił się do pytającego.

237

- Co?

- Miedzianogłowi - powtórzył Thrr-gilag. - Ty wyjaśnij nam. Więzień skrzywił się, ale nie można było zmienić tematu.

- Miedzianogłowi to ludzie tacy sami jak ja. Ale są specjalnie wyposażeni, żeby móc sterować pewnym typem myśliwców.

- Jak oni wyposażeni?

- Mają bezpośrednie podłączenie do mózgu - odpowiedział wolno. Z tego co wiedział, na pokładzie „Jutlandu” nie było żadnego z tych pilotów. Czyżby więc

znaleźli jakieś wzmianki o nich w komputerze Dyamiego? - To zapewnia im krótszy czas reakcji i lepszą kontrolę nad maszyną. Skąd to nagle zainteresowanie?

- Zhirrh zainteresowani we wszystkich rzeczach człowieka.

- A więc natknęliście się już na nich, prawda? - zapytał Pheylan. - Gdzie? Co się wówczas zdarzyło?

- Ja pytać - uciął Thrr-gilag. - Co jeszcze o Miedzianogłowych?

- Nic więcej o nich nie wiem - odparł Ziemianin, starając się za wszelką cenę panować nad emocjami. Być może wojna rozgorzała już na dobre, lecz w jego sytuacji zadreżanie się tym nie miało najmniejszego sensu.

- Gdzie Miedzianogłowi rozmieszczeni?

- Tego także nie wiem - stwierdził zerkając na krzaki przed sobą. Czy to coś pomiędzy liśćmi to kolce? - Dowództwo sił Obrońców Pokoju po waszym ataku na, Jutland" z całą pewnością na gwałt zmienia dyslokację ludzi i sprzętu.

Doszli już do zarośli, więc Pheylan miał okazję potwierdzić swoje wcześniejsze obserwacje. I[^]dy były pokryte cierniami. I to wyjątkowo dużymi.

- Interesująca roślina - powiedział podchodząc jeszcze bliżej. Kątem oka dostrzegł, że Nzz-oonaz ostrzegawczo uniósł nadajnik. - My także na niektórych planetach mamy kolczaste rośliny - dodał przykucając. - Czy u was rośnie także coś takiego?

- Kolce powszechna obrona roślin - odpowiedział Thrr-gilag.

Pheylan zbliżył lewą dłoń do ciemnych pędów. Uwagę skupił jednak na własnym ramieniu, a dokładnie na niewielkim dysku osadzonym w tkaninie kombinezonu między barkiem a łokciem. Zamierzał poszukać jakiegoś ostrego patyka, by spró-

238

J
bować go wydłubać, ale kolce mogły okazać się do tego równie dobre.

- Czy wasze ciernie bywają trujące? - zapytał starając się odwrócić uwagę nadzorców. - U nas można takie spotkać. Zazwyczaj mają haczykowane końce albo wydzielają jakieś substancje chemiczne...

- My mamy takie - odpowiedział obcy i Ziemianinowi wydało się, że w jego głosie zabrzmiało coś jakby niepokój. - My nie wiemy nic o tej roślinie.

- Będę uważał - zapewnił więzień. Tymczasem przyjął już odpowiednią pozycję: jeden z wystających cierni znalazł się zaledwie o milimetr od wybrzuszenia na kombinezonie. - Kiedyś, jeszcze jako dziecko często bawiłem się w takich... Auu! Szybki ruch ręką i poczuł, że kolec przebił materiał, lecz zaraz odłamał się od gałązki. Chwycił się za dłoń i zaklął pod nosem.

- Co? - zapytał wyraźnie zaniepokojony Thrr-gilag zbliżając się.

- Zaczepiłem się o niego - mruknął Pheylan wskazując dłoń, a jednocześnie zerkając na ramię. Udało się. Cierń przesunął dysk przynajmniej o milimetr. Może wystarczy, żeby dalej podważyć go już paznokciem.

- Gdzie ranny?

- O tu - odpowiedział odsłaniając dłoń. - Popatrz - dodał wskazując na białawy ślad, który ukradkiem zrobił paznokciem. - Wygląda na to, że nie przerwał skóry. Ale i tak boli.

Thrr-gilag rzucił coś w swoim języku i SvV-selic zbliżył się do nich.

- SvV-selic wziąć próbkę. Sprawdzi czy trucizna.

- Dziękuję - rzekł Ziemianin.

A więc rzeczywiście nie znali tej rośliny. Oznaczało to, że znajdują się w wysuniętej bazie na nie poznanej jeszcze dobrze planecie. Informacje ta mogła być bardzo przydatna.

- Ty czujesz chory? - zapytał zaniepokojony Thrr-gilag.
- Nie, nic mi nie jest - odparł Pheylan myśląc jednocześnie o ukłuciu w ramię i poniewczasie uświadamiając sobie, jak wiele ryzykował. Jeśli te kolce rzeczywiście wydzielają truciznę, był w niewesołej sytuacji. - To dziwne, że ten krzak ma kolce — ciągnął, starając się zmienić temat. - Zwykle stanowią one obronę przed roślinożercami. Ale nie widać, żeby żyły tutaj jakiegokolwiek zwierzęta.

239

- Tu dużo zwierząt - wyjaśnił główny mówca obcych. - One trzymane za zewnętrznym ogrodzeniem.

- Trzymane? - zapytał zjadliwie więzień. - A może ćwiczycie na nich atak i zabijanie? Wszystkie sześć żrenic nieco się zwęziło.

- Zhirrh nie atakować pierwi, Cavv'ana.

Ale Pheylan wyczuł w tych słowach brak przekonania.

- Oczywiście - rzekł nadając słowom sarkastyczny wydźwięk. - Zupełnie o tym zapomniałem. Starsi wam to powiedzieli. A oni oczywiście nigdy nie kłamią.

- Ty nie mów źle o Starszych - warknął SvV-selic. - My ostrzegaliśmy: ty nie mów źle.

- A może to Starsi mówią źle - odparował Ziemianin. - Albo sami zostali oszukani.

- Niemożliwe - upierał się SvV-selic. - Wszyscy Starsi obecni. Jeniec zmarszczył czoło.

- Wszyscy Starsi byli na miejscu podczas bitwy?

- Nie wszyscy starsi Zhirrh - wyjaśnił Thrr-gilag. - Starsi klanów Kee'rr, Too'rr i FhTrr.

- A więc ich okłamano. Nie zapominajcie, że wszystko działo się na moich oczach...

- Starsi nie okłamani - stwierdził stanowczo Sw-selic. - Starsi tam.

- Ale dowództwo floty...

- Starsi tam.

Pheylan westchnął ciężko, widząc że ta dyskusja do niczego nie prowadzi.

Widocznie jego rozmówcy byli tak lojalni wobec swoich klanów, że nawet nie usiłowali zadawać niewygodnych pytań dotyczących przebiegu bitwy, nawet jeśli oficjalna wersja nie pokrywała się z faktami. Zapewne właśnie dlatego powierzono im opiekę nad jeńcem.

Ale przecież da się skruszyć nawet litą skałę, jeśli uderza się w nią wystarczająco mocno i długo. A w przypadku Thrr-gilaga pierwsza rysa zaczynała już być widoczna.

- W porządku - skwitował kapitan „Kinshasy”. - Wiercie sobie, w co tylko chcecie. - Wskazał skraj lasu. - Możemy tam pójść?

240

Nie było łatwo wyrwać z kombinezonu naruszony dysk, szczególnie pod czujnym okiem nadzorców. Ale poradził sobie. Widocznie miał zadatki na iluzjonistę, a dodatkowo sprzyjał mu fakt, iż obcy, nie posiadając paznokci, nie wiedzieli co można zdziałać przy ich pomocy.

Ustawił prysznic na wodę gorętszą niż zwykle i poczekawszy aż ściany kabiny mocno zaparowały, przyjrzał się zdobyczy. Zewnętrzna powierzchnia dysku, jak już wcześniej zdążył zauważyć, była zbudowana z ciemnej, szklistej substancji. Spód był jaśniejszy, z niewielkim pierścieniem w środku, od którego odchodziła para drutów wnikaających w tkaninę kombinezonu.

Nie. Przyjrzał im się bliżej, umiejętnie markując namydlenie twarzy. To nie były druty, lecz coś zbudowanego z substancji przypominającej szkło. A więc światłowody, chyba że Zhirrzho-wie wymyślili jakiś nieznanym ludziom połowy lub tunelowy system przesyłania energii.

Oznaczało to, że nie mylił się, jeśli chodzi o paralizujące działanie kombinezonu. Szkliste czujniki umieszczone w różnych częściach stroju świadczyły o tym, że obcy wykorzystywali do ich uruchomienia sygnał w postaci skupionej wiązki promieniowania. Niemal na pewno podczerwonego lub ultrafioletowego, chociaż istniało pewne prawdopodobieństwo, że są to promienie Roentgena.

Właściwie nie miało to znaczenia.

Kontynuował analizę swoich szans w trakcie mycia włosów. Nie, chyba nie miał racji. Rodzaj używanego przez nich nośnika sygnału odgrywał tu dużą rolę. Gdyby zdołał unieszkodliwić wystarczającą liczbę czujników nie zwracając jednocześnie uwagi tamtych, dysponowałby doskonałą pozycją wyjściową. Jeśli w grę wchodziło promieniowanie świetlne, wystarczyłyby błoto lub liście. W przypadku promieniowania Rentgena nie pomogłoby nic z wyjątkiem folii ołowianej.

Dokładne oględziny dysku mogłyby pomóc określić, z czym ma do czynienia, lecz w tej chwili było to niewykonalne. Pozostawał już pod prysznicem tak długo jak zwykle, a zakłócenie normalnego porządku dnia wzbudziłoby podejrzenia. Ostrożnie wcisnął więc dysk w kostkę mydła na ścianie. Nie była to najlepsza kryjówka, lecz przynajmniej dawała nadzieję, że syg-

J

16 - Duma zdobywców

241

nał czujników obcych tam nie dotrze. Jeśli tym razem dopisze mu szczęście, nie nie znajda.

Zdobycz zagłębiła się w mydle. Starannie wygładził jego powierzchnię i wyłączył wodę. Strzepując krople z piersi i ramion wyszedł z kabiny.

Tym razem interwencja była natychmiastowa. Czterech obcych stało na zewnątrz celi z gotowymi do użycia szarymi rurkami, a kolejna, nie uzbrojona dwójka przy otwartych drzwiach. Z boku obserwując sytuację i co chwila wysuwając język, stał Thrr-gilag.

- Co się dzieje? - zapytał Pheyłan starając się sprawiać wrażenie rozluźnionego, choć ugięły się pod nim nogi.

- Ty odsuń się - polecił nadzorca.

A więc znowu to samo. Z ciężkim westchnieniem więzień odsunął się od wyjścia do kabiny prysznicowej. Jeden z nie uzbrojonych Zhirzzhów minął go i wszedł do niej. Bez wahania zagłębił niewielkie narzędzie w mydle, dokładnie tam, gdzie znajdował się dysk.

- Nie należy - rzekł Thrr-gilag. - Ty mówisz nie wiedziałeś? Ziemianin spojrzał mu prosto w oczy.

- Sam się oblużował. Pomyślałem, że mu się przyjrzę. Przecież tłumaczyłem wam już wcześniej, że my ludzie, jesteśmy wyjątkowo ciekawi.

Przez pełną napięcia chwilę słychać było tylko szum wymienników powietrza i skrobanie zagłębiającego się w mydło narzędzia.

- Zhirrzh myśleć źle - odezwał się wreszcie obcy. - Wy nie bezmyślni drapieżcy.

Wy myślicie i planujecie. Za dużo. Jutro ty nie iść na spacer.

- To nieuczciwe — zaproteutował jeniec, z goryczą w głosie.

- Ty mówisz nieuczciwe? - zapytał Zhirrzh, wyłaniając się właśnie z kabiny z dyskiem na otwartej dłoni. - Nieuczciwe dla zwierząt.

Gdzieś w głębi Pheylana coś pękło i nagle przestało mu zależeć na życiu.

- Chcecie zwierzęcia? - wykrzyknął. - No to będziecie je mieć.

Zrobił krok w kierunku tamtego, a dłonie odruchowo zacisnął w pięści. W uszach zabrzmiał mu krzyk Thrr-gilaga i obcy za plecami Pheylana uniósł swą broń, lecz jego nic już nie było w stanie powstrzymać...

242

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, cały świat eksplodował w oślepiającym błysku, tuż przed oczami komandora.

Zachwiał się i wyrzucił z siebie przekleństwo, jednocześnie zasłaniając twarz dłońmi. Usłyszał tylko jak Zhirrh, na którego chciał się rzucić, ucieka i głośno zatrząskuje za sobą drzwiami.

- Ty nie bezmyślny - stwierdził za jego plecami Thrr-gilag. -Ale wy drapieżcy.

Wy tworzycie wojnę.

Pheylan ostrożnie odjął dłonie od twarzy i otworzył oczy. Poza ustępującym kluciem gdzieś w głębi czaszki i ogromną jasną plamą utrudniającą patrzenie nic mu chyba nie było. Niewyraźnie widział jak grupa obcych kieruje się do wyjścia z sali.

- To nie my zawsze wszczynamy wojny - zawołał za nimi. — Ale zawsze je wygrywamy. Przekaż to swoim Starszym.

Thrr-gilag zatrzymał się gwałtownie, popatrzył na więźnia i wreszcie odpowiedział:

- Zrobię to.

Odwrócił się i wyszedł. Pheylan znów był sam, oczywiście poza kilkoma technikami kręcącymi się jak zwykle przy swej aparaturze.

Powoli, mrugając powiekami i czując ogromne zmęczenie, sięgnął po zwykły kombinezon i zaczął się ubierać. A więc pierwszy akt dobiegł końca. Ten mały pokaz naiwności, który sobie zaplanował, opłacił się. Prosta sztuczka pozwoliła mu zdobyć znacznie więcej użytecznych informacji, niż się tego spodziewał.

Między innymi zdał sobie sprawę, że czas już skończyć z uległością. Bez względu na to, na jaki sposób ucieczki się zdecyduje, jej powodzenie będzie zależało przede wszystkim od umiejętności użycia najprostszego środka - brutalnej siły. Położył się do łóżka przybrawszy dla pozorów cierpiący wyraz twarzy. Przymknął oczy, by szybciej zniknęły sprzed nich jasne kręgi, i zabrał się do codziennych ćwiczeń izometrycznych.

1

Cavanaghowi zdawało się, że dopiero co zaniknął powieki, a już wyrwało go ze snu delikatne szarpanie za ramię.

- Lordzie? - usłyszał nad uchem szept. - Tu Hill Proszę mówić cichutko.

- Dobrze - mruknął były parlamentarzysta, zmuszając się do otwarcia oczu. - Co się dzieje?

- Czas ruszać. Niech się pan ubiera.

Cavanagh spojrział w okno. Wpadające przez nie przytłumione światło słoneczne zastąpiła teraz znacznie jaśniejsza, sztuczna iluminacja. Widocznie Yycromani pracowali przy swych statkach przez całą dobę.

- Czekamy w łazience - rzekł Hill i zniknął.

Łazienka stanowiła dziwną mieszaninę ludzkiej i yycromańskiej mody. Znajdował się w niej porcelanowy zlew i klozet, a obok zupełnie obcy ludziom otwarty prysznic. Ściany i podłoga były wykonane z szarego kamienia, po którym pięła się żywa winiorośl. Na suficie wymalowano zaś niebo pełne kłębiastych chmur. Całość sprawiała wrażenie normalnej łazienki zbudowanej nie wiedząc czemu gdzieś w

lesie, co raczej nie było intencją jej projektanta.

Co więcej, jej twórca z pewnością nie przewidywał, że w jednej z łupkowych ścian ktoś wybije pokaźną dziurę.

- Lordzie - przywitał go Kolchin, od stóp do głów umazany pyłem i błotem. - Przepraszam, że kazałem pana obudzić.

- Nic nie szkodzi. Jak, u licha, udało ci się zrobić taki bałagan!

- Komandos sił Obrońców Pokoju da sobie radę w każdych
244

okolicznościach - odpowiedział ochroniarz wyraźnie zadowolony z siebie. - Co pan o tym sądzi?

Cavanagh zbliżył się do wyłomu i zajrzał w głąb. Z jednej strony znajdował się pionowy, prostokątny szyb, z drugiej zaś kilka rur. Ściany szybu były niewyobrażalnie brudne, a wolna przestrzeń niezwykle wąska.

- Nie ma tu zbyt dużo miejsca - stwierdził. - To ma być nasza droga ucieczki?

- Tak. Po rurach możemy zjechać do podziemi, a stamtąd bez problemu wyjść na zewnątrz.

Lord przyjrzał się będącemu w opłakanym stanie ubraniu Kolchina i zauważył, że komandos ciężko oddycha.

- Widzę, że już to sprawdziłeś.

- Tak. Proszę się nie martwić... droga na dół jest znacznie łatwiejsza od powrotnej. Cavanagh ponownie zajrzał do szybu.

- A co z Fibbit? - zapytał. - Nie sądzę, żeby się tu zmieściła. Obaj ochroniarze wymienili spojrzenia.

- Nie, nie zmieści się - przyznał Hill. - Dlatego zostanie ze mną. Były parlamentarzysta przecząco pokręcił głową.

- Nic z tego. Idziemy wszyscy albo nikt.

- Nie mamy wyboru - odezwał się Kolchin pełnym szacunku, lecz równocześnie zdecydowanym tonem. - Fibbit nie wyjdzie, a sama nie zdoła stworzyć pozorów, że wszyscy jesteśmy w apartamencie. Ale z udziałem Hilla nie będzie to już takie trudne. Najbliższe centrum administracyjne - Vind Kaye - nie powinno być dalej niż jakieś trzy tysiące kilometrów stąd. Jeśli uda nam się tam dostać i skontaktować się z konsulatem NorCo-ordu, będziemy mogli przesłać stosowną wiadomość pocztą dyplomatyczną. Ale na to potrzeba nam trochę czasu.

Cavanagh spojrzał pytająco na Hilla.

- Zgadzam się z Kołdunem, proszę pana - oświadczył ten. -I nie mamy czasu, by dłużej się nad tym zastanawiać.

Lord westchnął. Oczywiście, mieli rację. Ale to nie oznaczało, że podoba mu się takie rozwiązanie.

- Ycromani wściekną się, kiedy zauważą co zrobiliśmy -rzekł kręcąc głową. - W porządku, Kolchin. Ruszamy.

245

Zejście nie okazało się tak trudne, jak lord sądził. Kolchin dał mu solidnie wyglądający pasek materiału, dzięki któremu mógł podwiązać się do rury i w ten sposób oszczędzić trochę energii. Dodatkowe zabezpieczenie stanowił znajdujący się tuż przed nim ochroniarz, który go asekurował.

Niemniej droga pełna była nieprzyjemnych wrażeń. Wilgoć i odór pleśni aż wierciły w nosie, kleisty brud oblepiał ciało, a do tego co chwilę ocierało się o niego jakieś robactwo, uciekając w zacisze korzeni winorośli. Zejście zdawało się trwać wieczność i nim wreszcie poczuł podtrzymujące go ręce Kolchina, dawno już doszedł do wniosku, że minęli podziemia i znaleźli się we wnętrzu planety.

- Tędy - szepnął ochroniarz, gdy Cavanagh odwiązał się od rury. - Wejście służbowe, z dwoma samochodami powietrznymi zaparkowanymi na rogiem. Pokonamy niewysoką, ozdobną ściankę, przeczołgamy się kawałek i będziemy na miejscu. Po doświadczeniach zjazdu w dół, czołganie się w pyle było niemal przyjemnością. Po minucie dotarli do krańca ścianki, a za nią Cavanagh ujrzał kilka pojazdów naziemnych zaparkowanych przed frontowym wejściem do hotelu.

- Gdzie te samochody powietrzne? - zapytał.

- Cholera, zniknęły. Widać należały do kurierów. Lord wychylił się jeszcze bardziej. Przed nim, aż po horyzont, w ostrym świetle jupiterów trwały przygotowania do wojny.

- Pieszko daleko nie zajdziemy - stwierdził.

- Wiem. — Kolchin wypuścił powietrze przez zęby. - Zmiana planów. Wracamy. Ruszył jako pierwszy i wkrótce znów byli w podziemiach.

- W porządku - mruknął ochroniarz. - Rozejrzałem się nieco, zanim Hill pana obudził i wygląda mi się, że biura Yycroma-nów zlokalizowano bezpośrednio nad naszymi pomieszczeniami. Wślizgnę się tam i spróbuję zdobyć informacje o ruchach kurierów. Jeśli uda się pożyczyc którąś z ich maszyn, gdy pilot będzie w środku, bez problemu się stąd wydostaniemy.

Cavanagh popatrzył na płataninę rur.

- Sądzisz, że dostaniesz się tam niepostrzeżenie?

- Jeśli nie, jestem pewien, że Yycromani wyślą kogoś, żeby pana o tym powiadomić - rzucił beztrząs Kolchin obejmując dłonią i stopami jedną z rur. - Proszę tu czekać. Zaraz wracam.

246

J

Pośród rur nie było nic, na czym Cavanagh mógłby w miarę wygodnie usiąść, lecz kilka metrów dalej znalazł stojak, na którym dało się przycupnąć. Zdążył już pięciokrotnie zmienić pozycję i właśnie zamierzał zrobić to kolejny raz, gdy dotarły do niego odgłosy obwieszczające powrót Kolchina.

- Proszę - wysapał ochroniarz wciskając tabliczkę w rękę lorda. - W tym cała nasza nadzieja... Zdążyłem tylko zabrać to i już musiałem pryskać.

Były parlamentarzysta otworzył tabliczkę i włączył ją. Na ekranie pojawiło się koronkowe pismo yycromańskie. Układ znaków sugerował, że to jakiś wykaz. Zaczął przerzucać strony w poszukiwaniu czegoś mającego związek z kurierami i rozkładem ich lotów.

Nagle coś zwróciło jego uwagę. Wydał polecenie wyświetlenia tego, w duchu klęcząc na nieco inny system obsługi tabliczek Yycromanów...

- Wygląda na to, że mają dwa oddzielne zestawy plików - stwierdził Kolchin nad drugiej tabliczki. - Mamy kopie obu... O proszę: rozkład lotów kurierskich. Ale ich dużo... Widocznie wyraźnie preferują ten właśnie rodzaj łączności.

Zobaczmy...

Zawartość wywołanego pliku pojawiła się na tabliczce lorda... Mapy, zestawy rozkazów, daty i godziny... wszystko.

- Kolchin.

- Widzę, że najbliższy regularny kurier przybędzie tu za jakieś dwadzieścia minut - rzekł ochroniarz. - Wyruszymy wcześniej i ukryjemy się za ścianką...

- Kolchin - powtórzył Cavanagh.

- Tak?

- Znalazłem ich plany wojenne.

W bladej poświacie ekranu dostrzegł, że Kolchin momentalnie spowaźniał.

- Proszę pokazać.

Lord bez słowa wręczył mu tabliczkę. Ochroniarz przez kilka minut w skupieniu przeglądał dane. Właściciel CavTronics czekał, aż Kolchin wreszcie podniósł głowę.

- Jak dużo zdążył pan przejrzeć?

- Tylko fragment dotyczący Mra-ap. Ale według mnie nie ma to żadnego sensu.

- Nie tylko według pana. Planują atak na wszystkie mrachońskie porty gwiazdne i doki, ale zupełnie pomijają inne środki

247

transportu i przemysł. Podobnie jak łączność. Chcą zniszczyć lądowiska łącznikowców, ale zapominają na przykład o stacjach przekaźnikowych i satelitach. Lorda przeszedł dreszcz.

- Może zakładają, że nie ocaleje ani jeden Mrach, który mógłby z nich skorzystać. Przez długą chwilę obaj milczeli.

- Tak - odezwał się wreszcie Kolchin. - CIRCE. Nie chciałem w to wierzyć.

- Może się mylę. Miejmy nadzieję, że tak. Ale albo mają w zanadru coś niewiarygodnie skutecznego, albo też układają plany nie mając najmniejszego pojęcia o elementarnych zasadach sztuki wojennej.

Komandos zamknął tabliczkę.

- Lepiej ruszajmy. Musimy już być gotowi, kiedy przyleci kurier.

- Masz rację - zgodził się Cavanagh, także wyłączając tabliczkę. Ponownie otoczyły ich ciemności, lecz teraz wydawały się groźniejsze. - Prowadź.

- Proszę trzymać się tuż za mną.

Kolchin ruszył w stronę wyjścia. Lord odwrócił się i właśnie zamierzał podążyć za nim, gdy poczuł coś chłodnego na karku. Pomyślał, że to znów jakiś robak i sięgnął, by go strzepać...

[Nie ruszaj się] polecił yycromański głos.

Cavanagh zamarł, czując już wyraźnie zimny metal przyciśnięty do szyi.

- Kolchin?

Brak odpowiedzi.

[Nie ruszaj się] powtórzył drugi Yycroman. [Nie masz szans uciecz...]

Nagle jego słowa przerwał błysk światła. Lord zdążył zauważyć przed sobą dwie splecione w walce postacie. Silne ręce chwyciły go za ramię. Kolejny błysk i nowe głosy Yycromanów, a po chwili głuchy odgłos padającego ciała...

I cisza.

Zebrał się w sobie i szepnął w ciemności:

- Kolchin?

Wyraźnie ulżyło mu, gdy usłyszał natychmiastową odpowiedź:

- Tutaj. Przykro mi.

248

- W porządku - zapewnił Cavanagh, czując, że nie jest w stanie opanować drżenia mięśni. Próba ucieczki nie powiodła się, ale dobrze chociaż, że Kolchin uniknął śmierci.

Rozległ się trzask włącznika i w pomieszczeniu zapłonęło łagodne światło. Trzy metry przed sobą eks-parlamentaryzista ujrzał Kolchina otoczonego przez grupę uzbrojonych Yycromanów, spośród których dwaj wbijali mu lufy swojej broni w bok i pod brodę. Łącznie było ich sześciu — wyłącznie samce.

Cavanagh westchnął ciężko. Podjęli próbę, lecz cóż, nie udało się.

- Wracamy do pokoi? - zapytał.

[Wojownik Kolchin zostanie tam odprowadzony] - odpowiedział stojący na uboczu

Yycroman. [Ciebie zabierzemy do Kly-veress ci Yyatoor.]

- Samego? [Tak.]

Lord popatrzył na ochroniarza. Ten napiął mięśnie i zacisnął szczęki...

- Idź z nimi, Kolchin - rzucił pospiesznie właściciel CavTro-nics. - Nic mi nie będzie. Komandos zerknął na strażników.

- Proszę pana...

- Idź z nimi - powtórzył stanowczym tonem lord. - Fibbit jest tam już zapewne bliska obłądu. Hill będzie potrzebował pomocy, żeby ją uspokoić.

Kolchin nieco się rozluźnił.

- Tak jest - szepnął.

Cavanagh przeniósł wzrok na Yycromana, z którym wcześniej rozmawiał.

- Jestem gotów. Proszę prowadzić.

Biorąc pod uwagę późną porę lord spodziewał się, że zobaczy ci Yyatoor odzianą w nocny strój i dochodzącą do siebie po gwałtownym wyrwaniu ze snu. Był więc zdziwiony widząc ją w pełnym rynsztunku, włącznie z tradycyjnym hełmem i płaszczem.

[Lordzie Cavanagh] przywitała go poważnie, gdy wszedł do pokoju i zasiadł w fotelu naprzeciw niej. [Chcę z tobą porozmawiać.]

249

- Słucham - odpowiedział, starając się nie zauważać przebywających w pokoju kilku wartowników.

Klyveress lekko rozchyliła paszczę, odsłaniając krokodyle zęby.

[Straż, czekać na zewnątrz] poleciła.

Samce w milczeniu wyszły, starannie zamykając za sobą drzwi. Cavanagh nie spuszczał wzroku z Yycromanki, zastanawiając się, co teraz nastąpi. Na pewno wiedziała już, że on i Kolchin zapoznali się z ich planami wojennymi... a i bez pomocy samców z łatwością była w stanie zabić nie uzbrojonego człowieka. Szybko, cicho i bez żadnych świadków.

To strasznie cikliwe. Ale wątpił, żeby zwróciła na to uwagę.

[Powiedziano mi, że w podziemiach rozmawiałeś z wojownikiem Kolchinem o naszych planach ataku] przemówiła.

Przez ułamek sekundy lord rozważał możliwość zaprzeczenia. Ale wobec dowodów w postaci skradzionych tabliczek nie miałyby to żadnego sensu.

- Wymieniliśmy parę uwag na ten temat - przyznał. [Wiem także, że mówiliście o broni nazywanej CIRCE.] Cavanagha ogarnęła fala gorąca, jakby palący oddech zbliżającej się śmierci. Oczywiście... o to właśnie chodziło. Yycroma-ni wiedzieli już, że są podejrzewani o zamiar posłużenia się tą bronią i w żadnym wypadku nie zamierzali pozwolić, by do Federacji dotarł choćby najmniejszy sygnał potwierdzający te obawy.

- Naprawdę? Nie przypominam sobie.

Długą chwilę Klyveress siedziała bez ruchu, przewiercając go wzrokiem. Wytrzymał to spojrzenie, słuchając krwi pulsującej w uszach i żalując, że nie potrafi czytać z wyrazu twarzy Yyc-romanów. A może i lepiej, że tego nie umiał.

Jakkolwiek się to stanie - nagły skok w wyszczerzonymi zębami, ciche skradanie się albo jeszcze jakoś inaczej - może lepiej nie wiedzieć, kiedy nastąpi atak.

Nagle Yycromanka poderwała się z siedzenia. Cavanagh napiął mięśnie, przygotowując się do zrobienia uniku.

[Posłuchaj mnie. Nie będziemy stać beczynnym pozwalając, żebyście wymordowali nas tak jak zrobiliście to z Pawolesami. Jeśli użyjecie CIRCE, będziemy walczyć do ostatniego wojownika. I ty właśnie przekazesz tę wiadomość hierarchii

NorCoor-du.]

250

Usiadła i odwróciła głowę w bok.

[Wasi ludzie się zbliżają] oświadczyła sięgając po tabliczkę leżącą na stoliku obok. [Możecie odlecieć z nimi.]

Cavanagh zmarszczył brwi. Serce wciąż waliło mu w piersiach, a kropla potu spływała po czole. Wyraźnie coś tu nie pasowało. Chyba że chcieli załatwić go, kiedy będzie wychodził... ale przecież taka zwłoka nie miała żadnego racjonalnego uzasadnienia.

- Wybacz - rzekł ostrożnie. - Sądzę, że czegoś tu nie rozumiem.

Klyveress spojrzała na niego uważnie.

[Moje słowa nie były wystarczająco jasne? Jeśli hierarchia NorCoordu użyje CIRCE przeciw Ycromanom, będzie ich to drogo kosztowało. Musisz spowodować, żeby dowiedzieli się o tym.]

Lord pokręcił głową.

- Przykro mi, ale wciąż nie rozumiem. NorCoord wcale nie zamierza użyć CIRCE przeciw Ycromanom. Jeśli już go wykorzystamy, to wyłącznie przeciwko Zdobywcom. Klyveress popatrzyła na niego podejrzliwie.

[Jednak rozmawiałeś o CIRCE z wojownikiem Kolchinem.]

- Rzeczywiście - przyznał. Wiedział, że to może być podstęp, by skłonić go do zdradzenia co wie, lub podejrzewa, o ich intencjach dotyczących użycia broni. Ale instynkt podpowiadał mu inną możliwość... a Ycromanka sprawiała wrażenie raczej pełnej obaw, niż butnej i triumfującej. - Ale nie mówiliśmy o posłużeniu się nim przez NorCoord. Braliśmy pod uwagę możliwość, że to Ycromani mogli... stworzyć... własne CIRCE.

Źrenice Klyveress rozszerzyły się, co u Ycromanów oznaczało kompletne zaskoczenie.

[Nigdy nawet nie próbowaliśmy tego zrobić. Co sprawiło, że w ogóle przyszła ci do głowy taka myśl?]

- Obserwowaliśmy wasze przygotowania do wojny. Widzieliśmy także plany. I nie wydaje nam się, żebyście dysponowali wystarczającymi siłami do zniszczenia Mrachów. A przynajmniej uważamy to za nierealne bez broni podobnej do CIRCE.

[I ty naprawdę tak oceniasz Ycromanów?] zapytała miękko. [Ty, lord Stewart Cavanagh? Myślałeś, że będziemy chcieli unicestwić całą rasę?]

251

- Przecież sami twierdzicie, że to wasi wrogowie - zauważył były parlamentarzysta, czując nagle, że traci grunt pod nogami. Wyraz jej oczu... i rodzące się przekonanie, iż to ona ma rację. Oskarżyli ją i jej pobratymców o planowanie rzezi. To była obraza, a na dodatek wyciągnęli takie wnioski nie dysponując żadnymi bezpośrednimi dowodami, ani nawet racjonalnym wytłumaczeniem.

- Doświadczenie mówi mi, że przeciwnicy życzą sobie nawzajem wszystkiego najgorszego - dodał bez przekonania.

[Co za duma. Jakże ludzie są przekonani o własnej wyższości. Czy naprawdę wierzycie, że wasza wiedza i doświadczenie pozwalają zrozumieć cały wszechświat? Że to, w co wierzycie, musi sprawdzać się wobec wszystkich innych istot?]

- Obawiam się, że część ludzi rzeczywiście tak sądzi. Ale we własnej opinii nie zaliczam się do tej grupy. Powiedz mi więc, gdzie tkwi błąd, który sprawia, że twoim zdaniem nie jestem obiektywny.

[Myślisz tak jak wy wszyscy] oświadczyła Klyveress odkładając tabliczkę.

[Widzisz siłę militarną Ycromanów i wydaje ci się, że Mrachowie są zupełnie

bezbронni. Dlatego sądzisz, iż to my dążymy do wojny i pragniemy całkowicie zniszczyć przeciwników.]

- A nie jest tak?

[Nie. I nie było, nawet wówczas, gdy ludzie po raz pierwszy przybyli na Kammis. Zarówno wtedy, tak jak i teraz, naszym celem jest wyłącznie obrona przed Mrachami.]

Obrona przed Mrachami?

- Nie rozumiem.

[Mrachowie zamierzają nas podbić] wyjaśniła. [Zresztą i was również. Jednak w dążeniu do tego celu posługują się słowem i intrygą, a nie zwykłą bronią. Dlatego nie widzicie, kiedy atakują. Ale ich działania są faktem. I niosą za sobą ogromne niebezpieczeństwo.]

Cavanagh poskrobał się po policzku. Na pozór brzmiało to wszystko absurdalnie... a przecież zaledwie kilka godzin temu sam zastanawiał się, dlaczego u licha w ogóle uległ sugestiom Mrachów i przyleciał na Phormbi.

- Mów dalej - zachęcił rozmówczynię. [Co jeszcze chcesz wiedzieć? Mrachowie niszczyli naszą kulturę przez osiem lat, zanim w ogóle to sobie uświadomiliśmy. 252

Chcieliśmy temu przeciwdziałać, ale nie byliśmy w stanie. Po kolejnych czterech latach doszliśmy do wniosku, że możemy ich powstrzymać, zamykając dostęp do naszych światów. Właśnie przygotowywaliśmy się do tego, gdy przybyli ludzie i ich ingerencja uniemożliwiła nam to.]

- Dlaczego wówczas nie powiedzieliście nam o tym? Ani też później, już podczas demilitaryzacji?

[Na początku sądziliśmy, że działacie na rozkaz Mrachów. Kiedy zaś zdaliśmy sobie sprawę z pomyłki, obawialiśmy się, że mimo wszystko znajdujecie się pod zbyt dużym wpływem ich propagandy, żeby w ogóle nas wysłuchać i rozważyć argumenty. Ty sam, lordzie, czy nie założyłeś bezkrytycznie, że chodzi nam o biologiczne zniszczenie Mrachów? To dzięki ich zabiegom właśnie tak nas postrzegacie.]

Cavanagh skrzywił się z niesmakiem.

- Tak, masz rację.

[Na szczęście wasz sposób rozwiązania konfliktu bardzo nam odpowiadał] ciągnęła Klyveress. [Strefa zakazana miała chronić Mrachów i NorCoord przed naszą agresją, lecz przecież jednocześnie zamykała Mrachom dostęp do nas. Myśląc, że chronicie ich przed nami, faktycznie to nam zapewniliście bezpieczeństwo.]

- Rozumiem - rzekł lord. Chyba nikt w siłach Obrońców Pokoju nie zdawał sobie sprawy, że taką funkcję pełnić będzie strefa zakazana. - Ale to musiało wyprowadzić Mrachów z równowagi. Dziwi mnie, że nie próbowali zmienić ustanowionego przez nas porządku.

[I ryzykować wzbudzenie podejrzeń, że to właśnie oni stanowią zagrożenie? Nawet ich umiejętność perswazji ma swoje granice. Są w stanie przekonać, że niebieski to zielony, ale przecież nie zrobią czarnego z bieli. W każdym razie teraz mają przed sobą znacznie szersze pole działania. Poprzez Federację uzyskali kontakt z wieloma innymi rasami, które będą próbowali wykorzystać do własnych celów.]

Cavanagh przypomniał sobie lata spędzone w Parlamencie. Mrachowie wielokrotnie wysuwali wówczas rozmaite prośby i żądania. Szereg z nich rozpatrzono pozytywnie, lecz część, w tym najważniejsze, odrzucono.

- Chyba jak dotąd nie udało im się wykorzystać ludzi. Przynajmniej nie w pełni.

253

[Nasza Hierarchia podziela twoją opinię. Ale nie myśl, że jest to komplement dla waszego sprytu i mądrości. Nieskuteczność działań Mrachów wynika przede wszystkim z wielości waszych kultur, z których każda znacząco różni się od pozostałych. Taki kulturowy galimatias utrudnia im zadanie. Ale są cierpliwymi politykami. Jeśli dacie im wystarczająco dużo czasu, postawią na swoim.]

- Gdzie indziej jednak odnoszą większe sukcesy - stwierdził ponuro Cavanagh. - Świadczy o tym fakt, że udało im się nakłonić do współpracy Bhurtalów, o czym przekonałem się osobiście w Mig-Ka.

[Włożyli wiele wysiłku w opanowanie umiejętności kierowania impulsywnymi Bhurtalami, którzy, będąc wrogami ludzi, są dla nich bardzo wartościowym sprzymierzeńcem. Wciąż nie mogą zapomnieć, co zrobiliście Pawolesom, i starają się szerzyć antyludzkie nastroje na Meert-ha i na Djararze.]

- Z pewnością dysponują wystarczającą ilością materiału, który mogą analizować. Ludzkość nie zawsze stanowiła najbardziej oświeconą i najrozsądniejszą spośród ras.

[Zbyt często występowaliście w roli tyranów] stwierdziła odważnie Klyveress. [A hierarchia NorCoordu realizowała własne interesy kosztem słabszych. Gdyby nie stała obecność obrońców pokoju wasza duma i arogancja już dawno skłoniłyby inne rasy do wspólnych zbrojnych wystąpień.]

- Tak - mruknął lord.

Spojrząc na siebie tak, jak widzą nas inni... chyba nie byłby to budujący wizerunek. Zdawał sobie sprawę, że przywódcza rola NorCoordu nie wzbudza zachwyty, lecz nie sądził, iż uczucie to jest aż tak powszechne i głębokie.

Przez głowę przebiegła mu nagle niepokojąca myśl. Przecież gdyby nie spotkali Fibbit, nigdy nie znaleźliby się na Phormbi.

- A co z Sanduulką? - zapytał. - Czy ona też znajduje się pod wpływem Mrachów?

[Sanduulka?] powtórzyła Yycromanka. [Dlaczego Mrachowie mieliby się nią zainteresować?]

- Może służyła im jako wabik - zasugerował Cavanagh. - Pomyślałem, że bez Fibbit znacznie trudniej byłoby im skierować nas na Phormbi.

[Nie jest narzędziem w rękach Mrachów] zapewniła Klyve-ress. [A przynajmniej nie w tym znaczeniu, o którym myślisz.]

254

Dokładnie przyjrzałam się jej sprawie i jestem tego pewna. Mrachowie zwabili kilkunastu tkaczy z tej rasy na swoje planety. Sanduule posiadają wrodzoną umiejętność odtwarzania na swych tkaninach określonych uczuć czy też emocji.

Mrachowie mają nadzieję, że gdy poznają ją lepiej, trafi do ich arsenału jako kolejna cenna broń.

- Hm - mruknął właściciel CavTronics. Jeśli tak - jeśli Fibbit rzeczywiście nie była narzędziem Mrachów - to mężczyzna z portretu stanowi widać klucz do czegoś ważnego. - Ci Yyato-or, jak obszerna jest twoja baza danych dotycząca Federacji Międzygwiazdnej?

[Bardzo obszerna. A dlaczego pytasz?]

- Fibbit miała odtworzyć portret człowieka, którego tu mieliśmy poszukiwać.

Jeśli już skończyła, chciałbym, żebyście ze-skanowali go, wprowadzili do waszego systemu i spróbowali ustalić, kim jest.

[Mając tu przybyć z pewnością okażą się bardziej pomocni] oświadczyła

Yycromanka. [Nie wolisz poczekać z tym na nich?]

Cavanagh zmarszczył brwi.

- O czym mówisz?

[O ludzkim statku, który wkrótce wejdzie na orbitę. Prom wysłany z niego będzie tu za godzinę. Z pewnością oczekiwaliście ich przybycia.]

- Ależ skąd - zaprzeczył lord, czując narastający niepokój. „Cavatina” miała przecież lecieć prosto na Dorcas, a nie szukać go tutaj.

A więc to nie mógł być jego jacht. Kapitan Teva nie miał przecież pojęcia, że lord może przebywać na Phormbi.

- Co to za jednostka? - zapytał ostrożnie. - Cywilna? Dyplomatyczna?

[To okręt sił Obrońców Pokoju. A dowodzi nim człowiek o nazwisku Lee.]

Taurin Lee. Ten, który był wraz z Bronskim w hotelu. Ale wtedy to Bronski kierował całą grupą w Mra-mig.

A przynajmniej on tak twierdził.

- Czy pan Lee podał swój tytuł i rangę?

[Powiedział tylko, że jest przedstawicielem parlamentarzysty NorCoordu Jacy'ego VanDivera.]

Lord poczuł ucisk w dołku. VanDiver. Powinien się domyślić.

255

- Powiedział, po co tu przylatuje?

[Żeby zabrać ciebie i pozostałych ludzi z obszaru kontrolowanego przez nas] odpowiedziała Klyveress nie spuszczać z niego oczu. [Nie rozumiem, lordzie.

Czy on nie jest twoim przyjacielem?]

- Oczywiście, że nie. Pracuje dla jednego z tych ludzi, którzy za wszelką cenę pragną zniszczyć swoich wrogów. I tych wszystkich, którzy staną im na drodze.]

[Czy masz na myśli także Yycromanów?]

Cavanagh zastanowił się nad właściwą odpowiedzią. Tak, w głębi duszy VanDiver zapewne nie darzył Yycromanów sympatią. Prawdę powiedziałwszy żadnej innej rasy też nie.

- Czy Lee zamierza przybyć tu, na stępy? [Tak. Nalegał, żeby nie pozwolić ci ruszyć się stąd ani z nikim komunikować aż do jego przybycia.]

- Więc musicie usunąć stąd waszą flotę, zanim przyleci.

[To niemożliwe. Okręt jest już zbyt blisko, i tak wykryłby ruch tylu jednostek.]

Lekko przekrzywiła głowę. [Czyżbyś chciał nam pomóc w obronie przed Mrachami?]

- W tej chwili nie zamierzam pomagać żadnej ze stron - odparł lord. - Zarysowałam przede mną możliwości nowego spojrzenia na wydarzenia ostatnich dwudziestu pięciu lat i doceniam to. Ale potrzebuję czasu, żeby to gruntownie przemyśleć. Teraz zależy mi głównie, jak zapewne wszystkim, na niedopuszczeniu do wewnętrznych tarć w łonie Federacji, kiedy mamy na karku wspólnego wroga - Zdobywców. To oznacza, że nie wolno wam zaatakować Mrachów, a Obrońcom Pokoju stosować jakichkolwiek sankcji za nieprzestrzeganie warunków.

[Ale nie możemy pozwolić na dalsze przenikanie mrachań-skiej trucizny]

zaprotestowała Yycromanka.

- Sytuacja zmusza nas do przerwania wewnętrznych sporów. Niezbędne jest skoncentrowanie wszystkich sił do walki ze Zdobywcami.

Westchnął ciężko. Nie powinien angażować się w tego typu działalność. Sześć lat temu na dobre zerwał z polityką, a wojsko opuścił trzydzieści lat wcześniej. To było zadanie dla innych, młodszych. Ale znalazł się na tej planecie i musiał zrobić wszystko, co tylko było w jego mocy.

- Muszę porozmawiać z Kolchinem i Hillem - oświadczył. -

256

Przedyskutować problem i wyciągnąć odpowiednie wnioski. I chcę wreszcie dowiedzieć się, kim jest ten człowiek z portretu Fibbit.

[Wydam odpowiednie polecenia] rzekła, patrząc na niego z wyraźną nadzieją. [Co powiesz Taurinowi Lee, kiedy zobaczy nasze uzbrojone statki?]

- Nie wiem - przyznał szczerze. - Ale mamy całą godzinę. Na pewno coś wymyślimy.
17-

- Clipper, do Maestro - rozległo się w słuchawkach Arica. -Wszyscy gotowi.

- Przyjąłem - potwierdził Quinn. - W porządku, Max, przejdź do skanowania.

- Tak jest, dowódco - odparł komputer. - Rozpoczynam se-ktorowanie.

Arie głęboko wciągnął powietrze do płuc i wypuścił je na przezroczystą przyłbicę osłaniającą twarz. Wzrokiem śledził krzywiznę planety rysującą się wyraźnie na tle gwiazd i opasłego cielska paliwowca. Najgorszy był pierwszy system, do którego dotarli. Trudne do zniesienia oczekiwanie w ciasnocie kabiny myśliwca i niepewność, czy i kiedy Quinn odpali główne silniki i ruszy do walki z mogącym zabić się gdzieś wrogiem. Podczas wizyty w drugim systemie było tylko nieco lepiej. Wciąż jednak miał nadzieję, że się przystosuje.

Ale jakoś mu się to nie udawało. Teraz, przy trzecim podejściu, denerwował się tak samo jak na początku. Siedział w myśliwcu Miedzianogłowych, mając przed sobą Quinna i czując się zupełnie nie na miejscu. Podobnie odbierał wizyty u ojca w biurze, kiedy nie mógł się już doczekać końca jego ostatniej rozmowy telefonicznej i ostatniego spotkania. Teraz puste gniazdo przyłącza mózgowego i rząd lampek kontrolnych przypominały mu, że gdyby coś się zaczęło dziać, byłby tylko bezczynnym obserwatorem i dodatkowym obciążeniem.

Najbardziej przytłaczająca była jednak myśl, że to już połowa

258

drogi - trzeci system spośród pięciu, które zgodzili się sprawdzić towarzyszący im piloci. Jeszcze trzy niepowodzenia i będą musieli wrócić na obszar Federacji, gdzie zapewne czekały już na nich akty oskarżenia przygotowane przez dowództwo sił Obrońców Pokoju. Wtedy Pheyln zostanie sam. Bez żadnych szans.

- Dowódco - Max przerwał Aricowi jego ponure rozmyślenia. — Znalazłem obszar o zwiększonej obecności metali. Oto lokalizacja i dokładne dane.

Arie poczuł na czole krople potu. Czyżby to było to, czego szukali?

- Gdzie to jest? - zapytał.

- Jakies ćwierć drogi do wschodniego horyzontu - odpowiedział Quinn. - Zbyt duże na statek. Może jakaś baza albo fragment miasta. Kontynuuj skanowanie, Max... zwróć szczególną uwagę na pojazdy. Co o tym sądzisz, Clipper?

- Chyba warto się temu przyjrzeć.

- W porządku. Ja lecę w środku. Osłaniajcie mnie.

- Tak jest. Ruszamy, panowie. Paladin, Shrike, prawa flanką. Harlequin, kryjesz z góry.

Rozległ się trzask zwalnianych uchwytów i paliwowiec zniknął z pola widzenia, gdy counterpunch odłączył się i pomknął w dół.

- Co mam robić? - zapytał Arie, starając się opanować drżenie głosu.

- Po prostu siedzieć i cieszyć się lotem - odparł szef ochrony dziwnie bezbarwnym głosem. Na tablicy zabłyśła zielona kontrolka, co oznaczało, że Quinn uruchomił połączenie mózgowie. Teraz on i myśliwiec stanowili jeden organizm.

Arie zaś był zupełnie bezużyteczny. Poprawił się w fotelu czując, że całe ciało oblewa mu pot.

Minuty wlokły się powoli. Skrzydło złożone z pięciu jednostek bez przeszkód weszło w atmosferę.

- Coś widzę - obwieścił Paladin. - Wygląda mi to na miasto. A raczej to, co z

niego zostało.

- Zniszczenia bitewne? - zapytał Harlequine.

- Albo po prostu rozpad spowodowany upływem czasu -wtrącił Dazzler. - Stąd nie da się stwierdzić jednoznacznie. Ale to na pewno tylko ruiny.

- Przyjrzyjmy się z bliska - rzekł Quinn. - Rozluźnić szyk.

259

Upłynęło kolejnych kilka minut. Counterpunch przebił warstwę chmur i znalazł się nad zalesionymi wzgórzami. W oddali, z lewej, Arie widział odbicie słońca w wodzie - rzece lub jeziorze. Z prawej na horyzoncie piętrzyły się coraz wyższe wzgórza. Przed nimi zaś wzniesienia ustępowały miejsca płaskiemu terenowi, a zamiast drzew pojawiały się rozległe łąki. Dalej skrzył się kolejny zbiornik wodny.

- Maestro, jesteśmy nad miastem - doniósł Dazzler. - Mnóstwo gruzu i złomu, częściowo pokrytych już roślinnością. Wygląda na dość stare.

- Co z terenem wokół?

- Żadnych wyraźnych dziur ani wypalonych kraterów. Jeśli doszło tu do bitwy, to bardzo dawno temu. Chwileczkę. Przez moment panowała cisza.

- Interesujące - stwierdził wreszcie Dazzler. — Co o tym sądzisz, Maestro?

- Rzeczywiście ciekawe - przyznał Quinn. - Warto by się temu przyjrzeć z bliska.

Bookmaker, co u ciebie?

- Wszędzie czysto. Jeśli ktoś tu jest, to chyba nas nie zauważył.

- Max?

- Zgadzam się, dowódco. Kontynuuję skanowanie, ale jak dotąd nie znalazłem nic więcej.

- W tym mieście musiało dojść do jakichś walk - mruknął Arie.

- Niekoniecznie - odpowiedział Quinn. - Miasto to nic więcej, jak tylko baza.

Pozostałość zakończonego niepowodzeniem wstępnego etapu kolonizacji. Clipper, uformujcie zasłonę. Schodzimy razem z El Dorado.

- Co chcesz obejrzeć? - zapytał młody Cavanagh, widząc że gwałtownie obniżają lot.

- Chodzi mi o dość dziwnie wyglądającą piramidę. Wysoka na jakieś trzy metry, biała, z mnóstwem plamek na powierzchni. Będzie ją widać z lewej. O tam.

Arie popatrzył we wskazaną stronę. Rzeczywiście: piramidalny, lśniący białą kształt, zdający się zupełnie nie na miejscu pośród ciemnych metalowych elementów, rozsypujących się kamiennych budowli i bujnej roślinności. Plamy, o których wspomniał Quinn, były nieregularnie rozsiane od mniej więcej jednej trzeciej wysokości piramidy wzwyż. Arie uważnie przyjrzał się konstrukcji i przeniósł wzrok dalej...

260

- Czy tamto to ogrodzenie? - zapytał.

- Gdzie?

- O tam... ta ciemna linia. - Popatrzył ponad hełmem Mae-stra. - O, teraz prosto przed nami...

- Tak, to rzeczywiście jakieś ogrodzenie - przyznał Quinn wykonując ciasny skręt, który spowodował, że Aricowi żołądek podszedł do gardła. - Gęsta siatka, lecz nie metalowa. Z tej odległości nie mam wyraźnego odczytu.

- Wygląda jakby miała stanowić zabezpieczenie przed nieproszonymi gośćmi.

Sądzisz, że mogą tam być jeszcze inne systemy obronne?

- Bardzo prawdopodobne. Niczego nie odbieram, ale nasze czujniki nie są przystosowane do tego rodzaju sygnałów. Proszę decydować... Opuuszczamy sobie?

Arie skrzywił się.

- Nie. To pierwszy ślad, na jaki natrafiliśmy. Nie możemy sobie pozwolić, żeby dokładniej wszystkiego nie sprawdzić. Schodzimy.

- W porządku - rzucił Quinn. - Clipper, lądujemy. Uważajcie na nas.

Counterpunch zawrócił ku piramidzie, a jego nos podniósł się gwałtownie, gdy Quinn wyhamował i przeszedł do procedury pionowego lądowania.

- To nie potrwa długo - zapewnił dowódca skrzydła, gdy kabina została otwarta. - Proszę zostać i mieć oczy szeroko otwarte.

- Nie - zaprotestował Arie odpinając pasy. - To ty tu zostaniesz. Ja idę.

Quinn odwrócił głowę, a na jego twarzy wyraźnie widać było zaskoczenie.

- Panie Cavanagh...

- Tutaj jestem El Dorado - przypomniał stanowczo Arie, wstając pospiesznie w obawie, że sam zmieni zdanie. - I nie ma o czym mówić.

- To może być niebezpieczne...

- Oczywiście, że może. A jeśli wynikną jakieś kłopoty, ten na zewnątrz będzie potrzebował wsparcia. Iy umiesz tym latać. Wypada więc na mnie.

Zeskoczył na ziemię, zanim Quinn zdecydował się na dalsze protesty. Stał na niej nieco niepewnie, przyzwyczajony już do

261

przebywania w nieważkości. Ostrożnie, starając się patrzeć we wszystkie strony jednocześnie, ruszył w stronę piramidy.

Grunt był miękki i nierówny, usiany mnóstwem poskręcanych kawałków metalu i gruzem. Wokół panowała cisza i bezruch. Nie zadziałały żadne systemy obronne.

Wreszcie, po kilkudziesięciu pełnych napięcia sekundach, dotarł do piramidy.

Miała, zgodnie z oceną Quinna, około trzech metrów wysokości, a jej powierzchnia była idealnie biała i lśniąca. Ale jeśli chodzi o widziane z góry plamki...

- To nie są żadne plamy - rzucił do mikrofonu, przyglądając się uważnie jednej z nich. - To otwory. Elipsoidalne, szerokie na jakieś cztery centymetry, wysokie na dwa i głębokie na trzy.

- Dziwny rodzaj erozji - stwierdził Harlequin.

- Prędeży ślady po trafieniach - odezwał się Clipper.

- Ani jedno, ani drugie - rzekł Arie. - Po pierwsze są zbyt gładkie i regularne.

Po drugie zaś każdy ma osłonę.

- Osłonę? - powtórzył Delphi. - Jaką osłonę?

- Siatkę. Bardzo gęstą. Wykonaną z jakiegoś lśniącego materiału, ale nie wydaje mi się, żeby to był metal. Raczej włókno szklane.

- Zgadza się, czujniki wskazują, że to nie metal - potwierdził Quinn. - Nie ma go ani trochę w całej piramidzie.

- Ostatni meldunek pochodzący z „Jutlandu” wskazuje, że Zdobywcy nie używają w swoich konstrukcjach wiele metalu - zauważył Shrike.

- Racja - rzekł Clipper. - Chociaż to żaden dowód, że to należało lub należy właśnie do nich. El Dorado, czy widać coś przez tę siatkę?

- Tak, zupełnie dobrze - odpowiedział młody Cavanagh obchodząc piramidę i zaglądając do wielu otworów. - W środku nic nie ma... Czekać chwilę, mam tu coś... Skrawek zaszuszonego mięsa.

- Co? - wykrzyknął Paladin.

- Tak to przynajmniej wygląda - powiedział Cavanagh. - Jak kawałek wysuszonej cienkiej kiełbaski. Ciemnobrązowy, grubości mojego małego palca. - Jeszcze raz obszedł konstrukcję. - Jest ich tu jeszcze kilka. Wszystkie wyglądają podobnie, chociaż różnią się barwą. Czekać, znalazłem jeden zdecydowanie większy od

pozostałych. Jakieś trzy, cztery razy grubszy.

Nastąpiła długa cisza. Arie nachylił się nad ostatnim znalezi-

262

skiem, starając się dokładnie go obejrzeć. Zupełnie jak kawałek kiełbasy.

Ciemnobrązowy, z czerwonymi przebarwieniami. Nieco pomarszczony, wyglądający na suchy i stary. Wiatr na moment przybrał na sile i w tym momencie przedmiot poruszył się delikatnie. Podmuchał żelazo...

I nagle Arie zamarł. Dotychczasową ciszę zakłócił jakiś dźwięk. Cichy i odległy, ledwie słyszalny. Ale z pewnością nie było to złudzenie.

Przeciągłe, jakby żalosne zawodzenie.

- W jaki sposób są zamknięte te otwory? - zapytał Delphi. Zastłuchany Arie drgnął na dźwięk ludzkiego głosu.

- Słucham?

- Zapytałem o sposób zamknięcia otworów.

- Hmm... - Arie dotknął jednego z nich palcem odzianym w rękawicę. Zauważył, że materiał, z którego zrobiono piramidę, jest wyjątkowo gładki i śliski. -

Wyglądają na solidnie zabezpieczone. U góry mają zawias, a na dole jakiś zamek.

Mam spróbować otworzyć któryś z nich?

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - zaproponował Quinn. - To może uruchomić jakiś system obronny. Max, co tam u ciebie?

- Nic godnego uwagi - odpowiedział komputer. - Ale proszę pamiętać, że czujniki paliwowca nie są przystosowane do identyfikowania materiałów, które preferują Zdobywcy.

- Tu, na dole, jesteśmy w podobnej sytuacji - rzekł dowódca skrzydła. - Ale zwracaj szczególną uwagę na czujniki podczerwieni i ruchu. Wracaj, El Dorado, i wynosimy się stąd.

- Dobra - mruknął Arie, ruszając w stronę counterpuncha. - Jeszcze tylko jedna sprawa. Jakąś minutę temu, kiedy wy milczeliście, słyszałem cichy krzyk.

- Jaki krzyk? - zapytał Clipper.

- Sam nie wiem. Ale wyrażał raczej ból niż wściekłość. Zdążył dojść do drabinki prowadzącej do kabiny, nim ktoś się wreszcie odezwał.

- El Dorado, jesteś pewien, że ci się nie zdawało? - zapytał Quinn.

- Nie, nie jestem - przyznał Arie zajmując swoje miejsce. - Ale wtedy byłem przekonany, że rzeczywiście go słyszę.

- Żaden z nas nic nie słyszał - rzekł Clipper. - Ale do nas dociera tylko to, co odbierają mikrofony.

263

- Kiedy wrócimy, Max może przeanalizować wszystkie nagrania - odezwał się Crackjack. - Może on coś znajdzie.

- Mam nadzieję - mruknął Arie zapinając pasy. Krzyk agonii, a może cały ich chór... przecież w co najmniej kilku otworach kryły się te niby kiełbaski.

Kryły się... chyba że je tam zamknięto. Czyżby ta piramida była więzieniem?

Parsknął pod nosem. Więzienie dla kawałków kiełbasy. Z pewnością istniało jakieś inne, bardziej logiczne wytłumaczenie.

Jedyny problem stanowił fakt, że nie potrafił wpaść na lepszy pomysł.

Counterpunch poderwał się w powietrze.

- Jak to wyjaśnić? - zapytał Quinn, gdy już zawrócili.

- Obawiałem się, że mnie o to zapytasz. Nie wiem. Nic mądrego nie przychodzi mi do głowy.

- Możesz być pewien, że nie tylko tobie - oświadczył szef ochrony Cavanaghów. -

Sam nie jestem w stanie wymyślić niczego sensownego, poczynając do powodu umieszczenia piramidy w takim miejscu.

- Może to rodzaj przestrogi - rzekł Arie, gdy przyszło mu na myśl skojarzenie ze starym zwyczajem barbarzyńców, którzy w widocznych miejscach rozmieszczali obcięte głowy pokonanych jako formę ostrzeżenia dla wrogów.

- Znasz kogoś, kto wojuje z kielbaskami? - wtrącił się Book-maker.

- Poza tym po co odgradzać coś takiego ogrodzeniem? -dodał Crackjack. - Przecież żeby je zobaczyć, trzeba z bliska zajrzeć do środka.

- Racja - przyznał Arie z westchnieniem. - Wiec co dalej?

- Jakies sto kilometrów na wschód jest duża rzeka - odezwał się Quinn. - Właśnie tam zaczniemy poszukiwania.

- Dowódcu, tu Max. Zauważyłem smugi napędowe zbliżających się jednostek. Wstępna analiza wskazuje, że to dwa statki Zdobywców.

Arie poczuł, że serce zakołatało mu w piersiach.

- Jesteś pewien?

- Smugi są takie same jak okrętów, które zaatakowały „Jutland”.

- Ciekawe, że pojawiają się tu akurat tuż po nas - orzekł Clipper. - Wolałbym uniknąć bezpośredniej konfrontacji, Maestro. Max, kiedy tu będą?

264

i

- Za jakies dwie godziny wyjdą z podprzestrzeni.

- Masz ich wektor?

- Zakładając, że moje dane wyjściowe są prawidłowe, wektor jest wyraźny.

Przesyłam go.

Przez chwilę panowała cisza. Arie przełknął ślinę, zerkając w górę, na wysoko wiszące chmury. Nie było powodu do paniki. Mieli całe dwie godziny, żeby odlecieć stąd, zanim pojawią się Zdobywcy.

Albo tylko dwie godziny, żeby znaleźć Pheylana. Jeżeli właśnie tu go przetrzymują.

- Max, jesteś pewien tego wektora? - zapytał Delphi.

- Najzupełniej - odparł komputer. - Zakładając oczywiście prawidłowość danych wyjściowych.

- Coś nie tak? - zapytał Arie.

- Ten wektor prowadzi donikąd, właśnie to - rzucił Delphi. -Najbliższy system leżący na ich trasie znajduje się sto pięćdziesiąt lat świetlnych stąd.

Młody Cavanagh zmarszczył brwi.

- To chyba trochę za daleko.

- A w zasięgu dziewięćdziesięciu lat świetlnych nie ma nic, nawet przyjmując tolerancję trzech stopni - dodał Crackjack.

- Może przybywają z jakiejś stacji w głębokim kosmosie, między dwoma systemami - podsunął z wahaniem Arie.

- To także nie ma większego sensu - orzekł Harlequin.

- Może dla nas - przypomniał Dazzler. - Ale tamci to przecież zupełnie obca rasa.

- Skończmy z tymi spekulacjami - uciął Clipper. - Maestro, co zamierzasz?

- Mamy dwie godziny. Pierwszą wykorzystamy na dalsze poszukiwania. Jak najszerze, w bardzo luźnym szyku, żeby zbadać jak największy obszar. Harlequin, zastąpię cię w wysokim kryciu.

- Delphi wykreśli wasze kursy - dodał Clipper. - Do roboty, panowie.

Ostatnia czerwona lampka na tablicy pomocniczej zmieniła barwę na zieloną.

- To ostatnie tankowanie - poinformował Arie. — Jak sobie radzisz?

265

- Wszystko gotowe - rzucił Quinn pochylony nad wskaźnikami paliwowca. - Ruszymy, gdy Max zdobędzie potrzebne wiadomości.

- Dobrze - rzekł młody Cavanagh.

Odwrócił się ku tablicy kontrolnej myśliwców, czując ogarniającą go pustkę.

Dotarli do paliwowca mając w zapasie co najmniej dwadzieścia minut. Mnóstwo czasu, by uniknąć wątpliwej przyjemności spotkania się ze Zdobywcami.

Quinn miał jednak inną koncepcję. Uznał, że jedyną wskazówką, z jak daleka przyleciały tamte statki, może być analiza stopnia nagrzania ich kadłubów.

Paliwowiec był wyposażony w stosowne czujniki, które pozyskają dane, a Max miał odpowiedni program do ich odbioru i przetworzenia.

A więc zdecydowali się czekać, bezbronni niczym kaczki w bajorku. Mieli nadzieję, że obcy wyjdą z podprzestrzeni na tyle blisko, żeby móc uzyskać wyraźny odczyt, a jednocześnie na tyle daleko, że nie zdołają natychmiast namierzyć i zniszczyć ich statku.

- Może powinniśmy nieco zmodyfikować orbitę - zaproponował Arie, spływając za plecy Quinna. - Oddalenie się jeszcze trochę od planety umożliwi nam szybsze wejście w podprzestrzeń.

- Jesteśmy na wystarczająco dobrej pozycji - uspokoił go dowódca skrzydła. -

Ostatnia zmiana spowodowała, że będziemy w apogeum akurat gdy się pojawią.

Spokojnie. Wszystko wskazuje na to, iż nie wykryją naszej obecności, dopóki stąd nie znikniemy. Max, jakieś zmiany ich wektora?

- Nie, dowódco. Lecą jak po sznurku.

- Uważaj, czy nie zmieni się tuż przed wyjściem - ostrzegł Quinn.

- Tak jest. Zobaczymy ich za minutę. Arie utkwiał wzrok w ekranie, na którym rysowała się krzywizna planety.

- Co zrobimy, jeśli wyjdą z drugiej strony?

- Zobaczymy - odparł Quinn. W dłoni trzymał wtyk przyłącza mózgowego. Z ledwie dającym się zauważyć wahaniem wetknął go do gniazda. - Jeśli będzie wyglądało na to, że wejdą w nasz zasięg w ciągu kilku minut, zapewne zaczekamy. Przygotować się, wychodzą.

Arie wstrzymał oddech i odruchowo napiął mięśnie. Sekundy wlokły się w nieskończoność...

266

- Zmiana wektora! - rzucił Quinn. - Lecą prosto na nas...

I nagle pojawili się na ekranie. Dwa mlecznobiałe statki, takie same jak te, które widział na nagraniu z pamiętnej bitwy. Nieco poniżej, na orbicie równoległej do ich własnej.

W odległości zaledwie dwóch kilometrów.

- Quinn! - wykrzyknął. Siedziały im niemal na ogonie...

Pilot nie zareagował. Arie przeniósł na niego wzrok, a ręka odruchowo powędrowała, by wskazać zagrożenie.

Zamarł zaskoczony tym, co zobaczył. Quinn siedział nieruchomo, czoło przecinały mu głębokie zmarszczki świadczące o ogromnej koncentracji, a oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń.

Na tablicy obok przyłącza jarzyły się dwie zielone kontrolki.

Arie spojrział ponownie z niedowierzaniem i lękiem spojrział na ekran. Statki Zdobywców zaczęły odwracać się ku paliwowcowi, a jednocześnie wokół nich pojawiły się corviny. Uwijały się niczym wściekłe osy broniące swego gniazda.

Śmiertelnie ciche, śmiertelnie poważne, śmiertelnie precyzyjne. Cztery myśliwce i paliwowiec działały teraz jako jeden zespół.

Miedzianogłowi.

Kątem oka Arie dostrzegł błysk poniżej ekranu...

I nagle, tak gwałtownie, że aż drgnął, zniknęli z niego obcy i planeta.

- Quinn! Co... Weszliśmy w podprzestrzeń? Przez kilka sekund nie było żadnej odpowiedzi. Wreszcie wzrok dowódcy powoli się zogniskował.

- Tak - odpowiedział nieswpm głosem. - Uzyskaliśmy potrzebny odczyt i odlecieliśmy. Żadnych strat.

- A co z corvinami? - zapytał Arie, czując że brakuje mu oddechu.

- Powinny być przy nas - odparł Quinn. Dwie lampki zgasły. Wyciągnął rękę i wyjął wtyk przyłącza. - Weszliśmy w dwuminutowy równoległy skok.

- Rozumiem - mruknął młody Cavanagh. Wiedział, że czasami próbowano równoległych skoków, lecz zawsze z mizernym rezultatem. Problemy ze zgraniem czasu i kursu.

Ale przecież inni piloci nie mogli się nawet mierzyć z Miedzianogło-wymi.

- Czy ktoś wystrzelił bombę zakłóceniovą?

- Nie. Nie było na to czasu. Dlatego zdecydowaliśmy się tylko na dwie minuty.

267

Arie spojrział na ekran, pełniący teraz rolę głównej tablicy kontrolnej statku.

- A jeśli będą nas śledzić?

Quinn wzruszył ramionami, wyjmując wtyk na drugim końcu przewodu z gniazda za prawym uchem. - Wówczas będziemy walczyć. Ale proszę się nie martwić. Nie mają dużych szans, żeby nas odszukać. Dwie minuty to minimum, żeby wróg zdołał namierzyć smugę napędową i zdążył ruszyć w pogoń. Skoro w tym czasie zdążymy już wyjść z podprzestrzeni, nie ma realnej możliwości spotkania.

- Zakładasz, że nie są w stanie śledzić naszych smug podczas korzystania z napędu gwiazdowego? - spytał Arie. - I nie poczekają, aż my wyjdziemy z podprzestrzeni?

Quinn pokręcił głową.

- Bardzo wątpliwe, żeby było inaczej. Ich napędy zdają się działać podobnie jak nasze. A więc zapewne także systemy namierzania są podobne.

- Jednak pojawili się zaledwie dwa kilometry od nas.

- Zgadza się - przyznał Miedzianogłowy po dłuższym milczeniu. Jeszcze przez chwilę siedział bez ruchu, a następnie ponownie uruchomił swoje przyłącze mózgowie. - Max, gdy tylko wyjdziemy, chcę mieć natychmiast skanowanie taktyczne - rzucił.

- Tak jest.

Zapaliła się jedna z zielonych kontrolki.

- Przygotuj się, El Dorado. Wychodzimy. Znow zaczęło się odliczanie i wreszcie na ekranie zajaśniały gwiazdy. Wstrzymując oddech, Arie czekał.

- Nie widzę ich - wyszeptał wreszcie. - Gdzie są corviny?

- Tani - odpowiedział Quinn z wyraźną ulgą. - Tam i tam. Wystąpiła tylko drobna niezgodność kursu. Już tu lecą. Żadnych zniszczeń.

- Świetnie - szepnął Arie ocierając czoło dłonią. Czuł się jak po mrozących krew w żyłach przeżyciach na kolejce górskiej w wesołym miasteczku. W przeciwieństwie do Melindy i Phey-lana nie cierpiał ich już od dzieciństwa.

Niestety, nie mógł jeszcze głęboko odetchnąć po dzisiejszych mocnych wrażeniach.

- Co zrobimy, jeśli jednak znowu spotkamy Zdobywców?

- Nie ma się czym martwić. Mamy już wyznaczone kolejne miejsce zbiórki. Max, jak idzie analiza?

- Skończyłem, dowódco - obwieścił komputer. - Obawiam się jednak, że wynik nie przyniesie żadnych rewelacji.
 - Właściwie nie liczę na to. Dawaj co masz. Na jednym z bocznych monitorów pojawił się wielobarwny obraz dwóch statków Zdobywców.
 - To bezpośredni odczyt - wyjaśnił Max. - Widać, że poza początkowym stadium dysypacji na skrajach odczyt w podczerwieni jest w miarę jednolity. Świadczy to o wyjątkowo dobrym chłodzeniu napędów lub bardzo wydajnym pochłanianiu ciepła.
 - Nadprzewodnictwo? - zapytał Arie.
 - To tylko jedna z możliwości - odparł komputer. - Niestety, brak danych o strukturze kadłuba uniemożliwia dokładne wyliczenie przebytej drogi. Ale to i tak znacznie więcej, niż uzyskał „Jutland”.
 - Do rzeczy, Max - przerwał mu Quinn. Obraz okrętów został zastąpiony przez mapę gwiazdową z zaznaczonym na czerwono wektorem.
 - Oceniani, że statki przebyły od dwudziestu pięciu do siedemdziesięciu lat świetlnych. Quinn parsknął głośno.
 - Dwadzieścia pięć do siedemdziesięciu? - powtórzył. - Szkoda, że nie od zera do nieskończoności.
 - Przykro mi, dowódco - oświadczył komputer, co dziwniejsze tonem pełnym skruchy. - Bez precyzyjnych danych nie jestem w stanie zrobić nic więcej.
 - Wiem - rzekł pilot z westchnieniem. - Przepraszam.
- Arie przyjrzał się uważnie mapie. Delphi miał rację: wektor nie przecinał żadnego systemu na przestrzeni ponad stu lat świetlnych.
- Ich bazą musi więc być stacja kosmiczna - orzekł. - To jedyne logiczne wytłumaczenie.
 - Wiem - przyznał Quinn. - Rzecz jednak w tym... - urwał bezradnie wskazując mapę.
- Młody Cavanagh pokiwał głową. W jaki sposób przeszukać czterdzieści pięć lat świetlnych kosmosu?
- To niemożliwe, prawda? - zapytał wreszcie cicho.
 - Prawda. Nie mamy nawet najmniejszych szans. Nic byśmy nie zdziałali, dysponując nawet całą flotą. Arie utkwiał spojrzenie w czerwonej linii.
 - Co więc robimy?

Quinn popatrzył mu w oczy.

- Wracamy do domu, proszę pana. Nic więcej nie jesteśmy w stanie zdziałać. W kabinie zapanowała grobowa cisza. Grób Pheylana.
 - Nie. Nie wolno nam się poddać. Możemy zbadać jeszcze dwa systemy... tamci obiecali, że pomogą w ich penetracji. Quinn zrezygnowany wskazał mapę.
 - Dobrze. A więc które pan wybiera?
- Arie pokręcił głową. Tyle gwiazd. Jak tu zdecydować?
- To koniec, panie Cavanagh - rzekł cicho Quinn. - Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Ale okazało się, że to za mało. Czas wracać do domu.
 - Tak ci się spieszy, żeby stanąć przed sądem?
 - Nie. I nie spieszy mi się do udziału w przygotowaniach wojennych. Ale przecież nie mamy wyboru. Arie skrzywił się.
 - Przepraszam - mruknął. Przez minutę panowało milczenie.
 - Musimy zwolnić Miedzianogłowych - rzekł wreszcie Quinn. - Tak ustaliliśmy. Jeśli chce pan samotnie kontynuować poszukiwania... zgoda. Starczy nam zapasów jeszcze na jakiś miesiąc.

- Gdzie polecimy? Ochroniarz wzruszył ramionami.

- Gdziekolwiek pan każe.

Arie odwrócił się, wściekły i zrezygnowany. Ale przecież Quinn miał rację. Nie mieli nawet najmniejszej wskazówki, gdzie podjąć dalsze poszukiwania.

- Nie. Nic więcej nie zdołaliśmy - orzekł i westchnął ciężko. - Kiedy wracamy?

- Corwiny dołączą do nas za jakieś cztery godziny, jeśli będą lecieć z ekonomiczną szybkością. Zatankujemy je i przygotowujemy, a później możemy zawracać. Na Dorcas albo prosto na Edo.

Młody Cavanagh przytaknął. Nie było sensu zwlekać, jeśli zapadła już decyzja o powrocie. Ale jednak...

- Chyba powinniśmy przedtem odpocząć - rzucił przez ramię. - Nie wiemy także na pewno, czy Zdobywcy stracili już z nami kontakt. Mogą lecieć za nami i trafić do Federacji.

270

- Przecież możemy wystrzelić bombę zakłóceńową.

- Mimo wszystko jednak proponuję odpoczynek. Wszyscy na niego zasłużyliśmy. Arie poczuł na sobie niedowierzające spojrzenie Quinna.

- Zgoda - rzekł ten. - De czasu pan na to przeznacza? Innymi słowy: jak długo będzie trwało przyzwyczajanie się do myśli, że już nigdy nie zobaczy brata...

- Powiedzmy dziesięć godzin. Sześciogodzinny sen pozwoli zregenerować siły.

- Zgoda.

Arie westchnął ciężko. A więc tylko dziesięć godzin oczekiwania na cud.

Albo na znalezienie odwagi, aby zrobić to, co tak starał się odwlec. Na zawsze pożegnać się z Pheylanem.

- Skończone - rzekła Melinda zdejmując rozporki podtrzymujące otwartą klatkę piersiową obcego i odkładając je na tacę. - Jak sobie radzisz, Hobson?

- Wszystko w porządku, proszę pani - odpowiedział asystent nie podnosząc głowy znad stołu. Niemniej pomimo maski widać było, że jest blady jak ściana. -

Kończymy?

- Prawie. Żeby zabrać się do czaszki, muszę zdobyć lepszy sprzęt. Przyjrzymy się jeszcze tylko językowi i robimy przerwę.

- Słyszałem o ich językach. To przy ich pomocy załatwili Bremmera i Ranjithana?

- Tak - przyznała sięgając po narzędzia. - Otwórz mu usta. Tylko ostrożnie.

Wsunęła pincetę pod język, wyciągnęła go i zabezpieczyła klamrami.

- Interesujące - mruknęła dotykając brzegu.

- Co to jest? - zapytał asystent. - Jakby zęby rekina.

- Wygląda na tkankę kostną - odpowiedziała Melinda stukając próbnikiem w jeden z brudnobiałych trójkątów. - Osadzone bezpośrednio w mięśniach języka. Niezwykle ostre.

- Ale jak to się dzieje, że sami się nie poranią?

- Zapewne zwykle nie wysuwają ich aż tak bardzo - odpowiedziała sięgając po skalpel i robiąc niewielkie nacięcie między dwiema kostkami. - Mięśnie musiały stężeć w ciągu tych czterdziestu godzin. Oo!

272

- Co?

- Naczynia krwionośne - odpowiedziała dziewczyna rozszerzając nacięcie. - I to dość grube, na samym krańcu. Kątem oka dostrzegła, że Hobson obejrzał się.

- Idzie major Takara - powiedział.

Melinda wyprostowała się i odwróciła głowę. Takara zbliżał się do nich, ostrożnie lawirując wśród pak i skrzyń zgromadzonych pod nawisem skalnym.

- Majorze - skinęła mu na przywitanie, gdy wszedł pod plastikową kopułę prowizorycznego prosektorium. - Coś nowego od biochemików?

- Tak. Oboje możecie być spokojni. Okazuje się, że kod genetyczny Zdobywców zupełnie nie przypomina naszego. A więc żadne ich bakterie i wirusy nie są dla nas groźne. I nie powinny zakłócić równowagi ekosystemu Dorcas.

- I zapewne vice versa

- Zgadza się. Niestety nie ma szans, by spełnił się scenariusz z „Wojny światów”. Jak sobie radzisz, Hobson?

- Jakoś się trzymam, proszę pana. Chociaż nie ma to nic wspólnego z moją specjalnością.

- Możesz to uznać za realizację obietnic o niezwykłych przygodach w służbie Obrońców Pokoju. - Takara wskazał spoczywające na stole zwłoki obcego. - Przygląda się pani jego językowi?

- Tak. I chyba wiem, w jaki sposób przy jego pomocy zabito dwóch ludzi. - Dotknęła próbnikiem jednego z występów. - Te kości wyrastają z elastycznej tkanki znajdującej się tuż pod powierzchnią języka. Normalnie tkanka jest miękka i jakby gąbczasta, co sprawia, że kości tkwią w niej swobodnie i nie ranią wnętrza jamy gębowej. Gdy zaś owa tkanka twardnieje napelniana krwią, kości wysuwają się i przybierają postać ostrzy. Ich wewnętrzne części zachodzą za siebie wzajemnie się wspierając, co dodatkowo zwiększa siłę uderzenia. Muszę jeszcze przeprowadzić kilka badań, żeby w pełni potwierdzić swoje przypuszczenia.

- Proszę to robić ostrożnie - ostrzegł Takara. - Wstępne wyniki autopsji Bremmera pozwalają przypuszczać, że do jego organizmu mogła zostać wprowadzona jakaś trucizna. Kończy już pani?

- Raczej tak - odparła Melinda spoglądając ponad ramieniem

18 - Duma zdobywców
273

Takary na gasnące światła dnia. - Czy jestem potrzebna gdzie indziej?

- Komandor prosi panią do swojego biura. Rozmowa może trochę potrwać.

- Chodźmy więc - rzekła zdejmując rękawice oraz maskę i rzucając je na tacę. -

Hobson, poradzisz sobie sam z zabraniem ciała do przechowalni?

- Oczywiście, proszę pani.

- Później posprzątaj tu i zamelduj się u porucznika Gasperie-go, w trójce -

dodał major. - Możemy już iść, pani doktor?

W „biurze” Hollowaya - fotel i biurko komputerowe postawiono po prostu w rogu sekcji taktyczno-zaopatrzeniowej pod skalnym nawisem - panował duży ruch. Sam komandor stał przed mapą zawieszoną na granitowej ścianie i rozmawiał z grupą podwładnych. Inni żołnierze kręcili się między stanowiskami, przenosząc raporty i rozkazy. W głębi stało wspartych o nierówną ścianę lub po prostu siedziało na gołej ziemi sześciu mężczyzn w panterkach.

Studiujący mapę rozstąpili się.

- Doktor Cavanagh - przywitał ją Holloway. - Przepraszam, że nie mogę zaproponować pani krzesła, ale odczuwamy pewien niedostatek mebli. Jak postępuje sekcja?

- Początek zapowiada się interesująco - odpowiedziała podchodząc do biurka i z uwagą przyglądając się komandorowi. Wyglądał na równie zmęczonego, co mężczyźni pod ścianą. Może nawet bardziej. - Przeprowadziłam wstępne oględziny zewnętrzne i zajęłam się obszarem klatki piersiowej. Zostały jeszcze czaszka i kończyny, a później przejdę do określania budowy tkanek.

- Rozumiem. - Holloway wyjął spomiędzy porozkładanych urządzeń i plików papieru plastikowe pudełeczko. - Proszę się temu przyjrzeć i powiedzieć, co pani o tym sądzi.

Melinda wzięła pojemniczek i zajrzała do środka. Tam, na kawałku tkaniny z panterki, leżał cienki, ciemnobrązowy, podłużny przedmiot o nieco zakrzywionych końcach.

- Wygląda jak kawałek kiełbasy - stwierdziła. - Skąd to macie? Komandor wskazał na żołnierzy pod ścianą.

- Sierżancie Janovetz?

- Znaleźliśmy to na północ od zabudowań - odpowiedział

274

potężny mężczyzna stojący w środku grupy. - W niewielkim zagłębieniu białej budowli w kształcie piramidy, postawionej przez Zdobywców.

Melinda pytająco popatrzyła na Hollowaya. Upłynęły przecież zaledwie dwa dni od inwazji obcych.

- Już przerzucają wyposażenie?

- Te piramidy na pewno tu przetransportowali. Są cztery: w czterech rogach kwadratu, wokół zabudowań.

- I wcale nie są małe - wtrącił Janovetz. - Ta, którą widzieliśmy, miała jakieś trzy metry wysokości i kilka metrów u podstawy. A w jej ścianach było co najmniej kilkaset otworów.

- Czyżby jakaś instalacja obronna? - zapytała dziewczyna. - Albo system czujników?

- Ich umiejscowienie nie wyklucza tego - zgodził się komandor. - Jedyne problem w tym, że wydają się zupełnie puste. Żadnej aktywnej ani pasywnej elektroniki, żadnych źródeł energii, żadnego metalu. Nic. - Wskazał na pudełko. - Tylko coś takiego.

Melinda ponownie przyjrzała się znalezisku.

- Dużo tego tam było?

- Widzieliśmy jeszcze cztery - odpowiedział sierżant. - Mogło być ich więcej... nie mogliśmy zajrzeć do otworów na samej górze. Ale zdecydowana większość z nich była pusta.

- A więc mnóstwo miejsca na dorzucenie nowych - rzekła Melinda.

- To samo sobie pomyślałem - przyznał Holloway. - Dlatego uważam, że wskazane jest jak najszybciej dowiedzieć się, z czym mamy do czynienia. Najlepiej zanim Zdobywcy umieszczą tego więcej na naszej planecie.

- Ma pan rację. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Było już dobrze po północy, kiedy wreszcie otworzyła pokrywę kapsuły do badań biochemicznych i słaniając się ze zmęczenia weszła do pogrążonej w półmroku głównej sali medycznej. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu stwierdziła, że czeka tu na nią dowódca garnizonu.

- Witani, pani doktor - mruknął zamykając swą tabliczkę i wstając z kamienia. - Jak postępują badania.

- Powoli, ale do przodu - odpowiedziała patrząc na śpiących

275

rannych. Większość z nich trafiła tu z powodu poparzeń - ofiary laserowej broni Zdobywców. - Możemy pomówić gdzie indziej? - szepnęła. - Nie chcę im przeszkadzać.

- Oczywiście. Tędy proszę.

Poprowadził ją wzdłuż leżanek, przez dyżurkę ku ogromnym zasłonom spływającym z

nawisu, które nie wypuszczały na zewnątrz żadnych światła. Holloway odszukał wyjście i po chwili owiało ich chłodne górskie powietrze.

- Czego się pani dowiedziała? - zapytał.

- Obawiam się, że niewiele. Z pewnością mamy do czynienia z tym samym kodem genetycznym co u Zdobywców. Ale z tego wnioskować można tylko tyle, że badany fragment pochodzi z ich świata. Struktura komórkowa jest szczególnie gęsta, co u ludzi występuje tylko w przypadku receptorów lub układu nerwowego.

- Receptory - mruknął w zamyśleniu komandor. - Może mieliśmy więc rację, że te piramidy to swego rodzaju stacje czujników.

- Może. Ale takie wnioski nasuwają się jedynie przy porównywaniu z człowiekiem. Nie wiadomo, czy podobna prawidłowość występuje i u Zdobywców. Jeszcze jedno: struktura komórkowa jest wybitnie jednorodna, tylko na skrajach tego tworzy występuje nieco inna. Odnosząc to do ziemskiej biologii nie można wykluczyć, iż mamy do czynienia z rodzajem jaja.

A więc może to być także jakaś sadzonka lub pączek? Pamiętam, że istnieją organizmy rozmnażające się przez pączkowanie.

- Rzeczywiście - przyznała Melinda. - Większość z nich jest co prawda bardzo prymitywna, jednak nie oznacza to, że w przypadku wyższych form rozwojowych należy z góry wykluczyć taką możliwość. Ale nie sądzę, by piramidy były inkubatorami obcych, jeśli do tego pan zmierza.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze zlokalizowałam u sekcjonowanego Zdobywcy coś, co wygląda na organy płciowe. Jeżeli więc się nie mylę, wyklucza to hipotezę o ich bezpłciowym rozmnażaniu. Po drugie zaś lokalizacja inkubatora, na otwartej przestrzeni, w środku działań wojennych, byłaby chyba zupełnie nielogiczna.

- Mnie przyszła do głowy inna możliwość. Owszem, to inkubacja, ale zwierząt pochodzących z ich planety. Jakichś agresywnych, śmiertelnie groźnych stworów, które staną się

276

naszym dodatkowym wrogiem atakującym na powierzchni planety. Te niby kielbaski były dobrze zamknięte. Zapewne nie wie pani o tym, ale każdy otwór miał zabezpieczenie w postaci siatki osłaniającej go od zewnątrz. Janovetz musiał sforsować zamek, żeby dostać się do zawartości.

- Nie, nie wiedziałam o tym - przyznała dziewczyna starając się powstrzymać dreszcze. Holloway mimo to zauważył, że drży.

- Zimno pani? - zapytał z troską w głosie. - Możemy porozmawiać gdzieś tam, w środku.

- Nic mi nie będzie - odpowiedziała patrząc na rzadkie chmury i przeświecające przez nie gwiazdy. - Przyszło mi tylko do głowy, czy w ogóle bezpiecznie jest wychodzić na zewnątrz.

- Nic nam nie grozi - zapewnił komandor. - Nie wydaje mi się, żeby Zdobywcy zdecydowali się zapuścić aż tak daleko. Jeśli nawet są specjalistami od walk kosmicznych, to na powierzchni planet radzą sobie już znacznie gorzej. Aha, coś mi się przypomniało: będę musiał podziękować pani bratu za zesłanie nam jak z nieba tych Miedzianogłowych.

Melinda skrzywiła się.

- Nie ma za co. Przecież nie taki był nasz zamiar.

- Wiem. I mam nadzieję, że uda im się odszukać pani brata -komandora Pheylana. Melinda odwróciła się gwałtownie i zaskoczona popatrzyła na rozmówcę.

- Skąd...? To Miedzianogłowi panu powiedzieli?

- Szczerze mówiąc byli jeszcze mniej rozmowni niż pani. Ale takie przypuszczenie chodziło mi po głowie już od kilku dni. Prywatna misja ratunkowa na obszar Zdobywców była jedynym logicznym wytłumaczeniem waszego postępowania. Sądząc po pani reakcji nie pomyliłem się.

- Nie - przyznała spoglądając w niebo i zastanawiając się, jakie są szanse na uratowanie Pheylana. A może już nigdy nie zobaczy ani jego, ani Arica.

- Niestety, nie jest pani w stanie im pomóc. Przynajmniej bezpośrednio. Bo przecież pracując tu także działa pani we wspólnym interesie.

- Łatwo panu powiedzieć.

- Tak pani uważa? - oburzył się. - Proszę nie zapominać, że ja także mam rodzinę i przyjaciół. Tkwią teraz na statkach i

277

w bazach naziemnych w sektorze Liry i Pegaza, bezbronni, czekając na atak Zdobywców. I nijak nie mogę im pomóc. Tak jak i pani. Dziewczyna westchnęła ciężko.

- Ma pan rację. Przepraszam.

- Nie ma za co przeproszać - powiedział już spokojniejszym tonem. - Służę w wojsku od dwudziestu lat. Przez pierwszych dziesięć uczyłem się akceptować pewne rzeczy. Może mi pani powiedzieć coś jeszcze o tych niby kielbaskach?

- Raczej nie - rzekła zmuszając się do przerwania rozmyślań o losach Arica oraz Pheylana i powrotu do teraźniejszości. - Muszę przeprowadzić dokładniejsze biochemiczne testy tej materii oraz ciała Zdobywcy, a później porównać wyniki. Czy uważa pan, że mamy szansę zdobycia jeszcze jednej próbki z piramidy? Czy też są zbyt silnie bronione?

- W tej sprawie jest coś intrygującego. Zespół Janovetza rozpoczął atak jakieś trzy kilometry od miejsca usytuowania piramidy. Później okazało się, że ponowienie próby podejścia do niej bez silnego wsparcia z powietrza byłoby samobójstwem. A ja nie mogę go tam posłać na pewną śmierć. Ale właśnie przed pani przyjściem przeglądałem nagrania i zauważyłem, że napotykał opór tylko w pewnej odległości od piramidy. Kiedy już znaleźli się przy niej, ataki natychmiast ustały.

- Wygląda więc na to, iż Zdobywcy obawiali się ryzykować, że zniszczą swoją konstrukcję.

- Racja. Ale co ciekawsze, nasi nie byli także atakowani podczas wycofywania się stamtąd. Melinda zmarszczyła brwi.

- Jest pan tego pewien?

- Tak wynika z materiałów, którymi dysponuję. Co prawda strzelano do nich z broni laserowej, ale raczej jakby na postrach, bo nawet nie próbowano ich trafić.

- To dziwne - orzekła lekarka. - Dlaczego Zdobywcom nagle przestało zależeć na likwidacji naszych?

- Przyszły mi do głowy trzy możliwości: po pierwsze obcym chodziło o to, żeby nikt nie zbliżył się do zabudowań. Po drugie nie interesowały ich nasze ruchy, jeśli tylko nie była zagrożona owa piramida. I wreszcie po trzecie, że mieli na względzie przede wszystkim uchronienie przed zniszczeniem tej niby kielbaski. Gdyby Janovetz próbował zagłębić się jeszcze w opanowany

278

przez nich teren, zamiast od razu się wycofywać, wiedzielibyśmy, o którą z tych trzech możliwości chodzi. Teraz jest już oczywiście za późno.

- Tak - mruknęła Melinda. - Komandorze... proszę się nie obrazić, ale dlaczego

mówi mi pan to wszystko?

- Głównie dlatego, że nic nie łączy pani z wojskiem. Patrzy więc pani na świat zupełnie inaczej niż my i mam nadzieję, że dzięki temu dostrzeże coś, co mogło ująć naszej uwagi. - Zawahał się na moment. - Poza tym ponieważ to pani wpadła na ten pomysł, uznałem za swój obowiązek informować panią o sprawach związanych ze stacją sejsmiczną.

Przez moment nie rozumiała, o czym mówi. Ale wreszcie pojęła:

- A więc to do niej starał się dotrzeć Janovetz?

- To było jedno z jego zadań, jednak nie zdołali nawet zbliżyć się do tego miejsca. I do czasu przybycia posiłków obiecanych nam przez dowództwo nie mamy możliwości ponowienia próby. Niestety, nie ma pewności, czy w ogóle otrzymamy jakiegokolwiek wsparcie.

A więc o to chodziło. Jeśli w stacji sejsmicznej znajduje się któryś z elementów CIRCE, pozostanie tam jeszcze przez jakiś czas. Niedostępny dla NorCoordu, ale i dla Zdobywców. Jeśli dopisze nam szczęście.

- Co będzie, gdy mimo wszystko obcy go znajdą? Holloway wzruszył ramionami.

- Teoretycznie pojedyncza część nikomu na nic się nie przyda. Ale w ten sposób znajdziemy się w martwym punkcie. Przez minutę stali w milczeniu.

- Jak ocenia pan nasze szanse? - zapytała wreszcie.

- W walce ze Zdobywcami? - Ponownie wzruszył ramionami. - Zapewne będzie to zależeć od trwałości tutejszych fortyfikacji i skuteczności naszej obrony. Jak już mówiłem, nie są mistrzami w walce na planecie. A jeśli zamierzaliby obrzucić nas bombami wodorowymi lub usmażyć laserami, dawno by to zrobili.

Melinda przypomniała sobie krótką walkę, do której doszło po zestrzeleniu ich samochodu powietrznego.

- Może wtedy Miedzianogłowi po prostu ich zaskoczyli. - Na pewno miało to jakieś znaczenie - przyznał. - Ale jeśli przyjrzymy się także ich podstawowemu wyposażeniu i taktyce,

279

to nie musimy się specjalnie obawiać. Szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że powinniśmy tu mieć do czynienia z ich elitarnymi oddziałami szturmowymi.

- A może pana założenia są błędne - rzekła Melinda czując dreszcz przebiegający po plecach. - Jeśli ich najlepsi żołnierze działają zupełnie gdzie indziej - na kluczowych planetach Federacji?

- To też możliwe - przyznał ze smutkiem komandor. - Jeśli tak, nigdy nie doczekamy się pomocy.

Dziewczyna zamrugała powiekami, czując napływające do oczu łzy. Ojciec i bracia, wszyscy rozrzućeni po wszechświecie...

- W czasie wojny każdy musi walczyć na swoim odcinku, prawda?

- Prawda. I proszę się tak nie zamartwiać. - Zawahał się. - Jeśli to panią podniesie na duchu, proszę pomyśleć, jak szybko poradziliśmy sobie z nimi po zestrzeleniu. Jeśli my zdołaliśmy się utrzymać, można sobie wyobrazić, jakie cięgi dostają na Edo lub na Avonie.

Uniósł rękę i spojrzał na zegarek.

- I tak za długo już panią zatrzymuję. Przenieśmy więc tę rozmowę na jutro. Mam nadzieję, że znajdziemy na nią czas.

- Ja również - odpowiedziała odruchowo zajęta już myślą, która nagle przyszła jej do głowy. Dopiero teraz dotarł do niej fakt, na który nie zwróciła uwagi podczas oględzin ciała Zdobywcy. - Postaram się przygotować informacje o przedmiocie z piramidy i budowie anatomicznej obcych do jutrzejszego wieczora.

- Dobrze by było - odparł Holloway odnajdując wejście i wprowadzając ją z ciemności do półmroku sali medycznej. - Trafi pani do siebie?

- Tak, ale najpierw muszę coś jeszcze sprawdzić.

- Oczywiście. Dobranoc, pani doktor.

- Dobranoc.

Inżynierowie skonstruowali przechowalnię dla zwłok Zdobywcy z szafy magazynowej i systemu chłodzenia zapasowego silnika typu Icefire. Ustawiono ją na uboczu, kilka metrów od pomieszczenia prosektorium. Niestety teraz panowały tam ciemności, co sprawiło Melindzie nie lada kłopot. Ale nic nie mogła na to poradzić. Dla tej części polowej bazy nie przewidy-

280

i

wano zasłon, a komandor zadbał, by żadne światła nie przedostawały się na zewnątrz. Musiała więc radzić sobie w bladym świetle gwiazd lub też cierpliwie poczekać aż do rana.

Udało jej się jednak dotrzeć do celu potknąwszy się jedynie kilka razy. Hobson pozostawił obok przechowalni wózek z wyposażeniem, więc bez większych problemów odnalazła maskę i rękawice. Włożyła je i podniosła pokrywę.

Zwłoki leżały na plecach, na metalowej powierzchni. Uniosła nieco głowę i palcami obmacała kark. Jeśli dobrze pamiętała...

Rzeczywiście była tam: dająca się wyczuć blizna. Pozostałość po pionowym nacięciu, nieco z boku, biegnącym od czaszki aż do pierwszych kości kręgosłupa.

Gładka, świadcząca o wprawnej ręce chirurga, długa na jakieś pięć centymetrów.

Dokładnie takich rozmiarów, by można było wydobyć tędy organ wielkości owej niby kiełbaski.

Ostrożnie ułożyła głowę i zamknęła pokrywę. Wiedziała, że to niedorzeczne.

Kompletnie niedorzeczne, a jednak...

Aż parsknęła pod maską. Nie, to naprawdę śmieszne. Zdobywcy posiadali organy płciowe i z pewnością nie rozmnażali się przez pączkowanie. A już na pewno nie w sposób wymagający udziału chirurga. Odwróciła się unosząc rękę, by zdjąć maskę...

I zamarła. Nie dalej niż dziesięć metrów od niej coś powoli sunęło w powietrzu.

Coś jasnego, na wpoi przezroczystego, bezszelestnie płynęło między pakami i skrzyniami.

Duch.

Nie była w stanie opanować drżenia ogarniającego całe jej ciało. Przez głowę przemknęły jej wszystkie opowieści o duchach, którymi straszili ją niegdyś bracia. Odruchowo zrobiła krok do tyłu i zamarła, gdy plecami oparła się o zimny metal. Widmo zatrzymało się w powietrzu i odwróciło głowę w jej stronę...

I wówczas z przerażeniem stwierdziła, że ma przed sobą twarz Zdobywcy.

W tym momencie widmo rozpląnęło się bez śladu. Lecz przeraźliwy krzyk wciąż jeszcze wydobywał się z gardła Melindy.

- Już dobrze - zapewniła wypijając ostatni łyk gorącego płynu i oddając kubek sanitariuszowi. Czowała jednak, że jej dłoń wciąż drży. - Dziękuję.

281

- Jest pani pewna? - zapytał Holloway.

- Tak. Przepraszam, komandorze.

- To była jak najbardziej prawidłowa reakcja - zapewnił ją. - Sam opróżniłbym cały magazynek strzelając do tego czegoś. Czy może mi pani coś jeszcze o tym powiedzieć?

Melinda zaprzeczyła ruchem głowy.

- Chyba nie. Bez wątpliwości to tam było, w trzech wymiarach i na pewno takie jak Zdobywca. A wyglądał zupełnie jak wyjęty z opowieści o duchach.

Stojący obok major Takara pokręcił głową.

- To nie ma sensu, Cass. Nawet pomijając pytanie, jak udało im się coś takiego zrobić, w jakim celu mieliby odtwarzać w naszej bazie hologram?

- Może żeby nami wstrząsnąć. Narobić zamieszania i przy okazji sprawdzić nasze reakcje. Jeśli to rzeczywiście był tylko hologram.

- A co innego? - oburzył się Takara.

- Nie wiem. Ale mamy do czynienia z obcą cywilizacją i nieznaną nam techniką. A ta rzecz z piramidy, według doktor Cavanagh, może być jakimś receptorem.

Major spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Chyba nie sugerujesz, że taki kawałek kielbasy jest częścią niezwykle zaawansowanego technologicznie systemu czujników? A dodatkowo w jego skład wchodzi jakieś hologramy.

- Tak, to rzeczywiście zdaje się pozbawione sensu - przyznał komandor. - Zgadza się. Ale doktor Cavanagh twierdzi, że owo coś kręciło się pośród naszego sprzętu, a w takim przypadku to już przestaje być śmieszne. Czy mamy jakiś sposób, by zablokować tego typu system?

Takara sięgnął po tabliczkę.

- No cóż, możemy zmontować coś podobnego do przechowalni dla zwłok obcego. Ale to nie... Chwileczkę, mam: ciemnia.

- Co to takiego? - zapytała zaintrygowana Melinda.

- Pomieszczenie do przekonfigurowywania urządzeń elektronicznych - wyjaśnił dowódca garnizonu. - Ściany wykonane z kilku warstw stali, ołowiu, miękkiego żelaza i jeszcze czegoś. Zaprojektowane tak, by nie przepuszczać niczego, włącznie z promieniowaniem kosmicznym, co może uszkodzić odsłoniętą strukturę kryształów. To świetny pomysł, Fuji. Niech ta kielbaska zostanie tam natychmiast przeniesiona.

282

- Tak jest. A co z ciałem? Też je tam przenieść?

- Tak. Pani doktor może kontynuować swoje badania w ciemni. - Spojrział na dziewczynę. - Jeśli tylko czuje się na siłach.

- Jestem gotowa - zapewniła.

Przez moment uważnie przyglądał się jej zmęczonej twarzy.

- Dobrze. Ale proszę nie przesadzać. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że czeka nas tu dłuższy pobyt, więc nie ma pośpiechu.

- Cieszę się, że znowu pana widzę, lordzie - rzekł Taurin Lee promieniując wprost samozadowoleniem, gdy wraz z towarzyszącymi mu osobami minął milczących yycromańskich strażników i stanął naprzeciw Klyveress i Cavanagha. - Przypominam sobie, że mówił pan Bronskiemu, iż nie zamierzacie w najbliższym czasie opuszczać Mra-mig.

- Zmieniłem zdanie - odparł lord przyglądając się sześciu mężczyznom towarzyszącym przybyszowi. Był wśród nich jeden z ludzi Bronskiego — Garcia, jeśli pamięć go nie zawodziła. Sam Bronski nie był obecny. - Po prostu zmieniły się okoliczności. Jeśli już mowa o panu Bronskim, to co u niego słychać?

- To ja będę zadawać pytania, jeśli pan pozwoli. Narobiliście mnóstwo zamieszania opuszczając hotel. Mrachowie wpadli w furję.

- Zakładając, że pragnęli skierować mnie właśnie tutaj, na ich miejscu nie czułbym się zawiedziony. - Spojrział ostro na Garcie. - Gdzie pan Bronski? -

zapytał szybko.

- Mówiłem już panu, Cavanagh...

- Przygląda się tym niewielkim dokom na zewnątrz - odpowiedział zapytany.

- Zamknij się, Garcia - warknął Lee posyłając podwładnemu karcące spojrzenie i wyjmując z kieszeni kartę. - Oto carte blanche Parlamentu NorCoordu, lordzie - oświadczył. - Ja tu rządzę. Podobnie zresztą było na Mra-mig, jeśli to pana interesuje.

284

- Rozumiem. - Cavanagh pokiwał głową. Zdążył się już tego domyślić, ale warto było wiedzieć, na podstawie jakich uprawnień działał. - A więc czym teraz pragnie się pan wykazać?

- Na początek zamierzam pana aresztować. Pana i pańskiego przyjaciela dziennikarza.

- Chodzi panu o Ezerę Sholoma? Lee zdziwiony uniósł brwi.

- Wydawało mi się, że nie wie pan, kto to jest.

- Bo nie wiedziałem. Zidentyfikowałem go w taki sam sposób jak pan: skanując portret wykonany przez Fibbit i wprowadzając go do komputera. Czy znalazł pan czas, by zapoznać się z jego danymi?

- Kiedyś był dziennikarzem - odpowiedział Lee przyzywając ruchem ręki jednego ze swoich ludzi. - Reszta mnie nie interesuje.

Podwładny wystąpił naprzód.

[Co zamierzasz zrobić] zapytała Klyveress.

- Aresztować go, ci Yyatoor. Albo już ujawnił tajemnicę, albo też zamierza to zrobić. W obu przypadkach mam wystarczający powód do aresztowania.

[Jest na ziemi Yycromanów] zauważyła Klyveress. [Czy więc nie obowiązuje w stosunku do niego nasze, a nie wasze prawo?]

- Na twoim miejscu, ci Yyatoor, trzymałbym się z dala od tej sprawy - rzekł Lee tonem, w którym wyraźnie brzmiała groźba. - Te doki są poważnym naruszeniem traktatu rozbrojeniowego. Próba obrony lorda Cavanagha przyniesie wam tylko dodatkowe kłopoty.

[Siły Federacji wycofano z yycromańskiej przestrzeni kosmicznej] przypomniała.

[A to spowodowało, że zostaliśmy zupełnie bezbronni na wypadek ataku ze strony Zdobywców. Czy mieliśmy siedzieć z założonymi rękami, czekając na zniszczenie naszej cywilizacji?]

Lee parsknął.

- Naprawdę spodziewasz się, że uwierzę, iż właśnie po to uzbrajacie wszystkie te jednostki?

[Twierdzisz więc, że kłamię?]

Stojący z tyłu mężczyźni aż odwrócili głowy. Ale Lee zaperzony albo nie zauważył tego, albo też wcale nie obchodziły go reakcje podwładnych.

- Raczej nieco naginasz fakty - oświadczył odważnie. - Ani

285

przez moment nie wierzę, że Hierarchia będzie na tyle nierozumna, by wysłać naprędce uzbrojone frachtowce przeciwko wrogowi takiemu jak Zdobywcy.

- A dysponują czymś innym? - wtrącił Cavanagh, uważnie obserwując Garcję. - Przecież Federacja odebrała im prawdziwe okręty.

Usta Garcji wykrzywiły się. Nieznacznie, lecz na tyle, by zorientować się, że wie o okrętach, które Yycromani zdołali ukryć.

Fakt, z którego zapewne nie zdawał sobie sprawy jego tymczasowy szef.

- Może Hierarchia zatrudni pana, żeby bronił ją pan przed Parlamentem NorCoordu

- zadrwił Lee, nie zwracając uwagi na reakcję Garcii. - W przeciwnym razie sugerowałbym współdziałanie z nami, zanim miast oskarżeń o naruszenie tajemnicy zdecyduję się na postawienie zarzutu o zdradę. A więc gdzie jest Sholom?

- Tutaj go nie ma - odpowiedział lord, czując spływając po plecach pot. Zdrada. Czy Lee wiedział o paliwowcu posłanym Melindzie? I o myśliwcach, które w drodze fikcyjnych rozkazów pożyczili Arie i Quinn?

A może ich plany zostały rozszyfrowane już na samym wstępie? Może Melinda i Arie od dawna siedzą w areszcie, a Lee prowadzi z nim ostateczną rozgrywkę?

- Zapewne wciąż przebywa na Mra-mig, chyba że Mracho-wie zdecydowali się go gdzieś przenieść. I niewątpliwie jest w opałach.

- Na pewno - przyznał ponuro Lee. - W porządku, ruszamy.

- Nie - zaprotestował Cavanagh. - Mówię o naprawdę poważnych kłopotach. Gdybym mógł pomówić z Bronskim...

- Już mówiłem, że to ja tu dowodzę. Daschka, zabierz go do promu. Tam skończymy i...

- O, proszę - rzekł lord wskazując wejście, w którym ukazał się Bronski w towarzystwie dwóch mężczyzn. - Panie Bronski, muszę z panem mówić. Natychmiast.

- Możecie porozmawiać już na pokładzie - zaproponował Lee. - Na co czekasz, Daschka? Idziemy.

- To nie może czekać - nalegał Cavanagh. - Chodzi o sprawę niezwykle ważną dla bezpieczeństwa całej Federacji.

- Proszę zachować takie chwytaki na oficjalne przesłuchania -

286

powiedział drwiąco Lee. Tymczasem za jego plecami Garcia podszedł do Bronskiego i szeptał mu coś do ucha. - Wyprowadź go, Daschka. I dopilnuj, żeby bez mojego pozwolenia nie porozumiewał się z nikim na pokładzie statku. A jeśli chodzi o ciebie i całą Hierarchię, ci Yyatoor...

- Chwileczkę - włączył się attache Federacji. Lee powoli odwrócił się w jego stronę.

- Co pan powiedział? - zapytał ostro.

- Powiedziałem, żeby poczekał pan chwilę. Chciałbym usłyszeć, co tak istotnego ma mi do powiedzenia lord Cavanagh.

- Na osobności, panie Bronski - dodał były parlamentarzysta. - Przynajmniej na razie tylko pan powinien o tym wiedzieć.

- Cavanagh...

- W porządku, panie Lee - uciał Bronski. - Nie ma nic takiego, co lord mógłby mi powiedzieć, a czego nie miałbym prawa usłyszeć. Dokąd?

[Tędy proszę] rzekła Yycromanka wskazując na jedno z drzwi. [To pomieszczenie mające tylko jedno wyjście. Tam nikt nie będzie panom przeszkadzać.]

Pokój okazał się niewielką sypialnią, z typowo yycromańskim łóżkiem przystawionym do ściany i dwoma krzesłami przeznaczonymi dla ludzi na środku.

- Interesujące - pokiwał głową Bronski zamykając za sobą drzwi. - Te specjalnie przygotowane siedzenia... Zawczasu ustalił pan to z ci Yyatoor, prawda?

- Jak już mówiłem, chodzi o sprawę, którą należy omówić na osobności - powiedział lord siadając na jednym z krzesel i wskazując drugie.

- Z attache Federacji na mało znaczącej placówce?

- Nie, z wyższym oficerem Wywiadu Wojskowego NorCoordu. Bronski na moment zawahał się, akurat w momencie gdy siadał.

- To interesujące przypuszczenie - stwierdził. - Ale niestety zupełnie pozbawione podstaw.

- Oczywiście. Wszyscy nasi dyplomaci są standardowo wyposażeni w pistolety strzałkowe, na wypadek gdyby niespodziewanie znaleźli się twarzą w twarz z Bhurtalami na planecie Mrachów. A z wrodzonego poczucia dyskrekcji broń tę skrzętnie ukrywają. Zbiegiem okoliczności jest także fakt, iż pański asy-

287
stent Garcia zareagował niedowierzaniem słysząc jak mówiłem, że w wyniku demilitaryzacji Yycromanom odebrano wszystkie okręty. I oczywiście oficjalni wysłannicy Federacji posiadają podrobione czerwone karty Mrachów. A więc jaki ma pan stopień...? Podpułkownika? Pułkownika?

- Generała brygady - rzekł wreszcie. - Może w końcu usłyszę, w obliczu jakiego zagrożenia stoimy.

- Ezer Sholom. Ów mężczyzna z portretu Fibbit. Co pan o nim wie? Bronski wzruszył ramionami.

- Ezer Ronel Sholom. Urodzony dwudziestego trzeciego maja roku 2234 w Crane City na Arcadii. W 2257 rozpoczął pracę w StarNet News Service i stał się jednym z najpopularniejszych dziennikarzy. Był korespondent wojenny w czasie walk z Pawolesami i powstania na Tal, a poza tym przygotowywał relacje z operacji rozbrajania Yycromanów. Napisał kilkanaście książek, prowadził wykłady, obracał się w wyższych sferach. Odszedł na emeryturę chyba czternaście lat temu i zamieszkał w niewielkiej posiadłości na Palisades.

- Wciąż tam mieszka?

- Tak wynika z dokumentów. Nie wiem, czy obecnie tam przebywa. Ale w czym rzecz?

- Mam na myśli książkę, którą pisał, a której nigdy nie wydano - odpowiedział

Cavanagh. - Nie wiem, czy znajduje się to w jego danych, ale tuż po wojnie pawoleskiej został zobowiązany przez władze do opisania historii CIRCE.

Oficjalnych dziejów, prezentujących wszystkie nie zastrzeżone informacje. Szczęki Bronskiego zacisnęły się.

- Nie, nie było o tym ani słowa. I nic na ten temat nie słyszałem.

- Jak już mówiłem, książka ta nigdy nie została opublikowana. Może nawet jej nie skończył. Przypominam sobie spekulacje, że jedynym powodem zlecenia mu tej pracy było powszechne zapotrzebowanie na informacje o CIRCE i w ten właśnie sposób NorCoord chciał raz na zawsze wyciszyć wszelkie plotki oraz spekulacje. Kiedy zainteresowanie nieco osłabło, ktoś wysoko postawiony zmienił zdanie i zrezygnowano z dalszych usług Sholoma. Ale on w międzyczasie zdążył już zebrać materiały. Rozmawiał z oficerami i załogami wszystkich statków biorących udział w bitwie, a także z członkami ekip, które we-

288

szły na plac boju po jej zakończeniu. I jestem pewien, że spotykał się także z naczelnym dowództwem.

- Co więc pan sugeruje?

- Że podczas zbierania materiałów natrafił na coś niezwykle ważnego, wiążącego się bezpośrednio z CIRCE. A Mrachowie dowiedziawszy się o tym usiłują ustalić, o co dokładnie chodzi.

Generał poskrobał się po brodzie.

- Naprawdę uważa pan, że dziennikarz mógł zdobyć aż tak ważną informację?

- Sholom był bystry i przenikliwy. Poza tym przez dłuższy czas miał wiele do czynienia z wojskiem. Znał zasady jego funkcjonowania i potrafił ciągnąć żołnierzy za język. A kiedy tylko Fibbit powiedziała mi o nim, Mrachowie natychmiast rozpoczęli przeciwdziałania.

- Może - uznał Bronski. - Jeśli tak, wydaje mi się, że są w błędzie. Ale bez

względu na okoliczności nie możemy pozwolić na szantażowanie i porywanie obywateli Federacji. W porządku, spróbujemy go odszukać. Zapewne chciałby pan nam towarzyszyć?

- Oczywiście.

- Dobrze - zgodził się Bronski wstając. - Uznajmy, że znajduje się pan w areszcie domowym do czasu wyjaśnienia sprawy związanej z zachowaniem tajemnicy. Lord także się podniósł.

- Jeszcze jedno. Co zamierza pan zrobić z tymi uzbrojonymi statkami Yycromanów?

- Oczywiście złożę stosowny raport. Złamali przecież ustalenia. Trzeba ich za to ukarać i to bez pobłażania.

- A co ze Zdobywcami?

- Cóż oni mają z tym wspólnego? Nie można przymykać oka na łamanie przyjętych umów tylko z uwagi na zagrożenie ze strony potężniejszego wroga. Szczególnie przez rasę taką jak Yycromanie. I tak zdołali przecież ukryć przed nami kilka swoich najsilniejszych jednostek... a to dowodzi ich złych zamiarów.

- Teraz będą nam potrzebne wszystkie statki, jakie tylko da się zgromadzić. I chyba nie mówi pan poważnie, że Yycromani powinni zaakceptować pozostawienie swych światów zupełnie bezbronnych.

- Czy naprawdę wierzy pan, że chodzi tu tylko o obronę?

19 - Duma zdobywców

289

- Ci Yyatoor udzieliła mi określonych gwarancji - oświadczył lord. - Przedstawię je panu już na pokładzie. Oczy Bronskiego zwięzły się.

- Od kiedy to ma pan prawo negocjować układy i przyjmować polityczne gwarancje?

- Odkąd stało się to koniecznością. Ponadto byłem tu jedynym przedstawicielem Federacji. Oficer parsknął.

- Jestem pewien, że Lee i jego szef z radością przyjmą tę informację. Zaczynam rozumieć, dlaczego VanDiver chce mieć na talerzu pańską głowę.

- Istnieje wiele powodów. Ale teraz zależy to przede wszystkim od tego, czy zechce pan udzielić mi pomocy.

- Dlaczego miałbym się na to zdecydować? Cavanagh wzruszył ramionami.

- Może z poczucia lojalności wobec sił Obrońców Pokoju. Przecież utworzenie drugiego frontu i podjęcie walki z Yycro-manami byłoby działaniem na szkodę Federacji, choćby poprzez rozdrobnienie jej potencjału militarnego.

Bronski ponownie prychnął pod nosem.

- Nie ma mowy - rzekł ruszając w stronę drzwi. - Zajmijmy się lepiej odszukaniem tego dziennikarza.

- A może skłoni pana do pomocy fakt, że w przeciwieństwie do Parlamentu NorCoordu Wywiad Wojskowy wiedział o Zdobywcach już od sześciu miesięcy.

Ręka Bronskiego, wyciągnięta ku kłamce, zatrzymała się w powietrzu.

- O czym pan mówi?

- O kontakcie Mrachów ze Zdobywcami, nawiązanym sześć miesięcy temu na Mrakahie. Yycromani mogli stracić większość swoich sił zbrojnych, ale pozostał im wspaniale funkcjonujący wywiad. Klyveress opowiedziała mi dokładnie o mających tam miejsce zdarzeniach.

- A więc chwala Yycromanom za taką skuteczność - rzekł Bronski. - Tyle tylko, że to ma niewiele wspólnego z nami. Lord z dezaprobatą pokręcił głową.

- Przykro mi, generale, ale to żadne wytłumaczenie. Przecież pan, wyższy oficer, osobiście przybył z Mract dowiedziawszy się, że przyleciałem na Mramig zainteresowany kontaktami Mrachów ze Zdobywcami. Tak się składa, że chodziło mi

wyłą-
290

cznie o szczegóły legendy pochodzącej sprzed dwustu lat, ale pan o tym nie wiedział. A nawet gdyby tak było, nie mógł pan ryzykować, że przez przypadek ktoś dowie się prawdy.

- Dlaczego więc nie powstrzymałem pana podczas naszego pierwszego spotkania?

- Bo gdzieś po drodze między portem a moim pokojem hotelowym uniemożliwił to panu Taurin Lee - odpowiedział spokojnie Cavanagh. - Węszył na własną rękę i musiał dojść do wniosku, że przyłączając się do pana będzie w stanie łatwiej obserwować poczynania. Tak przy okazji, wie chociaż, kim pan jest naprawdę? Bronski zacisnął zęby.

- Nie.

- Tak też sądziłem. A jako zwykły attache1 Federacji nie mógł pan przecież zlekceważyć jego carte blanche. Niestety oznaczało to, że będzie pan musiał skonfrontować mnie z reprezentantem wysoko notowanego parlamentarzysty. Pańscy przełożeni nie raczyli poinformować Parlamentu o sprawie Zdobywców, więc i pan nie mógł zdradzić prawdziwego powodu swojej obecności. Przy tym wiedział pan, że sprawa Fibbit włącznie z poleceniem jej deportacji nie wygląda tak, jak ją przedstawiono. Mógł pan więc tylko nieco się rozejrzeć, narobić zamieszania i zniknąć, by wrócić później, uprzednio pozbywszy się pana Lee. Oficer pokręcił głową.

- To nonsens. Totalna bzdura.

- W porządku. A więc wracajmy i zapytajmy pańskiego towarzysza, dlaczego Izba Handlowa Federacji właśnie pół roku temu zdecydowała się nagle ograniczyć transfer ludzkich technologii. I dlaczego właśnie wtedy dowództwo Obrońców Pokoju zaczęło wydawać pieniądze na prawo i lewo. Delegat pokroju VanDivera będzie mocno zdziwiony, gdy dowie się, jak zlekceważono Parlament.

- Proszę uważać, Cavanagh - ostrzegł Bronski. - Stąpa pan po grząskim gruncie. Lord westchnął.

- Nie zależy mi na wywołaniu kryzysu rządowego, generale. Gdybym tego chciał, powiedziałbym to wszystko w obecności Lee. Chodzi mi tylko o niepublikowanie faktu zbrojenia się Yycromanów, dopóki nie poradzimy sobie ze Zdobywcami.

291

Bronski przygryzł wargę.

- A jak niby mamy to zrobić? Odlecieć i udawać, że żadne przygotowania nie mają tu miejsca?

- Oczywiście, że tak nie możemy postąpić. Ale moglibyśmy wymyślić rozsądne wyjaśnienie takich działań. Stworzyć tajne porozumienie między Obrońcami Pokoju a Yycromanami, wydać kilka rozkazów ze wsteczną datą... coś w tym rodzaju.

- Innymi słowy położyć głowy na pieńku.

- W obecnych okolicznościach parlamentarne śledztwo stanowi najmniejsze zagrożenie - przypomniał Cavanagh. Bronski skrzywił się.

- Pomyślę o tym. Ale teraz zajmijmy się odszukaniem Sholo-ma. Proszę zebrać swoich i ruszamy.

Arie wyczuł za sobą ruch i gdy odwrócił głowę, dostrzegł Quinna u wejścia do pomieszczenia.

- Co za wycucie sytuacji - rzekł. - Właśnie miałem iść cię szukać.

- Wpadłem przypomnieć, że za godzinę odlatujemy. - Mi-dzianogłowy odepchnął się od framugi i podpłynął do urzędzeń kontrolnych, - Znalazł pan coś?

- Tak mi się wydaje. Przynajmniej istnieje pewna możliwość. Max, wyświetl samą

końcówkę z czerwoną linią z oznaczeniami.

Mapa gwiazdna, nad którą ślęczał przez kilka ostatnich godzin, ponownie ukazała się na ekranie.

- Spójrz - zwrócił się do Quinna, który wyhamował chwytając za oparcie jego fotela. - Ten czerwony znak to system, w którym Zdobywcy nas ścigali. A czerwona linia to wektor, z którego przylecieli.

- Ten, wokół którego jest wyłącznie kosmiczna pustka?

- Zgadza się - przyznał Arie wyciągając rękę. - Pusto, jeśli założymy, że Zdobywcy lecieli po prostej. Max: zielona linia z oznaczeniami.

Pojawiła się druga prosta, przecinająca czerwoną pod kątem nieco mniejszym niż dziewięćdziesiąt stopni.

- Załóżmy, że obcy najpierw lecieli wzdłuż tego drugiego wektora i zmienili kurs jakieś siedem lat świetlnych od celu. Załóżmy także, że pierwotnie odbywali podróż między dwoma systemami i przyjmijmy wyliczenie Maxa dotyczące dwudziestu pięciu do

292

siedemdziesięciu lat świetlnych za wiarygodne. Jeśli sprawdzi się wszystkie możliwe kursy spełniające te kryteria, uzyskamy tylko jedną możliwość. Oto ona, oznaczona na zielono.

- Interesujące - orzekł Quinn. - A dlaczego wybrał pan akurat siedem lat świetlnych za punkt zmiany kursu?

- To odległość, jaką mieli czas przebyć od chwili, gdy ktoś na powierzchni planety zawiadomił ich o naszej obecności.

Arie wytrzymał badawcze spojrzenie tymczasowego dowódcy skrzydła.

- Zdaje pan sobie chyba sprawę ze znaczenia swoich słów. Sugeruje pan, że Zdobywcy mają sposób na natychmiastową łączność bez względu na odległość.

- Tak. Zdaję też sobie sprawę z faktu, że z naukowego punktu widzenia uważa się to za niemożliwe. Ale to jedyny sposób wytłumaczenia zdarzeń, których byliśmy świadkami.

- Mogli przecież przylecieć ze stacji kosmicznej.

- I wyszli tuż koło nas? - zapytał zaczepnie młody Cava-nagh. - To nie był zbieg okoliczności, Quinn... Max przeanalizował dokładnie wszystkie dane. Gdybyś nie dokonał wtedy zmiany kursu paliwowca, znaleźlibyśmy się między nimi. Musieli otrzymywać na bieżąco informacje z powierzchni.

- A od kogo miałyby one pochodzić? Od tych Zdobywców, którzy według pana krzyczeli o pomoc? Gdzie więc byli?

- Może ukrywali się gdzieś. Na przykład w tej części planety, do której nie dotarliśmy. - Krzyk było jednak słyhać obok piramidy. - A może znajdowali się tuż przed nami.

- Co, te kawałki kiełbasy? - prychnął Quinn. - Śmieszne!

- Być może. Ale fakt, że śmieszne nie znaczy jeszcze, że absolutnie niemożliwe.

- To strzał zupełnie na ślepo - upierał się szef ochrony. - Daję jeden procent szans, że to prawda.

- Wiem - przyznał cicho Arie. - Ale niczym innym nie dysponujemy. Quinn westchnął ciężko.

- Max, co wiemy o tych dwóch systemach?

- Ten znajdujący się bliżej Federacji jest obecnie traktowany jako należący do Mrachów, chociaż leży ponad pięćdziesiąt lat świetlnych poza obszarem powszechnie uznawanym za ich terytorium. Na drugiej planecie systemu prowadzili wstępne prace wydobywcze i nazwali ją Mra-kahie.

- A co z drugim?

- Posiadam tylko dane z obserwacji - odpowiedział komputer. - Badania spektralne wskazują na gwiazdę klasy G2, obecność planet nie stwierdzona, lecz prawdopodobieństwo ich istnienia oceniono na średnie. System znajduje się siedemdziesiąt dwa lata świetlne od Dorcas i sześćdziesiąt sześć od miejsca bitwy z udziałem „Jutlandu”.

- Jak daleko od niego jesteśmy teraz?

- Dwadzieścia osiem lat świetlnych. Paliwa starczy na lot tam i powrót do Federacji.

- A jeśli będziemy zmuszeni do stoczenia bitwy? - zapytał Quinn. Odpowiedź padła po chwili ciszy:

- Wystarczy paliwa, lecz pod warunkiem, że starcie nie będzie trwać dłużej niż cztery godziny.

- W porządku - mruknął Miedzianogłowy. - I tak nie potrwałoby to aż tak długo. Dobra, Max, zajmij się wyliczeniem kursu. Dość skomplikowanego, z czterema lub pięcioma zmianami wektora, żeby uniknąć wykrycia. I nie planuj użycia więcej niż dwóch bomb zakłóceńowych.

- Tak jest, dowódcu. - Linie zniknęły z ekranu, a po chwili zastąpiły je żółte zygzaki łączące ich obecną pozycję z celem wyprawy. - Bomby zostaną odpalone w punktach oznaczonych na niebiesko - dodał komputer.

- Wygląda nieźle - pochwalił Quinn po wnikliwych oględzinach. - A więc ruszamy.

- Tak jest.

Ochroniarz pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że się pan myli. Naprawdę. Gdyby Zdobywcy rzeczywiście dysponowali sprawdzonym systemem łączności tachionowej, to koniec Federacji jest już bliski. Pozostałoby nam tylko się modlić.

Arie popatrzył na ekran.

- A więc od rozpracowania tego systemu zależy więcej, niż można się było spodziewać. Wkrótce się przekonamy.

- Tak. Ale teraz proszę się przespać. Mamy przed sobą całe jedenaście godzin lotu, a kiedy dojdzie do rozstrzygnięcia, chyba powinien być pan wypoczęty.

Powiadomię pozostałych o zmianie planów.

- Dobrze. - Arie zawahał się na moment. - Quinn, może

to nie moja sprawa, ale dlaczego wystąpiłeś z Miedzianogłowych?

- Trudno to wyjaśnić w kilku słowach - padła poprzedzona długim milczeniem odpowiedź. - Czy podłączał się pan kiedyś do komputera?

- Kilkakrotnie, gdy byłem w college'u, grałem w wymagające tego gry — odpowiedział Cavanagh odwracając głowę. - Ale to były oczywiście tylko chwilowe podłączenia.

- Nie chodzi o sam implant. A przynajmniej nie bezpośrednio. Rzecz w... Musi pan zrozumieć, że przyłączy mózgowy Miedzianogłowych jest czymś szczególnym. Pozwala na wymianę danych z szybkością co najmniej tysiącrotnie większą niż poprzez najwydajniejsze komercyjne łącza. Po sprzężeniu nie otrzymuje się jakiegось tam scenariusza gry czy też zestawów liczb wyznaczających kurs. Informacje dosłownie wlewają się do mózgu i docierają do każdego neuronu. Nie tylko widzi się walkę, ale czuje się ją. Każdy obraz idealnie wyraźny, każda myśl natychmiast zamienia się w cyfry. Swoją oddziałość traktuje się jak przedłużenie własnego umysłu, bowiem ich myśli mieszają się z naszymi. To ogromne osiągnięcie ludzkości. Coś, co

trudno sobie nawet wyobrazić.

- Brzmi przerażająco.

- Nie. - Quinn pokręcił głową. - To fakt, którego nie była w stanie zrozumieć większość spośród przesłuchujących mnie parlamentarzystów. Rzec nie w tym, że programiści się nie przyłożyli. Odwrotnie. Oni wykonali swoje zadanie za dobrze. Przyłącze mózgowe to genialny wynalazek... Doświadczenie zapierające dech w piersiach i nie ma w nim niczego przerażającego. Na przestrzeni lat twierdzono, że powstało wiele przyłączy, o których mówi się, że gwarantują realność. Ale tylko to jedno daje naprawdę pełne wrażenie kontrolowania rzeczywistości. Właśnie dlatego wielu ludzi, zbyt wielu, nie chce zrezygnować z przyłącza. Po plecach Arica przebiegł dreszcz.

- Powoduje więc jakiegoś rodzaju uzależnienie?

- Może nazwijmy to inaczej. Mamy tu do czynienia z całkowitą rezygnacją z życia w rzeczywistości - rzekł Quinn zdecydowanie. - Odłączeni snuli się na wpół przytomni. Robili wszystko, żeby tylko wyrwać się z nieciekawej rzeczywistości i wrócić do innego, lepszego świata. Niektórzy posuwali się nawet do tego, że kradli bezprzewodowe przyłącza, żeby nie

295

musieć w ogóle wracać do codziennych realiów. - Zadrżały mu wargi. - I część z nich nigdy już nie wróciła. Nawet gdy wbrew ich woli przerwano połączenie. Nigdy nie wrócili. Arie popatrzył na jego twarz. Na głębokie zmarszczki...

- Ty też to odczuwasz, prawda? Quinn odwrócił głowę.

- Tak jak wszyscy Miedzianogłowi. I jestem przekonany, że z każdym podłączeniem nasze mózgi ulegają częściowemu zniszczeniu. Ale obrońcy Pokoju nie chcieli podjąć badań mogących to ujawnić. Parlament także. Dzisiaj chyba już lepiej dobierają kandydatów do tej służby... przynajmniej tyle udało się wywalczyć. Może to wystarczy, nie wiem. Ale ja nie chcę już do tego wracać.

Arie skrzywił się.

- Przepraszam. Także za to, że w ogóle poruszyłem ten temat. Quinn popatrzył na niego przeciągle.

- Nie ma powodu - rzekł. - Powiedziałem to wszystko, żeby spróbował pan zrozumieć, a nie marnował czas na współczucie. Jeśli stawkę stanowi ludzkie życie, robi się to, co należy, a nie to, co w danej chwili jest dla nas wskazane. - Uniósł brwi. - Zresztą i pan chyba nie do końca chciał uczestniczyć w tej wyprawie, jeśli mamy być wobec siebie całkiem szczerzy.

Młody Cavanagh wzruszył ramionami.

- To niezupełnie to samo.

- W każdym razie już pan wie. A teraz proszę się przespać. Jutro może nas czekać naprawdę bogaty we wrażenia dzień.

Pheyln nerwowo podskoczył na łóżku, budząc się z męczącego, pełnego koszmarów snu. Przez chwilę leżał bez ruchu wyzbywając się resztek senności i rozmyślając, co spowodowało tak gwałtowne przebudzenie. W sali czterech techników kręciło się bez pośpiechu, a na ekranach pojawiały się normalne wzory. Wyświetlany na jednym z nich zegar wskazywał, że na zewnątrz właśnie powinno się rozwidniać, oczywiście jeśli prawidłowo odczytywał czas. Zbudził się więc godzinę lub dwie wcześniej niż zwykle. Nic nie wskazywało na to, że któryś z obcych z rozmysłem wyrwał go ze snu lub upuścił jakiś ciężki przedmiot powodując hałas. Ale spoza hali dobiegł go odległy, ledwie słyszalny szum silnika, pewnie zbliżającego się pojazdu.

Dźwięk, jakiego nie słyszał już od dawna. Gdy skoncentrował na nim całą swą

uwagę, wydał mu się nadzwyczaj dziwny. Samochód powietrzny? Nie, raczej statek kosmiczny. Taki, którego silnik pracując wydaje charakterystyczne, piskliwe odgłosy...

I nagle Pheylan odruchowo napiął mięśnie, a gardło zacisnęło mu się z emocji. Ogarnął go lęk, że może to tylko złudzenia... ale nie, to na pewno nie pomyłka. Dźwięk był niepowtarzalny i trudno byłoby go pomylić z czymkolwiek innym. Statek Mrachów.

Z trudem zmusił się do rozluźnienia mięśni, lecz nie był w stanie opanować przyspieszonego bicia serca. Najlepsza, mo-
297

że jedyna okazja, by się stąd wydostać. Podczas szkolenia w akademii zapoznawano ich także z budową mrachańskich jednostek, ich wyposażeniem i techniką lotu. Jeśli tylko dotrze do niego, dalej już sobie poradzi.

Jeśli dostanie się do wnętrza.

Leżał jeszcze kilka minut, a przez głowę przelatywały mu wszystkie pomysły i szaleńcze plany, nad którymi rozmyślał w ciągu trzech ostatnich tygodni. Żaden z nich nie był rewelacyjny, ale nie miał już czasu zaczynać rozważań od nowa.

Silnik statku zamilkł, a nie było przecież żadnego sposobu, by stwierdzić, na kiedy planowany jest odlot. Teraz albo prawdopodobnie już nigdy.

Odetchnął głęboko i uniósł się na łokciu.

- Hej! - zawołał płacząco, kiwając na jednego z techników, gdy wszyscy odwrócili się w tę stronę. - Ty. Idź po Thrr-gilaga. Nie czuję się dobrze. Chyba będę chory.

Wskazany technik odwrócił się do konsoli i zaczął rozmawiać cicho przez interkom. Pheylan nie ruszył się z łóżka, tylko masował brzuch i robił miny, które niegdyś tak skutecznie działały na matkę, kiedy nie chciał iść do szkoły. Zhirrzhowie obserwując go dowiedzieli się wiele o ludziach, ale tym wciąż miał szansę ich zaskoczyć. A jeśli mu się uda...

Drzwi ukryte za konsolą otworzyły się i wszedł Thrr-gilag.

- Dzień dobry, Caw-ana - rzekł. - Ty niedobrze?

- Zupełnie źle - odparł Ziemianin, prężąc się niczym w agonii. Nie miał pojęcia, czy Thrr-gilag jest w ogóle w stanie odczytać ludzki język ciała, ale uznał, że trzeba iść na całość. - Jestem cholernie chory. Natychmiast musisz wypuścić mnie na zewnątrz.

- To trzy dni - przypomniał obcy, podchodząc do szklanej ściany i przyglądając mu się uważnie. - Wcześniej ty siedem dni bez słońca.

- Ale wtedy nie czułem, że będę chory.

- Dlaczego słońce pomoże?

- Bo pomoże - oświadczył Pheylan. Widać było, że Zhirrzh nie decyduje się na pospieszne wyjście tylko w pojedynkę. Zapewne planował, że zachowana zostanie zwykła procedura. - Wiem, co to za choroba. Jest dość powszechna wśród ludzi... - Urwał ponownie krzywiąc się. Odrzucił koc i opuścił nogi. - Och, Boże... zbliża się!

298

Zerwał się i wsparł dłońią o ścianę. Drugą rękę zbliżył do ust i niepostrzeżenie wsunął palec głęboko w gardło.

Zwymiotował prosto na ścianę, za którą stał Thrr-gilag.

Zhirrzh błyskawicznie odskoczył do tyłu i wydał z siebie pełen zaskoczenia dźwięk. Czterech techników, widząc co się dzieje, momentalnie zareagowało. Dwóch rzuciło się w kierunku drzwi celi, a pozostali pospieszyli do przedsionka.

- Oni przyniosą kombinezon - oświadczył Thrr-gilag głosem wyraźnie wyższym niż zwykle. - To co było, Caw-ana?

- Przecież mówię ci, że jestem chory - wyjaśnił jeniec, bez udawania chwiejnie ruszając ku prysznicowi. Przyszło mu do głowy, że może nie powinien był zdecydować się na tak radykalny krok. Wywołując skurcze żołądka nie przypuszczał, że wymioty aż tak go osłabią. Jeśli nie będzie w stanie zdobyć się na duży wysiłek, gdy przyjdzie czas, cały plan spali na panewce.

Na szczęście miał jeszcze kilka minut na powrót do równowagi. Odkręcił zawór do oporu i podstawił twarz pod strumień wody. Nabierał jej do ust i wypluwał.

- Po co to? - zawołał Thrr-gilag, starając się przekrzyczeć szum wody. - Caw-ana? Po co to?

- Płuczę usta - wyjaśnił Pheylan zakręcając wodę i opierając się o ścianę. Nie jest źle. Czuł, że siły powoli mu wracają. - Nasze soki żołądkowe składają się z kwasów. Są bardzo szkodliwe dla skóry i ust. A wyziewy szkodzą mi na płuca. Musicie mnie stąd wypuścić.

Pojawili się technicy: jeden z kombinezonem posłuszeństwa, a drugi z urządzeniem uruchamiającym go, zazwyczaj obsługiwanym przez Nzz-oonaza. Zbliżyli się do drzwi, by je otworzyć, lecz zatrzymał ich okrzyk Thrr-gilaga. Powiedział jeszcze kilka słów i kombinezon został przekazany jak zwykle przez klapkę.

- Ty możesz go włożyć? - zapytał więźnia.

- Spróbuję - odparł Pheylan, częściowo prostując się i powoli człapiąc w poprzek celi. Koniec liczenia na łatwą ucieczkę. Miał nadzieję, że jego nietypowe zachowanie tak mocno zaskoczy Thrr-gilaga, że ten zapomni o kombinezonie i całej procedurze związanej z jego wkładaniem. Ale widocznie nie tak łatwo było go zwieść.

Wynikało z tego, że Ziemiańska czeka realizacja trudniejszego wariantu planu.

Ubrał się najszybciej jak można było nie wzbudzając pode-

299

jrzeń, ale równocześnie mając na uwadze konieczność wydostania się, zanim jego nadzorca wezwie posiłki.

- W porządku - powiedział, gdy już otwierali drzwi. — Chodź... chwilę... -

jęknął ponownie kładąc rękę na żołądku.

Odwrócił się pospiesznie i chwiejnym krokiem ruszył ku klozetowi, przed którym opadł na kolana.

Ponownie zmusił się do wymiotów, lecz tym razem żołądek był już pusty. Tak było nawet lepiej. Chodziło mu przecież tylko o możliwość powrotu do łazienki. Kiedy bowiem wyszedł z niej wreszcie, cały kombinezon aż ociekał wilgocią z powodu nagromadzonej tam pary.

- W porządku - powtórzył, bezskutecznie starając się osuszyć twarz mokrym rękawem. - Chodźmy. Zanim to się powtórzy.

Słońce kryło się jeszcze za koronami szarozielonych drzew, gdy wyszli z budynku. Było zimno, tak że Pheylanowi z ust buchała para, a mokry ubiór momentalnie stał się lodowaty.

Ale nie zwracał na to uwagi. Na lądowisku, zaledwie sto metrów od niego, stał jego bilet powrotny. Chyba najpiękniejszy widok, jaki w życiu oglądał.

Mrachański statek łącznikowy klasy Premra.

A przynajmniej tak powinien być kwalifikowany. Jednostka z pewnością wiele już przeszła. Pierwotnie gładkie i błyszczące poszycie było szerniałe i pogieęte. W wielu miejscach poprzecinały je pęknięcia na tyle głębokie, że wydostała się przez nie substancja uszczelniająca, mająca zabezpieczyć kadłub przed

dekompresją. W części dziobowej duży fragment poszycia zastąpiono jakimś białym, chropowatym materiałem, raczej nie mrachańskiego pochodzenia. Ale rufa wyglądała na nie naruszoną, a statek najwyraźniej przyleciał tu o własnych siłach. Obok, przy rampie wyjściowej, zebrała się grupa Zhirrhów, co przypomniało mu scenę jego własnego przybycia.

Tu mogłyby pojawić się problemy. Jeśli któryś z nich miał broń...

- Teraz dobrze? - zapytał stojący obok Thrr-gilag. Pheylan odwrócił nieco głowę w stronę wschodzącego słońca.

- Tak, to powinno pomóc - przyznał drżąc, gdy powiew wiatru spotęgował jeszcze uczucie zimna. - Ale potrzebuję co najmniej kilku minut, żeby zaczęło skutkować. Thrr-gilag milczał przez moment.

300

- To nic nie da - rzekł wreszcie. Pheylan aż zeszywniał.

- O czym mówisz? - zapytał, starając się nie dać po sobie nic poznać.

- Ja mówię to nic nie da - powtórzył obcy i językiem wskazał kombinezon. - Ty próbować uszkodzić wodą. Nie da się uszkodzić.

Ziemianin odetchnął z ulgą. Zhirrh był sprytny, to prawda. Ale tym razem dał się oszukać.

- Wcale nie staram się uszkodzić kombinezonu - powiedział rozglądając się ukradkiem. Trzej technicy spośród czwórki, która wyszła wraz z nimi, stali obok, zaledwie na wyciągnięcie ręki. Czwarty, obsługujący urządzenie uruchamiające elektromagnesy, znajdował się niewiele dalej. Przed nimi dwójka obcych odłączyła od grupy przy statku i ruszyła w ich stronę. W dłoniach trzymali broń.

Teraz albo nigdy, pomyślał. Odwrócił się plecami do technika z pilotem...

I nagle nogi złożyły się pod nim i z głośnym jękiem padł twarzą na ziemię, podrywając z niej cały tuman pyłu.

Pyłu, który natychmiast oblepił dokładnie wciąż jeszcze mocno wilgotny kombinezon, wraz z osadzonymi w nim dyskami.

Thrr-gilag wydał z siebie przytłumiony okrzyk. Pheylan nie wiedział jednak, czy zaniepokoił się, że więźniowi stało się coś poważnego, czy też odgadł, co zamierza. Ale Ziemianin nie czekał, co będzie dalej. Obrócił się na plecy, poderwał na nogi i skoczył na Zhirrh trzymającego nadajnik.

Ten zaczął się gwałtownie cofać, bezskutecznie naciskając przycisk. Tymczasem Pheylan chwycił go za ramię, drugą ręką wyrwał mu urządzenie i wsunął je sobie za pazuchę. Szarpnął przeciwnika ku sobie, chwycił go w pól i ścisnął mu głowę pod pachą, pomiędzy znajdującymi się tam elektromagnesami.

Pozostała czwórka obcych rzuciła się na niego i chwytając za ręce i głowę starała się uwolnić pobratymca. Ale ich chudziutkie ramiona i dłonie z podwójnymi kciukami nic nie znaczyły w porównaniu z wytrenowanymi mięśniami człowieka. Kilka precyzyjnych ciosów wystarczyło, by wszyscy stracili chęć do walki i odskoczyli na bezpieczną odległość.

Z jednym wyjątkiem. Komandor chwycił bowiem za ramię Thrr-gilaga i przyciągnął go przed siebie, tworząc żywą zasłonę.

301

- Niech się wycofają - warknął przesuwając rękę tak, by trzymać go za szyję, uniemożliwiając użycie owej piekielnej broni - języka. - Tamci dwaj także. Niech się oddalą, albo skręcę ci kark.

- Ja nie pozwolę uciec - zapisał Zhirrh. - Nie pozwolę.

- Wszystko zależy od ciebie. - Dwaj obcy wciąż się zbliżali, teraz już mierząc w niego ze swej broni. - Albo mnie puszczą, albo zabiją. Innej możliwości nie ma.

- Dla podkreślenia wagi swych słów wzmocnił chwyt. - A jeśli mnie zabiją, wy dwaj także zginiecie. Wybierajcie. Byle szybko.

Pewnie trzymając obu zakładników ruszył w stronę statku. Dopiero teraz cała stojąca tam grupa zwróciła uwagę na to, co się dzieje. I oprócz krótkiej broni wycelowano w niego także dobrze mu znane szare rury. Nie zatrzymał się jednak, choć czuł się zupełnie odsłonięty za Thrr-gilagiem. Pożałował, że znacznie wyższy od niego SvV-selic utracił swą funkcję głównego nadzorcy. Co prawda mógł dodatkowo osłonić się technikiem, ale istniała wówczas groźba, że ktoś posłuży się innym pilotem. Gdy zaś trzymał głowę zakładnika pod pachą, próba obezwładnienia skończyłoby się skręceniem tamtemu karku. Pheylanowi pozostawała więc tylko nadzieja, że technik ma tu wielu przyjaciół.

Dwaj uzbrojeni obcy zatrzymali się, lecz wciąż mierzyli w niego.

- Powiedz, żeby odłożyli broń - syknął Ziemianin zamykając prawe oko, a lewym patrząc w bok. - Natychmiast. Thrr-gilag westchnął ciężko.

- Kasar! - zawołał.

W odpowiedzi obaj zaczęli strzelać.

Pheylan zamarł. Wzmocnił chwyt nie zważając na przeraźliwie jasne plamy, które pojawiły mu się w lewym oku. Ale tym razem atak wywarł na nim znacznie mniejsze wrażenie. Może dlatego, że świadom zagrożenia odwrócił wzrok. Przed sobą słyszał i niewyraźnie widział biegnących dwóch strzelców. Przeniósł cały ciężar ciała na lewą nogę i czekał na nich spokojnie. Gdy byli tuż tuż, otworzył prawe oko i kopnął pierwszego prosto w piersi.

Zhirzzh padł bezwładnie na ziemię niczym worek cementu, wzbijając chmurę czerwonego pyłu. Drugi rozpaczliwie starał się zatrzymać i oddać z bliska kolejny strzał, lecz nie udało mu

302

się ani jedno, ani drugie. Kopnięcie Pheylana natychmiast powaliło go na ziemię.

- To nie było rozsądne - rzekł Ziemianin ściskając na moment szyję Thrr-gilaga.

- Wiesz dobrze, że mogłem cię zabić.

- Ja wiem.

- To dobrze. A więc spróbujmy jeszcze raz. Teraz już bez żadnych sztuczek.

Inaczej zginiesz ty, technik i wszyscy stojący obok statku.

- Zhirzzh mieć rację - wykrztusił obcy. - Wy wojownicy.

- I to cholernie dobrzy - przyznał Pheylan. - To, co się teraz zdarzy, zależy tylko od ciebie. Wybieraj. Usłyszał jak Thrr-gilag westchnął ciężko.

- Shalirr i crr'arrea mazzasprrr akrr'trr i parrsawa crrr -zawołał. - Parr've krrti. Szare rury zakołysały się niepewnie.

- Krrti swarr? - krzyknął jeden z obcych.

- Parr've krrti - powtórzył Thir-gilag.

Jeszcze przez kilka chwil brak było z ich strony jakiejś wyraźnej reakcji.

Ziemianin ruszył tymczasem w stronę statku, ponownie przymykając prawe oko na wypadek kolejnej próby obezwładnienia go. Dostrzegł, że trzech strażnicy pilnujący białej piramidy wyłonili się ze swoich budek, ale nie okazywali najmniejszej ochoty, by wesprzeć towarzyszy.

Wreszcie wymierzona w niego broń została opuszczona.

- A więc jak? - zapytał.

- Ty możesz odejść - odpowiedział Thrr-gilag. - Oni się zgodzić.

Pheylan uśmiechnął się ironicznie. Na pewno. Zbyt dobrze zdążył już poznać swoich przeciwników, by tak po prostu im uwierzyć. Musieli ukrywać jeszcze coś w zanadrzu. Może na przykład zestrzelenie go już po starcie. Ale nie zamierzał

rezygnować. Nawet jeśli miał niewielkie szansę, to będąc w kosmosie mógł przynajmniej podjąć walkę.

Zgromadzeni przy statku wycofali się na rozsądną odległość, gdy wraz z zakładnikami podchodził do lądowiska.

- Ty zostawisz nas tu? - zapytał Thrr:gilag niepewnym tonem, gdy już znaleźli się na pochylni.

- To zależy od tego, czy znajdę coś odpowiedniego, by was związać. Znaleźli się przy wejściu. Ziemianin zajrzał do środka. Niko-

303

go tam nie było. Podeszedł do panelu kontrolnego wjazdu i łokciem nacisnął przycisk. Wjazd zaczął się opuszczać. Widząc to silnym ruchem pchnął przed siebie technika. Ten przewrócił się, przeleciał przez luk i zniknął z oczu Ziemianinowi, zasłonięty domykającym się już włazem.

- Połóż się - polecił Pheylan Thnr-gilagowi, popychając go na podłogę. — Na twarz. I nie ruszaj się, bo złamię ci kręgosłup.

Obcy posłuchał bez słowa. Nie spuszczać z niego oka, uciekinier zerwał z siebie kombinezon i przy jego pomocy związał zakładnikowi ręce na plecach.

- Dobra - mruknął pomagając mu wstać. - Idziemy. Kokpit znajdował się na końcu korytarza.

- Siadaj - polecił Pheylan.

Popchnął Zhirrzha na jeden z foteli i znalezionym kablem skrępował mu nogi.

Promienie wschodzącego słońca wpadały do kokpitu przez przeszkloną kopułę i odbijały się oślepiającym blaskiem od dziwnie profilowanej konsoli. Użycie szkła na pokrycie kabiny powodowało, że Zhirzzhowie wciąż mogli do niego strzelać ze swych laserów. Nic jednak nie potrafił na to poradzić. Tylko jedno było oczywiste: należało wynosić się stąd jak najszybciej, zanim ich strzelcy wyborowi zajmą dogodne pozycje. W myślach zacisnął kciuki. Schylony podeszedł do konsoli, zasiadł w fotelu i włączył silniki.

Pracowały, hucząc dość głośno. Przebiegł wzrokiem instrumenty, starając się przypomnieć, do czego służy każdy z nich. Dźwignia ciągu... tam. Ostrożnie przesunął ją i huk przemienił się w dobrze mu znany piskliwy dźwięk.

Jak na razie świetnie. Uruchomił procedurę przedstartową, sprawdził napęd gwiazdny i inne systemy - wszystko w porządku...

Nagle za plecami usłyszał coś, co przypominało jakby cichą rozmowę. Podniósł wzrok, odwrócił głowę...

I aż podskoczył do góry. Zaledwie metr od niego, w powietrzu, wisiał naturalnej wielkości wizerunek Zhirrzha.

Wstrzymał oddech i napiął wszystkie mięśnie. Postać była blada, wyraźnie niematerialna, a jednak odtworzona w najdrobniejszych szczegółach. Przypominała duchy, o których Arie tak uwielbiał opowiadać jako dziecko. Usta zjawy poruszyły się i jakby z oddali dobiegła go mowa obcych...

304

Nagle, zupełnie niespodziewanie, poczuł na prawym ramieniu coś jakby ukłucie igły.

Odwrócił się, gwałtownie wyrwany z odrętwienia. Obok niego stał Thrr-gilag, a jego język właśnie zniknął w otworze gębowym.

Na ręce Ziemianina pojawiała się krew.

- Cholera! - warknął, podrywając się z fotela i rzucając na obcego.

A przynajmniej usiłując to zrobić, bowiem nagle wszystkie jego członki stały się niewyobrażalnie ciężkie. Ponownie spróbował wstać, lecz bezskutecznie. Zamiast

tego osunął się na kolana.

Nawet nie poczuł uderzenia. Całe jego ciało ogarnęło odrętwienie, a widziane obrazy coraz bardziej się rozplywały.

- Cholera - mruknął ponownie.

Nic już nie widział. W ostatnim momencie świadomości zdążył pomyśleć, że tak właśnie wygląda śmierć.

I jeśli z tamtej strony spotka załogę „Kinshasy”, którą przecież zawiódł - czy mu wybaczą?

- Nie ma żadnych wątpliwości, dowódco - zabrzmiał głos Maxa w słuchawkach Arica.

- Sprawdziłem to na trzy różne sposoby. Z pewnością mamy do czynienia z mrachańską jednostką. Chwileczkę: odbierani emisję tachionową. Zapewne test silnika gwieźdnego.

- Mrachański statek - powtórzył Quinn. - Interesujące. Wystartował już?

- Nie. Trwa procedura przedstartową.

- Zawiadom mnie, gdy tylko poderwie się w powietrze - polecił dowódca. - Clipper, co o tym sądzisz?

- Wchodzimy do akcji. Rzecz tylko w tym, czy od razu, czy najpierw Max unieszkodliwi aktywne czujniki.

- Muszą już wiedzieć, że się zbliżamy - wtrącił Dazzler. - Ostatnia bomba pewnie wciąż jeszcze emituje zakłócenia.

- Max, czy wykryłeś coś poza oczyszczonym obszarem? - zapytał Clipper.

- Jak dotąd nie - odpowiedział komputer. - Ale wciąż prowadzę poszukiwania. Mam natomiast niezły obraz interesującej nas strefy.

- Przerzuć go do nas - polecił Quinn.

20 - Duma zdobywców

305

- Jak to wygląda? - zapytał niecierpliwie Arie.

- Niewiele tam jest. Dwa budynki w kształcie złączonych ośmiościanów, przypominające statki Zdobywców. Między nimi trzy lub cztery mniejsze zabudowania... tak, na pewno cztery. Wygląda na to, że jedno z nich może być piramidą, taką samą jak ta, którą widzieliśmy. Spore lądowisko, z jedną tylko niewielką jednostką. Zgadza się, mrachańską. Cały teren o średnicy około kilometra otoczony ogrodzeniem. Możliwe, że ktoś znajduje się obok statku, ale nasz teleskop jest zbyt słaby, by można to było stwierdzić z całą pewnością.

Arie zacisnął dłoń w pięść.

- A więc schodzimy?

- Dowódco, silniki statku zostały wyłączone - doniósł Max, zanim Quinn zdążył odpowiedzieć.

- Uszkodzenie? - zapytał Clipper.

- Nie stwierdziłem - odparł komputer.

- Ktoś musiał zmienić zdanie - podsunął Bookmaker.

- Albo nas zauważyli.

- I tak należy działać - zdecydował Quinn. - Czerwony kod bitewny. Do roboty.

Oderwali się od paliwowca, który momentalnie zniknął im z pola widzenia. Arie poczuł, jak przeciążenie gwałtownie wciska go w fotel, gdy Quinn uruchomił pełną moc silników.

- Kiedy tam dolecimy?

- Za pięć minut. Może szybciej. Proszę się trzymać... z tyłu może zrobić się dość gorąco.

- Dam sobie radę.

Już czuł, że powietrze rozgrzewa się, gdy counterpunch przebijał górne partie atmosfery z szybkością meteoru. Przed sobą, z wyjątkiem hełmu Quinna, nie widział zupełnie nic. Ciemna strona planety zlała się z czarnym kosmosem i otoczyła ich kompletna pustka. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jego pilot z rozmysłem przyjął taki kurs, by znaleźć się nad bazą wroga mając słońce za plecami.

- Maestro, mamy wyraźny obraz - zameldował Dazzler. -Potwierdzam obecność obcych. Cała grupa...

- Rozpoczęli ostrzał - wtrącił gwałtownie Paladin. - Lasery średniej mocy...

- Namierzyć i zniszczyć - polecił Quinn. - Wszystkie myśliwce, wykonać...

306

- Jest tam! - krzyknął Dazzler. - Maestro, mamy go!

- Do cholery, unieszkodliwić lasery - warknął dowódca. Głosy zamilkły.

- Quinn? - odezwał się Arie.

- To on - potwierdził pilot. - Komandor Cavanagh. Wynoszą go ze statku. -

Zawahał się. - Chyba jest nieprzytomny. Serce Arica zamarło na moment.

- Nieprzytomny? A może nie żyje?

- Przekonamy się za pół minuty. Proszę się trzymać, schodzimy.

Counterpunch zanurkował gwałtownie i Aricowi przez chwilę wydawało się, że spada, a po chwili potężne przeciążenie wtłoczyło go w fotel tak, że aż stracił dech. Poprzez huk silników usłyszał salwę z lekkiej broni pokładowej. Kolejne przeciążenie, gdy nos myśliwca został zadarty w górę, dość mocne uderzenie podwoziem i silnik zamilkł...

Ponad jego głową otworzyła się kabina.

- Jest z prawej - krzyknął Quinn. - Biegiem!

Arie zdarł z głowy hełm i wyskoczył z kabiny. Zbiegając po drabince szybko rozejrzał się wokół. Dwadzieścia metrów od niego stał statek Mrachów, a dalej, nieco na prawo, jeden z kompleksów, o którym wspomniał Quinn. Nad głową krążyły trzy corviny, siejąc zniszczenie wszędzie tam, gdzie tylko wychwyciły jakikolwiek ruch.

Na ziemi, zaledwie pięć metrów od niego, leżał nagi mężczyzna.

Pheylan.

Arie nie pamiętał, jak znalazł się na ziemi i podbiegł do brata. Nie potrafił wytłumaczyć, jak zdołał przerzucić go sobie przez ramię, a później wspiąć się po drabince i wskoczyć do kabiny. Pozostało mu tylko jedno wspomnienie: przerażające zimno ciała Pheylana.

Kabina zamknęła się i counterpunch poderwał się do lotu.

- Co z nim? - zapytał Quinn.

- Niedobrze - odpowiedział Arie starając się sięgnąć ponad nogami Pheylana do podręcznej apteczki.

- Wyjmij taśmę diagnostyczną - polecił dowódca skrzydła.

- Próbuję - warknął Cavanagh. Dopiero któreś z kolei szarpnięcie odblokowało zamek. Lewe ramię miał przygniecione ciałem Pheylana, ale taśmę dawało się założyć jedną ręką. Po kilku sekundach opinała więc już udo komandora.

307

- W porządku - mruknął Arie łącząc przewód taśmy ze ściennym gniazdem zasilającym. - Max?

- Serce bije wolno, ale regularnie. Ciśnienie krwi niskie.

- Co mu jest? - zapytał Arie.

- Wciąż nie wiem. W jego krwi znajduje się kilka nie zidentyfikowanych

substancji, zapewne pochodzących z pożywienia. Chwileczkę. Wykryłem obecność dość łagodnie działającej trucizny.

Arie popatrzył na ramię brata, gdzie z niewielkiej rany wciąż sączyła się krew.

- Widzę, któredy dostała się do jego organizmu. Mam spróbować ją wyssać?

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Wolną ręką Arie macał zawartość apteczki w poszukiwaniu noża, skalpela lub czegokolwiek ostrego, czym można by otworzyć ranę. Jakże żałował, że na jego miejscu nie znajduje się Melinda. Miał poważne opory przed ranieniem brata, nawet dla ratowania mu życia...

- To nie będzie konieczne - poinformował Max, a Arie odetchnął z ogromną ulgą. - Funkcje organizmu ustabilizowały się. Czy w zestawie jest uniwersalny stymulator?

- Ma jaskrawopomarańczowe oznakowania - podpowiedział Quinn. - Wie pan, jak się nim posłużyć?

- Tak - mruknął Cavanagh, sięgając po strzykawkę i zdejmując zabezpieczenie.

- Proszę zacząć od pojedynczej dawki - poradził Max. - Zobaczymy, jaka będzie reakcja.

- Dobrze. - Przyłożył płaski koniec strzykawki do barku Phylena i nacisnął spust. - Rejestrujesz jakieś zmiany?

- Chwileczkę - uspokoił go komputer. - Tak, bez wątpienia to pomaga.

Przynajmniej chwilowo zagrożenie minęło.

- Szczegółowe badania przeprowadzimy po powrocie na pokład paliwowca - rzekł Quinn. - Może przyda się zestaw leków przygotowany przez pańską siostrę.

Arie objął brata i mocno go uściskał. Uświadomił sobie, że nie robił tego od dzieciństwa. Udało się. Naprawdę się udało.

- Dziękuję ci, Quinn - wyszeptał, a do oczu napłynęły mu łzy. - I wam wszystkim.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odparł dowódca. - Możemy wracać do domu.

308

- Zdecydowaliśmy się lecieć prosto na Edo - rzekł Arie wisząc obok drzwi. -

Dorcas i świąty Mrachów są bliżej, ale Quinn uważa, że komandor Holloway wciąż może być tak wściekły, że nie będzie chciał słuchać żadnych tłumaczeń.

- Zapewne i tak nie byłby w stanie niczego zrobić - orzekł Pheylan popijając z butelki ciśnieniowej prawdziwą, pochodzącą z Ziemi kawę. - Chyba że dowództwo przydzieliło mu jakieś rezerwowe jednostki,

- Zgadza się. Ale kiedy odlatywaliśmy, wciąż nic nie było o nich słyhać, w obecnej zaś sytuacji chyba nikt nie zamierza przekazywać Mrachom rewelacji, którymi dysponujemy.

- Wydaje mi się, że cały ten pomysł to tylko strata czasu - oświadczył Pheylan. - Nawet jeśli dowództwo zgodzi się wysłać tam siły uderzeniowe, to będą one miały przed sobą co najmniej osiemdziesiąt godzin lotu, plus czas potrzebny na rozpoznanie, podjęcie decyzji i skompletowanie odpowiedniego zespołu szturmowego. Zhirrhowie będą mogli więc spokojnie spakować manatki i wynieść się stamtąd.

- Quinn dobrze o tym wie. Ale i tak zapewne pozostawią na miejscu wiele interesujących rzeczy.

- Niewykluczone. Może dzięki temu przynajmniej na chwilę zapomną o oskarżeniach przeciwko wam.

- Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś — rzekł Arie robiąc przekorną minę. - Mam nadzieję, że pomiędzy licznymi przesłuchaniami znajdziesz czas, by wystąpić w roli głównego świadka obrony.

- Nie martw się. Zaufaj mi... Moje informacje zwałą ich z nóg. Arie przestał się

uśmiechać.

- Miałeś szczęście - powiedział cicho. - Wiesz o tym, prawda? Powinni byli cię zabić, gdy tylko dowiedzieli się, że nadlatujemy. Tłumaczyć to można jedynie faktem, że uznali, iż i tak już jest po tobie.

Pheylan łyknął kawy, znowu czując nieprzyjemne pulsowanie rany na ramieniu. Może rzeczywiście tak należało tłumaczyć ich postępowanie. Podczas niewoli zdążył poznać obcych i wiedział, że zrobiliby wszystko, żeby nie został uratowany i nie miał możliwości przekazania pobratymcom wszystkich zdobytych informacji.

A jednak...

309

- Nie - rzekł powoli. - Nie sądzę, żeby Thrr-gilag usiłował mnie zabić. Nie widziałeś w akcji tych ich języków, Arie... To cholerstwo działa jak brzytwa. Mógł rozszarpać mi rękę aż do kości i wpuścić tyle trucizny, że zginąłbym na miejscu. Albo po prostu jednym ruchem poderżnąć mi gardło.

Arica przebiegł dreszcz.

- Może.

- To pewne. Chciał mnie tylko obezwładnić i odstawić z powrotem do celi. Ten hologram odwrócił moją uwagę, a on w tym czasie oswobodził się z więzów i zadał ten cios.

- Hologram musiał być naprawdę realistyczny. Ale to i tak nie wyjaśnia, dlaczego ten twój obcy nie zmienił zdania, gdy Paladin wyłonił się zza drzew i zaatakował.

Ani tego, czemu Thrr-gilag i technik nie użyli swej naturalnej broni, zanim dociągnąłem ich do statku, pomyślał Pheylan. Czyżby obawiali się, że zareaguje na tyle szybko, iż zdąży skrócić im karki?

- Może było zbyt mało czasu, albo wpadli w panikę. A może...

- Co?

- To dość skomplikowane. Naprawdę skomplikowane. Ale być może ziarno niepewności, które starałem się zasiać, wreszcie zaczęło kiełkować, i Thrr-gilag zwątpił w to, że jego przywódcy mówią prawdę o przebiegu pierwszego kontaktu z ludźmi.

- Niewykluczone - uznał bez przekonania Arie. - Ale na twoim miejscu nie liczyłbym na to. Miałby przestać wierzyć swoim i posłuchać obcego?

- Rozmyślał o tym. To pewne.

- Jeśli tak mówisz... Jak sądzisz, skąd mógł się tam wziąć mrachański łącznikowiec?

- Szczerze mówiąc nie mam pojęcia - pokręcił głową Pheylan. — Ale najbardziej prawdopodobne wydaje się, że spotkali go na tym bogatym w surowce systemie należącym do Mrachów, zetrzelili i zabrali na pamiątkę.

- I nauczyli się go pilotować?

- To rzeczywiście pewien problem - przyznał komandor. - Nie zauważyłem tam żadnego Mracha. - Wzruszył ramionami. - Ale równie dobrze mógł się tymczasem gdzieś schować.

- To mi się właśnie w tobie podoba, braciszku: zawsze przy-

310

chodziły ci do głowy setki pomysłów jednocześnie. To na szczęście już nie nasz problem.

- Zgadza się - przyznał Pheylan odstawiając butelkę i poprawiając paski mocujące go do łóżka. - I tak będziemy mieć ręce pełne roboty wyciągając z kłopotów ciebie, tatę, Quinna i Me-linę.

- Nie powinno to stanowić większego problemu - zapewnił Arie, machając lekceważąco ręką. - Quinn i ja jesteśmy teraz bohaterami, a bohaterów nie można oskarżyć i skazać. Ojciec, dzięki swoim kontaktom, zapewne wrócił już do domu wraz z Melindą i niecierpliwia się, dlaczego nas tak długo nie ma.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Oczywiście. Poza tym osoby o takich kwalifikacjach jak Melindą są zbyt cenne, żeby przetrzymywać je w odosobnieniu. - Arie podciągnął się bliżej framugi i zgasił światło. - Max twierdzi, że teraz potrzebny ci odpoczynek. Wojna może czaić się tuż za horyzontem, ale nie widzę powodu, żeby się porządnie nie wyspać.

Pheylan przykrył odsłonięte ramię.

- Może wojna już się zaczęła - rzekł cicho. - Trzy dni temu Thrr-gilag zadawał mi dość szczegółowe pytania dotyczące Miedzianogłowych.

Arie skrzywił się.

- No cóż... jeśli już wybuchła, to trudno. Wkrótce się o tym przekonamy. Ty masz przede wszystkim odpoczywać. Przynajmniej przez pewien czas Cavanaghowie nie zaangażują się w tę wojnę bezpośrednio.

Znaleźli Ezera Sholoma w eleganckim apartamencie na terenie dzielnicy mieszkaniowej, zaledwie pięć przecznic od rozsypującej się rudery zajmowanej przez Fibbit.

Wyglądał na bardzo starego i zmęczonego życiem. Oddychał z trudem.

- Co mu się stało? - zapytał Cavanagh, gdy jeden z ludzi Bronskiego owijał taśmę diagnostyczną wokół nadgarstka dziennikarza.

- Nie wiem — odparł generał, podejrzliwie wciągając powietrze do płuc i rozglądając się wokół. - Daschka, zacznij sprawdzać teren. Wszystkie sąsiednie mieszkania i strategiczne miejsca w okolicy... znasz procedurę. Przy drzwiach zostaw Cho Minga. Resztę ludzi możesz zabrać ze sobą. Jeśli spotkasz jakichś kręcących się w pobliżu Mrachów, zatrzymaj ich... Powołaj się na moje uprawnienia i... do diabła z dyplomacją.

- Tak jest - odpowiedział podwładny. - Słyszeliście, panowie. Ruszamy. Opuścili pomieszczenie.

- Czego pan szuka? - zapytał lord, także starając się wychwycić jakąś szczególną woń. Nie poczuł jednak nic niezwykłego.

- Chyba czuję tu zapach pozostający po używaniu induktora hipnotycznego - powiedział wolno Kolchin. - Jeśli Mrachom spieszyło się z wyciągnięciem informacji od Sholoma, mogli zdecydować się na wykorzystanie go.

312

- Albo przynajmniej próbować działać coś przy jego użyciu - uznał Bronski. - Nie tak łatwo posługiwać się hipnozą, a wątpię, żeby Mrachowie wiedzieli, jakie skutki wywołuje ona u ludzi.

- Nie możemy jednak tego wykluczyć - rzekł Cava-nagh. Spojrzał na Lee, który stał przy oknie i wyglądał przez nie. - A więc wszystko wskazuje na to, że warto było go odszukać.

Lee nie odpowiedział. Nie odzywał się w ogóle od czasu, gdy przed szesnastoma godzinami Bronski ujawnił, kim jest, i pozbawił go władzy.

- Ale proszę zwrócić uwagę, że mimo wszystko odnosili się doń z ogromnym szacunkiem - rzekł Bronski. - Teraz naszym zadaniem jest odtworzenie tego, co się zdarzyło. Dowiedzieć się, kiedy i w jaki sposób ściągnęli go tutaj.

- Panie generale, jest potwierdzenie, że w jego organizmie znajduje się obca substancja - zameldował mężczyzna pochylony nad Sholomem. - Nie mylił się pan:

wygląda to na jakiś środek hipnotyczny. Już przygotowywane jest antidotum... Za kilka minut powinien dojść do siebie.

- Dobra robota, Eisen. Zostań przy nim.

- Tak jest.

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i do mieszkania wpadł Garcia.

- O co chodzi? - zapytał generał.

- Miałem zapoznać się z ostatnimi doniesieniami Obrońców Pokoju - zameldował przybyły poważnym tonem. - Uznałem, że muszę przekazać tę wiadomość natychmiast. Wygląda na to, że Zdobywcy zaatakowali Dorcas, Kalewałę i Massif.

Usta Bronskiego zadrżały.

- To pewne?

- Mamy dwa źródła potwierdzające inwazję na Dorcas: człowiek nazwiskiem McPhee - pracownik biura parlamentarzysty VanDivera, oraz kapitan jachtu będącego własnością lorda Ca-vanagha. Jak na razie brak doniesień o aktualnej sytuacji i stratach. W przypadku pozostałych planet ataki nie są jeszcze potwierdzone.

Dowództwo wysyła tam siły uderzeniowe.

- Dziękuję - mruknął Bronski. - A więc zaczęło się.

- W ostatnim przekazie jest jeszcze jeden interesujący fragment - kontynuował Garcia. - Syn i córka lorda Ca-

313

vanagha zostali oskarżeni o kradzież własności sił Obrońców Pokoju.

- Wiedziałem - warknął Lee, odwracając się od okna. - Mówiłem, że ma coś na sumieniu, Bronski... Powtarzałem to setki razy. Ale pan nie chciał mnie słuchać.

- Zamknij się pan! - warknął generał. - Czy według doniesień znaleźli się w areszcie?

- Syn na pewno nie. Odleciał w nieznanym kierunku wraz ze skradzionymi myśliwcami... to wszystko. Córka zaś znajduje się w areszcie domowym na Dorcas. Nogi ugięły się pod Cavanaghem.

- Na Dorcas? - wyszeptał. - Przed chwilą mówił pan, że Zdobywcy dokonali tam inwazji. Garcia wzruszył ramionami.

- Ów wysłannik VanDivera chciał ją stamtąd zabrać, lecz w ostatniej chwili miejscowy dowódca nie zezwolił mu na to. Wiemy tylko tyle.

- I zapewne długo jeszcze nie dowiemy się niczego nowego w tej sprawie - dodał Bronski. - W porządku. Daschka szuka obserwujących ten lokal Mrachów. Idź i pomóż mu.

- Tak jest. - Garcia wykonał przepisowo „w tył zwrot” i wyszedł.

- Musimy tam natychmiast lecieć - szepnął lord do Kolchi-na. - Skontaktuj się z Hillem... Powiedz, żeby wyczarował jakiś statek. Trzeba dotrzeć na Avon, tam przeokrętować się na „Cavatine” i wracać na Dorcas.

Mówił szeptem, lecz widocznie nie wystarczająco cicho.

- Proszę o tym nawet nie myśleć, lordzie - warknął Bronski. - Nigdzie się pan stąd nie ruszy, dopóki nie wyjaśnimy wszystkiego do końca.

- Generale, moja córka znalazła się w strefie działań wojennych.

- Więc przede wszystkim nie poleci pan tam, gdzie toczy się wojna - dodał Bronski twardo. Jednak na jego jakby wyciosanej z kamienia twarzy odmalowało się współczucie. - Wiem, co pan czuje. Ale ostatnią rzeczą, jakiej pragniemy, jest cywil, który będzie stale wchodzić nam w drogę. Niech profesjonaliści zajmą się tym, co do nich należy. Wkrótce zostaną tam przerzucone poważne siły, a NorCoord zmontuje CIRCE...

- CIRCE - rozległ się słaby głos.

Wszyscy spojrzeli na starca leżącego na podłodze.

- Panie Sholom? - Bronski opadł przy nim na kolano. - Jestem generał brygady Petr Bronski z Wywiadu Wojskowego NorCoordu. Jak się pan czuje?

- Cudownie - odpowiedział dziennikarz z ironicznym uśmiechem. - Byłem tam, dokąd jeszcze nikt wcześniej nie dotarł.

- To wkrótce minie. Teraz jest pan już bezpieczny. Wyraz twarzy Sholoma stał się gorzki.

- Mówi pan bezpieczny? Bezpieczny? Nie, to wszystko nieprawda... wszystko. Nikt nie jest bezpieczny. Zdobywcy są coraz bliżej.

Generał posłał pytające spojrzenie Eisenowi.

- Co z nim?

- To jest efekt działania podanego mu środka. Powinien dojść do siebie za kilka minut.

- W porządku. Wszystko już dobrze, panie Sholom. Zaraz poczuje się pan lepiej.

- Doprawdy? - zapytał starzec. - Jest pan tego zupełnie pewien? - Pokręcił głową. - Nikt z nas nie jest dostatecznie zabezpieczony, generale. Ani przed Zdobywcami, ani przed czymś zupełnie innym. Znacznie groźniejszym. Ja to wiem. - Zniżył głos do szeptu. - Domyśliłem się tego. Nikt nie wie tyle, co ja. I nikomu nie powiedziałem. To był wybryk natury. Możliwość jedna na milion. Może nawet jedna na miliard. Ale NorCoord był sprytny. A może tylko zdesperowany. Albo zbyt dumny, żeby powiedzieć prawdę. Wykorzystali to, co się zdarzyło zupełnie bez ich udziału. Wymyślili wytłumaczenie, nazwę i całą resztę. I poskutkowało. Wojna została zakończona.

Bronski ponownie spojrział na Eisena, lecz ten odpowiedział tylko wzruszeniem ramion.

- Nie rozumiem - zwrócił się generał do dziennikarza. - O czym pan mówi?

- Przecież to jasne. O Caledonie - rzekł cicho Sholom. Nagle wzrok mu się wyostriżył, a zamiast rozmarzenia na twarzy pojawił się ten sam strach, który Cavanagh widział na jego portrecie. - To był błysk pochodzący z potężnej erupcji gwiazdy. I nic więcej. Dotarł do Pawolesów w chwili, gdy wyłonili się z ukrycia. Nawet się nie zorientowali, bo akurat wyszli

315

z cienia planety. Zostali kompletnie zaskoczeni. Szansa jedna na milion.

- Panie generale - odezwał się Eisen, głową wskazując na lorda. - Cywile chyba nie powinni tego słyszeć.

- Wszystko w porządku. I tak już za późno. Proszę mówić dalej, panie Sholom. Co stało się potem? Usta starca zamieniły się wąską kreską.

- Jak to co stało się potem? Wszyscy zginęli. Promieniowanie przeniknęło przez dysze ich napędów, gdzie nie instalowano przecież żadnych dipolowych pól ochronnych. A później już nie mogło wydostać się z wnętrza statków. Odbijały je metalowe i płynne osłony, których zadaniem było zabezpieczenie przed energią z zewnątrz. - Zapatrzył się gdzieś w przestrzeń. - I zabiło ich wszystkich, co do jednego.

Twarz Bronskiego wyglądała, jakby zmuszono go do spaceru po cmentarzu o północy.

- Twierdzi pan więc, że CIRCE nie istnieje? - zapytał cicho. Sholom pokiwał głową.

- Nie istnieje. I nigdy nie istniał. Domyśliłem się tego. Zastanawiałem się jak to możliwe, żeby nikt nie słyszał o badaniach nad nową bronią i nagle, po zdarzeniach na Caledonie, wszyscy dowiadują się o takim wynalazku. A przecież w

rzeczywistości nikt czegoś takiego nie skonstruował. Ale nikomu o tym nie powiedziałem.

- Dlaczego? - zapytał Cavanagh.

Sholom ponownie pokręcił głową, a do oczu napłynęły mu łzy.

- To pozwalało utrzymać pokój, nie rozumiecie? Właśnie zagrożenie ze strony CIRCE powstrzymało Pawolesów od dalszej walki. Podobnie jak Ycromanów. To dzięki niemu spory zaczęto rozstrzygać nie na wojnie, lecz przez rokowania.

- Ale nie powstrzyma Zdobywców - zauważył Kolchin. Dziennikarz przymknął oczy.

- Wiem - szepnął. - Wiem. Może NorCoord powinien już dawno temu ogłosić całą prawdę. Cóż za przewrotna pycha. Myśleli, że ten mit na zawsze pozwoli im utrzymać w ryzach inne rasy, zapewnić pokój. Jakaż beznadziejnie głupia duma... Urwał i przez długą chwilę w pokoju panowała cisza. Cava-nagh przyglądał się starcowi, a serce waliło mu w piersiach.

316

CIRCE uratował kiedyś miliony istnień, które pochłonęłaby rozszerzająca się wojna. Później wiązał członków Federacji i odstraszał jej potencjalnych wrogów gwarantując, że organizacja nie rozpadnie się, a cała cywilizacja nie zaginie. I wreszcie, trzy tygodnie temu, ponownie przyniósł nadzieję. Nadzieję, że niepokonani Zdobywcy wreszcie znajdą przeciwnika, który będzie w stanie ich powstrzymać.

A teraz okazało się, że wszystko to było jedynie iluzją. Wszystko.

Bronski westchnął ciężko i odezwał się:

- Nic mu nie będzie, Eisen? Zapytany ocknął się z zamyślenia.

- Nie. Dojdzie do siebie - stwierdził.

- Dobrze - zwrócił się do zebranych generał. - Wszyscy obecni w tym pomieszczeniu będą musieli zostać odizolowani na czas, umożliwiając potwierdzenie tych informacji. Eisen, zdejmij mu już taśmę...

- Chwileczkę - zaprotestował Lee. - Nie może nas pan tak po prostu zamknąć, jak swoich podwładnych. Jako asystent pana VanDivera...

- Daruj sobie, Lee - przerwał mu Bronski. - W tej chwili nie interesuje mnie, kim pan jest. Zostanie pan pozbawiony swobody poruszania się i kontaktów, dopóki wszystkiego nie sprawdzę. I nie zdecyduję co, do cholery, z tym wszystkim zrobić.

- Z pewnością dostępne są odczyty poziomu promieniowania z bitwy na Caledonie - mruknął Cavanagh. - Ale co z moją córką? Przecież nie mogę siedzieć tu z założonymi rękami, podczas gdy jej grozi niebezpieczeństwo.

- Żałuję, lordzie, ale nie mam wyboru. Szczerze mówiąc po naszej rozmowie na Phormbi i tak miałem pana zamknąć. Eisen, idź po Cho Minga.

- Tak jest.

- Popelnia pan poważny błąd, generale - rzucił ostro Lee. - To nie pozostanie nie zauważone, jeśli tak bliski współpracownik delegata po prostu zniknie.

- A jednak. I zamierzam... cholera! - Nagle Bronski sięgnął do wewnętrznej kieszeni...

I zamarł z wyrazem niedowierzania na twarzy, wpatrzony w coś za plecami Cavanagha. Widząc to lord ostrożnie spojrzął przez ramię.

317

Stał tam Kolchin, z pistoletem Eisena w dłoni, sam Eisen zaś spoczywał bezwładnie na podłodze u jego stóp.

- Tylko spokojnie, panie generale - poradził komandos. - Ręce do góry.

- Czyście oszaleli? - wykrzyknął Bronski, posłusznie jednak podnosząc ramiona. -

Nie możecie uciec znając tak ważną dla Federacji tajemnicę.

- Lord Cavanagh musi zająć się córką, panie generale -oświadczył spokojnie Kolchin. - A przecież nie może zrobić tego będąc pozbawiony wolności.

- I tak nie może jej pomóc, a zostanie zamknięty już do końca życia, jeśli nie odłoży pan tej broni. Lordzie, proszę mu powiedzieć...

Cavanagh spojrział na podwładnego. Bronski miał rację. Nie potrafiłby udzielić Melindzie pomocy.

Ale żeby bez oporu zgodzić się na ograniczenie wolności i tkwić z założonymi rękami, podczas gdy Zdobywcy rozpoczęli najazd...

- „Jutland” wraz z towarzyszącymi jednostkami usiłował powstrzymać Zdobywców - przypomniał Bronskiemu. Podszedł i wyjął mu z kieszeni pistolet strzałkowy. -

Ale nie był w stanie. Jeśli CIRCE to tylko mit, musimy wymyślić zupełnie nowe metody walki z nimi.

- I pan zamierza zaproponować taki rewelacyjny sposób? -odciął się generał. - Będąc przy tym poszukiwany na terenie całej Federacji? Niech pan pomyśli realnie, Cavanagh.

- Federacja będzie miała na głowie większe problemy niż ściganie jednego człowieka. Szczególnie gdy wielu ludzi zainteresuje się, dlaczego tak bardzo zależy panu na odnalezieniu mnie. Proszę mi wierzyć. Ani ja, ani Kolchin nie powiemy nic o tym, co dzisiaj usłyszeliśmy.

Lee zrobił krok naprzód.

- Zabierzcie mnie ze sobą - poprosił. Cavanagh pokręcił głową.

- Przykro mi, panie Lee. Jakkolwiek wygląda prawda, panika byłaby obecnie czymś najgorszym, co może się zdarzyć. Jestem przekonany, że Kolchin nikomu nic nie powie. Ale obawiam się, że nie potrafiłbym w równym stopniu zaufać panu i Jacy'emu VanDiverowi. Na pańskim miejscu przydzieliłbym mu podwójne strażę, generale. I może jeszcze knebel.

318

- Popelnia pan błąd, Cavanagh - powiedział cicho Bronski. -Naprawdę piekielny błąd.

- Chyba nie po raz pierwszy. Kolchin, mam poszukać czegoś, żeby ich związać? Pięć minut później byli gotowi. Upłynęły jeszcze dwie i po unieszkodliwieniu strażnika przy drzwiach jechali już samochodem Bronskiego.

- Co z Hillem? - zapytał lord, gdy Kolchin manewrował w mrachańskim ruchu ulicznym. - Ryzykować kontakt z nim?

- Lepiej nie - stwierdził ochroniarz. - Nawet jeśli ludzie Bronskiego zostawili mu telefon, to już dawno podłączyli do niego podsłuch. Poza tym nie uda mu się niepostrzeżenie zniknąć, bo Fibbit widząc, co zamierza, narobi mnóstwo zamieszania.

Cavanagh z powagą pokiwał głową.

- A więc wracamy do planu ucieczki z Phombi. Tyle tylko, że realizacja opóźniona jest o kilka dni.

- A na ogonie siedzą nam znacznie poważniejsi przeciwnicy - dodał Kolchin. -

Lordzie, czy zdaje pan sobie sprawę, w co się pakujemy? Teraz jesteśmy uciekinierami, a mogę pana zapewnić, że nie jest to zbyt przyjemne. Jeśli zechce pan wracać, wciąż możemy to zrobić. Działalem bez pańskiego polecenia, więc nie mogę obarczyć pana odpowiedzialnością.

- Ale mimo wszystko mnie zamkną - przypomniał Cavanagh. - Bronski powiedział, że i tak zamierzał to zrobić. A przecież niezależnie od tego grożą mi poważne konsekwencje w związku z wyprawą Arica i Quinna. Co znaczy tych kilka lat

dorzuconych do wyroku?

Były komandos wzruszył ramionami.

- Niech pan tak nie mówi. Lord popatrzył na błękitne niebo.

- Cokolwiek zdarzyło się na Dorcas, Melinda jest w samym środku niebezpieczeństwa. Nie mogę dopuścić, żeby coś się jej stało. Tak jak i Pheylanowi.

Kolchin nie odpowiedział. Ale Cavanagh z łatwością odgadywał, o czym myśli. Pheylan mógł już od dawna nie żyć i tylko ich upór, aby nie dopuścić do siebie tej myśli sprawił, że Melinda znalazła się w niebezpieczeństwie.

319

I może już zginęła, jak jej młodszy brat?

- Dokąd jedziemy? - zapytał ochroniarza.

- Do ukrytych w górach statków. Nawet jeśli Mrachowie powiedzą Bronskiemu, skąd wzięliśmy tamtą jednostkę, może uznają, że drugi raz nie spróbujemy szczęścia w tym samym miejscu. Ale nie mamy wielkiego wyboru.

- Tym razem Mrachowie mogą być czujniejsi i będą usiłowali naprawdę nas powstrzymać. Kolchin uśmiechnął się pod nosem.

- Niech spróbują.